

Ludmiła Plett

**Przebudzenie
rozpoczyna się ode mnie**

Tytuł oryginału: Людмила Плетт:
Пробуждение начинается с меня...

Tłumacz: Krzysztof Wojnikiewicz
Korekta: Józef Kajfosz

Cytaty biblijne zaczerpnięto z następujących przekładów:

- PISMO ŚWIĘTE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU, BRYTYJSKIE I ZAGRANICZNE TOWARZYSTWO BIBLIJNE – Warszawa 1984 r.
- BIBLIA ŚWIĘTA to jest CAŁE PISMO ŚWIĘTE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU, BRYTYJSKIE I ZAGRANICZNE TOWARZYSTWO BIBLIJNE – LONDYN 1948 r. (BG)
- PISMO ŚWIĘTE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań – Warszawa, 1980 r. (BT)
- NOWY TESTAMENT, TRINITARIAN BIBLE SOCIETY (TBS)

Ludmiła Michajłowna Plett (Pimenowa) urodziła się w 1949 roku w ZSRR, w mieście Frunze. Z pochodzenia jest Rosjanką. Rosła i wychowywała się w rodzinie chrześcijańskiej.

Po ukończeniu w 1972 roku akademii medycznej we Władywostoku, przez około 10 lat pracowała jako lekarz-terapeuta w różnych miejscach Związku Radzieckiego.

W 1983 roku razem z mężem wyjechała do RFN, gdzie pierwszy raz usłyszała kazania Erlo Stegena, ewangelisty i misjonarza z Południowej Afryki.

Na początku 1987 roku, po pierwszym odwiedzeniu stacji misyjnej Kwasi-zabantu przeżyła głęboki kryzys duchowy i pełny duchowy przełom, po którym postanowiła całkowicie poświęcić się innej służbie — niesieniu wszystkim ludziom, a przede wszystkim swoim rodakom, tej starej i wiecznie nowej, żywej ewangelii, która wzywa dusze do przebudzenia się i przygotowania siebie na spotkanie ze Stwórcą w wieczności.

Książka „Przebudzenie rozpoczyna się ode mnie” jest pierwszą odpowiedzią autorki na Boże wezwanie do pracy w Jego winnicy. Wydana w grudniu 1989 roku dosłownie wstrząsnęła duszami tysięcy i milionów ludzi, zmuszając ich do myślenia i sprawdzenia wielu rzeczy.

Korzystając z okazji pragnę wyrazić moją głęboką, gorącą wdzięczność i uznanie mojemu drogiemu mężowi Henrykowi, a także wszystkim tym przyjaciołom i znajomym, którzy w taki czy inny sposób udzielili mi nieocenionej pomocy w pracy nad wydaniem tej książki.

Ludmiła Plett

Przedmowa

Drogi przyjacielu! Ta książka jest osobistym opowiadaniem Erlo Stegena — ewangelisty i misjonarza z Południowej Afryki, przez którego Pan darował wielkie przebudzenie duchowe pośród okrutnego i wojowniczego plemienia Zulusów. To plemię, liczące około 7 milionów ludzi, jest obecnie największym i najbardziej cywilizowanym wśród plemion Republiki Południowej Afryki.

Przebudzenie, które rozpoczęło się pod koniec 1966 roku, płonie i rozprzestrzenia się coraz dalej, ogarniając nie tylko pozostałe ludy zamieszkujące ten kraj, ale i ludy sąsiednich państw afrykańskich, a także wiele osób w różnych krajach Europy Zachodniej i innych częściach kuli ziemskiej.

U podstawy książki legło ponad 20 oryginalnych nagrań magnetofonowych z kazaniem Erlo Stegena w języku niemieckim, wygłoszonych podczas nabożeństw, które odbywały się w różnych miastach Niemiec i na stacji misyjnej Kwasizabantu, która jest centrum przebudzenia.

Myśl o napisaniu tej książki została położona mi na sercu przez samego Pana podczas moich odwiedzin tej stacji misyjnej pod koniec 1986 i na początku 1987 roku, to znaczy 20 lat po rozpoczęciu przebudzenia. Głos Boży, któremu nie można było przeciwstawić się, ciągle brzmiał we mnie, pobudzając do wzięcia się za tę pracę. To, co osobiście zobaczyłam i przeżyłam w miejscu przebudzenia duchowego, dosłownie przewróciło wszystko w mojej duszy, zmuszając do myślenia i weryfikacji; i dziękuję Bogu za wszystko, czego On przy tym we mnie dokonał. Błagam Boga, aby to, co pozostawiło nieusuwalny ślad w moim sercu, mogło posłużyć jako błogosławieństwo dla wielu.

Podczas tłumaczenia i pracy nad książką zetknęłam się z wieloma problemami, polegającymi na trudności przełożenia żywego języka mówionego na styl języka literackiego. Prócz tego, forma zdań języka niemieckiego i rosyjskiego często różni się istotnie od siebie, co stwarzało trudności w dokładności przekazu myśli kaznodziei podczas tłumaczenia. Mam nadzieję, że napotkawszy błędy stylistyczne, które być może są, lub niedokładności, czytelnik okaże zrozumienie, koncentrując swoją uwagę nie na formie, lecz na treści.

Wstępna modlitwa:

O Panie! Wszechmocny Panie! Ty, który pokonałeś ciemność i piekło, grzech i wszelkie nieczyste moce, Ty, który zmartwychwstałeś i któremu dana została wszelka moc na niebie i na ziemi! Błagamy Cię, naszego Pana i Boga, abyś był z nami i pośród nas. Ty zamieniłeś wodę w wino. Zamień także te godziny i to miejsce, aby stały się błogosławionymi godzinami i błogosławionym miejscem dla Twojej chwały.

Amen.

Wstęp

Jeśli ziarno pszeniczne, które wpadło do ziemi,
nie obumrze, pojedynczym ziarnem zostaje;
lecz jeśli obumrze, obfity owoc wydaje

Jan 12:24.

Przystępując do mojego opowiadania, chcę na początku wrócić do przeszłości, do ubiegłego stulecia.

W latach 1840-1850 w północnej części Niemiec, w Hermannburgu mieszkał pewien luterański kaznodzieja Harms. Podczas jego kazania Pan darował przebudzenie w okolicach niziny Lüneburg. Coraz częściej ludzie przychodzili do kościoła, póki nie zabrakło tam miejsca. W tym czasie jedno zgromadzenie dziennie było niewystarczające i Harms musiał urządzać jeszcze drugie nabożeństwo po południu. Lecz i to okazało się za mało — tak wielkie było pragnienie słuchania Słowa Bożego. Wtedy zaczął urządzać trzy nabożeństwa dziennie. Ludzie szli dziesiątki kilometrów, żeby być na nabożeństwie niedzielnym. W tamtych czasach mieszkańcy Hermannburga żyli dość ubogo. Dzieci chłopskie nie miały dobrego życia. Było dużo pijaństwa i życia całkowicie w świecie oraz w grzechu. Jednak podczas kazania tego pastora młodzi ludzie zaczęli kajać się. Przystawiali pić i łajdaczyć, kraść i oszukiwać.

Pewnego razu, przyszedłszy do Harmsa, powiedzieli mu: „Posłuchaj, pastorze! Chcielibyśmy zwiastować ewangelię poganom. Oni też powinni usłyszeć to, co my słyszymy”. Wysłuchawszy ich, Harms zgodził się. Lecz powstał problem, gdyż nie mieli wykształcenia duchownego. Po rozsądzeniu postanowiono wysłać ich na uniwersytet w Hamburgu.

Po dwóch tygodniach powrócili stamtąd rozczarowani i przygnębieni. Okazało się, że profesorowie uznali ich za zbyt głupich, żeby zdobyli wykształcenie, konieczne dla kaznodziei.

Nie patrząc na to, młodzi ludzie nie chcieli pogodzić się z taką sytuacją i wtedy Harms wyprawił ich na inny uniwersytet — do Bremy. Jednak także w Bremie powtórzyła się ta sama historia i zmuszeni byli znów wrócić do domu.

Lecz nawet drugie niepowodzenie nie mogło zagasić w nich pragnienia stania się misjonarzami. Harms nie miał żadnego innego wyjścia, tylko otworzyć własną szkołę, aby nauczyć tych młodych ludzi służby misyjnej.

Kiedy pierwszy problem został rozwiązany, pojawił się następny; w jaki sposób ci ewangeliscy mają znaleźć się w Afryce? Dużym pragnieniem Harmsa było to, żeby oni wyprawili się do Wschodniej Afryki, do Etiopii, do plemienia Gala — odważnego plemienia, spędzającego swoje życie na wojnach i starciach. Był on przekonany, że jeśli ten lud się upamięta, to przejdzie z ewangelią przez całą Afrykę.

W końcu postanowiono zbudować statek. Było to czynem wiary, gdyż ich zbór był ubogi, lecz polegali na Bogu i modląc się, prosili Go, aby dał im wszystko, co było potrzebne do budowy statku.

Wkrótce po tym w Hamburgu znalazł się pewien właściciel firmy, który obiecał im dać na ten cel żelazo i inne materiały. Inny właściciel dał im potrzebne drewno i tak mogli oni zbudować nieduży statek, który został nazwany „Kandake” *).

W 1854 roku, wysyłając do Afryki pierwszych misjonarzy, Harms mówił każdemu z nich przy rozstaniu: „Nie chciałbym więcej zobaczyć cię tutaj! Rozstajemy się do tej pory, dopóki nie spotkamy się kiedyś w niebie.” W ten sposób ci misjonarze nigdy więcej nie wrócili do kraju, umierając daleko od niego w pogańskich krajach. Ich życie wśród półdzikich czarnych plemion było niełatwe, lecz oni ofiarowali je dla ewangelii.

Opuściwszy Niemcy, statek obrał kurs na Wschodnią Afrykę. Lecz kiedy zbliżając się do celu, zatrzymali się w Mombassie, to okazało się, że wszystkie drzwi do Etiopii były dla nich zamknięte.

I tak, rozczarowani, przygnębieni i rozbici zmuszeni byli wracać z powrotem. Można sobie wyobrazić, jakie uczucia targają nimi.

W drodze powrotnej ich statek zatrzymał się w porcie Durbanie w Południowej Afryce. Wyciągnąwszy swoje trąby, zaczęli grać na nich stojąc na pokładzie statku. Wtedy w Durbanie przebywał pewien misjonarz, nazywający się Merensky, który przybył do tej prowincji Natal tego samego roku z Misji Berlińskiej. Usłyszawszy dźwięki grających trąb, od razu odgadł, że to są Niemcy. Wchodząc na statek spotkał się z misjonarzami z Hermannburga, którzy opowiedzieli mu swoją smutną historię. Dowiedziawszy się, że nie otrzymali w Etiopii pozwolenia na swoją pracę misyjną, Merensky zaczął pocieszać i dodawać im otuchy. — Zostańcie tutaj, wśród plemienia Zulusów! — mówił. — To nie mniej silny i wojowniczy lud niż plemię Gala. Nieście im ewangelię! Przecież oni też nic nie wiedzą o Panu!

Posłuchawszy tej rady, misjonarze postanowili pozostać w Południowej Afryce i od tej pory osoby niemieckiego pochodzenia są dobrze znane czarnym z plemienia Zulusów. Tak pierwszy raz rozpoczęła się tam praca misyjna.

Minęło jeszcze ponad 10 lat po tym wydarzeniu, zanim pierwsi moi przodkowie, należący do rodu Stegen, na tym samym statku „Kandake” też wpłynęli do portu Durbanu, żeby na zawsze osiedlić się w Południowej Afryce. Przyjechali oni tutaj nie jako misjonarze, ale jako farmerzy, którzy swoją pracą mieli pomagać misjonarzom w ich pracy.

Tym sposobem w prowincji Natal powstało parę społeczności białych ludzi, z których wielu mówiło po niemiecku. Zaczęło się budowanie niemieckich kościołów i niemieckich szkół. Ludzie zaczęli zadomawiać się i urządzać na nowej ziemi, lecz niestety przy tym nierzadko zdarzało się, że ludzie tracili swoją pierwszą miłość do Boga.

*) *Kandake* — stała tytuł królowej etiopskiej (Dz 8:27).

Jednak drogi Pańskie są nieodgadnione i plan Boży wykonuje się w swoim czasie. Niemieccy misjonarze liczyli, że po ich pierwszym niepowodzeniu wszystko pójdzie niedobrze, nie tak jak należało. Nie mogli wtedy przewidzieć, że Pan czynił inaczej. Zamknął On dla nich drogę do Etiopii, otworzywszy drzwi do Południowej Afryki. Przecież wszystkie klucze są u Pana!

Jakże często jesteśmy przekonani, że wszystko w naszym życiu idzie nieprawidłowo, nie tak, jak to powinno być i jak byśmy chcieli! Świadomość tego przygniata nas, a my upadłszy, leżymy duchowo na ziemi w niemocy i rozpacz, myśląc, że wszystko poszło opacznie, a przy tym nie wiemy, że to, co się z nami dzieje, jest dopiero początkiem Bożego działania. Jest to początek, lecz nie taki, jaki sobie wyobrażaliśmy; ale taki, jaki został zgotowany przez samego Boga według Jego woli i Jego zamierzenia. I błogosławiony jest ten człowiek, który uniża siebie przed Panem, będąc gotowym wypełniać Jego wolę.

1. Dzieciństwo i pierwsze szczere nawrócenie

Ten fakt, że znaleźliśmy się w Południowej Afryce, jak i cała południowoafrykańska historia misyjna, też jest cudem Bożym. Nasi przodkowie, którzy przyjechali do Południowej Afryki w 1869 roku, byli naszymi pradziadkami i prababkami ze strony naszej matki. Ze strony ojca nasi przodkowie przyjechali tutaj później — w latach 1881-1883. W całej naszej południowoafrykańskiej linii rodowej nigdy przedtem nie było kaznodziejów.

Na początku tego stulecia ustał wszelki związek naszych praociców z ich krewnymi w Europie i od tej pory nic o nich nie wiedzieliśmy.

Niektórzy z tych, którzy należeli do naszej rodziny, mieszkający w Południowej Afryce, z czasem odeszli od kościoła, lecz dom naszego ojca pozostawał domem chrześcijańskim. W każdą niedzielę przymuszano nas, dzieci, aby chodzić do kościoła, co nie podobało się nam za bardzo; dlatego będąc jeszcze dzieckiem postanowiłem, że gdy stanę się dorosłym, to wyrzucę to wszystko ze swego życia. Dlatego nie jest dziwne, że nie mieliśmy pragnienia poświęcać wiele czasu naszej wierze. Niekiedy nawet uciekaliśmy się do chytryści lub kłamstwa, żeby nie iść do kościoła; na przykład, zaczynaliśmy skarżyć się na mocne bóle głowy, gdyż chcieliśmy grać w piłkę. Oczywiście przy tym „bóle głowy” od razu mijały.

Tak więc, pomimo tego, że razem z rodzicami uważaliśmy się za ludzi bardzo religijnych, przykładnie chodzących na nabożeństwa do naszego kościoła luterńskiego, byliśmy całkowicie w świecie.

Na naszym podwórku na farmie był plac taneczny. Całymi dniami czyszczono tam i polewano ziemię po to, żeby lepiej się tańczyło. Odbýwały się tu wesela, zaręczyny i inne zabawy, na których zbierali się ludzie z całej okolicy. Jeśli takie wieczornice odbywały się w sobotę wieczorem, to nierzadko w niedzielny poranek dzwonili do nas zaniepokojeni rodzice i pytali, czy nie wiemy, co stało się z ich synami, gdyż pora iść do kościoła, a młodzież ciągle nie wraca z wczorajszej zabawy. Później musieliśmy szukać ich i wtedy wyjaśniało się, że młodzi ludzie, wracając z takich wieczorów, byli tak pijani, że nie byli zdolni dotrzeć do domu i kładli się spać gdziekolwiek w połowie drogi. To wszystko nie przeszkadzało im, gdy wytrzeźwieli, w następny poranek niedzielny śpiewać w kościele na nabożeństwie, przybierając najpobożniejszy wygląd.

Tak bywało do tej pory, póki w naszym kościele nie zaszło pewne wydarzenie, odgrywające ważną rolę w życiu wielu, a także i w moim własnym. Nasz poprzedni pastor i kaznodzieja został przeniesiony w inne miejsce, a do nas przyszedł inny.

Wcześniej zdarzało się, że wybierając się na nabożeństwo my, dzieci, mieliśmy zwyczaj brać z sobą słodycze. Często zasypialiśmy, gdy tylko zaczynało się kazanie, lub cicho jedliśmy swoje cukierki. Jednak z przyjściem nowego pastora ta sytuacja się zmieniła. Głosił on lepiej niż wszyscy inni kaznodzieje, których znaliśmy. Jego kazania miały treść, były interesujące i jednocześnie dość krótkie, co nam szczególnie podobało się.

Prócz tego, ten pastor okazywał wiele zrozumienia w stosunku do nas, dzieci. Tak, na przykład, w Wielkanoc, kiedy jak zwykle w pobliskim mieście Pietermaritzburgu odbywał się motokros, poszliśmy do niego i zapytaliśmy, czy nie może skrócić swojego kazania, żebyśmy mogli na to zdążyć. Zgodziwszy się na to, przemawiał wtedy 10-15 minut, a my, dzieci, byliśmy z tego powodu wprost zachwyceni, wykrzykując: „To najlepszy pastor na całym świecie! Taki, jaki jest nam potrzebny! Nie może być lepszego niż on!”.

Jednak w rzeczywistości ten pastor był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem i widocznie czuł, że w jego życiu i służbie coś nie jest w porządku. Już będąc dzieckiem nie miał pokoju w swoim sercu. Gdy dorósł, myślał, że będąc pastorem i kaznodzieją otrzyma ten upragniony pokój. Decydując tak, pojechał do Europy, gdzie przez długi czas studiował teologię. Będąc bardzo zdolnym człowiekiem miał dobre wyniki w nauce, tak że po ukończeniu studiów profesorowie nie chcieli puścić go z powrotem do Afryki, chcąc, aby pracował jako pastor w Europie. Przekonywali go, że w Afryce tylko zmarnuje swój talent. Na to odpowiedział im żartem: „Wicie, u mnie w ojczyźnie jest jeden problem. Z jakiegoś powodu wszystkie banany rosną krzywe. Chcę spróbować wyprostować je.” Wtedy oni śmiejąc się powiedzieli, że jest on beznadziejny, aby go zrozumieć, i dlatego może jechać do swojej Afryki. Wróciwszy do ojczyzny został misjonarzem i po jakimś czasie trafił do naszego kościoła. Jednak stanowisko pastora i służba także nie mogły zadowolić jego potrzeby duchowej. Wtedy pomyślał, że powinien bardziej i gorliwiej głosić, i zaczął odprawiać nabożeństwa parę razy w tygodniu. W rezultacie tego był tak przemęczony, że więcej nie mógł nieść wziętego na siebie ciężaru i z powodu zaczynającej się nerwicy zmuszony był zwrócić się o pomoc medyczną.

W tej miejscowości był pewien dobry lekarz, Żyd, który był niewierzącym. Po badaniu ten lekarz powiedział mu: „Panie pastorze, dziwi mnie ten fakt, że wy, chrześcijanie, tak bardzo boicie się śmierci. Dawno zauważyłem to u moich pacjentów, którzy są z wyznania chrześcijanami. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wy, wierząc w Mesjasza, tak drżycie przed śmiercią”. Te słowa były dla naszego pastora jak gorzka pigułka.

W celu uniknięcia rozwoju ciężkiej nerwicy lekarz zalecił mu, aby zostawił służbę pastorską na co najmniej 3 miesiące i nawet położył się w szpitalu, żeby stacjonarnie się leczyć.

Odrzuciwszy tę propozycję, pastor wrócił do siebie przygnębiony i przybity. Słowa, które powiedział lekarz, nie dawały mu spokoju i po rozmyślaniu powiedział, zwracając się do swojej żony: „To niemożliwe, by w całym świecie nie było człowieka, który mógłby mi pomóc. Czuję, że mojej duszy czegoś brakuje. Nie wiem, co to jest, ale musi być ktoś, kto mógłby mi to wyjaśnić”. Później wyjechał w podróż, postanowiwszy nie wracać do tej pory, póki nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytanie, chociaż miałby objechać w tym celu pół świata.

Po jakimś czasie przyjechał do stolicy Południowej Afryki, Pretorii, gdzie spotkał pewnego człowieka, który był ewangelistą, lecz w oczach wielu był lekceważony i poniżany. Nie patrząc na to, że o tym człowieku mówiono dużo złego,

nasz pastor, mając wielką potrzebę duchową, mimo wszystko zdecydował się zwrócić się do niego, licząc w głębi serca na jego pomoc. (Jak nie byłoby to dziwnym, nierzadko jest to nawet dobrym znakiem, jeśli o kimś mówi się dużo złego. Słowo Boże w Ewangelii według Łukasza 6:26 mówi nam: „Biada wam, gdy wszyscy ludzie dobrze o was mówić będą”. Szatan nie może milczeć, jeżeli w jakimś człowieku lub w jakimś miejscu działa Bóg. Właśnie tak było też w tym przypadku. Ten ewangelista rzeczywiście był dzieckiem Bożym).

Podczas ich spotkania pastor rozczarował się widząc, że znajomość języka greckiego u ewangelisty była mniejsza niż u niego samego, a hebrajskim władał zupełnie źle. — W czym może pomóc mi taki człowiek — myślał pastor — jeżeli nawet dokładnie nie zna języków, które są niezbędne dla ewangelisty? Co doradzi mi ten nieuk, jeśli moja własna wiedza jest o wiele większa niż jego?

Jednak ten ewangelista prawdziwie znał Pana i był mężem, który umiał się modlić. Słuchając swego gościa, wewnątrz siebie modlił się gorąco o niego, mówiąc: „Panie Jezu! Proszę Cię, zburz istniejącą przeszkodę! Wlej Twoje światło do serca tego człowieka, gdyż on potrzebuje Ciebie!”

W końcu, wysłuchawszy swego gościa, zaproponował mu wspólną modlitwę. Kiedy ugięli kolana i zaczęli się modlić, nasz pastor nagle poczuł, jakby światło wlało się do jego serca i w tym momencie otworzyła mu się głębia znaczenia tych słów: „Oto stoję u drzwi i kołaczę; jeśli ktoś usłyszy głos mój i otworzy drzwi, wstąpię do niego i będę razem z nim wieszerał, a on ze mną” (Obj 3:20). W tym samym momencie uświadomił sobie, że cały ten czas Pan stał u niego na zewnątrz, a nie wewnątrz; że do tej pory miał Pana tylko w umyśle, a nie w sercu i nie w swoim życiu. Z dziecięcą wiarą prosił: „Panie, wejdź do mego serca i życia!”. Wydawało mu się to cudem, kiedy przeobrażony i z pokojem wewnętrznym podniósł się z kolan. Był to najważniejszy dzień w jego życiu.

Po tym od razu wrócił z powrotem do naszego kościoła i w następną niedzielę, kiedy znowu stanął na mównicy, jego kazanie było tak inne, iż wydawało się, jakby pierwszy raz przemawiał do nas. Słuchając go zrozumieliśmy, że w jego życiu coś się wydarzyło. Przed nami stał inny człowiek i inny chrześcijanin. Stare przeminęło, wszystko stało się nowe. W jego życiu nastąpiła wielka i zauważalna zmiana.

To wywarło na wszystkich silny wpływ. Wtedy i ja zrozumiałem, że to jest właśnie tym, czego potrzebuję, gdyż nie mogę pokonać grzechu, a to było moim ciągłym problemem.

W naszej rodzinie było sześcioro dzieci: pięciu braci i najmłodsza — siostra. Bywało, że idąc na Wieczera Pańską dręczyliśmy się z powodu swojej grzeszności. Lecz po powszechnej spowiedzi i łamaniu chleba z radosnym uczuciem ulgi wracaliśmy do domu. Jednak już na drugim-trzecim kilometrze naszej drogi z kościoła do domu my, bracia, zaczęliśmy kłócić się i spierać jeden z drugim. Jeden mówił jedno, drugi co innego i każdy udowadniał swoją rację. Uspokoiwszy się żalowaliśmy tego, lecz wewnętrzny pokój i radość zostały utracone.

To skruszyło moje serce i myślałem, że oto znowu pobrudziłem się i przyj-

dzie znów czekać trzy miesiące, żeby otrzymać odpuszczenie grzechów. Kiedy znowu przychodził upragniony dzień i otrzymywałem odpuszczenie, to szczerze się cieszyłem, ale jak i przedtem byłem nieposłuszny swoim rodzicom. Jeżeli mówili coś do mnie, zwykle sprzeczałem się z nimi.

W tym czasie nie miałem potrzebnego szacunku dla swego ojca. Mówiłem mu zawsze to, co myślałem, i robiłem tak, jak sam chciałem. Lecz za każdym razem czułem, że nie postępuję jak dziecko Boże, ale jak dziecko diabła. Zaczęło mnie dręczyć sumienie, gdyż dobrze wiedziałem, że przez to naruszam przykazanie „czcij ojca i matkę swoją”, a to znaczy, że grzeszę przed Bogiem. Świadomość tego czyniła mnie bardzo nieszczęśliwym i mówiłem: „O, Panie! Nie będę dalej tak robić! Nie chcę tego!”. Lecz mijał jakiś czas i wszystko powtarzało się od początku.

Kiedy zaś nasz pastor przeżył bliskość z Panem, powiedział nam, że w życiu naszym potrzebny jest Jezus, że sami nie mamy mocy zbawić siebie i że tylko On może pomóc nam pokonać grzech i wyrwać się spod władzy diabła.

Tak nastąpił moment przemiany także i w moim życiu. Błagając i płacząc, mówiłem: „O, Panie Jezu! Potrzebuję Ciebie. Zbaw mnie i wybaw od mego nieposłuszeństwa! Wybaw mnie od tych kłótni, pyskówek i niezgody!”. Tak nawróciłem się. Później już nikt nie mówił mi, że trzeba iść do kościoła. Przeciwnie, bardzo się smuciłem, jeśli nie mogłem pójść na nabożeństwo razem ze wszystkimi.

Pan zaczął działać także i w naszym domu, i wkrótce plac taneczny zmienił się w miejsce kazań i nauki Słowa Bożego. Minął krótki czas, a nasz dom wypełnił się ludźmi. Do 400-600 osób zbierało się u nas, żeby słuchać ewangelii. Teraz już tutaj nikt nie tańczył, odbywały się tylko nabożeństwa i rozważanie Słowa.

Po moim upamiętaniu Biblia stała się dla mnie interesującą i najcenniejszą księgą. Wcześniej nie lubiłem czytać. Kiedy podczas nauki w szkole musiałem czytać książki, było to dla mnie prawdziwą karą. Zaś teraz, gdy Jezus wszedł do mego życia, sytuacja się zmieniła. Mogłem noc i dzień czytać Biblię lub książki o przebudzeniach. Moje serce wypełniało się wielką radością, kiedy słyszałem lub czytałem o ludziach przychodzących do Jezusa i o tym, jak żywy Bóg dotykał ich. Nie istniało dla mnie już nic innego. Stało się to najważniejszym w moim życiu.

Gdy moja rodzina szła w odwiedziny i wołali mnie, abym szedł z nimi, zawsze odmawiałem, znajdując przyczynę i usprawiedliwienie ku temu, żeby zostać w domu. Nie mówiłem im wtedy, że za każdym razem, gdy miałem możliwość bycia w samotności, brałem Biblię oraz śpiewnik i zaczynałem śpiewać. Nigdy wcześniej w ogóle nie śpiewałem, lecz po tym, gdy Jezus wszedł do mego serca i zaczął działać, nie przestawałem śpiewać. Pozostając sam coraz częściej klękałem z Biblią w rękach i tak czytałem ją na kolanach.

Jeśli rodzina była w domu, niezauważalnie brałem Biblię i mówiąc, że idę się bawić, szedłem dokądkolwiek w zarośla trzciny cukrowej lub do lasu i tam z zainteresowaniem spędzałem czas sam na sam z Jezusem, pozwalając Mu rozmawiać ze mną. Wszędzie, gdzie bym nie szedł i gdzie bym nie był — w polu, na traktorze, na farmie — mój Nowy Testament był ze mną. Czytałem rozdział za rozdziałem, ucząc się na pamięć. Nikt nie zmuszał mnie do tego, ale Słowo żyło

we mnie i było słodkie jak miód.

Moi rówieśnicy i przyjaciele spędzali wesoło czas spotykając się z dziewczętami, a później dzielili się tym ze mną. Nie mogli zrozumieć, dlaczego tak żyję. Po co? Czyżbym miał tak dużo czasu dla Biblii? Lecz Jezus był dla mnie tak piękny! On stał się moją pierwszą miłością!

Szczególnie wielką radość i rozkosz dostarczały mi słowa obietnic. Na przykład, w Ewangelii według Jana 15:7 czytałem: „Jeśli we mnie trwać będziecie i słowa moje w was trwać będą, o cokolwiek byście chcieli, proście, a stanie się wam”.

Mówiłem sobie, że gdyby była to jedyna obietnica w całej Biblii, już to jedno byłoby największym skarbem ze wszystkich cenneści na ziemi. Ale przecież to nie było jedyną obietnicą. Czytałem dalej: „Dotąd o nic nie prosiliście w imieniu moim; proście, a weźmiecie, aby radość wasza była zupełna” (Jan 16:24).

Te słowa napełniły mnie radością. Przecież zgodnie z tym, jeżeli Bóg przebywa w nas i my w Nim, wtedy można prosić od Niego wszystko, czego pragniemy; a radość, którą znajdujemy w Nim, jest szczególnie, wielka i doskonała.

I jeszcze była jedna obietnica, która na zawsze weszła do mego serca: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto wierzy we mnie, ten także dokonywać będzie czynków, które Ja czynię, i większe nad te czynić będzie; bo Ja idę do Ojca” (Jan 14:12). Było to w latach 1949-1951. Byłem jeszcze zupełnie młody i głęboko po dziecięcemu wierzyłem i przyjmowałem. Jeśli czytałem słowa, które mówił Jezus, „zaprawdę, zaprawdę powiadam wam”, to rzeczywiście wierzyłem, że wszystko, co powiedziano, jest prawdą, gdyż Pan przecież nie jest kłamcą.

Czytając w Ewangelii według Mateusza, Marka, Łukasza i Jana o rzeczach, które uczynił Jezus, myślałem, że zgodnie z danymi obietnicami, jeśli będziemy wierzyć w Niego, będziemy mogli czynić to samo, co On czynił. Przy czym nie tylko to, lecz nawet więcej!

Nie mogę wypowiedzieć, co to wszystko znaczyło dla mego serca. Było to dla mnie, jak otwarte niebo! Myślę, że możecie teraz zrozumieć, dlaczego nie miałem czasu na spotkania z dziewczętami ani w ogóle na żadne inne świeckie sprawy. Jezus ze swoim Słowem stał się dla mnie jedynym i wszystkim!

2. Powołanie do służby i cena nieposłuszeństwa

W tym czasie, gdy byłem całkowicie pochłonięty czytaniem Biblii, nie myślałem wcale o tym, żeby zostać kaznodzieją. Zawsze mówiłem wtedy, że bycie nauczycielem — to najgorsze, a kaznodzieją — w ogóle ostatnia rzecz. (Wybaczcie mi te słowa. Dziś jestem sam kaznodzieją i powiedziałem teraz tylko to, co myślałem o tym wtedy).

Tak samo, jak i moi rodzice, dziadkowie i pradziadkowie, chciałem być tylko farmerem. Moim ideałem było robienie pieniędzy. Już będąc małym chłopcem chciałem robić pieniądze i w tym celu nawet zasadziłem samodzielnie cały hektar tytoniu. Pieniądze były moim bogiem. W tym czasie, gdy moi rówieśnicy spotykali się ze swoimi dziewczynami, ja starałem się zarabiać pieniądze. Moim hasłem było: „Najpierw pieniądze, później wszystko pozostałe”.

Kiedy skończyłem szkołę, to od razu wróciłem do domu na farmę, żeby pomagać ojcu w jego pracy. I oto w tym czasie, kiedy szczęśliwie żyliśmy i pracowaliśmy razem na naszej farmie, pierwszy raz usłyszałem Boże wezwanie do pracy na Jego niwie.

Krótko po tym nasza matka podarowała każdemu z dzieci po książkę. Dostałem książkę Wernera Heukelbacha, w której opowiadano o pewnym człowieku, który przeżył głęboką przemianę od bezbożnika do ewangelisty. Było to właśnie jakby dla mnie. Czując w swoim sercu, że Bóg wzywa i mnie do pracy dla Niego, od razu powiedziałem: „Tak, Panie! Jeżeli tego chcesz, to jestem gotowy!”. Oczywiście, w tym okresie mojego zapału i pierwszej miłości do Pana nie myślałem o tym, co będzie mnie to kosztować.

Od razu poszedłem do moich rodziców i braci, a także do naszego pastora i oświadczyłem im, iż jestem przekonany w tym, że Pan wzywa mnie do Swojej pracy. Pastor bardzo się ucieszył z tego i od razu zaproponował mi wyjazd razem z nim do Wschodniego Transvaalu na konferencję, gdzie powinni byli zebrać się najlepsi i znani na cały świat kaznodzieje. Chętnie się zgodziłem, przekonany, że ten wyjazd posłuży mi jako wielkie błogosławieństwo.

Był to pierwszy przypadek w moim życiu, kiedy byłem z dala od rodziny, bez zwyczajnej pracy farmerskiej, i kiedy miałem wystarczająco czasu do rozmyślenia. Tutaj pierwszy raz poważnie pomyślałem o tym, co mnie czeka, jeśli pozostawię pracę na farmie i zostanę pastorem. O służbie misjonarza wtedy nawet nie myślałem, gdyż w tym czasie czarnych w ogóle nie uważałem za ludzi. U nas w Południowej Afryce nie ma w tym nic szczególnego. Mało tego, podobny pogląd odnosił się też do ludzi innych narodowości, którzy nie należeli do czarnej rasy. Dla nas byli oni czymś w rodzaju ludzi drugiej kategorii, niżsi w porównaniu z nami.

Takie też były nasze poglądy i o innych kościołach, społecznościach i ruchach. W naszych oczach wyłącznie nasz własny kościół był duchowy i tylko u nas była prawdziwa oraz czysta nauka, chociaż w samej rzeczy było to oczywiście daleko nie tak. Na innych wierzących patrzeliśmy z góry, uważając, że wśród nich dawno już trzeba było przeprowadzić reformę. Przy czym oczywiście Pan tak

jest miłosierny, że dzięki temu niektórzy z nich też jakoś zostaną zbawieni. Co zaś dotyczy nas osobiście, to nasze zbawienie było czymś, co samo przez się rozumiało się; a ten fakt, że trafimy do nieba, nie ulegał oczywiście nawet najmniejszej wątpliwości. (Przy czym, takie podejście jest chorobą duchową prawie wszystkich chrześcijan. Czyż nie tak, drodzy przyjaciele? Każdy z jakiegoś powodu uważa swoje zrozumienie za wyższe i bardziej prawidłowe niż zrozumienie kogo innego, i głosząc tak nawet nie zauważa przy tym, że poniżej i depta tego, za kogo też umarł Chrystus).

Tak więc, będąc w Transvaalu i rozmyślając o swojej przyszłej służbie, pomyślałem, że będzie to końcem mojego ulubionego życia farmerskiego. Przyjdzie mi też rozstać się z rodzicami, braćmi i siostrą. Prócz tego myślałem, że wcale nie chcę być ubogim, jak wielu z tych, którzy mieli taką pracę. A przecież pieniądze też coś znaczą w życiu! Przypominając sobie naszego pastora i jemu podobnych, myślałem, że nie będę mógł tak jak oni, będąc w ciągłej biedzie, głosić, chrzcić, usługiwać na pogrzebach i tym podobne. I w ogóle, kto wie, co mi to jeszcze przyniesie... Nie, to nie było dla mnie. Teraz byłem gotowy odwrócić się od swojej pochopnej decyzji rozumiejąc, że po prostu nie jestem w stanie zdobyć się na to.

Jednak na tej konferencji zebrali się rzeczywiście dobrzy kaznodzieje i kiedy wieczorami słuchałem ich kazań, serce moje miękło i mówiłem: „O, Panie! Nie, ja pójdę na to! Jestem gotowy!”. Zaś rano serce moje było znowu zatwardziałe i powtarzałem, że wrócę z powrotem. Później znów następował wieczór i podczas słuchania Słowa Pańskiego serce moje topniało jak masło i godziłem się iść za wezwaniem Bożym. Lecz przychodziła noc i następnego ranka powtarzało się stare, i chciałem wrócić z powrotem.

Tak trwało to do tej pory, aż pewnego dnia mocno postanowiłem wrócić do domu i stać się farmerem. Lecz był jeden problem, który mocno powstrzymywał mnie. Przecież powiedziałem pastorowi, że Pan wezwał mnie do pracy. Co mu odpowiem, jeśli zapyta, dlaczego wcześniej mówiłem jedno, a teraz zupełnie co innego; dlaczego jeszcze niedawno twierdziłem, że sam Bóg wzywa mnie do służby, i przekonywałem wszystkich o szczerości mojego powołania, a teraz nagle tak szybko wycofuję się z powrotem. Podobnych pytań oczywiście nie chciałem słyszeć, dobrze pamiętając to, czego nauczyłem się jeszcze w szkole, że mężczyzna powinien być człowiekiem słownym. U nas w Afryce jest powiedzenie: „Mężczyzna — to słowo, a kobieta — to słownik”. Prawda, niestety, w życiu niekiedy zdarza się też odwrotnie. Lecz tak czy inaczej ja wcale nie chciałem znaleźć się w takiej głupiej sytuacji.

Drugie, co też bardzo niepokoiło mnie: co odpowiem swojej mamie, kiedy ona, na pewno, zapyta mnie o to, jak trzeba teraz rozumieć moje słowa pewności o wezwaniu Pana i mój wprost przeciwny postępek.

Ciągle rozmyślałem o tym, gdy nagle do mojej głowy przyszła dobra myśl. Będąc na tej konferencji często słyszałem świadectwa innych ludzi, którzy mówili, że Pan posłał im Swoje słowo z Biblii. Przypomniawszy sobie o tym ucieszyłem się bardzo, zdecydowawszy, że takie wyjaśnienie będzie dla mnie dobrym wyjściem z tej trudnej sytuacji. Będę mógł wtedy spokojnie pójść do naszego pastora

i powiedzieć mu, że widocznie się pomyliłem, gdyż Pan po prostu próbował mnie, jak kiedyś Abrahama. Chciał On tylko przekonać się, czy zgodzę się poświęcić Mu swoje życie, jak kiedyś Abraham musiał ofiarować swego syna. I kiedy zgodziłem się pójść za wezwaniem Bożym, to Pan zobaczył moje serce i przekonał się co do mnie, jak i wtedy utwierdził się co do wierności Abrahama. Jak wtedy pozostawił On Izaaka przy życiu, nie dopuściwszy do zabicia go, tak i teraz więcej nie żąda On ode mnie tej ofiary, i na potwierdzenie tego posłał mi słowo z Pisma. To samo będę mógł powiedzieć też swojej matce. Tak że wszystko będzie znakomite i całkowicie prawdziwie. Nikt nie będzie mógł temu zaprzeczyć, nie będzie spierał się i sprzeciwiał. Teraz pozostawało tylko się modlić, żeby Pan otworzył mi odpowiednie miejsce w Piśmie.

Tak więc poszedłem w jedno ustronne miejsce, usiadłem na kamieniu, wziąłem do rąk Biblię i zacząłem w myśli mówić Bogu, jak powinno płynąć moje dalsze życie. Wrócę i zostanę farmerem, lecz będę wspierał materialnie kościoły i misjonarzy. Mój dom będzie zawsze otwarty także dla modlitwy i spotkań biblijnych. Mówiąc krócej, tak w szczegółach wyjaśniłem Bogu, przedstawiając Mu wszystko do ostatniej drobnostki, co i jak powinno być w moim życiu. Skończywszy, powiedziałem: „Ale, Panie! Tego wszystkiego nie chcę robić bez Ciebie, gdyż bez Twego błogosławieństwa nie może być powodzenia. Niech Twoje błogosławieństwo towarzyszy tej mojej pracy! Także proszę Cię, Panie, daj mi teraz słowo, które byłoby jak pieczęć na wszystkim tym, co teraz Tobie mówiłem”.

Później otworzyłem Biblię na chybił trafił, mając nadzieję w tym momencie zobaczyć słowo, wydzielone tłustym drukiem. Lecz niestety, mój wzrok zatrzymał się na zwykłym druku i nie wiem jak to się stało, że widziałem przed swoimi oczami tylko jeden werset. Były to następujące słowa: „I rzekł do nich: Pójdźcie za mną, a zrobię was rybakami ludzi”.

Rozgniewany zamknąłem Biblię z jedynym pragnieniem rzucenia jej gdziekolwiek najdalej. Gniew i zło kipiały we mnie i mówiłem: „Boże, udowodnię Ci, że nie będę tego robił. Nie będę rybakami ludzi. Nie zgadzam się z Tobą i lepiej przejdę to życie bez Ciebie”.

Wróciwszy, szybko zebrałem swoje rzeczy i krótko powiedziałem pastoremu, że wyjeżdżam z powrotem do Natalu do swoich rodziców. Przy tych moich słowach był zupełnie spokojny, nie powiedział mi ani słowa. Po jakimś czasie zapytał tylko:

— Erlo, czy jesteś całkowicie przekonany, że to jest wola Bożą dla ciebie?

— Tak — od razu odpowiedziałem ostro i zaraz dodałem: — Tak! I skończmy tę rozmowę!

Tak skłamałem mu. Tragiczne jest, że chrześcijanie mogą tak po prostu kłamać. W tym dniu poznałem, jak złe może być serce chrześcijanina. A przecież byłem już wtedy dzieckiem Bożym.

Pastor odwiózł mnie na dworzec i przed odjazdem zadzwoniłem jeszcze do domu, powiedziawszy rodzicom, że jutro rano o 6-tej godzinie będę w Pietermaritzburgu. Następnego rana na dworcu czekał na mnie ojciec i niektórzy z moich braci. My, bracia, bardzo lubiliśmy jeden drugiego. Przy spotkaniu jeden z nich

podszedł do mnie i radośnie powiedział: „Ach, Erlo! Jak dobrze, że wróciłeś! Na prawdę nasz Bóg jest Bogiem miłości! I oto teraz wrócił znów On nam ciebie!”. Oczywiście, nie mógł on wtedy wiedzieć, co zaszło w samej rzeczy. Lecz ja wiedziałem, że w ogóle nie wrócił mnie Bóg miłości, gdyż powstałem przeciwko Niemu! Odwróciłem się do Boga plecami, powiedziawszy, że tą drogą nie mogę iść z Nim.

Po paru dniach, gdy z matką znaleźliśmy się sam na sam, ona zapytała mnie: „Erlo, co się stało? Przecież mówiłeś nam, że Bóg wezwał cię, abyś był kaznodzieją i pracował na Jego niwie. Dlaczego wtedy tak szybko wróciłeś?”.

Co mogłem jej odpowiedzieć na to? Nic! Jedyne, do czego byłem wtedy zdolny, to rozżłościć się. Była to najprostsza droga, która niestety jest dowodem tego, że coś jest niedobrze. Rozumiałem, że teraz mi nic nie pomoże i że w tej chwili do niczego innego nie jestem zdolny, tylko rozżłościć się i narzekać. Powiedziałem jej ostro: „Mamo, jeżeli nie chcesz mnie tutaj więcej widzieć, to powiedz mi o tym wprost!” i wyszedłem precz z pokoju, głośno trzaskając drzwiami. Był to koniec moim pieśniom i czytaniu Biblii, której więcej do rąk nie brałem.

Następne półtora roku było dla mnie prawdziwym piekłem na ziemi. I wtedy poznałem, że nieposłuszeństwo kosztuje tysiąc razy więcej niż posłuszeństwo. To ciężka droga — zdecydować się iść przeciwko Bogu. Przez coś takiego nie chcę nigdy więcej przechodzić! Często mówimy: „Nie, takiej ceny nie mogę zapłacić! Taka ofiara jest dla mnie zbyt wielka! Tego nie mogę nieść!”. Lecz uwierz, mój przyjacielu, że nieposłuszeństwo kosztuje o wiele więcej.

Gdy minął ten czas, wszedłem pewnego razu do swojego pokoju, klęknałem i pierwszy raz od tego strasznego okresu, wzięwszy do rąk Biblię, otworzyłem ją. Mój wzrok padł na słowa, które mówiły o miłości Bożej do mnie. Trudno przekazać słowami, co przy tym działo się w moim udręczonym i targanym sercu. — Panie! — mówiłem płacząc — Jak to możliwe? Pomimo że uderzyłem Cię w twarz i odwróciłem się od Ciebie, Ty jednak jeszcze kochasz mnie?

Nie mogę teraz opisać wam w szczegółach, co działo się ze mną. Powiem tylko, że miłość Boża rozbroiła i skruszyła moje zatwardiałe serce. Roztopiło się ono, jak soplel w promieniach światła słonecznego. Płakałem, jak dziecko, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Pan ciągle jeszcze kocha mnie. Za co? Przecież tak mocno zasmuciłem Go. Drodzy przyjaciele, w tym momencie zrozumiałem, co znaczy miłość Pana. Nie przeżywszy tego, trudno jest to zrozumieć.

Po upływie paru dni znowu wzięłem Biblię i ponownie otworzywszy ją, zacząłem czytać: „Rzekł Jezus do Szymona Piotra: Szymonie, synu Jana, miłujesz mnie więcej niż ci?” (Jan 21:15). W tych chwilach miałem takie uczucie, jakby Jezus znajdował się w moim pokoju i zwracając się do mnie, pytał: „Erlo, miłujesz Mnie?”.

Bardzo kochałem moich rodziców, swoich braci i siostrę, mój dom rodzinny, naszą farmę... Lecz teraz brzmiało pytanie Pana: „Czy miłujesz Mnie...?”. Tak, miłowałem Go! Nie mogłem nie miłować!

Piotr odpowiedział: „Tak, Panie! Ty wiesz, że cię miłuję. Jezus mówi do niego: „Paś owieczki moje”. Później znowu zadane jest to samo pytanie, na które

pada poprzednia odpowiedź. I znowu brzmią dla Piotra słowa jego Nauczyciela: „Paś owieczki moje”. Tak powtórzyło się trzy razy. Kiedy zaś, będąc pytanym trzeci raz, Piotr zasmucił się — ja też zasmuciłem się. Płacząc, jak Piotr, mówiłem: — Tak, Panie! Ty wiesz, że Cię miłuję. — Paś owieczki moje! — padła odpowiedź.

Było to ostateczne. Zaraz wstałem z kolan, odnalazłem swoją matkę i powiedziałem: „Mamo, teraz rozpoczyna się nowe życie!”. Potem poszedłem do naszego pastora i oznajmiłem, że przyszedł koniec moim wahaniom, że miniony czas równał się dla mnie ze śmiercią.

Tak zaczęło się całkowicie inne życie. Od razu zacząłem uczyć się w szkole biblijnej i od tej pory nigdy nie miałem wątpliwości, do czego powołał mnie Pan.

Często jest mi smutno, gdy spotykam dzieci Boże, które mówią, że nie wiedzą, jaka jest wola Boża w stosunku do nich. Lecz przecież właśnie to powinno być dla nas całkowicie jasne! Przecież nie ten, kto mówi: „Panie, Panie”, lecz kto wypełnia wolę Ojca Niebieskiego — wejdzie do Jego Królestwa. Nie ten, kto w Jego imieniu czyni wielkie cuda, lecz ten, kto poznaje wolę Bożą i jest posłuszny — dziedziczy obietnice.

3. Dwunastoletnie „chodzenie po pustyni”

W 1951 roku, przygotowując się do służby zwiastowania, powiedziałem przed Panem coś takiego, co w konsekwencji przyniosło mi wiele trudności. — Panie, — mówiłem — ten krok kosztuje mnie bardzo drogo. Ze względu na to opuściłem wszystko: dom ojcowski i moje dziedzictwo, rodziców, braci i siostrę, wszystko, co mam i mógłbym mieć. Dlatego proszę Cię, w imię Twoje, jeśli będę teraz szedł za Tobą, to, proszę, pod jednym warunkiem, że nie będzie to tylko zabawa w kościół. Jeżeli muszę głosić Twoją ewangelię, wtedy chcę to robić tak, jak Ty kiedyś to robiłeś. Niech to będzie nie w świątyniach, lecz na polach i łąkach, w górach i dolinach. Chcę głosić Twoje Słowo właśnie tak, jak ono jest napisane. Chcę pracować dla Ciebie i żyć tak, Panie, aby Twoje Słowo i Twoje obietnice mogły wypełniać się w moim życiu i w mojej służbie. Chcę tak nauczać i tak mówić, jak Ty nauczałeś i jak Ty mówiłeś. Przecież Ty powiedziałeś: „Jak Ojciec posłał Mnie, tak i Ja was posyłam”.

Po ukończeniu szkoły biblijnej wydarzyło się to, czego nie oczekiwałem: Pan otworzył mi drzwi do Zulusów — plemienia czarnych, wśród których żyliśmy. Nigdy przedtem nie myślałem pracować z czarnymi, a tym mniej z Zulusami. Prawie nie mogłem rozmawiać w ich języku. Moja znajomość języka Zulu była najgorsza ze wszystkich w mojej rodzinie. Dlatego nie mogłem zrozumieć, dlaczego Pan powołuje właśnie mnie. Przecież przygotowywałem się do pracy wśród białych! Jednak plan Boży dla mnie był inny i ponieważ miłowałem Boga, chciałem i w tym wypełnić Jego wolę. Tak stałem się misjonarzem.

Zdarzało się wcześniej, kiedy byłem wśród białych, że musiałem być zawsze ostrożnym i przewidującym, żeby kogokolwiek nie obrazić swoimi słowami. Wśród czarnych pogan nie było to dla mnie problemem. Zwracając się do kogoś z nich, mogłem powiedzieć na przykład tak: „Posłuchaj, musisz upamiętać się! Jeżeli tego nie uczynisz, wtedy żywy trafisz do piekła!”.

Minął jakiś czas i ci czarni powiedzieli mi: „Tak, chrześcijaństwo jest dobre. Dużo dobrego otrzymaliśmy przez nie. Mamy teraz szkoły i szpitale. Mamy dostęp do nauki zawodu. Z przyjściem misjonarzy przyszła do nas cywilizacja. Lecz przy tym wszystkim chrześcijaństwo pozostaje dla nas czymś obcym, co przyszło do nas od białych. Chrześcijaństwo jest religią białych. To ich tradycja, w której wyrosli. My też mamy swoją religię i swoje tradycje. Wy, biali chrześcijanie, macie swoich Bogów: Boga-Ojca, Boga-Syna i Boga-Ducha Świętego. My zaś mamy swoje bożki i bogów, którzy też mają swoje imiona. Chociaż ogólnie chrześcijaństwo jest niezłą religią, dla nas jest niewystarczające, gdyż ono podobne jest do wody, którą leje się na ogień. Ono może zagasić płomień, lecz nie jest zdolne przeniknąć w głąb, do głębi życia. Dlatego dla nas potrzebni są jeszcze nasi bogowie i musimy kontynuować składanie ofiar duchom naszych zmarłych”.

Przy takim podejściu spotykasz się z połowicznością i rozdzieleniem ich wiary. Przyjmując chrześcijaństwo w połowie są chrześcijanami, a w połowie poganami. Przychodząc do kościoła, modlą się do Chrystusa, jednak w swoich domach dalej służą demonom i składają ofiary duchom zmarłych.

Chcę zaznaczyć, że dla Zulusów społeczność z mocami ciemności, czarnoksiężstwo i spirytyzm są nieodłączną częścią ich życia, ich codziennym chlebem. Już w łonie matki dziecko jest pod wpływem czarów. I tak przez całe życie. Dlatego jest to dla nich czymś całkowicie naturalnym i normalnym, a społeczność z duchami zmarłych jest powszechnym i codziennym zjawiskiem. Lecz najgorsze jest to, iż wszystko to nie jest po prostu owocem ich fantazji, wyobrażaniem sobie czegoś, lecz realną rzeczywistością, którą można przeżywać, odczuwać i doświadczać na sobie. Złe duchy rozmawiają z nimi tak, że można to słyszeć. Węże i dzikie zwierzęta przychodzą do nich. Sam osobiście byłem świadkiem tego i dlatego nie mogłem powiedzieć im, że diabeł nie może działać i objawiać siebie w mocy, gdyż dla nich jego działanie jest oczywistością.

Dalej mówili mi: „Chrześcijaństwo to, oczywiście, dobra sprawa. Szkoda tylko, że wy głosicie nam, czarnym. Byłoby lepiej, gdybyś głosił białym. Najpierw upamiętajcie się wy, biali! Przecież pracujemy u białych i znamy ich. Biali są często źli i rozdrażnieni. Umieją kłócić się i kłąć. W ogóle nierzadko brak im miłości”.

Niektórzy z czarnych posuwali się jeszcze dalej i wprost mi mówili: „My nie chcemy ciebie! Głoś swoim białym ludziom. Zobacz tylko, co oni robią. Chodzą do kina, palą, piją i cudzołożą. Nie głoś nam tego, że musimy się upamiętać i nawrócić do Boga. Nawróćcie się najpierw wy, biali, a wtedy zobaczymy, jak to pojmujecie”. Sami rozumiecie, co może dziać się przy tym w sercu kaznodziei, który głosi o nawróceniu do Pana.

Po sześciu latach mojej służby misyjnej pewnego razu gorąco modliłem się do Pana, mówiąc: „Panie, daj mi mądrość i moc Ducha Świętego, żebym mógł rzeczywiście przekonać tych ludzi, że Ty nie tylko jesteś Bogiem białych, lecz Bogiem wszystkich i że Jezus jest Synem Bożym, Zbawicielem całego świata, wszystkich narodów; że nikt nie może przyjść do Ojca inaczej, jak tylko przez Niego!” Później dobrze przygotowałem się, zamierzając mówić do Zulusów, których wtedy zebrało się kilkuset. Zaczawszy od Starego Testamentu, opowiedziałem im o tym, jak prorocy zapowiadali przyjście Mesjasza i jak On w końcu narodził się w cudowny sposób z dziewicy Marii; o tym, jak Jezus będąc dwunastoletnim chłopcem był w świątyni. Później przeszedłem do opowiadania o Jego chrzcie i kuszeniu na pustyni, o dalszej służbie i w końcu o męczeńskiej śmierci na krzyżu Golgoty. Potem opowiedziałem o tym, że po zmartwychwstaniu Jezus wstąpił do nieba, gdzie teraz siedzi po prawicy Boga-Ojca, który dał Mu wszystko, cały świat. Przy tym podkreśliłem, że dla nas, żyjących na ziemi, nie ma zbawienia w żadnym innym imieniu pod niebem, tylko w imieniu Chrystusa; że nastanie dzień, kiedy On przyjdzie powtórnie, aby sądzić żywych i umarłych; dlatego, kto Mu nie wierzy, ten traci wieczność. Przekonywałem swoich słuchaczy, że żadne inne imię nie jest święte i że tylko Jezus jest Drogą, Prawdą i Życiem dla wszystkich ludzi, niezależnie od narodowości.

Zakończyłem to kazanie wezwaniem: „Jezus Chrystus jest wczoraj, dziś i na wieki ten sam. Wszystko się zmienia, ale Jezus nie. On i dziś jest taki sam, jaki był dwa tysiące lat temu. Dlatego nie chodźcie do waszych szamanów i czarownic! Nie zwracajcie się do martwych, ale idźcie do Tego, Kto zmartwychwstał i

jest Panem żywych i umarłych! Przyjdźcie do Jezusa ze wszystkimi waszymi grzechami, potrzebami i problemami! Zostawcie martwych bogów! Idźcie do Boga żywego!"

Oczywiście, mówiąc tak, nie miałem pojęcia, do czego to doprowadzi. Jedna z uczestniczek tego zgromadzenia z uwagą przysłuchiwała się moim słowom. Od razu po zgromadzeniu podeszła do mnie czarna kobieta w podeszłym wieku i zapytała:

— Powiedz mi, kaznodziejo, czy rzeczywiście jest to prawdą, co nam teraz mówiłeś?

— Oczywiście — odpowiedziałem. — Przecież nie mogłem tego zmyślić. Służąc Bogu nie można kłamać. Wszystko, o czym głosiłem, jest prawdą.

— Czy to znaczy, że Pan Jezus, Bóg białych, jest Bogiem żywym?

— Tak, On jest Bogiem żywym.

— Czy może On i dziś czynić to samo, co czynił dwa tysiące lat temu?

— Tak, rozumie się.

— Czy możesz z Nim rozmawiać?

— Tak, oczywiście. Wy też możecie z Nim rozmawiać. U nas, chrześcijan, nazywa się to modlitwą. Każdy może się modlić.

Wtedy wykrzyknęła: „O, jak się cieszę, że znalazłam w końcu człowieka, który służy Bogu żywemu! Mam dorosłą córkę. Ona jest obłąkana. Czy nie mógłbyś poprosić swego Boga, żeby On uzdrowił ją?”

Tak... Przy tych jej słowach jakby masło spadło mi z chleba. Cała moja odwaga i zdecydowanie zaraz znikły. — O, Erlo, ty głupi osie! — myślałem. — Zapędziłeś się w kąt. Że też nie domyśliłeś się, żeby zostawić sobie furtkę wyjścia! Co teraz będziesz robił? Jak wydostaniesz się z tej kaszy? — (Coś takiego też musiałem przeżyć). Myśli z prędkością błyskawicy przemykały po mojej głowie: „A co, jeśli zapytam ją, czy jest przekonana co do woli Bożej, odnośnie uzdrowienia jej córki?”. Lecz zaraz przemknęła inna myśl: „Erlo, lecz właśnie przed chwilą powiedziałeś im, żeby szli ze wszystkimi swoimi potrzebami i problemami do Jezusa, a nie do szamanów i czarownic!” I znów myśl: „Tak, lecz może to być krzyż, który Pan włożył na nią. Coś takiego też jest możliwe. Przecież może w tym być wola Boża! Prócz tego jest też swój czas w planie Bożym. Czy właśnie teraz nastąpił ten moment, kiedy jej córka powinna zostać uzdrowiona?”

— Ach, ty biedna, prymitywna matko! — mówiłem w myśli. — Gdybyś była białą Europejką, wtedy moglibyśmy porozmawiać z tobą na ten temat. Lecz ty jesteś czarną Afrykanką i rozsądzasz, jak małe niemądre dziecko... — (Tak myślałem w tych chwilach, w rzeczywistości zaś ta czarna kobieta przyszła do Jezusa z tą samą prostą, ufną, dziecięcą wiarą, o której Pan powiedział kiedyś: „Jeśli nie staniecie się jak dzieci...”. I to nie ona, lecz ja byłem tym niemądrym!).

Lecz tak czy inaczej, co teraz zrobić? Przecież nie chciałem pokazać jej, że jestem w punkcie bez wyjścia. Wtedy, będąc na zewnątrz spokojnym i myśląc, że czas pokaże mi wyjście z tej sytuacji, zapytałem kobietę, gdzie przebywa jej córka, czy jest tutaj.

— Nie — odpowiedziała matka — ona jest w domu. Jest to jeden kilometr

stąd i możemy połowę drogi przejechać samochodem, a później trzeba iść piechotą.

— Dobrze — powiedziałem. — Wkrótce będę wolny i wtedy pójdę z panią.

W drodze opowiedziała mi, że od czterech lat jest wdową, że syn jej pracuje w dużym mieście, Durbanie, i że ona mieszka teraz razem z żoną syna i ze swoją obłąkaną córką.

Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce i zająłem do środka jej chaty, to ze strachu i zdumienia głośno krzyknąłem: „Nawet połowy pani nie opowiedziała mi z tego, co tu widzę!”.

U czarnych w środku chaty stoi słup, na którym wspiera się słomiany dach. Do takiego słupa była przywiązana powrozem dorosła dziewczyna. Powróż tak głęboko wciął się w ciało nieszczęsnej, że z powstałych ran ciekła krew. Na rękach i na ciele widniały niezliczone blizny i rany. Niektóre z nich były już zagojone, inne — jeszcze zupełnie świeże i krwawiące. Ta obłąkana miała nieludzką i nadnaturalną moc. Tak mocno rzucała się w swoich więzach, że powróż jak nóż ciał jej ręce. Przy tym nie przestawała mówić w jakimś obcym i niezrozumiałym języku. (U Zulusów nie jest to czymś niezwykłym. Takie duchy nazywają oni „zizusas”. Jeżeli człowiek jest opętany przez takiego ducha, to ma on zdolność mówienia niezrozumiałymi językami, a też różnymi cudzoziemskimi językami, na przykład: niemieckim, angielskim, hinduskim itd.)

— Od dawna jest tak przywiązana? — zapytałem matkę.

— Ostatnie trzy tygodnie — odpowiedziała — i przez cały czas tak mówi nie przestając, dzień i noc. Nie je i nie śpi. Gdy przynosimy jej jedzenie, chwytą talerz i rzuca nim o ścianę.

— Lecz dlaczego nie poluźnicie chociażby sznura?

— To bez sensu — westchnęła kobieta. — Już wszystkiego próbowaliśmy. Ona rozrywa najmocniejsze sznury. Jeśli uda się jej wyrwać, to ucieka i wtedy trudno ją złapać. Jak dzikie zwierzę biega od jednego domu do drugiego. Biegnie na pola i ogrody sąsiadów, wyrywa kukurydzę, kapustę i inne warzywa; łamie i pustoszy wszystko na swojej drodze. Ludzie się złością. Mężczyźni przybiegają z psami i kijami, i strasznie biją ją. Kiedy przeganiają ją, ona ucieka w góry i długo nie wraca. Pada deszcz, błyska się, uderzają pioruny, przychodzi chłód, a matka nie wie, gdzie jest jej córka.

Kobieta spojrzała na mnie i ze łzami w oczach zapytała: — Czy możesz sobie wyobrazić, co znaczy dla matczynego serca mieć takie dziecko? O, lepiej jej umrzeć niż tak żyć!

Trochę uspokoiwszy się, biedna matka kontynuowała: — Moja córka rwie na strzępy swoją sukienkę oraz pozostałą odzież i goła biega po ulicy. Przy tym jest bardzo niebezpieczna dla otoczenia. Jeżeli kogoś ukąsi, to głęboko wbija się w ciało swoimi zębami i nie puszcza do tej pory, póki ktoś inny nie przyjdzie z pomocą jej ofierze. Dlatego ludzie widząc ją, chowają się i zamykają w swoich domach oraz chatach. Wtedy wbiega do szkoły. Dzieci w przerażeniu wyskakują przez okna, ratując się przed nią. Dyrektor szkoły zebrał komitet i oświadczył, że tak dalej być nie może.

Płacząc, ta nieszczęśliwa kobieta pokazała mi swoją pustą zagrodę i powiedziała: — Nie mam krów, owiec ani kóz. To, czego nie złożyłam w ofierze duchom, musiałam sprzedać po to, żeby zapłacić czarownikom. Przecież oni żądają dużo pieniędzy za swoje czary. Lecz w końcu i oni powiedzieli, że nasi bogowie więcej już nie mogą pomóc mi. Teraz zupełnie zubożałam. Nie mam więcej pieniędzy. Moje siły też są na wyczerpaniu. Wiesz, kaznodziejo, bardzo często chciałam wziąć nóż i własnoręcznie z zimną krwią poderżnąć gardło mojej córce. Jednak ciągle przed tym coś mnie powstrzymywało. Dosłownie jakby ktoś mówił mi, żebym tego nie robiła, bo to wielki grzech. Wtedy chciałam skończyć ze swoim własnym życiem. Lecz znowu powstrzymywała mnie myśl o tym, co będzie z moim dzieckiem. Kto później będzie troszczył się o nią? O, jak się cieszę — zakończyła — że znalazłam w końcu człowieka, który służy żywemu Bogu! Teraz mam nadzieję, że moja córka otrzyma ratunek i uzdrowienie!

Te słowa jak nóż wbiły się w moje serce. Gotów byłem płakać. W tym momencie przyszły mi na myśl słowa Gedeona, w których zwrócił się do anioła Bożego, który został do niego posłany: „Gdzie są wszystkie jego cuda, o których opowiadali nam nasi ojcowie?” (Sdz 6:13). Wewnątrz krzychałem do Boga, błagając Go: „Panie, spraw ten cud! Przecież masz moc uwolnić tę nieszczęsną i uzdrowić ją!”.

Obiecując tej kobiecie, że znowu wrócę do niej, poszedłem do swoich przyjaciół i współpracowników, i podzieliwszy się z nimi tym, co przeżyłem, zapytałem ich, czy zgodzą się razem ze mną modlić się o tę dziewczynę. Wszyscy chętnie się zgodzili, obiecując zostawić wszystkie swoje sprawy ze względu na to.

— Czy widzicie — mówiłem im — że już sześć lat modlimy się o przebudzenie, które do tej pory nie nastąpiło? Kto wie, może właśnie to będzie tą iskrą, która jest nam potrzebna, żeby rozpałcić ogień. Przecież, jeżeli dziewczyna zostanie uzdrowiona, to może stać się początkiem przebudzenia, gdyż całe plemię od najmniejszego do najstarszego wie o niej. O, jakim byłoby to zwycięstwem dla naszego Pana! Wtedy wszyscy Zulusi poznają, że jedynie Jezus jest prawdziwym Bogiem.

Później pojechałem na farmę do swoich rodziców i zapytałem ich, czy nie mogą wydzielić pokoju, w którym mogłaby przebywać obłąkana dziewczyna w czasie, kiedy o nią będziemy się modlić. Ojciec z matką zgodzili się na to i razem z paroma innymi mężczyznami przywieźliśmy ją do domu rodziców. Całe plemię w okolicy już wiedziało i rozmawiało o tym.

Gdy tylko ta dziewczyna weszła do wydzielonego dla niej pokoju, zaraz połamała znajdujące się tam krzesła i przewróciła stół. Wtedy wynieśliśmy z pokoju wszystkie meble, zostawiając tylko łóżko. Później próbowała połamać łóżko, wyrywając z niego sprężyny. Zabraliśmy też łóżko, położywszy na podłodze słomiany siennik i kołdrę. Ostatnią akcją naszej podopiecznej było to, że wyłamała ramy okienne, rozbiła szyby i pocięła żelazną kratę. Po paru godzinach ten pokój wyglądał jak chlew, w którym była nie jedna, ale wiele świń.

Trzy tygodnie, dzień i noc, pościliśmy i modliliśmy się, lecz uzdrowienia tej opętanej nie było. Przez cały ten czas, nie przestając, śpiewała szatańskie pieśni,

które sama ciągle wymyślała. Ludzie radząc nam mówili, żebyśmy podczas modlitwy ciągle wypowiadali imię Pana i wzywali krwi Jezusa Chrystusa, gdyż wtedy szatan ucieka. Jednak ten szatan nie uciekał. Odwrotnie, ta opętana zaraz zaczęła przeklinać i lżyć krew Chrystusową tak obrzydliwie, jak tylko może to robić diabeł. Było to straszne i ohydne. Rozebrawszy się do naga, siedziała w swoich własnych odchodach i tupała gołymi stopami w betonową podłogę tak, jakby ktoś stukał po niej ogromnym młotem, chcąc ją rozwalić. Tak trwało to przez wiele godzin, a z daleka można było słyszeć to straszne tupanie, niesamowity śmiech i bezwstydną pieśń. Było to jak powiew z otchłani.

Po trzech tygodniach moje siły były na wyczerpaniu, a sam podobny byłem do ruiny nerwowej. Nie mogłem zrozumieć tego, co się działo. Wszystko robiliśmy tak, jak uczy nas Biblia, lecz to nie funkcjonowało. Praktyka rozmijała się z teorią. Czułem się jak uczeni ludzie tego świata, którzy wierząc w ewolucję udowadniają, że nie istnieje Stwórca i nie ma żadnego Boga. Tacy ludzie twierdzą, że miliardy lat temu byliśmy rybami. Później tym rybom wyrosły nogi. Później z tego rozwinęła się nie tylko żaba, ale i małpa. Później w jakiś sposób małpa straciła swój ogon, dając początek powstaniu rasy ludzkiej na ziemi. Mogliby oni określić nawet czas i okresy rozwoju, lecz jest dziwne, że przy tym wszystkim ciągle im brakuje jednego „szczegółu” — brakującego ogniwa w łańcuchu ewolucyjnego rozwoju. Wiele lat temu u nas w Południowej Afryce był profesor Schmidt, który odkrył pewną rybę o nazwie „kulikens”. Był przekonany, że znalazł w końcu brakujące ogniwo ewolucyjnego rozwoju. Jednak ku wielkiemu jego rozczarowaniu to nie potwierdziło się.

Tak samo czułem się w mojej sytuacji. Wszystko, co mówi Biblia, teoretycznie było prawdą, jednak w praktyce nie potwierdzało się. Było to dla mnie gorzką pigułką.

Co powinienem być teraz robić? Wrócić do matki i powiedzieć, że jej córka nie jest uzdrowiona? Lecz przecież całe plemię w tej okolicy wiedziało, że chrześcijanie modlą się o tę dziewczynę. Przecież słyszeli, jak głosiłem im, mówiąc: „Nie chodźcie do czarowników! Nie ofiarujcie waszych wołów i kóz duchom! Jezus jest odpowiedzią na każdy problem, dlatego idźcie do Niego! Jezus nigdy nie odmawia. Czarownicy i bożki — tak, lecz Jezus nigdy!”. A co teraz? Teraz powinienem pójść do matki tej dziewczyny i powiedzieć, że Bóg nas zawiódł; przy czym nie tylko nas, lecz i wszystkich tych, którzy głoszą imię Chrystusa. Ale czy mogłem coś takiego powiedzieć?

Ze wszystkich sił modliliśmy się: „O, Panie! Przecież sprawa idzie nie o nasze imię, ale o Twoje imię Boga żywego! O Twoją moc i potęgę! Co powiedzą poganie, jeśli ona wróci z powrotem tak samo obłąkana? O, działaj, Panie! Uczyni ten cud nie ze względu na naszą chwałę, ale ze względu na Twoje imię, ze względu na Twoją chwałę!”. Jednak nasz zrozpaczony krzyk i nasze modlitwy były daremne. Bóg w niebie milczał. Było to straszne.

W końcu nic mi nie pozostawało, tylko pójść do matki tej dziewczyny i powiedzieć, że my też nie możemy pomóc jej córce. Było mi bardzo ciężko i gorąco się modliłem: „Panie, nie mogę teraz spojrzeć ludziom w oczy. Przecież muszę

być z nimi uczciwy! Jak mogę głosić i przekonywać ich do czegoś, kiedy sami mogli przekonać się, że w samej rzeczy wcale nie jest tak? I sam teraz nie mogę być obłudnikiem. Przecież też mam sumienie! Powinienem być uczciwym i w stosunku do siebie. Panie, nie mam sił dłużej tu przebywać. Proszę Cię, jeśli można, poslij mnie dokądkolwiek, w inne miejsce!".

Pan był miłosierny dla mnie i mogłem wyjechać w inne miejsce. Były to okolice Hanoweru i południowe kresy. Tam przebywałem dwa lata.

Do tego czasu przestałem już wierzyć, że Biblia jest w pełni Słowem Bożym i że wszystko, co w niej jest napisane, jest prawdą. Częściowo — tak, lecz nie wszystko. Oczywiście, byłem przekonany, że Bóg nie jest kłamcą i uważałem, że przyczyną niezgodności Biblii mogło być co innego. Przecież wcześniej nie było maszyn drukarskich, jak jest to teraz, dlatego wszystko pisano ręcznie i przekazywano od jednego do drugiego. Tak z pokolenia na pokolenie przez wiele wieków przepisywano też Biblię. Całkowicie jest naturalne, że w procesie wielokrotnego przepisywania Biblii przez wiele osób mogły zostać popełnione jakieś błędy. W rezultacie tego niektóre miejsca Pisma Świętego możliwe, że nie zgadzają się z tym, co było napisane na początku. W ten sposób wszystko można było dobrze wyjaśnić.

Tak więc, część w Biblii jest autentyczna, część — nie. Dlatego głosząc trzymałem się teraz tylko tych miejsc, które według mnie, według mojego rozumienia i doświadczenia, odpowiadały rzeczywistości, i starałem się unikać takich miejsc, które, jak mi się wydawało, były zmienione.

Na przykład, Jezus powiedział Samarytance: „Każdy, kto pije tę wodę, znowu będzie pragnął; ale kto napije się wody, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki" (Jan 4:13-14). Według mnie było to całkowicie nieprawidłowe i niezrozumiałe. Przecież jeździłem wszędzie i ewangelizowałem. Byłem w wielu kościołach i społecznościach. Setki i tysiące ludzi przyjmowało Chrystusa. Przychodzili oni do tego Źródła i pili tę wodę, którą On daje. Pili oni Jego żywą wodę, jednak później znowu pragnęli.

Przejdźcie po domach dzisiejszych chrześcijan i popatrzcie na rzeczy tego świata, które znajdują się w nich. Gazety, czasopisma, przedmioty do różnych rozrywek i jeszcze wiele innego, aż po książki o seksie i pornografii. Znałem młodych mężczyzn, którzy nie mogli przejść obok kiosku lub księgarni bez tego, żeby nie patrzeć na obrazki z gołymi dziewczętami, które były tam wystawione. Nawet kupowali je i chowali w domu przed swoimi rodzicami. A przecież byli to ludzie, którzy uwierzyli w Chrystusa; ci, którzy pili Jego wodę, lecz przy tym mieli takie pragnienie do świata i światowych rzeczy. I czy są dziś na świecie ludzie bardziej pragnący niż chrześcijanie? Jakże wielu wśród nich jest takich, którzy mają pragnienie nie tylko świata, ale i grzechu, który popełniają jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio; jeśli nie jawnie, to w tajemnicy. Jeden ma pociąg do papierosów, inny — do alkoholu, trzeci — do seksu i innych obrzydliwych grzechów. Dzieci pytają rodziców, dlaczego nie mogą iść do kina lub na tańce, gdy pozostali mogą. Rodzicom jest bardzo trudno prawidłowo wychowywać swoje dzieci. A przecież oni wszyscy — to chrześcijanie!

Biblia mówi nam: „Nie miłujcie świata ani tych rzeczy, które są na świecie” (1J 2:15). Lecz spójrzcie na chrześcijan. Spójrzcie na współczesną młodzież chrześcijańską i porównajcie z ludźmi tego świata! Czy wielka różnica między nimi? W Liście do Rzymian 12:2 czytamy: „A nie upodabniajcie się do tego świata, ale się przemieńcie przez odnowienie umysłu waszego”. Jak widzicie, Pismo wyraźnie mówi nam, że chrześcijanie nie powinni upodabniać się do tego świata. A jak to wygląda w samej rzeczy? Czy tak jest w rzeczywistości?

Tak więc, żeby raz napisać się, więcej nie pragnąć... Nie, tak nie może być! Dlatego jest całkowicie jasne, że Pan nie mógł tego powiedzieć. Przecież On nie jest kłamcą. Z tego wniosek, że te słowa są po prostu błędem w Piśmie. W ten sposób znajdowałem w Biblii wiele podobnych miejsc, które uważałem za nieprzydatne dla dzisiejszych chrześcijan. Dzieje Apostolskie też uważałem, że są nie do przyjęcia dla nas w dzisiejszych czasach, gdyż było to dla pierwszych chrześcijan i skończyło się w pierwszym stuleciu. Oczywiście, później jeszcze nieraz były okresy przebudzeń, lecz i one pozostały w przeszłości. My też próbowaliśmy szczerze całym sercem modlić się o przebudzenie i robiliśmy to tak długo, że w końcu mieliśmy tego dosyć, zmęczyliśmy się i przestaliśmy. Później, kiedy jeden ze współpracowników powiedział do mnie: „Erlø, musimy modlić się o przebudzenie”, ja, pełen zrozumienia i nauczony gorzkim doświadczeniem, jak balansować wśród takich okoliczności, odpowiedziałem mu uniżenie: „Ach, drogi bracie, jesteś zbyt skrajny w tych zagadnieniach. Ja też kiedyś tak myślałem. Był czas, kiedy też próbowaliśmy modlić się o przebudzenie, robiąc to całym sercem, gorąco i szczerze. Jednak mijały lata, a przebudzenia mimo wszystko nie było. Widocznie było to tylko na początku jako przejaw pierwszej gorliwości i pierwszej miłości. Dla nas zaś jest to niemożliwe. Myślę, że i ty też jeszcze dojdiesz do poznania prawdy w tym zagadnieniu i osiągniesz wzrost męża doskonałego”. (Tak daleko odszedłem, zbłądziwszy w swoich ludzkich przemyśleniach).

Z czasem nauczyłem się obserwować. Wy już też na pewno zauważyliście, że w różnych częściach świata, w różnych kościołach i ruchach, różnym rzeczom przypisuje się główną rolę. Tak, na przykład, Amerykanie, głosząc, zawsze podkreślają znaczenie wiary. Najważniejsze — tylko wierz! Nieważne, jak przy tym wygląda sprawa wewnątrz. Abyś tylko wierzył!

Słyszając coś takiego pomyślałem, że to może być rzeczywiście tą tajemnicą i tym kluczem, których dawno szukam. Możliwe, że dlatego osiągały mnie niepowodzenia, gdyż miałem zbyt małą wiarę. Wewnętrznie podbudowany postanowiłem zrobić eksperyment licząc, że jeżeli nie można zdecydować się na coś, to nie można też otrzymać. I oto już na następnym zgromadzeniu mówiłem wszystkim o wierze, przy czym przez całe kazanie kładłem szczególny nacisk na słowa „tylko wierz”. W najbardziej oratorskich zdaniach przekonywałem słuchających, że najważniejsze, czego potrzebujemy, to wiara; trzeba tylko wierzyć i wtedy będzie można góry przenosić!

I wiecie, co po tym się zdarzyło? Wśród obecnych na nabożeństwie byli ludzie, którzy mieli w rodzinie niewidomego. Usłyszawszy ode mnie, że trzeba tylko wierzyć i wtedy zobaczy się chwałę Bożą, bardzo się ucieszyli. Doczekawszy do

końca kazania, szybko poszli do domu, przyprowadzili swego niewidomego ojca i powiedzieli mi: „Słyszeliśmy teraz, że jeżeli wierzysz, to wszystko może się stać. Nasz ojciec jest niewidomy. Mógłbyś o niego się pomodlić, żeby przejrzał?”.

— No, no... — pomyślałem. — Interesujące, w co się teraz wpakowałem. — Jednak nie dając poznać, zapytałem ich: — Wy też wierzycie? — Tak, oczywiście! — Dobrze, — powiedziałem.

Jezus pytał każdego chorego, który przychodził do Niego, czy wierzy. (W ten sposób pocieszałem siebie, że nie będę jedynym winnym, jeśli ten niewidomy nie odzyska wzroku. Wtedy i oni będą winni).

Poprosiłem tych ludzi, żeby przyszli do modlitwy później, w południe; po czym postarałem się zebrać całą moją wiarę w dużą kupę, pragnąc przy tym, żeby była ona podobna do ogromnej góry. (Niestety, nie myślałem o słowach Jezusa, który mówił, że jeżeli wiara nasza będzie równa ziarnku gorczycznemu, to będzie wystarczająca, żeby przenosić góry. Jaka szkoda, że u nas, chrześcijan, w tym zagadnieniu wszystko odbywa się odwrotnie: domagamy się wiary równej górze, aby podźwignąć ziarnko gorczyczne).

I oto, w oznaczonym czasie przyszli. Dobrze przygotowawszy się miałem nadzieję, że teraz będę miał wystarczającą wiarę do takiej modlitwy i oni też. Włożywszy swoje ręce na głowę niewidomego, modliłem się i wierzyłem. Skończywszy modlitwę, szybko otworzyłem oczy i spojrzałem na chorego. Niestety, pozostawał ślepy. Kiwałem głową, nie mogąc tego zrozumieć. Przecież tak mocno wierzyłem...! Ci ludzie odeszli ode mnie rozczarowani, a ja jeszcze długo stałem, powtarzając: „Panie, ja nie rozumiem tego. Nie, ja rzeczywiście już nic nie rozumiem”.

Po nieudanym przypadku z niewidomym, powiedziałem sobie: „Dość, Erlo! Nigdy więcej w życiu nie odważysz się na coś takiego! Nie będziesz przecież takim głupim osłem! Pilnuj siebie, kiedy głosisz, bądź ostrożny i przewidujący! Nie zapominaj tego, że zawsze musi być możliwość do wycofania się, żeby nie zdarzyło się nic podobnego, co było wcześniej”. W wyniku tego moje kazania stały się przemyślane i rozsądne. Tak minęło jeszcze sześć lat mojej służby ewangelisty.

Ewangelizacje odbywały się w dużym namiocie, gdzie prowadziłem zgromadzenia ewangelizacyjne dwa razy dziennie — rano i wieczorem. Przyjeżdżając w jakieś miejsce, pozostawałem tam zwykle 8-12, a nawet 14 miesięcy, w ciągu których głosiłem Słowo Boże. I za każdym razem mogłem obserwować jeden i ten sam powtarzający się obraz. Najpierw na zgromadzenia przychodziło około stu osób, później dwieście, czterysta, sześćset. Później liczba przychodzących znowu zaczynała się zmniejszać w odwrotnym porządku i pod koniec roku przychodziło nie więcej niż sto osób.

Podczas ewangelizacji setki ludzi nawracało się do Pana. Przy tym było całkowicie normalnym zjawiskiem, jeśli po zgromadzeniu dwieście osób wychodziło do przodu, dając znać w ten sposób o swoim pragnieniu nawrócenia się i przyjęcia Jezusa. Zdarzało się też, że cała masa ludzi przez całe zgromadzenie nawracała się do Pana. Jednak mijało parę miesięcy i z tego nic nie pozostawało.

Nic! Wszystko wracało do starego. W ciągu jednej ewangelizacji sprzedawaliśmy setki Biblii, lecz z tego powodu życie ludzi nie zmieniało się lub zmieniało się bardzo mało.

W tym czasie przychodzili do mnie inni kaznodzieje i pytali o to, w jaki sposób udaje mi się ciągle zbierać na swoich nabożeństwach setki ludzi. Niestety, widzieli oni tylko to i nie rozumieli, że przy tym wszystkim czułem się najniešťszeliwym człowiekiem na ziemi. Przecież mogłem widzieć, co dzieje się w samej rzeczy, od czego zaczynam i na czym kończę. Co się dzieło? Dążymy do tego, żeby ewangelizować cały świat, a w rzeczywistości wychodzi odwrotnie — coraz bardziej rozprzestrzenia się ateizm. Nie mogłem tego zrozumieć ani wyjaśnić.

Prócz tego, prześladowała mnie ciągle jedna myśl, która wychodziła z głębi serca i bardzo męczyła mnie. Zwykle, prowadząc ewangelizację, starałem się rozstawić swój namiot w najludniejszych miejscach, żeby łatwiej było zbierać ludzi. Przy tym zawsze myślałem: „Erlo, w tym nie jesteś podobny do Jana Chrzciciela. On odprawiał swoje nabożeństwa na pustyni, z daleka od zamieszkałych miejsc, gdzie w ogóle nie było ludzi. Lecz pomimo to prawie cała Jeruzolima przychodziła do niego. Przy tym nie tylko Jeruzolima, ale i Judea, Samaria, a nawet pobliskie kraje. Ty zaś, Erlo, sam idziesz do ludzi i przy tym ciągle pokonujesz trudności, żeby przyciągnąć ich do siebie”.

— Janie — w myśli zwracałem się do niego — jak to się tobie udało? Co było twoją tajemnicą? — Jednak tego nie wiedziałem.

— Być może — rozważałem — wszystko polegało tym, że Jan był silną osobowością, zdolną przyciągać ludzi do siebie. Albo, być może, umiał wykorzystywać jakieś szczególnie mocne zdania w swojej mowie. — Ciągłe czytałem jego kazania i tylko się dziwiłem. Wątpię, czy kiedykolwiek był jeszcze taki kaznodzieja, który by zdecydował się głosić tak, jak to robił Jan. — Janie! — w myśli mówiłem do niego — Gdybyś zaczął głosić w ten sposób dziś, to twoja głowa zostałaaby ścięta jeszcze wcześniej, niż stało się to w twoich czasach.

Ja sam nigdy nie spotykałem i nikt inny nie opowiadał mi o kaznodziei, który odważyłby się mówić tak, jak to czynił Jan. — Plemię żmijowe! — zwracał się do ludu, który przychodził do niego ochrzcić się, do tych, którzy chcieli nawrócić się do Boga. — Plemię żmijowe, kto was ostrzegł przed przyszłym gniewem? Wydawajcie więc owoc godny upamiętania (Mat 3:7-8). — Dzisiaj zaś ludzie, przychodząc na nabożeństwa, z uśmiechem przyjmują Jezusa jako swojego osobistego Zbawiciela i odchodząc z powrotem dalej żyją starym życiem. Z bardzo niewielką częścią swego poprzedniego życia zrywają i często już po paru miesiącach powtarza się stara historia.

Tak więc, co mogło być tajemnicą Jana? Przecież nie szarańcza i nie dzięki miód, które służyły mu za pokarm, były przyczyną działającej w nim mocy! Nosił on pas skórzany i ubranie z sierści wielbłądziej, lecz to też nie mogło odgrywać decydującej roli. Może czynił on cuda? Ale jaki to był wtedy cud? Nie czytamy o żadnych cudach i cielesnych uzdrowieniach, dokonanych przez niego. Niewidomi nie odyskiwali wzroku, chromi nie chodzili. Tak więc, co to było? Ten człowiek GŁOSIŁ O GRZECHU. Tak, lecz przecież to nie jest bardzo popularne, a szcze-

gólnie dziś.

Kiedyś pewien kaznodzieja zapytał mnie: „Powiedz, Erlo, o czym ty głosisz? Jeżeli ja, na przykład, podczas nabożeństwa wspomnę o grzechu, nazywając go po imieniu, to moi słuchacze od razu czują się nieswojo i zaczynają wiercić się na swoich krzesłach. Może już zupełnie jestem głupim, że próbuję mówić o grzechu?”.

Lecz, drodzy przyjaciele, czy nie po to przyszedł Jezus, żeby piętnować nasze grzechy? Przecież dlatego On też nazwany został Jezusem, to jest Zbawicielem, gdyż musiał wskazać Swemu ludowi na jego grzechy i na jego przestępstwa! I właśnie to robił Jan Chrzciciel, który został posłany po to, żeby przygotować drogę Panu. On wprost i bezkompromisowo mówił o grzechach, wzywając do upamiętania i oczyszczenia. Tylko dlaczego w tym czasie ludzie ciągnęli do takiego kazania, a teraz unikają? Było to dla mnie zagadką, której nie mogłem rozwiązać. — Panie, — prosiłem, — daj i mnie tę zdolność, którą miał Jan! — Jednak pomimo moich modlitw, w następną ewangelizację powtórzyło się to samo — przychodziły setki, sprzedawano mnóstwo Biblii, lecz na koniec pozostawała nieznaczną liczbą tych, którzy chcieli pójść za Panem.

I oto pewnego razu, kiedy byłem zajęty tymi myślami, przypomniała mi się pewna historia, którą kiedyś przeżyłem. W 1956 roku byłem na południowym zachodzie Afryki — w Namibii. Jest to bardzo suchy kraj. Nie ma w nim złota, lecz mieszkańcy Namibii mówią, że dla nich nie jest to tak ważne, gdyż gdyby mieli wodę, to byłaby ona droższa dla nich niż złoto.

Kiedyś odwiedziliśmy tam pewnego farmera, który chciał nam coś pokazać. W odległości paru metrów od jego domu znajdował się otwór wiertniczy. Wziąwszy filiżankę, farmer zaczerpnął w nią trochę wody i dając mi zaproponował, abym spróbował. Wziąłem do ust jeden łyk, lecz nie mogłem przełknąć i zaraz wypłułem. Później farmer opowiedział nam swoją historię.

Żeby mieć tę wodę, wcale nie trzeba było głęboko kopać, przy czym wody było bardzo dużo. Lecz ich radość była przedwczesna, gdyż okazało się, że ta woda zawierała w sobie tak dużo różnych soli i innych związków chemicznych, mocno psujących jej smak, że zupełnie nie nadawała się do picia. Wtedy zdecydowali się wykorzystać ją do prania pościeli. Jakie było ich rozczarowanie, kiedy już po pierwszym praniu wszystkie rzeczy zaczęły psuć się i rozpywać! Starając się jakoś pocieszyć swoją żonę, farmer zaproponował, żeby podlewać tą wodą kwiaty i warzywa w ogrodzie. Po dwóch tygodniach wszystkie kwiaty i warzywa zaczęły więdnąć i ginąć. Dopiero wtedy zrozumieli, że ta woda w ogóle do niczego nie nadaje się, gdyż tam, gdzie ona trafia — wszystko zamiera i ulega zniszczeniu.

Gdy tylko ten farmer skończył swoje opowiadanie, w mojej świadomości, jak błyskawica, przemknęła myśl: „Słyszysz, Erlo? Jest z tym tak samo, jak z twoim głoszeniem Słowa Bożego. Im więcej głosisz, tym więcej dusz uśmiercasz. Dlatego coraz mniej ludzi przychodzi na zgromadzenia. Głosisz ludziom śmierć”.

Drodzy przyjaciele, świadomość tego nie dawała mi spokoju, pożerając moją duszę jak rak. Nie mogłem tego zapomnieć. — O, Panie! — powtarzałem

ciągle. — Czy to znaczy, że im więcej mówię, tym większą szkodę Ci wyrządzam? — (To samo zdarza się z niektórymi chrześcijanami. O, gdyby tylko oni milczeli! Byłoby to lepsze dla Królestwa Bożego. Dziś Królestwo Boże cierpi nie z braku zwiastowania Słowa Bożego, ale odwrotnie — od jego nadmiaru. Niestety, chrześcijanie mówią teraz zbyt dużo, a przez to imię Boże jest hańbione. Byłoby lepiej, gdyby oni nie mówili o Słowie Bożym, lecz żyli według Słowa Bożego).

Tak więc po dwunastu latach mojej usługi misjonarza i ewangelisty odczułem, że nie mogę dłużej tak żyć i tak głosić. Uświadomiłem sobie, że wszystkie te lata były dla mnie niczym innym, tylko chodzeniem po duchowej pustyni. — Erlo — w myśli pytałem siebie — jakie są owoce twojej pracy przez tych dwanaście lat? Czy znasz chociaż 12 osób, które dzięki tobie upamiętały się i mają serce gorące dla Pana? Chociaż jedną duszę za każdy rok? — Nie — przyznawałem się przed samym sobą — nie mogę ich pokazać. Czy mam dalej kontynuować taką bezmyślną służbę? — Nie! W żadnym przypadku! Tak trwonić swoje życie! Ze względu na co? Inni ludzie zarabiają swoje pieniądze, rozkoszują się życiem... Dlaczego ja nie mogę? Dlaczego muszę jako ubogi kaznodzieja i rozczarowany misjonarz iść przez to życie, głosząc coś i przekonując innych do tego, co teoretycznie jest prawdą, lecz w praktyce nie potwierdza się? Jeżeli Bóg i dziś jest ten sam, jak i dawno temu, i jeżeli Jego Słowo nie zmieniło się, to dlaczego w naszym życiu chrześcijańskim wszystko wygląda tak, jak wygląda? — Prosiłem, lecz nie otrzymywałem na to odpowiedzi; szukałem, lecz nie znajdowałem wyjścia. Byłem bliski rozpaczy...

4. Słowo staje się żywe

W 1966 roku przyjechałem do Mapumulo — niedużego miasteczka, położonego 120 kilometrów na północ od Durbanu. Tutaj w 1963 roku prowadziłem swoje ewangelizacje, podczas których setki ludzi nawróciło się do Pana. Teraz zaś z całych tych setek pozostała tylko malutka społeczność, składająca się z dwudziestu lub trzydziestu osób.

Kiedy przychodziłem na zgromadzenia do tej niedużej społeczności, to przede wszystkim musiałem godzić ich. O, jak ci ludzie się kłócili, gotowi wczepić się we włosy jeden drugiemu! Jeden miał coś przeciwko drugiemu. Drugi nie mógł wybaczyć pierwszemu. Nie mogli zrozumieć się wzajemnie.

Widząc to wszystko, rozumiałem jedno, że Bóg nie mógł być wśród nas do tej pory, póki dzieci Boże nie doprowadzą swego życia i swoich stosunków wzajemnych do porządku. Przecież Panu potrzebne są kanały, a my, dzieci Boże, powinniśmy być tymi kanałami. Nasz problem w obecnym wieku to nie miliony pogan, którzy nie znają Boga, lecz chrześcijanie, którzy są przeszkodą na drodze Pana. Jak nie byłoby to smutne, ale niestety często sami chrześcijanie wyrządzają sprawie Bożej większą szkodę niż bezbożnicy. Są to ci chrześcijanie, o których Pismo mówi, że nie są ani zimni, ani gorący.

Pewnego razu, kiedy jak zwykle zebraliśmy się razem, powiedziałem zwracając się do wszystkich: — Wiecie, przyjaciele, coraz częściej myślę o tym, co powiedziałem w 1951 roku, kiedy Pan pierwszy raz wezwał mnie do pracy na Swojej niwie. Mówiłem wtedy, że zgadzam się zostać kaznodzieją ewangelii, lecz tylko pod jednym warunkiem — żebym nie zajmował się tylko zabawą w kościół. Zaś dzisiaj, oglądając się na minione 12 lat swojej służby na polu misyjnym, muszę przyznać, że wszystko, co było, jest niczym innym, tylko zabawą. Czuję się, jak duchowy bankrut i nie mogę dłużej tak pracować, jak robiłem to dotychczas. Spójrzcie na plac taneczny! — mówiłem dalej. — Kiedy przyjeżdża orkiestra, zbiera się tam 200-300 osób, zaś u nas na modlitwie i rozważaniu Słowa — 20-30 osób. Spójrzcie na piłkę nożną! Podczas gry można tam naliczyć 800-900 osób, a do nas na zgromadzenia przychodzi nie więcej niż 50-100 osób. Jeżeli Pan i dziś jest taki sam, jeżeli Duch Boży nie zmienił się i Biblia rzeczywiście jest Słowem żyjącego Boga, to jak wszystko rozumieć? Jeżeli popatrzeć na inne niechrześcijańskie wyznania i ideologie, które władają umysłami i sercami ludzi, to wszystkie one w swoim nieprzerwanym postępie poruszają się do przodu, gdy tymczasem chrześcijaństwo stacza się w dół. Jeśli wierzyć statystyce, to zgodnie z jej danymi w 1945 roku do chrześcijaństwa należało 38% ludzkości, zaś do dwutysięcznego roku ta liczba, jak się przypuszcza, spadnie do 10%, a możliwe, że jeszcze niżej. Smutny fakt, lecz to rzeczywistość! W żadnym okresie istnienia ziemi nie było jeszcze tylu pogan, ilu jest w naszych czasach i jeśli sprawa pójdzie tak dalej, to my, chrześcijanie, wkrótce wymrzemy i znikniemy.

Później, zwróciwszy się do przycichłych i uważnie słuchających mnie chrześcijan, zapytałem ich, czy zgadzają się zbierać codziennie każdego rana o 7 godzinie i każdego wieczora o 6 godzinie, żeby studiować Biblię, modlić się i ca-

łym sercem szukać oblicza Pana. — Kto wie — mówiłem — być może Bóg zmiłuje się i przybliży się do nas, i rozpocznie wśród nas Swoją sprawę.

Wysłuchawszy mnie, wszyscy się zgodzili. Tak, ta malutka grupka 20-30 osób zaczęła regularnie zbierać się razem każdego rana i każdego wieczora, i od tego czasu nasze stosunki zaczęły przybierać zupełnie inny charakter.

Jedno Słowo, które szczególnie wprawiało nas w zakłopotanie, było w Ewangelii według Jana 7:38: „Kto wierzy we Mnie tak, jak powiada Pismo, z wnętrza jego popłyną rzeki wody żywej”. *) Były to słowa, które wypowiedział Jezus w ostatnim dniu wielkiego święta żydowskiego. Na początku 7 rozdziału Ewangelii według Jana czytamy, że Jezus nie chciał chodzić po Judei, a chodził po Galilei, gdyż Żydzi chcieli Go zabić. Kiedy zbliżało się święto żydowskie, bracia Jezusa powiedzieli Mu: „Odejdź stąd, a idź do Judei, żeby i uczniowie twoi widzieli dzieła, które czynisz. Nikt bowiem nic w skrytości nie czyni, jeśli chce być znany. Skoro takie rzeczy czynisz, daj się poznać światu!”.

Odpowiadając braciom, którzy w tym czasie też jeszcze nie wierzyli w Niego, Jezus powiedział coś szczególnego i interesującego: „Czas mój jeszcze nie nadszedł, lecz dla was zawsze jest właściwa pora” (Jan 7:6). W tych słowach naszego Pana ukrywa się głęboki sens. Nimi Pismo Święte mówi nam o tym, że człowiek, nie mający prawdziwej wiary w Jezusa, może robić wszystko, co chce i kiedy chce. Mówiąc inaczej, może on „tańczyć pod swoją własną nutkę”. Ale Jezus nie mógł tak postępować. Był On tak zależny od Ojca, który Go posłał, że mógł czynić tylko to, co było zgodne z Jego wolą, i mógł mówić tylko to, co mówił Jego Ojciec.

Drodzy przyjaciele, przez to pan uczy nas, Swoich naśladowców, że i my bez Niego nie możemy nic czynić. Zresztą, oczywiście, możemy! Możemy czynić wszystko, co nam się chce i kiedy się chce. Tylko że to będzie uczynione według naszej woli i dlatego nie ostoi się. Prócz tego, wszystko, co uczynimy sami, nie ma przed Bogiem żadnej wartości. Dlatego też, jak Jezus był zależny od Ojca, tak i my powinniśmy być zależni od Niego i stanowić jedną całość z naszym Panem. Tę prawdę, moi przyjaciele, musimy głęboko zrozumieć.

Dalsze opowiadanie mówi nam o tym, że później, gdy bracia Jezusa poszli na święto, i On też przyszedł tam, lecz nie jawnie, a jakby potajemnie. Było to święto, kiedy Jezus miał możliwość mówić do ludu, jednak On nie robił tego. Kiedy zaś nastał ostatni dzień święta, Jezus nie mógł dłużej milczeć i zawołał do ludu głośnym głosem: „Jeśli kto pragnie, niech przyjdzie do Mnie i pije. Kto wierzy we Mnie tak, jak powiada Pismo, z wnętrza jego popłyną rzeki wody żywej” (Jan 7:37-38).

*) *W rosyjskim przekładzie Biblii (w polskim też — od tłumacza) ten werset brzmi tak: „Kto wierzy we mnie, jak powiada Pismo, z wnętrza jego popłyną rzeki wody żywej”. W niemieckim i niektórych innych przekładach Biblii te słowa Pisma Świętego brzmią trochę inaczej, odkrywając głębszy sens, a mianowicie: „Kto wierzy we Mnie tak, jak powiada Pismo, z wnętrza jego popłyną rzeki wody żywej”.*

Teraz, pomimo że były Mu dobrze znane ich zamiary zabicia Go, Jezus, już nie ukrywając się, stał przed nimi tak, że wszyscy mogli Go widzieć. Przy tym po prostu nie mówił On do nich, lecz głośno wołał do ludu.

Interesujące jest to, że to samo słowo „zawołał” (greckie słowo „ecrazen”) *) użyte jest jeszcze w tym miejscu Pisma Świętego, gdzie opowiada się o tym, jak Jezus będąc na krzyżu, ostatni raz „zawołał donośnym głosem i oddał ducha” (Mat 27:50; Mar 15:37). Z kolei w słowach, które Jezus głośno wykrzyknął przed ludem w ostatnim dniu święta, odbijało się coś takiego, co kruszyło i rozrywało Jego serce. Wykrzykując je, Jezus nie myślał już o tym, co będzie Go to kosztować. Najważniejsze, żeby wierzący w Niego usłyszeli i zrozumieli ważność tego, o czym im mówił.

Drodzy przyjaciele! To, co było potrzebne, żeby usłyszeli chrześcijanie tamtych czasów, koniecznie i my musimy wiedzieć dziś. Dlatego spróbujmy wnikać w głębię tych słów, żeby zrozumieć, co chciał Pan powiedzieć ludziom, którzy wierzą w Niego.

Rozpoczniemy od pierwszego zdania: „Jeśli kto pragnie, niech przyjdzie do Mnie i pije”. Tak więc ten, kto nie ma tego pragnienia, kto jest syty i zadowolony, niech pozostaje w tym, w czym się znajduje. Z takim człowiekiem Jezus nic nie może uczynić. Taki jest tylko brzemieniem dla Niego. Ten zaś, kto rzeczywiście jest głodny i pragnie, nie może zadowolić się niczym innym niż tylko prawdziwą wodą i prawdziwym chlebem, którego szuka do tej pory, póki nie znajdzie, bez względu na cenę, nawet cenę wolności.

Dalej Jezus mówi: „Kto wierzy we Mnie tak, jak powiada Pismo, z wnętrza jego popłyną rzeki wody żywej”. Zauważcie, że przy tym mowa jest nie o kroplach, a o rzekach, o wielkich strumieniach; przy tym nie zwykłej, ale żywej wody. Tam, gdzie trafia ta woda, rozpoczyna się nowe życie. I jeżeli jedna rzeka zdolna jest pustynię przemienić w kwitnący ogród, to o ileż więcej może dokonać mnóstwo takich rzek!

Wy oczywiście wiecie, przyjaciele, że płynąca woda jest czymś takim, czego nie można powstrzymać. I jeżeli na drodze takiego strumienia zostanie wzniesiona zapora lub inna przeszkoda, to woda, nieprzerwanie gromadząc się, osiągnie jeszcze większą moc, która albo zniszczy tę przeszkodę w jakimś słabym miejscu, albo podniósłszy się w swoim poziomie do góry, popłynie ponad nią, rozlewając się coraz szerzej.

Oznacza to, że jeżeli wierzymy w Jezusa właśnie TAK, JAK POWIADA PISMO, wtedy moc i życie Ducha Świętego popłynie z nas takim potężnym oraz żywym strumieniem, któremu nie będą zdolne przeciwstawić się ani duch tego świata, ani ateizm, ani nic innego. I czym mocniej będzie przeciwstawiał się nam szatan, tym większa będzie moc tych wód żywych. Zwróćcie uwagę i na to, przyjaciele, że Pismo nie mówi, iż te rzeki muszą wypływać z wnętrza kaznodziei, pastora lub kierującego społecznością. Te słowa skierowane są do każdego, kto wierzy w

*) *ecrazen* — greckie słowo, oznaczające krzyk lub głośne wołanie, wyrzucające się w chwili cierpienia, męki, strachu, potrzeby.

Pana. I jeżeli też wierzyacie w Niego, wtedy odnoszą się one także i do was.

W tym pamiętnym 1966 roku, czytając i rozmyślając nad tym miejscem Pisma Świętego, pytaliśmy się siebie, czy tak jest u nas. Szukaliśmy tych rzek w naszym własnym życiu, lecz nie znajdowaliśmy ich. A przecież, jeśli wierzymy Jezusowi, to nie ma potrzeby mówić innym o tym, gdyż rzeki wody żywej, płynące z nas, same będą tego świadectwem.

Wtedy zadałem zebranym zupełnie proste pytanie:

— Powiedzcie, kto z was wierzy w Chrystusa?

— Ja wierzę — odpowiadali wszyscy.

— Pięknie! — kontynuowałem. — Ale wtedy, zgodnie z Pismem, rzeki wody żywej powinny płynąć z naszego wnętrza! A czy tak jest istotnie?

Nie, tego w naszym życiu nie było. Lecz dlaczego?

Tak więc, był to pierwszy problem, z którym wtedy od razu zetknęliśmy się. Pomimo tego, że wierzyliśmy w Jezusa, nie mieliśmy tych rzek wód żywych, które według Słowa powinny były z nas wytryskać.

W czym rzecz? Czy to możliwe, że było coś nie tak w samej naszej wierze w Jezusa? Albo czyżby cała nasza wiara była tylko pozorem, kłamstwem i oszukiwaniem siebie? Czyżby tak było rzeczywiście? Przecież byliśmy mocno przekonani, że wierzymy w Niego! Czyżby więc było coś nieprawidłowego w tym, co mówi o rzekach wód żywych Słowo Boże? Przecież musi istnieć przyczyna tej niezgodności!

I tutaj dosłownie nas olśniło: „...jak powiada Pismo...”.

Znaczy to, że jeśli wypaczymy Słowo Boże, to jesteśmy winni. W ostatnim rozdziale Objawienia jest napisane: „Jeżeli ktoś dołoży coś do nich, dołoży mu Bóg plag spisanych w tej księdze; a jeżeli ktoś ujmie coś ze słów tej księgi proroctwa, ujmie Bóg z działu jego z drzewa żywota i ze świętego miasta, opisanych w tej księdze” (Obj 22:18-19).

Wstrząśnięci, modliliśmy się: „Panie, jesteśmy winni, jeżeli rzeczywiście wypaczaliśmy Twoje Słowo. Lecz, Panie, Ty przecież wiesz, że robiliśmy to nieświadomie. Przecież nie chcieliśmy tego!”.

Rozmyślając dalej doszliśmy do tego, że właśnie te słowa: „jak powiada Pismo” mają decydujące znaczenie. Ważne jest, abyśmy byli posłuszni temu, co mówi Pismo; abyśmy wierzyli nie tak, jak przyzwyczailiśmy się wierzyć lub jak nauczono nas tego od dzieciństwa, lecz żeby nasza wiara była właśnie taka, jak mówi o tym Pismo. Przecież, jeżeli w tamtym czasie Jezus zwracał uwagę ludzi na Pismo, opierając na nim ich wiarę w Niego, to my tym bardziej powinniśmy w tym Go naśladować!

Lecz jak i co mówi Pismo? Było to pytanie, na które chcieliśmy znaleźć odpowiedź. Tak zaczęło się na nowo nasze studiowanie Biblii i badanie Pisma. Zanim przystąpiliśmy do tego, powiedziałem do zebranych, że będziemy studiować Słowo Boże tak, aby przyjmując je z dziecięcą wiarą, nie postępować przy tym, jak niegrzeczne dzieci, które łamiąc ciasto, starają się wyciągnąć z niego rodzynka. Przecież coś podobnego zdarza się niestety w niektórych religiach i ruchach chrześcijańskich, które wybierają sobie z Biblii i głoszą tylko to, co im się

podoba. Takim rodzynkiem, na przykład, może być temat miłosierdzia Bożego i Bożej łaski.

Nie, my postanowiliśmy stanąć przed światłem Pisma nie usprawiedliwiając się i nic nie upiększając, patrząc prawdzie prosto w oczy. Odłożywszy rozum, chcieliśmy przyjmować Słowo jako Słowo Boga i dawać temu Słowu możliwość mówienia do nas niezależnie od tego, czy będzie to zgadzać się z naszym rozumieniem, poznaniem i odczuciem. Prócz tego umówiliśmy się, że do studiowania będziemy brać od razu całą księgę, a nie przeskakiwać z jednego miejsca w drugie, aby mieć w ten sposób wyraźny i pełny obraz tego, co przeczytamy.

Naszym tekstem były Dzieje Apostolskie. Nie wiem, jak i dlaczego to się stało, lecz zaczęliśmy właśnie od tej księgi. Gdy tylko przystąpiliśmy do czytania, Duch Święty zaczął mówić do naszych serc, krusząc je i uniżając. Od razu, od pierwszych wersetów Słowo Boże uderzyło nas. Im dalej czytaliśmy, tym bardziej i głębiej ono nas dotykało. Zdanie po zdaniu śledziliśmy życie uczniów Chrystusowych.

Tuż przed Swoim wniebowstąpieniem, zebrawszy ich razem, Jezus nakazał im, aby nie oddalali się z Jerozolimy, pozostając tam do tej pory, póki nie zstąpi na nich Duch Święty. W odpowiedzi na to, zwracając się do swego Nauczyciela, uczniowie zapytali Go o to, czy nie nastąpił już czas, kiedy On odbuduje królestwo Izraela. Odpowiadając im, Pan mówi: „Nie wasza to rzecz znać czasy i chwile, które Ojciec w mocy swojej ustanowił. Ale weźmiecie moc Ducha Świętego, kiedy zstąpi na was, i będziecie mi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi" (Dz 1:7-8).

Widzimy tutaj, że uczniowie Chrystusa byli zajęci czymś takim, co nie powinno było ich interesować. Jezus powstrzymywał ich w tym, wskazując na to, co powinno być dla nich najważniejsze — otrzymanie mocy Ducha Świętego, żeby być Jego świadkami. Drodzy przyjaciele! Przez to miejsce Pisma Świętego Pan pokazał nam wtedy na istnienie takiej możliwości, kiedy dzieci Boże są zajęte czymś, co jest nie tylko drugorzędne i nieważne, ale jeszcze też odciąga i oddala od najważniejszego tak samo, jak uczniów Chrystusa, którzy byli pochłonięci problemem policzenia i określenia czasu oraz okresu odbudowania królestwa Izraela. Zauważywszy to, Jezus powstrzymuje ich mówiąc, że to nie ich sprawa określać czasy i chwile.

Jakże często niestety stykamy się z tym, że chrześcijanie są zajęci podobnymi problemami, związanymi z ustaleniem godziny i czasu. Pan powiedział: „Ogień przyszedłem rzucić na ziemię i jakżebym pragnął, aby już płonął!" (Łuk 12:49). My zaś, dzisiejsi uczniowie Chrystusowi, mówimy o czymś zupełnie innym i jesteśmy zajęci czymś innym, podczas gdy serce Jezusa Chrystusa płacze i ściska się.

Tak więc, Pan zabronił Swoim uczniom oddalać się z Jerozolimy, gdyż właśnie tam powinien był zstąpić na nich Duch Święty. A przecież Jerozolima była wtedy najstraszniejszym miejscem, prawdziwym legowiskiem zbójców! Najgorsze, co kiedykolwiek się zdarzyło, miało miejsce właśnie w Jerozolimie Tam ukrzyżowano Bożego Pomazańca, w wyniku czego uczniowie musieli ukrywać się w zamkniętych domach. Jednak pomimo tego Jezus nie pozwolił im odchodzić,

nakazując pozostać tam, gdzie się znajdowali.

Drodzy przyjaciele! Było to dla nas pierwszą i bardzo ważną lekcją. My byliśmy takimi samymi ludźmi jak oni, a oni byli takimi samymi jak my. A my, ludzie, jesteśmy skłonni unikać trudności. Czy nie tak? Przecież, kiedy robi się nam gdziekolwiek ciężko, że już nie można wytrzymać, staramy się jak najszybciej opuścić takie miejsce. Nierzadko słyszymy od gości, którzy przyjeżdżają do nas na stację misyjną: „Ach, jak tu u was dobrze! Nie to, co u nas! Gdybym ja mógł ciągle tu mieszkać, jak i wy, wtedy oczywiście też płonąłbym dla Pana”.

Tak oto współcześni chrześcijanie często usprawiedliwiają swoje życie, że mają takie trudne okoliczności w domu, albo takiego niemożliwego męża (mężom przecież jest o wiele łatwiej). Zaś mąż, odwrotnie, uważa, że żonie jest lepiej. Rodzicom wydaje się, że dzieciom jest łatwiej, a dzieci myślą, że rodzicom jest dobrze. I tak każdy rozsądza. Żona zdolna jest zostawić swego męża powiedziawszy, że z takim mężem żyć po prostu się nie da. Mąż odchodzi od swojej rodziny przekonany, że nie ma więcej siły żyć pod jednym dachem z tak gderliwą żoną. Jeden mówi, że tu w tym domu nie może dłużej przebywać; inny szuka sobie nowego miejsca do zamieszkania, gdyż w tym mieście i kościele nie może on już być.

Lecz wiecie, jeżeli jestem nieprzydatny tam, gdzie jestem, to i w każdym innym miejscu też na nic się nie przydam. Żulusi mówią: „Jeżeli jestem zgniłym ziemniakiem, to nie będę lepszy przez to, że trafię do worka z dobrymi ziemniakami. Odwrotnie, ode mnie inny ziemniak zacznie się psuć, póki w końcu nie zgnije cały worek”. Jeżeli moje własne życie jest złe i nieczyste, jeżeli moje chrześcijaństwo jest zgniłe, to ode mnie wszystko zgnije i stanie się nieczyste, gdziekolwiek bym poszedł. Jeżeli do niczego jestem nieprzydatny tam, gdzie jestem, w mojej „Jerozolimie”, wtedy i w każdym innym miejscu też będę nieprzydatny. Czy nie dlatego, znając tę słabą cechę ludzką, Jezus nakazał swoim uczniom, żeby nie oddalali się z Jerozolimy? Przy tym powiedział On do nich, że kiedy zstąpi na nich Duch Święty, otrzymają moc.

Jest wielu wierzących ludzi, którzy uważają, że mają Ducha Świętego, lecz pomimo to nie mają oni mocy. Spotykałem także ludzi, którzy twierdzą, że są ochrzczeni Duchem Świętym, lecz oni niestety często też nie mają mocy. Niech mają oni nawet rację, lecz jak wtedy powiązać to razem i jak wyjaśnić chrzest Duchem Świętym bez mocy? Przecież znakiem tego, że człowiek rzeczywiście jest napełniony Duchem Świętym, jest pełnia przebywającej w nim mocy tego Ducha.

W Księdze Dziejów Apostolskich 1:8 w pierwszym zdaniu jest powiedziane: „Ale weźmiecie moc Ducha Świętego, kiedy zstąpi na was”. Tak więc, zgodnie ze słowami samego Pana MOC DUCHA ŚWIĘTEGO jest ZNAKIEM chrztu Duchem Świętym.

Moc po grecku to „dynamis”. Sens i znaczenie tego słowa oddaje współczesne słowo „dynamit”. Wy oczywiście wiecie, przyjaciele, że rozrywającą siłą dynamitu wykorzystuje się nie w piasku i nie w miękkiej glebie, ale w skałach i miejscach kamienistych. Dynamit stosuje się wtedy, gdy wszystko inne jest nieskuteczne. Dokładnie tak samo działa też moc Ducha Świętego. Objawia ona siebie właśnie tam, gdzie są szczególnie duże trudności, gdzie, mówiąc po ludzku,

po prostu jest nie do zniesienia. Tam, gdzie jest najciemniej, gdzie najtwardsza gleba, moc Ducha Świętego jest szczególnie działająca, przejawiając się wyraźnie i potężnie.

Tę właśnie moc obiecał Jezus Swoim uczniom, żeby mogli działać w Jerozolimie, gdzie była gleba twarda jak granit. Tam właśnie była potrzebna moc takiego dynamitu — moc Ducha Świętego, która by mogła rozerwać tę skałę.

Tak więc, moc! Lecz moc do czego?

Zwracając się do Swoich uczniów, Jezus mówi dalej: „Ale weźmiecie moc Ducha Świętego, kiedy zstąpi na was, i będziecie mi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi”.

Zauważcie, że Pan powiedział wtedy uczniom, iż otrzymają oni moc nie po to, żeby uzdrawiać chorych i czynić cuda, co u nas, chrześcijan, niestety jest najważniejszym i uznanym za największy dar oraz objaw mocy Bożej. Nie, słowami samego Jezusa Pismo Święte mówi nam: „Weźmiecie MOC... I BĘDZIECIE MI ŚWIADKAMI”. W konsekwencji, ten, kto otrzymuje moc Ducha Świętego, jest prawdziwym świadkiem Chrystusowym.

Lecz co to znaczy być świadkiem?

Świadek po grecku to „martuz”, co w dosłownym przekładzie oznacza „męczennik”. A wy wiecie, przyjaciele, że męczennikiem nazywa się tego człowieka, który umiera za Chrystusa.

Tak więc, moc Ducha Świętego daje nam zdolność bycia świadkiem Chrystusowym, to jest męczennikiem. Jest to moc, by być wiernym i bezkompromisowym do końca; moc, aby nie patrzeć ani na prawo, ani na lewo, ale iść do przodu; moc, aby iść na śmierć i wejść w nią tak, jak to zrobił pierwszy męczennik Szczepan. Kiedy na niego spadły kamienie, jego oblicze lśniło, jak oblicze anioła, a on widział niebo otwarte.

A co zdarza się z nami, przyjaciele, kiedy na nas spadają kamienie? Kiedy nas trącają w najbardziej „chore miejsce”? Jak wyglądamy wtedy? Czy nasze oblicze lśni, jak oblicze anioła? Czy widzimy niebo otwarte? Czy wtedy niebo dla nas zamyka się, a otwiera się piekło?

Ale przecież właśnie tak wyglądał człowiek, napełniony Duchem Świętym! Mąż wiary! Mąż, klęczący na kolanach, kiedy na niego lecą kamienie, a oblicze lśni, jak oblicze anioła Bożego, a umierając, mówi: „Panie, nie policz im grzechu tego”.

Tak, to prawdziwie jest moc, która może być dana tylko z góry. Mąż, który może przejść swoją drogą aż do swojego końca, do samej śmierci. Dziecko Boże, które nie zmienia swojej barwy jak kameleon, który w zależności od okoliczności wygląda tak lub inaczej, to jest duchowo w górze, to upada w dół, i znowu w górę i w dół.

Tak więc, moc Ducha Świętego jest mocą, dającą nam zdolność bycia męczennikami za Chrystusa. Podchodząc do tego pomyślałem wtedy, że tutaj u nas w Południowej Afryce nie możemy być męczennikami; że po to, żeby zostać męczennikiem, musimy wyjechać do tych krajów, gdzie prześladowuje się chrześcijan. Lecz wtedy przyszło mi na pamięć Słowo z Listu do Hebrajczyków 12:4: „Wy nie

opieraliście się jeszcze aż do krwi w walce przeciw grzechowi".

W konsekwencji, człowiek, który ma moc Ducha Świętego, ma moc przeciwstawić się grzechowi, ścierając się z nim do krwi. Tylko taki chrześcijanin staje się prawdziwym świadkiem Jezusa Chrystusa lub, mówiąc praktycznie: prędzej umrę niż będę cudzołożył z inną kobietą; prędzej umrę niż będę kradł; prędzej umrę i niech płynie moja krew niż będę kłamał.

Widzicie, co to znaczy? Grzech jest dla nas większym niebezpieczeństwem niż cierpienia i prześladowania za wiarę w Boga. Zgodzicie się, że prześladowania niekiedy są nawet pożyteczne dla chrześcijan. W prześladowaniach człowiek często bardziej płonie dla Chrystusa. W prześladowaniach najszybciej się ujawnia, kim jesteś — prawdziwym chrześcijaninem czy fałszywym bratem. Możemy siedzieć w zgromadzeniu z obłudnikami i mieć ich za dobrych chrześcijan, ale z jakim przerażeniem ockniemy się z tego zbłądzenia, gdy kiedyś zobaczymy ich w piekło! A być może i my sami będziemy tam razem z nimi. To na pewno się zdarzy, jeżeli nie nauczymy się odróżniać białego od czarnego. Nie kolor skóry, ale kolor serca ważny jest dla Pana.

Z powodu tej świadomości nasze serca powinny kruszyć się i płakać. Czy dzisiaj nie jesteśmy tacy, jak mówi Słowo Boże o ludziach czasów ostatecznych? „W dniach ostatecznych nastaną trudne czasy: Ludzie bowiem będą samolubni, chciwi, chętni, pyszni, bluźniercy, rodzicom nieposłuszni, niewdzięczni, bezbożni, bez serca, nieprzejednani, przewrotni, niepowściągliwi, okrutni, nie miłujący tego, co dobre, zdraycy, zuchwali, nadęci, miłujący więcej rozkosze, niż Boga, którzy przybierają pozór pobożności, podczas gdy życie ich jest zaprzeczeniem jej mocy...” (2Tm 3:1-5).

Dlaczego? Z powodu cudzołóstwa i wszeteczeństwa? Tak my mówimy. Lecz przecież Biblia mówi, że nastaną czasy trudne, gdyż ludzie będą mieć wygląd pobożny, lecz mocy Jego się wyrzekną.

Najtrudniejszy czas, jaki tylko może być, to ten, kiedy ludzie nazywają siebie chrześcijanami, lecz wyrzekają się Jego mocy. Jest to rzeczywiście to najtragiczniejsze, co tylko można sobie wyobrazić.

Zrozumiawszy to, byliśmy tak wstrząśnięci, że pytaliśmy się siebie, jak to wszystko wygląda u nas i w jakim stanie jesteśmy. Płakaliśmy, widząc i uświadamiając sobie naszą niemoc i naszą bezradność duchową.

Po wniebowstąpieniu Jezusa Chrystusa, Jego uczniowie zawrócili z powrotem i zebrawszy się razem, modlili się. Razem z nimi była Maria — matka Jezusa i Jego bracia. Pismo mówi, że wszyscy oni byli jednomyślni w swojej modlitwie.

Właśnie ta ich jednomyślność była dla nas czymś szczególnym. Przecież wtedy jeszcze nie było dnia Pięćdziesiątnicy i Duch Święty jeszcze nie został posłany na ziemię. Lecz krzyż Chrystusowy i Jego zmartwychwstanie było wystarczające, aby scalić tych ludzi w jedną całość tak, że stając się jedną duszą, mogli oni jednomyślnie trwać w modlitwie i błaganiu.

Czy rozumiecie, przyjaciele, jak głęboko przeniknął do życia tych ludzi krzyż Jezusa Chrystusa? Dziś niektórzy ludzie mówią, że nie mogą być jednomyślni, gdyż jeszcze nie są napełnieni Duchem Świętym. Lecz to jest bzdura, gdyż do tego wy-

starczy nawet sam krzyż naszego Zbawiciela. Już sam krzyż wystarczy, aby na zawsze oddalić wrogość, kłótnie, nieporozumienia i niezgodę z życia dzieci Bożych. Przecież w tamtym czasie sam tylko krzyż miał już tak wielkie znaczenie, że nawet bracia Jezusa Chrystusa, którzy przedtem nie wierzyli, uwierzyli w Niego i byli razem z Jego uczniami.

To wszystko wtedy głęboko dotknęło nasze serca i ze łzami mówiliśmy: „O, Panie Jezu! Daj, żeby Twój krzyż miał takie samo znaczenie i w naszym życiu!”.

Kontynuując dalsze czytanie Księgi Dziejów Apostolskich, śledziliśmy życie uczniów Chrystusowych. Kiedy w dniu Pięćdziesiątnicy nastąpiło wylanie Ducha Świętego na apostołów i innych chrześcijan, to zebrani ludzie, słysząc ich mówiących różnymi językami, zdumiewali się, zaś niektórzy z nich szydzili, twierdząc, że napili się oni młodego wina. Piotr, wstawszy, odparł to i wyjaśnił, że wydarzyło się to, o czym przepowiadał prorok Joel: „I stanie się w ostateczne dni, mówi Pan, że wyleję Ducha mego na wszelkie ciało...” (Dz 2:17-21).

I tak, jeżeli opisany czas, który był dwa tysiące lat temu, nazwany jest przez Boga czasem ostatecznym, to o ileż bardziej odnosi się to do naszego czasu! Jeśli to słowo prorockie było tak ważne dla chrześcijan tamtego czasu, to o ileż ważniejsze powinno być dla nas obecnie! Jeżeli życie chrześcijan, odległych czasowo 2 tysiące lat, wyglądało tak, jak o tym czytamy, to jakież powinno być nasze życie!

Jestem przekonany, przyjaciele, że nawet jeśli jest dopuszczalna jakaś różnica między pierwszymi chrześcijanami i nami dzisiaj, to ona może zawierać się tylko w tym, że powinniśmy bardziej płonąć dla Pana niż oni. Proszę, nie pytajcie mnie, czy ja sam wierzę, że rzeczywiście jest to możliwe! Tak, ja wierzę w to i wierzę całym sercem. Jeżeli Słowo o powtórным przyjsciu Chrystusa nie jest pustym kłamstwem, ale wielką prawdą, to świadomość tego powinna tak rozplomić naszą miłość do Boga i tak rozpalić nas w służbie dla Niego, że nasz zapal stanie się jeszcze większym niż u praocjów naszej wiary. Tylko w większym naszym zapale może zawierać się różnica między nimi i nami. Tylko w tym i w niczym innym.

Czytamy dalej, że gdy wypełniła się obietnica i uczniowie otrzymali moc Ducha Świętego, to już w pierwszym dniu upamiętało się trzy tysiące osób. Próbowaliście kiedykolwiek policzyć, ile różnych narodowości i języków tam było? Pomyślcie tylko! Tysiące ludzi, każdego dnia zbierających się jednomyślnie razem, mających jedność ducha, jedność myśli, jedno serce! Jak to jest możliwe? Tysiące ludzi, mających różne języki, zebranych z różnych części świata, jest razem i mają jedną myśl! Czy znacie właściwość duszy? Czy rozumiecie, co to znaczy, kiedy ogromne zgromadzenie ludzi ma jedno serce? Przy czym nie tylko na zewnątrz i nie dlatego, że jest to jeden zbór lub społeczność. Nie, ta jedność pochodziła z głębi duszy. Dla mnie właśnie to było największym cudem.

U nas przecież zdarzało się tak, że jeśli zadawano pytanie, to jeden odpowiadał jedno, drugi — drugie, trzeci — jeszcze co innego. Stykaliśmy się z najróżniejszymi poglądami. A przecież było nas tylko 20-30 osób. Przypominam sobie, że ktoś z zebranych powiedział wtedy: „Jak dobrze, że nie muszę ciągle spotykać

się z tą siostrą, bo gdybym musiał spotykać się z nią każdego dnia, to dawno już na pewno miałbym nerwicę". Tak więc, jak widzicie, nawet chrześcijanie mogą mieć nerwicę z powodu innych. Czy myślicie, że wśród tych trzech tysięcy nie było wtedy ani jednej kobiety? O, nie! Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy każdego dnia zbierali się w świątyni, trwając w pełnej jedności i mając jedno serce. Nie czytamy ani słowa o niezgodzie, nie spotykamy nawet wzmianki o sporach i podziałach.

Wejrzyjcie uważnie w tych ludzi, przyjaciele, a zrozumiecie, że Jezus dla nich był nie tylko jakimś hobby, nie tylko powodem do łamania chleba lub półtorgodzinnego, albo nawet tylko półgodzinnego (jak to spotykałem w Niemczech) nabożeństwa. Niestety, tak surowo reglamentowany czas nabożeństwa stał się już nierzadką rzeczą dla współczesnego chrześcijaństwa. Pewnego razu, gdy przed zgromadzeniem zostałem poważnie uprzedzony, żeby nie przeciągać swego kazania dłużej niż do pół godziny, nie mogłem tego zrozumieć i zapytałem:

— Powiedzcie, co się stało? Dlaczego ludzie tak śpieszą się do domu? Czy może coś jeszcze będzie po nabożeństwie?

— Nie — usłyszałem w odpowiedzi — nic nie będzie. Po prostu ludzie się śpieszą. Przecież każdy ma swoje sprawy.

Tak, u martwych chrześcijan jest coś takiego możliwe. Przecież dziecko Boże też może być martwe. Chociaż przed telewizorem mogą przesiadywać godzinami. Dla gazet, czasopism, książek świeckich, które nie są chwałą dla Boga — na to u dzisiejszych chrześcijan zwykle znajduje się wystarczająco czasu.

Jednak o chrześcijanach tamtego czasu powstaje zupełnie inne wrażenie. Dla nich Chrystus był ich życiem. Wszystko pozostałe było drugorzędnym lub nawet zbędnym, gdyż ci, którzy mieli swoją własność — domy, mienie, ziemię — sprzedając wszystko, przynosili wartość sprzedanego i składali u nóg apostołów. Tak że nikt niczego nie nazywał swoim, lecz wszystko u nich było wspólne i nikomu niczego nie brakowało. Jaki zbór! O, jaki to był zbór!

Wtedy zrozumieliśmy, dlaczego podczas modlitwy tych chrześcijan zatrzęśło się miejsce. U nas zaś odwrotnie — modlimy się, tylko że miejsce kołysze nas. Nasze dzieci kołyszą nas. Niektórych mężów kołyszą ich żony. Dusze innych kołysane są przez ich krewnych. Tak, jest wiele rzeczy, które mogą nas kołysać. Lecz kiedy modlili się tamci chrześcijanie, wtedy trzęśło się miejsce! Wtedy od ich modlitwy trzęśło się to miejsce i przewróciła się cała Jerozolima!

Zaś my, współcześni chrześcijanie, tak często żyjemy pod strachem. Tak zatroskani jesteśmy myślami, co stanie się z naszymi dziećmi. Co będzie z nami? Co przyniesie nam przyszłość? Zresztą jest zrozumiałe, dlaczego właśnie takie problemy zajmują życie osłabionego, bezsilnego chrześcijanina, który z rozpaczyny nie może spać, jeśli drzwi nie są zamknięte i który z powodu wszystkich myśli i lęków prawie bliski jest obłądzenia. Nie, drodzy przyjaciele! To nie jest Duch Boży. Tacy chrześcijanie i taki zbór nie mogą zatrzeć światem, a tym bardziej bramami piekła!

I tak, czym dalej czytaliśmy, tym bardziej korzyły się i miękły nasze serca. Nasze społeczności nie były już godzinami ze Słowem i nabożeństwami modli-

tewnymi, lecz godzinami smutku, płaczu i serdecznego krzyku do Boga.

Porównując siebie ze zbojem tamtego czasu, gotowi byliśmy zapaść się pod ziemię ze wstydu za swoje chrześcijaństwo. Błagałem Boga, żeby w dniu sądu nie dał mi stać obok tego zboru i żebym sam nie był obok Pawła, który mógłby powiedzieć: „Erlo, opowiedz mi o twojej pracy misyjnej, to opowiem tobie o mojej pracy misyjnej”. Albo, żeby Piotr mi nie powiedział także: „Pokaż mi zbór, gdzie byłeś pastorem, to pokażę tobie zbór, gdzie ja byłem pastorem”. „O, Panie! — mówiłem, mając świadomość swojej nicości. — Czy w ogóle mam prawo nazywać siebie chrześcijaninem? Czy mamy prawo nazywać się Kościołem Chrystusowym?”.

Czytając dalej, doszliśmy do piątego rozdziału, z którego zrozumieliśmy, że w tym czasie, kiedy działa Bóg, szatan też nie śpi, podejmując wszelkie wysiłki ku temu, żeby zaszkodzić sprawie Bożej.

Kiedy Ananiasz zobaczył, co się dzieje, poczuł on, że też powinien sprzedać swoją ziemię. Przy tym mąż i żona, zgrzeszywszy, postanowili zostawić sobie jakąś część z wartości sprzedanego, zaś pozostałe pieniądze Ananiasz złożył do nóg apostołów.

Piotr — mąż napełniony Duchem Świętym, który jest Duchem prawdy i sprawiedliwości, od razu odczuł, że tu coś nie jest w porządku. Zaraz zapytał Ananiasza, czy za tę cenę sprzedał swoje mienie i czy to są wszystkie pieniądze, które otrzymał, na co Ananiasz bez strachu odpowiada twierdząco. Wtedy Piotr, znowu zwracając się do niego, mówi: „Ananiaszu, czym to omotał szatan serce twoje, że okłamałeś Ducha Świętego i zachowałeś dla siebie część pieniędzy za rolę? Czyż póki ją miałeś, nie była twoją, a gdy została sprzedana, czy nie mogłeś rozporządzać pieniędzmi do woli? Cóż cię skłoniło do tego, żeś tę rzecz dopuścił do serca swego? Nie ludziom skłamałeś lecz Bogu”. Usłyszawszy te słowa, Ananiasz padł martwy, a młodzi ludzie, wyniosłszy, pochowali go.

Nie wiedząc nic, co się stało, po trzech godzinach przyszła w to samo miejsce też żona Ananiasza Safira. Zobaczywszy ją, Piotr zaraz zwraca się do niej z pytaniem: „Powiedz mi, czy za taką cenę sprzedaliście rolę?”. No, cóż miała robić? Nie mogła przecież wydać swojego męża! Przecież chciała być mu wierna!

Czy nie jest prawdą, że problemem naszego czasu jest to, iż wspólnoty małżonkowie nie mają jedności, iż wśród nich jest tak dużo sporów, kłótni i niezgody — czego w pierwszym zborze nie było? Tam także i małżonkowie byli jednomyślni. Tak więc i ta żona była zgodna ze swoim mężem, tylko że taka jedność nie była błogosławiona.

Kiedy Safira powiedziała swoje „tak”, Piotr mówi do niej: „Dlaczego zmówiliście się, by kusić Ducha Pańskiego? Oto nogi tych, którzy pogrzebali męża twego, są u drzwi i ciebie wyniosą”. Po tych słowach kobieta upadła martwa i została pogrzebana obok swego męża (Dz 5:1-10).

W 1966 roku, czytając tę historię, pytaliśmy siebie o to, czy ktoś z nas chciałby zostać uczniem podobnej społeczności. Zgodzicie się, że taki krok byłby nie w pełni bezpieczny. Przecież była to społeczność, w której nie znoszono grzechu, gdzie kłamstwo i niewierność osądzano bez zwłoki i karano bez współczucia!

Co wtedy stałoby się z nami? Co stałoby się z naszymi grzechami i malutkimi grzeszkami, które często nie są takie znowu malutkie? — Tak... — rozmyślając, mówiliśmy sobie — Być może to nawet i dobrze, że wśród nas nie ma takich zborów.

Pytałem też samego siebie, jak zachowałbym się, gdyby Ananiasz był moim bratem lub Safira moją siostrą. Co bym przy tym czuł? Co bym zrobił, dowiedziawszy się, co stało się z nimi? Na pewno, rzeczywiście muszę powiedzieć: „Chwała Bogu, że nie żyłem w tamtych czasach!” Kto wie, być może, że po takim wydarzeniu uważałbym za swoje powołanie jeżdżenie po zborach oraz społecznościach i ostrzeganie innych, żeby wystrzegali się tych „złych” ludzi.

— Bracia i siostry — mówiłbym być może wszystkim — Czy to jest miłość? Pomyślcie sami. Czy Pan może tak działać i tak postępować? Nie, oczywiście, że nie! Tak więc bądźcie ostrożni i wystrzegajcie się ich, gdyż w nich nie działa Duch Boży!

Albo, na przykład, gdybym ja był lub wy na miejscu Piotra. Co byście powiedzieli, gdyby Ananiasz przyniósł wam pieniądze? Jak byśmy zareagowali wtedy? Możliwe, że nawet uściskalibyśmy i po bratersku ucałowali za to Ananiasza, mówiąc mu: „O, drogi bracie! Niech Pan cię błogosławi! Na następnym zebraniu członkowskim zgłoszę, aby wybrano cię diakonem lub nawet kierującym społecznością, gdyż takich ludzi, jak ty, bardzo potrzebujemy!” (Czy nie jest tak, przyjaciele? Przecież rzeczywiście potrzebujemy ludzi, którzy przynoszą pieniądze do zboru!).

Tylko, że Piotr tego nie zrobił. Napełnieni Duchem Bożym mężowie mówili inaczej: „Niech ci ludzie lepiej będą w grobie niż mają żyć i przebywać w zborze ze swoim życiem!”. Widzicie, jak wyglądał Kościół Jezusa Chrystusa! Królowała w nim taka świętość Boża, że grzech był karany nie inaczej niż śmiercią! Dlatego oczywiście można zrozumieć, w jaki sposób temu zborowi udało się przewrócić cały świat i zachwiać nie tylko ziemią, ale też podstawami piekła. I chwała Bogu, że ten zbor nie stał się szyderstwem i hańbą dla świata, jak to często niestety zdarza się w naszych czasach.

Drodzy przyjaciele, gdy skończyliśmy studiowanie tego miejsca Pisma Świętego, nie poszliśmy dalej, lecz znów wróciliśmy do trzeciego rozdziału Dziejów Apostolskich, aby prześledzić, jak Piotr z Janem szli do świątyni. W tym czasie znajdował się tam pewien człowiek, który był chromy od urodzenia i siedział przy wejściu do świątyni, prosząc o jałmużnę. Obaj apostołowie z uwagą spojrzeli na niego, po czym Piotr powiedział: „Spójrz na nas! Srebra i złota nie mam, lecz co mam, to ci daję: W imieniu Jezusa Chrystusa Nazareńskiego, chodź!”. Po tych słowach wziął chromego za rękę i podniósł go. W tej samej chwili na oczach wszystkich stał się cud.

W tym miejscu Pisma zatrzymaliśmy się, chcąc rozpatrzeć ten przypadek bliżej i uważniej, zaczynając od pierwszego punktu do ostatniego.

I tak, pierwsze, co zrobili Piotr i Jan — z uwagą spojrzeli w oczy choremu człowiekowi. Muszę powiedzieć, że zachowanie Piotra bardzo zdziwiło mnie.

— Piotrze! — w myśli zwracałem się do niego, zastanawiając się — Jak

mogłeś coś takiego zrobić! Czy już zapomniałeś, że niedawno uczyniłeś najstraszniejszy postępek, w haniebnym sposób wyrzekając się Chrystusa? A teraz, nie wstydząc się tego, spokojnie patrzysz ludziom w oczy!

A Piotr, dostojnie odpowiadając, mówił do mego serca:

— Tak, Erlo. Wiem to lepiej niż ty, gdyż sam to przeżyłem. Tak, nie dałem rady i moje zaparcie się było straszne. Lecz kiedy zobaczyłem zwrócone na mnie oczy Jezusa, serce moje skruszyło się i gorzko płakałem. W wielkim upamiętaniu zwróciłem się wtedy do Pana, prosząc Go o odpuszczenie, a On przebaczył mi ten grzech i zapomniał. Dlatego mogę teraz znów spokojnie patrzeć ludziom w oczy. Chwała Bogu, że nie muszę więcej chodzić doliną płaczu i cienia śmierci!

O, drodzy przyjaciele! I to jest dobra nowina ewangelii. U Jezusa jest odpuszczenie! Jeżeli nawet grzech nasz jest jak szkarłat, mimo wszystko staniemy się bielsi od śniegu. Powiem wam, że wielcy grzesznicy mają jeden wielki przywilej — oni bardziej kochają Chrystusa. Faryzeusz, zaprosiwszy Jezusa do siebie na obiad, widział nierządnicę, która obmywała nogi Chrystusa swoimi łzami i wycierała je swoimi włosami. Ten „sprawiedliwy” myślał, że Pan nie wie, jaka to kobieta znajduje się u Jego nóg. Jednak Chrystus znał myśli tego człowieka i zwracając się do niego powiedział: „Widzisz tę kobietę? Wszedłem do twojego domu, a nie dałeś wody do nóg moich; ona zaś łzami skropiła nogi moje i włosami swoimi wytarła. Nie pocałowałaś mnie; a ona, odkąd wszedłem, nie przestała całować nóg moich. Głowy mojej oliwą nie namaściłaś; ona zaś olejkiem namaściła nogi moje. Dlatego powiadam ci: Odpuszczono jej liczne grzechy, bo wiele miłowała. Komu zaś mało się odpuszcza, mało miłuje” (Łuk 7:44-47).

Trzeba zaznaczyć, przyjaciele, że te słowa Jezusa pozostają aktualne i dziś. Ludzie, którzy w swoim życiu dużo i strasznie grzeszyli, mają w porównaniu z nami „sprawiedliwymi” jeden wielki przywilej — są oni zdolni o wiele bardziej kochać Pana Jezusa. I w tym jest coś cudownego. Im bardziej zdecydowane i głębsze jest działanie Pana, im więcej Duch Święty może piętnować nas za nasze grzechy i nieprawości — tym głębsza będzie nasza skrucha i upamiętanie i tym większa będzie nasza miłość do Boga. Niektórzy z nas nie są zdolni kochać Jezusa tylko dlatego, że nigdy jeszcze prawdziwie nie uświadomili sobie swojej nieprawości i nie zrozumieli swojej grzeszności. Właśnie to jest przyczyną braku szczerzej i głębokiej miłości do Pana.

Tak więc, był to pierwszy ważny punkt, który rozpatrzyliśmy i zrozumieli. Dalej Piotr mówi chromemu: „Spójrz na nas!” Te słowa były dla mnie w ogóle czymś niewiarygodnym, co całkowicie przeciwstawiało się wszystkim naukom i mojej teologii. Zawsze nas uczono, że jeżeli świadczymy innym, to Jezus powinien stanowić zawsze centrum każdego naszego zdania. Dlatego nie byłem zdolny zrozumieć tego, jak Piotr, mąż napełniony Duchem Świętym, mógł popełnić tak wielki błąd. Przecież tak nie można mówić! Trzeba było powiedzieć: „Spójrz na Jezusa! Spójrz na krzyż Golgoty! Spójrz na Słowo Boże i na Boga!”. Przecież żaden człowiek, żaden sprawiedliwy nie może ośmielić się powiedzieć „spójrz na mnie” lub „spójrz na nas”, gdyż wzrok wszystkich ludzi powinien być zwrócony tylko na Pana i w żadnym wypadku na człowieka.

— O, Panie! — myślałem — Czy nie popełniłeś błędu, powierzając Piotrowi klucze Królestwa Niebieskiego? Jak mogłeś zaufać takiemu człowiekowi?

Wątpiąc z tego powodu, znów zwróciliśmy się do Słowa Bożego i oto, co przeczytaliśmy w Drugim Liście do Koryntian 3:3: „Jesteście listem Chrystusowym... napisanym nie atramentem, ale Duchem Boga żywego”.

Tak oto, w czym rzecz! To znaczy, zgodnie z Pismem, że Piotr i Jan byli właśnie takim listem, który napisał sam Bóg Swoim Duchem. Dlatego mogli oni powiedzieć temu chromemu „spójrz na nas” i jestem absolutnie przekonany, że kiedy ten chory człowiek spozjrzał na nich, zobaczył w nich nie tylko Piotra i Jana, lecz obraz samego Jezusa Chrystusa. Na czołach tych mężów zobaczył on chwałę naszego Pana i chwałę krzyża. W przeciwnym przypadku zareagowałby na słowa Piotra nie tak, jak to zrobił. Przecież mógł on powiedzieć: „Piotrze! Jak możesz mi coś takiego mówić? Czy nie wiesz, że od urodzenia jestem chromy? Nie drwij ze mnie!” Lecz nie. Jego reakcja była zupełnie inna i kiedy Piotr wziął go za rękę, on zaraz wstał. Taka jest moc naszego Pana i Zbawiciela.

Tak, ci ludzie, ci mężowie Boży, byli rzeczywiście listem Chrystusowym. Wtedy poznaliśmy, że nie mamy żadnego prawa świadczyć innym o Bogu i głosić ewangelii, zanim nie będziemy mogli powiedzieć ludziom „spójrzcie na nas”. Jeżeli nie jesteśmy rzeczywiście dobrym przykładem, to nie mamy nawet prawa otwierać swoich ust. I chcę to powtórzyć. Nie mamy prawa mówić komukolwiek o Panu ani składać swojego świadectwa, zanim nie będziemy zdolni powiedzieć temu człowiekowi „spójrz na mnie”, gdyż inaczej będziemy tylko szkodzić sprawie Bożej i Jego Królestwu. Nie odzwierciedlając sobą w swoim życiu obrazu Chrystusa, jesteśmy tym, czym byli faryzeusze, o których Pan mówił kiedyś: „Wszystko więc, cokolwiek by wam powiedzieli, czyńcie i zachowujcie, ale według uczynków ich nie postępujcie; mówią bowiem, ale nie czynią. Bo wiążą ciężkie brzemiona i kładą na barki ludzkie, ale sami nawet palcem swoim nie chcą ich ruszyć” (Mat 23:3-4). Tak i teraz, w naszych dniach, ten jest współczesnym faryzeuszem i uczonym w Piśmie, kto głosi innym prawdę, lecz sam nie żyje zgodnie z nią.

Piotr i Jan byli prawdziwie świadkami Pana. A jak wygląda to u nas, drodzy przyjaciele? Czy jesteśmy dziś listem Chrystusowym? Tym listem, który zgodnie z Pismem, może być „znanym i czytany przez wszystkich ludzi” (2Kor 3:2)? Wielka szkoda, że ludzie dziś tak mało czytają Biblię. Niektórzy chrześcijanie mówią, że jej nie rozumieją. Gazetę rozumieją lepiej. I rzeczywiście, bardziej zajęci są gazetą niż Słowem Bożym, chociaż nazywają się chrześcijanami. Jak jest możliwe takie połączenie — nie wiem. Lecz jest coś, co nawet niewykształceni u nas w Afryce mogą czytać. I wiecie, co oni czytają? Oni czytają nas, chrześcijan, i pokazując palcem mówią: „Spójrzcie na tego człowieka! Nazywa siebie chrześcijaninem, lecz posłuchajcie, jak on może się złościć i wyzywać. Spójrzcie, jak on spiera się i denerwuje!”. Tak jest... Co powiesz na to, jeżeli często rzeczywiście nie jesteśmy listem Chrystusowym i jeśli w życiu naszym nie odbija się prawdziwa i żywa ewangelia?

Kiedyś przyjechała do nas na stację misyjną pewna para małżeńska z Niemiec. Po pewnym czasie powiedzieli nam: „Ach, u nas jest nam tak ciężko! Nasi sąsie-

dzi nie chcą nic słyszeć o ewangelii. Z poganami jest trochę lżej. Tutaj w Afryce możecie głosić i mówić ludziom o Bogu. My zaś u siebie w mieście i nawet w swoim własnym domu nie możemy tego robić".

I oto, kiedy pewnego razu podczas naszego wyjazdu do Niemiec byliśmy gośćmi u tych ludzi, oni opowiedzieli nam o swoich „strasznych” sąsiadach, którzy mieszkają nad nimi, o piętro wyżej. Pewnego razu spuścili oni mikrofon swego magnetofonu do okna sypialni tych chrześcijan i nagrali wszystko, co się tam działo między mężem, żoną i ich dzieckiem, a później wręczyli im tę kasetę razem z najlepszymi życzeniami. Kiedy zdumieni chrześcijanie paląc się z ciekawości włączyli tę kasetę, usłyszeli głośne kłótnie i spory między sobą, gdy byli w swojej sypialni, oraz grubiańskie i ordynarne odpowiedzi ich nieposłusznego dziecka. Na koniec swojego opowiadania ci chrześcijanie ze wzburzeniem powiedzieli:

— Widzicie teraz, jacy u nas tutaj są straszni sąsiedzi bez sumienia, a w ogóle ludzie w Niemczech są do tego zdolni.

— Bardzo dziękuję — podziękowałem im za to opowiadanie. — Teraz mogę zrozumieć, dlaczego ci ludzie nie chcą nic wiedzieć o ewangelii. Gdybym ja był waszym sąsiadem, to niestety też nie chciałbym mieć nic wspólnego ani z chrześcijaństwem, ani z „Bogiem” takich chrześcijan. Tak samo nie chciałbym słyszeć o takiej „ewangelii”, która sprawia, że ludzie żyją z sobą jak kot z psem.

Widzicie, przyjaciele! Nasze życie musi odpowiadać naszej ewangelii. I w tym jest cała tajemnica. A jak wygląda to u nas? Zadajmy sobie pytanie: „Czy widać we mnie obraz Chrystusa? Czy jestem Jego podobieństwem? Czy moja żona i dzieci widzą we mnie Jezusa?”.

Pewien znany na skalę światową kaznodzieja, którego wszędzie zapraszano, zabrał kiedyś z sobą w podróż swoją żonę. Miał on taki talent oratorski, że słuchanie jego kazania dostarczało ogromnego zadowolenia i powodowało powszechny zachwyt u słuchających. Mógł tak głosić, jak mało kto jest do tego zdolny. I oto podczas tego wyjazdu, kiedy był w pewnym zborze, dwie kobiety w podobnym wieku z tamtej społeczności siedziały razem z jego żoną w pierwszym rzędzie. Po kazaniu tego człowieka wszyscy długo siedzieli zachwyceni i oniemiałi, będąc pod wrażeniem jego talentu, bogactwa i piękna jego mowy. Nikt nie odważył się przerwać powszechnego milczenia. To kazanie było tak wstrząsające i mocne, że na koniec można było powiedzieć jedno tylko słowo: „amen”. W końcu jedna z pań, towarzysząca żonie tego człowieka, nie wytrzymawszy, szepnęła jej:

— Jakież to na pewno szczęście być żoną takiego kaznodziei!

— Ach! — westchnęła ta w odpowiedzi. — Przecież pani nie wie, jaki on jest u siebie w domu!

Tak więc, drodzy przyjaciele, jeśli nasze życie nie może wywrzeć potrzebnego wpływu na naszą żonę, to o ileż mniej będzie ono zdolne wpływać na diabła i jego moce diabelskie! Staniemy się wtedy tylko hańbą i pośmiewiskiem dla świata. Z takimi ludźmi Pan niczego nie może dokonać, zaś diabeł — może! I tak, czy nie lepiej zacząć wymiatać spod swego własnego progu, zanim osądzimy i skrytkujemy innych?

Lecz wróćmy do historii z Piotrem i Janem. Po swoich pierwszych słowach,

skierowanych do chromego, „spójrz na nas”, Piotr mówi do niego: „Srebra i złota nie mam, lecz co mam, to ci daję”.

Jan, na ile nam wiadomo, nie miał daru uzdrawiania. Oczywiście, to w ogóle nie oznacza, że nie otrzymał on mocy Ducha Świętego i że nie był pełnoprawnym apostołem. O, nie! Jan miał takie pełnomocnictwo i taką moc, że powinniśmy być wdzięczni, iż on dziś nie żyje, gdyż byłoby to dla nas bardzo niewygodne, gdyby był on dziś naszym kaznodzieją. Wiecie, co on mówił? On mówił tak: „Kto popełnia grzech, z diabła jest, gdyż diabeł od początku grzeszy. A Syn Boży na to się objawił, aby zniweczyć dzieła diabelskie. Kto z Boga się narodził, grzechu nie popełnia, gdyż posiew Boży jest w nim, i nie może grzeszyć, gdyż z Boga się narodził” (1J 3:8-9).

I tak, opierając się na tych słowach, można bez żadnego problemu określić, kto rzeczywiście jest odrodzony, a kto nie.

Co mamy teraz powiedzieć, sprawdzisz siebie w świetle tych słów Pisma Świętego? Czy nieprawda, że należy powiedzieć: „O, Janie, jak to dobrze, że już jesteś martwy, gdyż z tobą chrześcijanie dwudziestego wieku nie mogą się zgodzić. Ty, Janie, posuwasz się zbyt daleko. Coś takiego jest niemożliwe.

Jednak Jan, będąc też człowiekiem podobnym do nas, w prosty i naturalny sposób miał moc Bożą, przeżywszy ją w takim stopniu, że nie był zdolny zrozumieć, jak człowiek, będąc odrodzonym, może dalej żyć w grzechu.

Biblia mówi: „Kto kradł, niech więcej nie kradnie. Kto kłamał, niech więcej nie kłamie. Kto cudzołożył — ten niech nigdy nie powtarza tego” i tak dalej. Koniec grzechowi! Gdyż Pan, ten sam Pan, który został ukrzyżowany za nas, sam powiedział: „Idź i więcej nie grzesz!” Widzicie, przyjaciele moi, jakim był ten język, którym mówił Chrystus i chrześcijanie tamtego czasu, ludzie, napełnieni Duchem Świętym? Oczywiście, można wtedy zrozumieć, dlaczego mieli oni władzę i moc, i nie wstydzili się powiedzieć otaczającym ich ludziom „spójrzcie na nas!”.

Piotr mówi: „Srebra i złota nie mam...”. Często u nas w życiu zdarza się tak: jeżeli sprawy idą dobrze, wtedy się uśmiechamy, a nasza twarz lśni zadowoleniem i radością. Wtedy możemy powiedzieć innemu człowiekowi „spójrz na nas”. Lecz jeśli sprawy idą źle, jeżeli jesteśmy w punkcie bez wyjścia i naprawdę musimy powiedzieć „srebra i złota nie mam”? Czyż wtedy nie troszczymy się i nie niepokoiimy, myśląc o tym, co teraz będzie i jak będziemy dalej żyć? Zaś Piotr, pomimo tego, że nie miał pieniędzy, mógł powiedzieć: „Chociaż nie mam ani srebra, ani złota, spójrz na mnie! Daję tobie to, co mam!”.

Przypominam sobie, że podczas czytania tych słów opowiedziałem tej małej grupce chrześcijan pewną historię, która miała miejsce w dużym kościele katolickim, gdzie zebrało się prawie dwa tysiące ludzi. Mieli tam nie tylko skrzynki do zbiórki ofiar, ale i duży stół przy drzwiach. Po mszy, gdy wszyscy się rozeszli, ten stół był dosłownie zavalony pieniędzmi, był dosłownie pełen srebra i złota. Kiedy stary kapłan razem ze swoim młodym pomocnikiem zbierali i liczyli te pieniądze, to stary powiedział do młodego:

— Spójrz na to, młody człowieku! Dziś Piotr nie mógłby powiedzieć, że nie ma srebra ani złota.

— Tak — w zamyśleniu odpowiedział mu młody pracownik — tylko, niestety, nie mógłby on też powiedzieć „w imieniu Pana Jezusa Chrystusa wstań i chodź!”.

— Tak więc — kontynuowałem, zwracając się do zebranych, — jak widziacie, obraz się zmienił. To, co kiedyś mieli pierwsi chrześcijanie, my gdzieś zagubiliśmy, a czego u nich wtedy nie było, to znaleźliśmy i teraz mamy. I to „coś” ma w naszym życiu wielkie znaczenie. Czyż nie tak? Nierzadko ono też odgrywa ważną rolę w podjęciu decyzji, czy wypełnić wolę Bożą, czy nie. Kto wie, być może już przypominamy w tym Judasza Iskariotę.

Nie zdążyłem skończyć tego zdania, gdy zaszło coś nieoczekiwanego. Nagle spośród zgromadzonych wstała młoda czarnoskóra dziewczyna, której po policzkach płynęły łzy, i zwróciwszy się do mnie, podniecona powiedziała: „O, proszę, przestań! Dłużej nie mogę znieść tego! Pozwól mi się modlić!”.

Zaskoczony pogubiłem się i nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć. W tym momencie w mojej głowie przemykały różne myśli. Ta dziewczyna dopiero trzy miesiące temu nawróciła się do Pana i nie mogłem nawet przypuszczać, o co chce się modlić. Było to pierwszy raz w mojej praktyce, by ktoś podczas kazania przerwał porządek nabożeństwa. Przerwała mi dosłownie w pół słowa. Znalazłem się w punkcie bez wyjścia.

W końcu, przerywając wahanie, powiedziałem jej: „Dobrze, módl się”. I oto ta dziewczyna zaczęła się modlić. Była to prosta, lecz gorąca modlitwa. W nieskładnych słowach, ze łzami mówiła: „Panie Jezu! Słyszeliśmy Twoje Słowo i Twoje obietnice! Słyszeliśmy, jak potężnie działałeś w czasie minionym wśród pierwszych chrześcijan i jak wyglądał wtedy pierwszy zbór. O, czy nie mógłbyś znowu posłać nam tego Ducha, który był w pierwszych Twoich świadkach, żeby Twój Kościół i Twoje dzieci dziś, w dwudziestym wieku, stały się takie, jak uczy nas tego Twoja Biblia?”.

Przyjaciele, nie mogę wam teraz opisać tego, co działo się w moim sercu, kiedy słuchałem tej modlitwy. We mnie jakby coś zapaliło się w środku i przypomniałem sobie te słowa, które mówili do siebie dwaj uczniowie, rozpoznawszy Jezusa w tym człowieku, który spotkał ich w drodze do Emaus: „Czyż serce nasze nie pałało w nas, gdy mówił do nas w drodze i Pisma przed nami otwierał?” (Łuk.24:32)

Myśląc o tym rozumiałem, że doświadczam tego samego, co przeżyli wtedy ci uczniowie. Miałem takie uczucie, że ta modlitwa pochodziła od Ducha Św.

Później, gdy ta dziewczyna przestała się modlić, zakończyłem zgromadzenie, poszedłem do mojego brata, u którego mieszkalem w Mapumulo, i powiedziałem mu: „Friedel, przeżyłem teraz coś niezwykłego. Nabożeństwo zostało przerwane nie przez terrorystów, a przez modlitwę. I jeśli ta modlitwa była rzeczywiście od Ducha Bożego, to wierzę, że przebudzenie jest bardzo blisko, że Bóg przyjdzie do nas, jak w minionych czasach, a zbór Boży będzie taki, jaki był dwa tysiące lat temu”.

Po tym wydarzeniu minęło półtora tygodnia i Pan, otworzywszy niebo, zstąpił do nas.

5. Przebudzenie rozpoczyna się ode mnie

Drodzy przyjaciele! Zanim przejdę do opowiadania o tym, jak Duch Boży zaczął działać w naszym środowisku, chcę jeszcze wam coś opowiedzieć.

W tym czasie, kiedy my zbierając się codziennie, zajmowaliśmy się czytaniem Słowa Bożego i szczerze całym sercem wołaliśmy do Pana, prosząc Go, aby zaczął działać wśród nas i dał przebudzenie, wydarzyło się to, czego nie oczekiwaliśmy. Duch Święty wziął się za największego i najgorszego grzesznika w naszej społeczności. I wiecie, kto to był? To byłem ja, Erlo Stegen. Właśnie od mego życia zaczął Pan Swoje dzieło.

To, co wtedy wydarzyło się ze mną, przypomina mi przypadek, który miał miejsce z pewnym człowiekiem, który był pastorem pewnej społeczności w Ameryce. Ten pastor dosłownie jęczał pod ciężarem swojej służby. Przez długi czas w tej społeczności nie obserwowano wzrostu duchowego i ruchu do przodu. Wszystko wyglądało martwo i oziębłe. Młodzież nie chciała mieć nic wspólnego z ewangelią. Przewodzący w zborze byli ludźmi z zatwardziałymi sercami. I tak, ten pastor nie widział wyjścia. W niedzielę, stojąc na mównicy, doświadczał takiego uczucia, jakby jego słowa uderzały o kamienny mur.

I oto pewnego razu usłyszał o innym pracowniku Bożym, w którego społeczności było duże przebudzenie i przez którego prawdziwie działał Pan. Dowiedziawszy się o tym, zaraz zdecydował się pojechać tam, żeby poznać tajemnicę ich wyżu duchowego i tym samym otrzymać klucz do rozwiązania swego własnego problemu.

Zebrawszy się, wybrał się w to miejsce, będące w odległości dwóch tysięcy kilometrów od nich. Przyjechawszy tam, przedstawił się i przywitał tego męża Bożego. Przy tym od razu zaczął opowiadać mu o swojej potrzebie, prosząc o pozwolenie bycia z nim dwa tygodnie, żeby popatrzeć na wszystko: jak się zbierają, jak się modlą, jak planują i prowadzą swoje nabożeństwa itd.

— Moja społeczność — skarżył się — jest całkowicie martwa duchowo. Diakoni i starsi są tak zatwardziali i zimni, że w ogóle nie chcą nic słyszeć ani wiedzieć. A nasza młodzież zajęta jest światem.

— Ach, drogi bracie! — wysłuchawszy go, odpowiedział ten mąż Boży, który był dość oryginalnym człowiekiem. — Ty wcale nie musisz zostawać tutaj tak długo, gdyż mogę już teraz podać ci przyczynę tego stanu i od razu dać potrzebną ci receptę. Możesz już dziś wrócić do siebie, do domu, a kiedy przyjedziesz, wejdź do swojego pokoju lub gabinetu i wynieś stamtąd meble oraz wszystko, co tam się znajduje. Później usiądź na podłodze i wzięwszy do ręki kawałek kredy, narysuj wokół siebie koło. Kiedy to koło będzie zamknięte, zacznij szczerze i poważnie modlić się, prosząc Pana, aby On posłał przebudzenie właśnie do tego koła i działał właśnie w tym miejscu.

Oczywiście takie słowa nie mogły głaskać uszu tego, do kogo były skierowane. Nierzadko mężowie Boży są niezbyt życzliwi i postępują nie licząc się z zasadami delikatności ani dobrego tonu. Ta rada była dla pastora jak gorzka pigułka, którą musiał przełknąć. Był głęboko zbulwersowany, gdyż było to dla niego

dalekie od komplementu i zaczął udowadniać, że przyczyna leży nie w nim, ale w społeczności; że w tym przypadku nie jest winny pasterz, ale jego owce. Denerwował się jak Naaman, który nie chciał zanurzyć się w Jordanie, uważając go za brudną rzekę, niegodną, aby w niej się obmyć. Jednak słudzy przekonali go i kiedy uniżywszy się, uczynił to, wydarzył się cud.

Tak i ten pastor w końcu uspokoił się i uniżył. Wróciwszy do domu, zdecydował się zrobić to, co mu powiedziano i siadłszy na podłodze, wykonał wszystko dosłownie. Później zaczął szczerze modlić się, prosząc Boga, aby rozpoczął dzieło od niego samego. Teraz zrozumiał, że sam osobiście tego potrzebował. I kiedy w następną niedzielę stanął na mównicy i zaczął głosić, to wkrótce zauważył wśród zebranych dwie osoby, które szlochały i płakały. Po zgromadzeniu podszli do niego i ze łzami w oczach zaczęły mówić, że ich życie nie jest w porządku, gdyż żyją w grzechu. Tak nawróciło się dwoje młodych ludzi, którzy prowadzili już całkowicie światowe życie, zapomniawszy o tym, że łącząc się ze światem, stali się wrogami Boga. To było początkiem, po czym Pan rozpałił tam Swój ogień.

Drodzy przyjaciele! Przytaczając ten przykład chcę powiedzieć wam, że u nas w Południowej Afryce wydarzyło się dokładnie tak samo. Pan zaczął działać tak, jak tego nie oczekiwałem.

Zdarzało się, że kiedy pytano mnie o to, co według mnie jest u nas przyczyną oziębłości duchowej i braku przebudzenia, miałem na to wiele odpowiedzi i wyjaśnień. Mówiłem, że taką przyczyną dla jednych jest bogactwo i dostatek materialny, dla innych zaś odwrotnie — nadmierne ubóstwo, które zmusza ich do kradzieży. Mówiłem też, że dla białego misjonarza nie łatwo jest pracować wśród czarnych, w których jest wojowniczy i polityczny duch, i którzy nie chcą zostawić swego pogaństwa oraz własnych tradycji, uważając chrześcijaństwo za religię białych. Prócz tego byłem przekonany, że mężczyźni w tym świecie nie są zdolni do czegoś innego, tylko do cudzołóstwa i pijaństwa. Młodzież obwinałem o życie światowe, uważając, że dziewczyny mają w głowie tylko chłopców, a chłopcy — dziewczęta, seks i pożądlivości ciała.

W ten sposób ciągle obwinałem o brak przebudzenia innych i wszędzie widziałem grzechy oraz błędy w swoich bliźnich, w społeczności, w kaznodziejach, którzy sami są zaledwie letnimi. Lecz kiedy rzeczywiście szczerze modliliśmy się o przebudzenie, Pan rozpoczął od tego, że oświecił Swoim światłem moje własne życie i zmusił mnie, abym zajął się własnymi grzechami.

Później nie miałem czasu, żeby zauważać grzechy i błędy innych, gdyż widziałem tylko swoje. W tym czasie zapominałem o wszystkich ludziach i byłem zajęty, jeżeli tak można się wyrazić, tylko samym sobą. Do tego byłem tak ślepy duchowo i głuchy, że mając oczy, nie widziałem i mając uszy, nie słyszałem. Widziałem tylko to, że ja — dziecko Boże, jestem zbawiony i jestem kaznodzieją ewangelii. Byłem przekonany także, że moje powołanie polega na tym, żeby mówić innym o upamiętaniu, co też robiłem przez 12 lat, wzywając ludzi do pozostawienia swoich grzechów i przyjęcia Jezusa jako osobistego Zbawiciela. W ten sposób gorliwie pracowałem mówiąc, że będę głosił do tej pory, póki ogień nie

zstąpi z nieba. Jednak ogień nie zstępował i tak trwało to do tej pory, póki Pan nie objawił mi prawdziwej przyczyny tego, położywszy Swój palec na mnie. Od tej pory minęło wiele lat, lecz ciągle pamiętam wszystko tak, jakby to było wczoraj. Myślę, że dla was też będzie to interesujące, jeśli opowiem o tym po kolei.

Tak więc, jak już mówiłem, postanowiwszy głębiej studiować Słowo i badać Pismo, zbieraliśmy się w tym celu każdego rana i każdego wieczora przez dwa lub trzy miesiące. Nasze nabożeństwa odbywały się wtedy w starej oborze, którą adaptowaliśmy na dom zgromadzeń, wyrzucając najpierw stamtąd cały nawóz, a potem dobrze czyszcząc i bieląc ją. W tym czasie jeszcze nie byłem zdolny zrozumieć tej lekcji, którą Pan chciał mi przekazać: „Erlo, jeżeli chcesz, by Mój Duch Święty działał przez ciebie, to i ty musisz przejść najpierw przez proces oczyszczenia”. Dopiero po tym, gdy Pan wprowadził mnie w ten proces, mogłem zobaczyć, jak dużo nawozu było w moim sercu, co zasmucało Bożego Ducha Świętego, przeszkadzając Mu dokonać tego, o co tak usilnie modliliśmy się i prosiliśmy. Często nie jesteśmy tymi kanałami, przez które mogłyby płynąć czyste wody żywe. Dlatego, opowiadając o sobie, chcę na swoim własnym przykładzie pokazać wam, dlaczego Duch Boży nie może działać przez nas, jeśli jesteśmy tylko niezdatnymi do użytku naczyniami i zepsutymi narzędziami, podobnymi do tego, jakim byłem kiedyś ja.

Tak oto, pewnego razu w sobotę, po porannym zgromadzeniu podeszło do mnie paru Zulusów i poprosili, żeby przenieść wieczorne zgromadzenie na godzinę czternastą, aby ci z nich, którzy mieszkali daleko, mogli wrócić do domu za dnia. Oczywiście chętnie zgodziłem się na to.

Kiedy w wyznaczonym czasie zebraliśmy się, zwyczajnie spojrzałem w okno i zobaczyłem sędziego, burmistrza, naczelnika poczty i naczelnika policji, którzy przyszli zabawić się na plac taneczny, który był po drugiej stronie drogi, na przeciw naszej obory. Nagle zrobiło mi się wstyd i pomyślałem o tym, co oni powiedzą o mnie, kiedy zobaczą, że ja tutaj z czarnymi modłę się i płacę klęcząc na kolanach. Na pewno pomyślą, że z moją głową nie jest wszystko w porządku. Co robić? Może odłożyć to zgromadzenie, mówiąc czarnym, żeby przyszli o godzinie 6 wieczorem, po tym, gdy ci ludzie rozejdą się? Lecz, co wtedy o mnie pomyślą Zulusi, którym już obiecałem?

Myślałem tak dalej, gdy nagle do głowy przyszła mi dobra myśl: „Zamknę okno i wtedy z ulicy nie będzie można słyszeć, co odbywa się tutaj w środku”. Wstawszy, podszedłem do okna i w tym momencie, kiedy je zamykałem, jakiś głos powiedział mi: „Dobrze, Erlo, zamknij okno. Wtedy wy będziecie w środku, a Ja pozostanę na zewnątrz i nie będę mógł wejść do was”.

Drody przyjaciele, ten głos zrozumiałem od razu. W jednym momencie stało mi się jasne, że to nie było okno ani szyba, nie biali ludzie, znajdujący się na zewnątrz, ale moja pycha i moje wysokie mniemanie, które oddzielały mnie od żyjącego Boga.

Tak pierwszy raz w swoim życiu poznałem, że Duch Boży jest prawdziwie Duchem Świętym. Do tej pory setki i tysiące razy mówiłem o Duchu Świętym, lecz nigdy nie przeżywałem Jego świętości. Głosiłem o Duchu Świętym sam nie rozu-

miejąc, o czym właściwie mówię. I oto teraz, w Swojej wielkiej łasce, Pan objawił mi coś z świętości Swojego Ducha. W tym samym momencie rozumiałem, jak wstrząsnęła i obrzydliwie wygląda pycha w oczach Pana. Świadomość tego tak wstrząsnęła moją duszą, że stojąc przed tą niedużą grupką chrześcijan gorzko płakałem jak małe dziecko. Podniósłszy oczy zobaczyłem nagle przed sobą słowa, napisane grubymi literami: „Bóg pysznym się sprzeciwia”.

O, drodzy przyjaciele! Wtedy zacząłem rozumieć, gdzie stoję ja i gdzie stoi Bóg. Do tej pory zawsze myślałem, że przyczyną wszystkich moich nieszczęść jest diabeł, który ciągle walczy ze mną. Teraz zaś Pismo Święte powiedziało, że przeciwnikiem moim jest sam Bóg. Gdyby przeciwstawiał się mi tylko szatan, to miałbym nadzieję na pomoc Pana, aby go pokonać; lecz jeśli sprzeciwia mi się sam Bóg, wtedy nie mam żadnej nadziei. Nigdy nie myślałem, że w moim życiu są dwie przeciwstawiające się sobie moce, dwa olbrzymy: diabeł — księżę tego świata i wielki, wszechpotężny Bóg. — Erlo! — wstrząśnięty mówiłem do siebie. — Twoja sytuacja jest beznadziejna.

Drodzy przyjaciele! We wszystkim, co spotykamy w naszym życiu, najważniejszym dla nas powinno być jedno — żeby Bóg był z nami. Jeżeli Pan jest z nami, kto może być przeciwko nam? Nawet jeżeli cały świat zwróci się przeciwko nam, lecz Bóg będzie po naszej stronie, zwycięstwo będzie nasze. Związek jednego tylko człowieka z wszechpotężnym Bogiem jest mocą bez porównania większą niż moc całego świata i diabelskiej ciemności. Jeżeli zaś cały świat jest z nami, a Bóg przeciwko nam — wtedy nie mamy żadnej nadziei.

Teraz, kiedy poznałem, że sprzeciwiał mi się sam Bóg, pysznemu i wyniosłemu, w końcu otworzyły mi się oczy i w jednym momencie rozumiałem, dlaczego przez minione 12 lat wszystko w moim życiu wyglądało tak, jak wyglądało; dlaczego ludzie nie upamiętywali się, dlaczego gleba ludzkich serc pozostawała twarda i niepodatna, dlaczego moje zwiastowanie przynosiło tak mało owocu. Jak mogłem oczekiwać czegoś innego, jeżeli ze mną nie było Boga?

Nie jestem z natury człowiekiem, który szybko i łatwo płacze, ale w tym momencie nie powstrzymałem swoich łez. Wstydzilem się moich grzechów. Moje serce pękało z bólu i stojąc przed tą maleńką społecznością ryczałem jak małe dziecko. Wszyscy ze zdumieniem patrzeli na mnie nie rozumiejąc, co się stało. Wtedy, nie przestając płakać, powiedziałem im, że jestem grzesznikiem, że w sercu moim żyje pycha i że sam Bóg mi się sprzeciwia. Później, nie mając więcej siły mówić, wezwałem wszystkich do modlitwy i upadłszy na kolana, wołałem: „Panie, wybacz mi! W tym świecie nie ma człowieka, który byłby takim wypaczonym i nieczystym, jak ja. Jestem największym grzesznikiem wśród wszystkich grzeszników. Zmiłuj się nade mną, Boże, zbaw mnie!”.

Tak, pycha i wyniosłość były tymi moimi grzechami, które Pan ujawnił najpierw, ukazując je w całej ich nagości. Później zaczął On otwierać moje serce i jego głębię, pokazując jeden grzech za drugim i dokonując nade mną Swojej pracy oczyszczenia. Był to czas świąt Bożego Narodzenia. W minionym okresie ten czas był bardzo radosnym i szczęśliwym dla naszej rodziny, a szczególnie dla nas, sześciorga dzieci. Już miesiąc przed świętami śpiewaliśmy pieśni świątecz-

ne. Czuliśmy w sobie ten cudowny czas i cieszyliśmy się, jak jaskółki, lecące na ciepłe południe. Lecz Boże Narodzenie 1966 roku było szczególne. Po święcie podszedł do mnie pewien brat Zulus i zapytał mnie, czy wiem, że było Boże Narodzenie. Nie, tego nie wiedziałam. Po prostu zapomniałem o tym. Nie mieliśmy kazania na bożonarodzeniowy temat, nie było choinki ani ozdób, nie było bożonarodzeniowego nastroju. Lecz było to najbardziej błogostawione Boże Narodzenie w moim życiu. Bóg był zajęty mną. Myślałem tylko o jednym i błagałem Boga, aby wybaczył mi i zmiłował się nade mną. Wszystko inne nie istniało dla mnie.

Parę dni po wydarzeniu w obozie, kiedy nasza maleńka społeczność znów zebrała się, aby studiować Słowo i modlić się, przyjechałem tam z opóźnieniem. Słyszałem śpiew i coś pobudzało mnie, aby od razu iść na nabożeństwo, jednak powstrzymałem się myśląc, że nie mogę tego zrobić, gdyż powinienem najpierw przebrać się. Przecież nie mogę w moim codziennym ubraniu bez marynarki i krawata stanąć przed zebranymi z Biblią w rękach! Co powiedzą wtedy o mnie ludzie i co pomyślą? Jakie wrażenie wywrze to na nich? W tym momencie w mojej świadomości stanęły trzy osoby, których poglądy szczególnie ceniłem.

I nagle, jak błyskawica, uderzyły mnie słowa mojego ulubionego proroka Eliasza, które wypowiedział on, stojąc przed swoim bezbożnym królem Achabem: „Królu! Bóg przed którym stoję...”. Zastanówcie się nad tymi słowami, przyjaciele, i wyobraźcie sobie sytuację, w której był wtedy prorok! Czy wiecie, co to znaczy stać przed królem, przed władcą swego kraju? Zdarzyło się wam przeżyć coś takiego? Mnie się zdarzyło stać przed królem, przed premierami i prezydentami kraju, dlatego wiem, co to jest.

I oto prorok Eliasza, stojąc przed królem, mającym władzę zabić lub uwolnić go, mówi do niego z odwagą: „Królu! Bóg, przed którym stoję...”. Stojąc przed swoim ziemskim królem tak odczuwał obecność Bożą, że widział przed sobą tylko Jego jednego. Obecność Króla wszystkich królów była dla niego nieporównanie ważniejsza niż obecność ziemskiego króla. A ja? Ja nie mogę tak powiedzieć. A przecież stałem nie przed królem, ale przed poglądem ludzi, którzy byli starszymi w społeczności. Denerwowało mnie, że będą oni myśleć i mówić o mnie. Zdarza się, że stoję przed społecznością i głosząc zapytuję siebie o to, czy może to się im podobać, czy przyjmą to chętnie, czy nie; czy zranię ich swoimi słowami, czy nie. Ja nie pytam siebie o to, jak patrzy na to i co powie przy tym Bóg. Bardziej mnie obchodzi pogląd ludzi.

Tu zrozumiałem, przyjaciele, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się karnodzieja i pastor zboru, kiedy głosząc ewangelię, stara się podobać przy tym ludziom, dobierając słowa według ich serca. W tej samej chwili Pan przypomniał mi słowa, które wypowiedział apostoł Paweł: „Bo gdybym nadal ludziom chciał się przypodobać, nie byłbym sługą Chrystusowym” (Gal 1:10).

— Pawle! — wykrzyknąłem. — Mówiłeś też, że nie chcesz, głosząc innym, samemu okazać się niegodnym. Lecz w jakiej sytuacji jestem teraz ja i jak wyglądam w świetle Słowa Bożego? Przecież zawsze mówiłem słuchaczom, że przychodzę do nich jako sługa Jezusa Chrystusa, zaś w rzeczywistości byłem takim, który godzien był, aby go wyrzucono ze zboru.

Tak oto Słowo Boże osądziło mnie. Jezus nie na próżno mówił, że przyszedł nie po to, żeby sądzić świat, lecz słowo, które On mówił, będzie naszym sędzią. Mogłem przekonać się o tym, przeżywszy w praktyce, co to znaczy, głosząc innym, samemu być odrzuconym.

Wstrząśnięty stałem i płakałem, kiedy nagle niezauważalnie przed moimi oczami stanął obraz, który i dziś jeszcze mógłbym namalować wam, gdybym był malarzem. Widziałem ogromną świątynię pogańską z mnóstwem bóstw i bałwanów. W tej świątyni zobaczyłem pewnego człowieka, który przechodził od jednego bałwana do drugiego, klękał przed nimi i pochyliwszy głowę do samej ziemi, kłaniał się i modlił do nich. Kiedy odwrócił twarz w moją stronę, z przerażeniem odkryłem, że tym człowiekiem byłem ja. Tak Pan pokazał mi, jak On widzi mnie i kim jestem w Jego oczach.

Z powodu tego widzenia serce mi pękało. Gotów byłem krzyczeć. Przez dwanaście lat mówiłem innym ludziom, żeby nie kłaniali się obcym bogom, gdyż tylko Pan jest naszym jedynym Bogiem, a wszystko inne jest bałwochwalstwem, które pochodzi od diabła. Teraz zaś mogłem zobaczyć, jak sam modliłem się do innych bogów, jak kłaniałem się ludziom i ich poglądom, co w oczach Bożych było niczym innym, tylko bałwochwalstwem. Trudno przekazać jest słowami, co przeżyłem wtedy w tych chwilach. Z powodu nieznośnego bólu duchowego wszystko pływało i kołysało się przed moimi oczami. Długo tak stałem, nie mając siły ruszyć się z miejsca; w końcu, zawróciwszy i chwiejąc się, wolno wszedłem do pomieszczenia zgromadzenia. W tej chwili nie mogłem głosić, nie mogłem uczestniczyć w studiowaniu Słowa, mogłem tylko przez łzy powiedzieć: „módlmy się”, i upadłszy na kolana, płacząc błagałem: „Panie, wybacz mi! O, bądź miłosierny dla mnie, grzesznego!”.

Był to czas w moim życiu, w którym zapomniałem, że kiedykolwiek nawróciłem się i byłem dzieckiem Bożym. Jedna rzecz — mówić o Bogu, inna rzecz — samemu spotkać Boga i przeżyć to spotkanie z Nim.

— O, Panie! — wołałem. — Zmiłuj się nade mną, grzesznikiem! Zniszcz wszystkich bożków, które są w moim życiu! — Teraz już nie byłem zajęty ubóstwem i bogactwem innych ludzi, grzechami młodzieży i błędami moich bliźnich. Byłem grzesznikiem. Wszystko pozostałe zapomniałem.

Tak oto, jeszcze przed rozpoczęciem przebudzenia, Bóg wziął mnie w Swoje żarna, które miał wolno, lecz dokładnie. I kto jeszcze nie przeszedł przez coś podobnego, ten może nie zrozumieć, o czym teraz mówię. Lecz kto już to przeżył, ten wie, co mam na myśli.

Wtedy zapomniałem, że przez dwanaście lat byłem kaznodzieją ewangelii, zapomniałem o swoim wykształceniu duchowym a błagałem tylko, jak ten celnik w świątyni: „Panie, zmiłuj się nade mną, gdyż jestem grzesznikiem!” Jak celnik biłem się w pierś mając świadomość, że jestem największym grzesznikiem, potrzebującym głębokiego upamiętania i odpuszczenia. Byłem tak głupi, ślepy i głuchy, że Pan musiał wziąć mnie za kark i dosłownie dotknąć nosem każdego mojego grzechu.

W jednym z takich dni szedłem jak zwykle na nabożeństwo modlitewne z

Biblią w rękach. Moja droga prowadziła obok sklepu, przy którym zebrano się mnóstwo ludzi. Mijając ten tłum, zwyczajnie dotknąłem swojej twarzy i zaraz zauważyłem, że nie ogoliłem się. Byliśmy nauczeni jeszcze w dzieciństwie, że dla mężczyzny było hańbą pojawienie się wśród ludzi nie ogolonym. Nawet zatrzymałem się. Od razu mimo woli przemknęła myśl: „Co powie świat, zobaczywszy mój taki niechlujny wygląd?”. I znów, jak błyskawica, uderzyły mnie słowa: „Co powie o tobie świat? Ale czy Biblia nie mówi, że umarliśmy dla świata i umarliśmy dla grzechu?”. Tak znów Słowo Pisma przemówiło do mnie i znów światło wlało się do mego umysłu oraz serca.

Widzicie, przyjaciele! Podczas przebudzenia Słowo staje się żywym i działającym. Ono poraża nas, przenikając na wylot nasze serce. W takim czasie już nie możemy być podobni do gęsi i kaczki, z których woda spływa, gdy tylko wyjdą z wody na brzeg, lub do kamienia, który przez lata leży w wodzie, będąc w środku suchym. Podczas przebudzenia Słowo Boże jest rzeczywiście takim młotem, który rozbija skały.

— Panie! — mówiłem. — Wierzę w Ciebie, ale wierzę zupełnie nie tak, jak powiedziano w Piśmie. Przecież mówi ono, że wierzący w Ciebie jest martwy dla świata! Zaś ja — nie umarłem dla świata.

Tak, nie byłem martwy dla świata. Świat żył we mnie i miał duży wpływ na mnie. Zasiadał on na tronie mojego serca, kierując mną. Byłem bardziej martwy dla żywego Boga niż dla świata.

Tak otrzymałem klucz do zagadki. Pozostając żywym dla świata i dla grzechu, nie byłem zdolny tak wierzyć, jak mówi Pismo, a znaczy to, że nie mogłem być też źródłem wód żywych. Przecież Pan powiedział zupełnie wyraźnie, że rzeki wód żywych wytrysną z wnętrza tego człowieka, który wierzy właśnie tak, jak powiedziano w Piśmie. Teraz mogłem zrozumieć, dlaczego moje życie było podobne do suchej bezwodnej pustyni, dlaczego serca ludzkie były zamknięte dla Słowa, które głosiłem, i dlaczego w mojej służbie nie spełniały się słowa obietnic Bożych. Zrozumiałem też, dlaczego u nas w Południowej Afryce nie ma przebudzenia. Przyczyną tego byłem ja, gdyż sam byłem przeszkodą na drodze Pana. On nie mógł działać przeze mnie, bo w życiu moim i sercu było tyle rzeczy szatańskich, które tłumiły i gasiły Ducha Bożego. A przecież przebudzenie jest sprawą właśnie Ducha Bożego — Ducha Świętego.

Z powodu tej świadomości serce moje skruszyło się i płakało. Nie znajdowałem spokoju i zacząłem błagać Pana, żeby pomógł mi pokonać to wszystko, abym stał się nowym człowiekiem i naczyniem, którego Bóg by użył. W odpowiedzi na to pokazał On mi letni stan mojego serca. Widziałem trzy poziomy. Na najniższym poziomie było zebranych dużo ludzi, na średnim — znacznie mniej, a ich wyciągnięte, długie twarze wyglądały zmęczone i smutne. Na najwyższym poziomie znajdowało się zaledwie parę osób, lecz ich twarze lśniły i promieniały, jak oblicza aniołów. Byli oni pełni życia i światłości. O, jakże chciałem być takim, jak ci na górnym, trzecim poziomie!

Nie od razu rozumiałem głębię znaczenia tego widzenia. Lecz po paru dniach, kiedy jak zwykle otworzyłem swoją Biblię, przed moimi oczami widniały

słowa Pana: „Obyś był zimny albo gorący! A tak, żeś letni, a nie gorący ani zimny, wypluję cię z ust moich” (Obj 3:15-16). Tak Pan pokazał mi, że są zimni, letni oraz gorący chrześcijanie i jak obrzydliwie wygląda w Jego oczach letni stan duchowy.

W dosłownym przekładzie z greckiego oryginału słowo „wypluję” oznacza zwrot treści żołądka na zewnątrz i pochodzi od słowa „wymioty”. Oczywiście wiecie, przyjaciele, że wymioty powstają u człowieka, kiedy jest on chory. Przy tym nie ma spokoju i ulgi do tej pory, póki nie zwróci, to jest nie wydali z siebie tego, co znajduje się w jego żołądku.

Rozumiecie, dlaczego o tym mówię? Czy wiecie, że każdy wierzący człowiek, który duchowo nie jest zimny ani gorący, a tylko letni, przynosi Panu tylko cierpienie? Jeżeli powiemy obrazowo, to taki chrześcijanin, będący w Panu, powoduje u Niego mdłości i Pan męczy się do tej pory, póki w końcu nie wydali go z Siebie precz.

Tym porównaniem chcę powiedzieć tobie, drogi przyjacielu, że jeżeli jesteś w Panu, to jeszcze nie jest to pełną gwarancją na bycie z Nim w wieczności. Będąc tylko letnim, jesteś na niebezpiecznej drodze. Pan mówi, że lepiej już być zimnym, zatwardziałym poganinem, niż tylko letnim chrześcijaninem. Taki letni chrześcijanin jest najlepszym obiektem dla diabła i dlatego jest najgorszym dla miłującego Boga.

Muchy zbierają się na kupie obornika, a diabeł i jego duchy — tam, gdzie znajdują się letni chrześcijanie. Letniość jest idealnym miejscem z potrzebnym klimatem dla mocy szatańskich. Przecież tam nie jest im zbyt chłodno ani zbyt gorąco. Kąpiąc się, mieszamy gorącą i zimną wodę. Tak samo i szatan chętnie „kapie się”, wykorzystując jednocześnie i to, i co innego. W rękach diabła letni chrześcijanie są najlepszym jego narzędziem.

Jeżeli chcecie zapoznać się ze złymi myślami, z dużymi grzechami i „malutkimi grzeszkami”, to udajcie się do letnich chrześcijan. Tam znajdziecie wszystko, co jest i co można tylko wymyślić. Apostoł Paweł, zwracając się do Koryntian pisze, że wśród nich są takie grzechy, o których nie słyhać nawet pośród pogan. I rzeczywiście tak jest. Mógłbym teraz wyliczyć bardzo dużo takich grzechów, dla których poganie nie mają nawet nazwy. Jednak wśród letnich chrześcijan można je znaleźć.

Tak więc, jeżeli Jezus nie kłamie i Słowo Boże nie wprowadza nas w błąd, to biada temu z nas, kto jest chrześcijaninem, lecz jego stan duchowy nie jest zimny ani gorący. Biada duszy, która nie płonie dla Chrystusa! Lepiej byłoby dla niej być zimną niż tylko letnią. Nie ma pobudzenia do modlitwy, do czytania Słowa Bożego, gdy tymczasem gazeta często jest w rękach. Płonać dla Pana, pozyskując dla Niego nowe dusze, — nie, tego też nie ma; stało się to czymś drugorzędnym, są sprawy poważniejsze. Tacy letni chrześcijanie z długimi twarzami, to chrześcijanie, którzy nie mają gorącego serca, których droga biegnie od jednego upadku do drugiego. Jak często skarżą się oni, że im nic nie udaje się. Ale przecież jest to zrozumiałe! Jak może towarzyszyć im powodzenie, jeśli Bóg nie jest z nimi? Tacy są dla Niego tylko obrzydliwością.

Zrozumcie mnie dobrze, drodzy przyjaciele, i uwierzcie, że z naszą letnio-

ścią nie może być dla nas nieba, a tylko piekło, które przygotowane jest dla takich. Świadomość tego powinna wstrząsnąć nami i wyprowadzić nas ze snu duchowego, żebyśmy w końcu zaczęli się modlić: „Panie, zmiłuj się nade mną, grzesznym!”

Właśnie tak stało się ze mną. Kiedy Pan objawił i pokazał mi letni stan mojego serca, zrozumiałem, że wszystkie moje grzechy pochodzą z tej duchowej letniości. Pamiętam, gdy rzucając się na łóżku, płakałem i krzyczałem do Boga: „Panie, daj mi serce płonące, płonące dla Ciebie dzień i noc! Zedrzyj ze mnie tę letniość, całe moje lenistwo duchowe i opieszałość! Daj mi serce według Twojej woli! Panie, zmiłuj się nade mną! Przyszedłeś po to, żeby zapalić ogień. Rozpal go w moim sercu! Zaczynij tutaj, ode mnie, Panie! Weź moje życie! Zrób ze mną to, co Ty chcesz, jak uważasz...!”. A Pan szedł dalej i dalej, kontynuując nade mną Swoją rozpoczętą pracę.

Pewnego razu przyszły mi na pamięć słowa, które bardzo wiele lat temu wypowiedział premier naszego kraju. Zwracając się wtedy do nas, ludzi różnych narodów, żyjących w Południowej Afryce, mówił, że powinniśmy kochać tych, którzy są obok nas, tak jak samych siebie. I oto, po upływie wielu lat, Pan przypomniał mi to. „Pamiętasz te słowa? — mówił On do mnie. — Tego człowieka już nie ma. Został zabity. Lecz pamiętasz, jak mówił, że musicie kochać swoich bliźnich tak, jak samych siebie. Zaś dziś mówi ci o tym nie premier twojego rządu, ale Król wszystkich królów i Pan wszystkich panów. Powiedz Mi, Erlo, czy kochasz swego bliźniego, jak siebie samego?”.

Tak... Jeżeli stajesz przed żywym Bogiem i On zadaje ci pytanie, to trzeba dobrze pomyśleć, zanim Mu się odpowie.

— Panie! — powiedziałem, — Mówiąc prawdę, to swoje życie oddałem dla czarnych. Ze względu na nich poświęciłem wszystko, co miałem; jednak pomimo to nie wiem, czy mogę powiedzieć, że rzeczywiście kocham ich tak, jak siebie samego.

— Erlo! — usłyszałem znów głos Boży. — Ja nie pytam, czy oddałeś za nich życie. Pytam, czy kochasz swojego bliźniego tą miłością, o której mówi Pismo. Czy kochasz go tak, jak siebie samego? —

W Pierwszym Liście do Koryntian 13:3 jest napisane: „I choćbym rozdał całe mienie swoje, i choćbym ciało swoje wydał na spalanie, a miłości bym nie miał, nic mi to nie pomoże”.

— Panie! — przyznałem się. — Jeśli mam być szczerym, to nie mogę powiedzieć, że kocham swego bliźniego dokładnie tak, jak siebie samego. Przecież, jeżeli muszę gdzieś przenocować i proponują mi łóżko, albo kiedy przychodzi czas obiadu i dają mi jeść, nie powstaje u mnie nawet myśl o tym, żeby zapytać, czy wszyscy inni mają miejsce do spania i czy mają co jeść. Jeżeli coś otrzymuję, wtedy jestem zadowolony i nie jest dla mnie ważne, czy mój bliźni ma to samo lub nie. O nie, Panie! Ja nie kocham swojego bliźniego, jak siebie samego. —

A Bóg kontynuował to, co zaczął, i robił następny krok. Mówił On do mnie:

— Jak chcesz, żeby z tobą postępowali ludzie, tak i ty postępuj z nimi; i to, co chcesz, żeby tobie uczynili inni, to samo czyń im ty. Czy tak postępujesz, Erlo?

— O, Panie! — prawie jęknąłem. — I to nie jest u mnie tak! O, mój Boże! Nie, tego też nie robię! Przychodząc w jakiegokolwiek miejsce jako kaznodzieja, zawsze otrzymuję lepsze. Ludzie tak są przyjacielscy dla mnie. A jeżeli są nieżyczliwi, wtedy nie mogę im tego zapomnieć i mówię o tym. O swoich własnych grzechach oczywiście nie mówię, a o grzechach innych — niewątpliwie tak. O błędach innych — tak, lecz o moich własnych — rozumie się, nie.

— Erlo! — zwracając się do mnie, znowu mówił Pan. — Pierwszy musi stać się ostatnim, a kto z was jest największy — musi być najmniejszym i sługą wszystkich. Ja sam dałem wam tego przykład. Czy nie obmywałem nóg innym? Jako najmniejszy, czy Ja nie byłem sługą wszystkich?

— Panie! — I z tym u mnie nie jest tak. Inni umywają mi nogi, a nie ja im. Nie, nie jestem najmniejszym. (O, jak łatwo i nawet lekkomyślnie mogłem wcześniej o tym mówić! Lecz kiedy Pan stawia ciebie twarzą w twarz przed faktem, wtedy jest to poważne).

— A jak wygląda u ciebie sprawa z czarnymi? — padło nowe pytanie. — Czy rzeczywiście jesteś dla nich sługą? (Tak, przyjaciele, przed ludźmi można uchylić się od podobnego pytania, lecz przed żywym Bogiem jest to niemożliwe).

— Panie! — błagałem. — Tylko nie to! Po prostu nie mogę tego zrobić. Przecież, jeśli gdzieś przyjeżdżam, to podchodzi do mnie jakiś człowiek i bierze mój bagaż. A teraz, znaczy, jeśli przyjedzie czarny lub ktokolwiek, to sam muszę podejść i wzięwszy jego bagaże, pomóc je nieść. Nie! Muszę być najmniejszym? Nie, Panie, nie! Sługą wszystkich? Muszę służyć każdemu?! Jest to niemożliwe, Panie! Przecież ludzie siądą mi na kark i będą mną pomiatać! Nie będę miał wtedy żadnego autorytetu. Co z tego wyjdzie? Nie, Panie, tego nie mogę! Jeżeli muszę tak żyć, to po prostu nie będę mógł istnieć. Przecież wtedy stracę swoje własne życie!

— To jest właśnie to, czego Ja chcę! — odpowiedział Pan. — Czy nie wiesz, że ten, kto zachowa życie swoje, straci je, a kto straci je ze względu na Moje imię, otrzyma życie wieczne? Erlo, idź w śmierć!

— O, Panie! Czy jest cokolwiek, co byłoby tak ciężkie, jak umieranie? Umrzeć! Wszystko zostawić! Wszystkiego się wyrzec! Wyrzec się samego siebie! Być gotowym wejść w śmierć!

I znowu słyszałem głos Pana:

— Erlo! Jeżeli nie jesteś gotów być sługą wszystkich, być najmniejszym, być nic nieznaczącym, to przestań modlić się o przebudzenie! — Tak znalazłem się w kropce, w kleszczach...

Dzień i noc trwała ta walka. Budząc się w nocy, byłem cały mokry. W tym czasie nie byłem chory, nie miałem grypy, nie miałem temperatury. Nie, przyczyną tego była walka, odbywająca się w moim sercu.

Niekiedy wydawało się, że tego nie wytrzymam. A Pan, nie przestając, szedł dalej. Pewnego razu powiedział On do mnie:

— Erlo, to, co robisz najmniejszemu, wierzącemu we Mnie, czynisz dla Mnie. I dlatego w dniu sądu Ja będę sądzić tak: wezmę najmniejszego w twoich

oczach i wiedz, że to, co uczyniłeś temu człowiekowi, uczyniłeś dla Mnie.

Byłem wstrząśnięty: — Co... Panie...? — (Wiesz, przyjacielu, jeżeli Pan rozmawia z tobą, to Słowo, które, wydawać mogłoby się, znałeś, zaczyna nagle objawiać się jako szczególnie i wtedy staje się ci zrozumiałe jego prawdziwe znaczenie).

I oto zapytałem siebie, kto jest najmniejszy w moich oczach. I wy zadajcie sobie to pytanie. Kto w waszych oczach wygląda na najmniejszego? Chcecie sprawdzić swoje życie duchowe, jak ono jest głębokie? Czy chcecie zmierzyć swoją miłość do Pana i dowiedzieć się, jak jesteście blisko Niego? To spójrzcie na wasz stosunek do najmniejszego w waszych oczach, który wierzy w Jezusa Chrystusa. Wiecie, że wasz stosunek do Pana nie jest bliższy niż do tego człowieka i kochacie Jezusa wcale nie więcej niż jego? To jest rzeczywistym i prawdziwym obrazem waszego chrześcijaństwa w świetle wieczności. Wszystko pozostałe, to tylko kłamstwo i oszustwo, i jest tylko zewnętrznym, „świętym” blichtrzem, gdyż prawda, wypowiedziana przez Pana jest taka: „To, co uczyniłeś najmniejszemu, uczyniłeś dla Mnie”.

Tak, drodzy przyjaciele, jeżeli wszystko zobaczysz w świetle Bożym, może to tobą głęboko wstrząsnąć, przewróciwszy w tobie wszystko. Lecz to i dobrze, gdyż to, co znajduje się w twoim naczyniu, wyleje się na zewnątrz.

Tak i ja zmuszony byłem przyznać się przed Panem, że wszystko całkowicie jest nie tak, jak powinno być według Słowa. Czy dziecko ma ubranie, żeby się ubrać, czy jest mu ciepło, — to mnie nie wzrusza, póki mnie samemu jest ciepło. Jeśli nie śpię obok człowieka, który chrapie, — wtedy wszystko jest dobrze; niech z takim śpią inni. Lecz przecież przyjdzie ten dzień, kiedy Pan powie: „Czy wiesz, że to Ja byłem z tobą i Ja chrapałem?”. I wtedy nie pozostanie nic innego niż tylko powiedzieć: „O, Panie! Gdybym o tym wiedział, to chętnie bym spał obok Ciebie...”.

Oto tak możemy być doświadczani przez Boga. Doświadczani wtedy, kiedy tego nie oczekujemy. Pan pojawi się w postaci chorego, kaleki, niewidomego i ubogiego, w postaci poniżonego przez nas brata lub siostry i będzie oczekiwał od nas miłości oraz współczucia. W tym momencie będziemy zważeni na wadze Słowa Bożego i wtedy zostanie zmierzona nasza prawdziwa miłość. To wszystko jest rzeczywistym faktem, przyjaciele, i jeśli nie jesteśmy gotowi przyjąć tego poważnie teraz, jeśli dziś nie spojrzymy temu szczerze w oczy, to przyjdzie nam uczynić to w dniu sądu. Na pewno to się stanie, jeżeli Pan nie jest kłamcą i jeżeli słowa Pisma Świętego są prawdą.

Pewnego razu, stojąc pod drzewem, mogłem obserwować taki widok. Paru czarnych, których nie znałem, śmiejąc się rozmawiali między sobą, pokazując na mnie.

— Zobaczcie, jak wygląda ten biały! — mówili. — Na pewno jest pijakiem, ale nie z tych najgorszych! — Nie wiem, jak wyglądałem wtedy, lecz tak oto może Pan poniżyć pysznego i wyniosłego. Wcześniej patrzyłem na innych z góry, ale kiedy Pan rozpoczął nade mną swoje dzieło, wtedy inni ludzie patrzyli na mnie z góry.

Mijały dni, a Pan ciągle jeszcze przechodził przez moje życie, ujawniając moje sprawy i wyciągając na światło dzienne wszystko, co było ukryte. Mówił On do mnie:

— Erlo, kiedy rozmawiałeś z tym dzieckiem, z tą kobietą i z twoim bratem, czy robiłeś to tak, jak robiłby to Jezus? Czy twoje zachowanie było Jego zachowaniem? Czemu milczysz, Erlo? Powiedz Mi, jak z tobą to wygląda i jak przedstawia się ta sprawa?

Wtedy już nie wytrzymałem: — Panie, nie mogę dłużej... Panie, ja dłużej tak nie mogę!

Wtedy usłyszałem Jego słowa, skierowane do mnie: — Erlo! Czy ty nie błagałeś o przebudzenie? A teraz mówisz Mi, że dłużej nie możesz. Cóż, dobrze. Wtedy zostaw to. Wtedy Ja nie przyjdę. Prosisz o przebudzenie, błagając Mnie, abym przyszedł do was, a kiedy Ja przychodzę i zaczynam działać, ty mówisz, że nie możesz. Czyżbyś nie wiedział, że kiedy Ja przychodzę, to zaczynam sąd od domu Bożego, a nie od tych, którzy znajdują się poza nim?

Możecie teraz zrozumieć, drodzy przyjaciele, dlaczego tak dużo ludzi modli się o przebudzenie, lecz bardzo niewielu otrzymuje to,

o co prosi. Wielu z nich kończy swoją ziemską drogę i umiera, nie doczekawszy się przebudzenia. I wiecie dlaczego? Dlatego, że dla niektórych takich pobożnych modlitwa o przebudzenie jest niczym innym, tylko grą pobożnych słów w ich ustach. Lecz Pan nie lubi teatru. Z obłudnikami nie chce On mieć nic wspólnego. Wierzę całym sercem

i mówię to wszystkim jawnie, że jeżeli nasze życie zgodne jest ze Słowem Bożym, wtedy nie ma potrzeby prosić o przebudzenie, gdyż ono jest nieuniknione jako naturalny skutek takiego życia i takiej wiary. Nie trzeba też modlić się o strumienie wód żywych, gdyż, gdy tylko nasza wiara zacznie odpowiadać Pismu, one są tuż, niezwłocznie same wytrysną z naszego życia i naszego wnętrza. Tak więc, jeżeli już modlić się, to lepiej błagać Pana o to, żeby pomógł On nam doprowadzić swoje życie do porządku i pozyskać wiarę, która byłaby rzeczywiście taką, jak mówi o niej Pismo Święte.

I tak, Pan pracował nade mną do tej pory, póki w końcu nie powiedziałem: — O, Panie! Czyń to, co Ty chcesz! Jestem gotowy zapłacić każdą cenę, nawet jeśli przyjdzie mi zakosztować śmierci. Jestem gotowy. Chcę być gotowy. I jeżeli Ty widzisz, że to jeszcze jest nie tak, to uczyni mnie takim!

Jednak przy tym ośmieliłem się powiedzieć Bogu coś takiego, za co i dziś jeszcze bardzo mi wstyd. Prosiłem Go: — Panie, poślij nam przebudzenie, tylko, proszę, zrób to tak, żeby we wszystkim był porządek; żeby wszystko szło według obyczajów, do których przywykliśmy; żeby wszystko było jasne i wyraźne, bez namyślania się i wymyślania. — (Do tego czasu mieliśmy już swoje porządki i prawa, swój ustalony tryb pobożnego życia chrześcijańskiego).

W odpowiedzi na to Pan surowo powiedział mi: — Erlo! Kim jesteś ty i kim jestem Ja? Czyżbyś ty był Moim nauczycielem, a Ja twoim uczniem? Czy możesz wskazywać Mi, jak postępować? Jeśli Mój Duch działa i Ja zaczynam Swoją sprawę, to robię tak, jak Ja chcę, a nie tak, jak ty tego chcesz. I dlatego, jeśli się nie

uniżysz przede Mną, jeśli nie zostawisz swojej drogi i swego wyobrażenia, wtedy Ja nie przyjdę. Gdyż twoje drogi, to nie Moje drogi, a twoje myśli, to nie moje myśli.

O, tak... Coś takiego zdolne jest rozbić i skruszyć serce.

Dziś rozumiem, oczywiście, że tylko to, w czym przebywa Bóg i co dokonywane jest przez Boga, jest prawdziwe. Wszystko pozostałe to tylko owoc rozumu i wymysłów ludzkich. Porządek jest tylko tam, gdzie jest Bóg. Gdzie nie ma Boga, tam nie ma i porządku. Nawet, jeśli zewnętrznie wygląda spokojnie i wszystko milczy, to w myślach wszystko się miota, roi się i kłębi. Tylko tam może być prawdziwy porządek, gdzie nad wszystkim panuje i wszystkim kieruje Pan. Bez tego porządku być nie może.

Kiedy Bóg działa, postępuje On tak, jak chce. My nie możemy wskazywać Mu i dyktować, nie możemy przewidywać za Niego, że to musi być tak lub inaczej. Bóg jest Panem, a Jego działanie jest suwerenne. Kierownictwo jest tylko Jego prawem. On nie jest naszym sługą, naszym dzieckiem ani naszym uczniem. On nie jest naszym malutkim pieskiem, którego wołamy i prowadzimy na smyczy tak, jak chcemy. Nie, On jest żywym Bogiem, Panem panów. I dopiero wtedy, kiedy mamy Mu możliwość działania w naszym środowisku jako żyjącemu Bogu, może On przyjść do nas. Inaczej na próżno będziemy się modlić o działanie Boże.

Tak oto i w tym zagadnieniu Pan doprowadził mnie do tego, że zdolny byłem powiedzieć Mu o swojej gotowości przyjęcia Jego Bóstwa i niepodzielnego panowania.

Drodzy przyjaciele! Cały ten czas, póki Bóg był zajęty mną, nawet nie zauważałem, że ujawniając we mnie grzechy, jednocześnie zaczął oddziaływać przez to na serca innych. Ta sama fala upamiętania ogarnęła pozostałych, a Duch Święty czynił Swoją pracę w społeczności, objawiając każdemu jego grzeszność i doprowadzając do uświadomienia sobie tego oraz do upamiętania. Jeden szedł do drugiego, prosząc o odpuszczenie swojej nieżyczliwości. Inny osądzał siebie za to, że napominając swoje dziecko, robił to w nieprawidłowym tonie i bez pokoju w sercu. Mąż jednał się ze swoją żoną, żona — z mężem, dzieci — z rodzicami, przyjaciele — z przyjaciółmi. Mówili oni jeden do drugiego: „Wybacz mi, mówiłem o tobie źle. Wybacz mi, w moim sercu była gorycz przeciwko tobie. Wybacz, gdyż osądzałem ciebie, zamiast przyjść do ciebie osobiście, jak uczy tego Pismo”. Tak doprowadzali swoje życie do porządku i jednali się z bliźniemi.

Ktoś napisał do mnie list i prosił: „Bracie, wybacz mi! Mówiłem o tobie źle. Proszę, wybacz mi, gdyż jesteś sługą Bożym...”. O, teraz nie miałem żadnego prawa egzekwować od innych, bo sam byłem grzesznikiem, który modlił się: „Panie, zmiłuj się nade mną! Zbaw mnie od moich grzechów!”. Modlili się o to także inni, mówiąc: „Panie, zbaw nas, albo tutaj umrzemy”.

Tak Bóg pracował wtedy w naszych sercach i kontynuował Swoje dzieło do tej pory, póki nie oczyścił nas z tego wszystkiego, co zasmucało Jego Ducha. I kiedy z życia naszego zostały zabrane wszystkie szatańskie rzeczy, kiedy została

przygotowana droga dla Pana, żeby mógł On działać, wtedy nagle, w jednej chwili, kiedy zupełnie nie oczekiwaliśmy tego, rozwarły się niebiosa, a Duch Święty zstąpił na nas ze Swojej wysokości tak, jak to zdarzyło się w czasach apostołów.

W Pierwszym Liście Piotra 4:17 czytamy, że dzieło Pana zawsze zaczyna się od sądu nad domem Bożym. Właśnie tu rozpoczyna się praca Ducha Świętego. Przy czym zaczyna On nie od grzechów innych ludzi, nie od grzechów naszych dzieci i nie od grzechów naszych rodziców, ale od naszych własnych grzechów. Droga żono, to nie zaczyna się od grzechów męża. Będziesz musiała zamiać własny próg. I ty, mężu, zapomnij o grzechach swojej żony! Oczyszczaj swoje własne życie!

Przyjaciele moi, to jest dobra nowina. Nie trzeba czekać na bliźniego. To może rozpocząć się ode mnie i od ciebie. I wtedy koniecznie trzeba będzie zostawić swoje ulubione grzechy i wyrzucić ze swojego życia i swojego własnego serca wszystko, co zasmuca Ducha Świętego. Przecież rzecz w tym, że cudzy grzech, złe postępowanie i wady naszych bliźnich oraz naszych tak zwanych „wrogów” nie mogą zagasić płomienia Ducha Świętego w naszym własnym życiu.

Słowo Boże mówi nam nie na próżno, żebyśmy nie zasmucali Ducha Świętego i nie gasili Go, gdyż jest faktem, że właśnie ci, którzy poznali Pana, zdolni są czynić to, czego nie mogą robić bezbożnicy. Przecież nie oni, odrzucający Boga, a właśnie my, chrześcijanie, zasmucamy i gasimy Ducha Bożego swoim nieczystym życiem i swoimi grzechami.

Nie możemy oczekiwać, że niewierzący nawrócą się, jeżeli własne nasze życie, życie ludzi nawróconych, nie jest w porządku. A jeśli nawet to się zdarzy i ktoś nagle uwierzy przez nas, wtedy wypełnią się słowa, które mówił Jezus do faryzeuszów: „Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy, że obchodzicie morze i ląd, aby pozyskać jednego współwyznawcę, a gdy nim zostanie, czynicie go synem piekła dwakroć gorszym, niż wy sami” (Mat 23:15).

Zbór i społeczność nie może być dalej niż kierujący. Jeżeli zaś społeczność i jej członkowie znajdują się na wyższym stopniu duchowym niż pastor, wtedy już nie jest ich kierującym. Własne życie kaznodziei powinno być czyste, a stosunki jego z Bogiem — prawidłowe, żeby Bóg mógł działać przez niego.

Jeżeli nie ma przebudzenia, to nie możemy winić o to nikogo innego, tylko samych chrześcijan. Jeżeli Bóg nie działa tam, gdzie się znajdujecie, to kto jest tego winien? Nie świat, nie cudzołóżnicy, nie homoseksualiści, ale pobożni, którzy nazywają się domem Bożym. Dlatego od nich powinien rozpocząć się sąd Boży, czy oni tego chcą lub nie. I to jest prawda! Czy to będzie słodkie dla nas, czy gorzkie, lecz trzeba to przełknąć. Być może stoicie na drodze działania Ducha Świętego, tak samo, jak i ja kiedyś. Przyjedźcie do nas do Południowej Afryki, a ja pokażę wam to miejsce w Mapumulo, gdzie stałem i płakałem zrozumiawszy, że właśnie ja jestem przeszkodą na drodze do przebudzenia. I wtedy pokutowałem...

6. Z ciemności do światłości

W Ewangelii według Jana 16:7-8 Jezus mówi: „Lepiej dla was, żebym Ja odszedł. Bo jeśli nie odejdę, Pocieszyciel do was nie przyjdzie, jeśli zaś odejdę, pošlę go do was. A On, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu i o sprawiedliwości, i o sądzie”.

Duch, Pocieszyciel (po grecku „parakletos”) oznacza Tego, kto jest po naszej stronie, dotykając swoim ramieniem naszego ramienia. To Ten, kto przyszedł w dniu Pięćdziesiątnicy, kto otworzywszy niebo zstąpił do ludzi i zaczął mówić do nich tym językiem, który rozumieli. W tym dniu każdy z obecnych mógł zrozumieć mowę Bożą i to, co mówił mu Duch Święty. Lecz nie wszyscy wtedy upamiętali się. Niektórzy, widząc i słysząc, co się stało, śmiali się uważając, że mówiący napili się młodego wina. Jednak pomimo to mogli oni też słyszeć w swoim własnym języku o wielkich dziełach Bożych.

Duch Święty może mówić takim językiem, który może zrozumieć każdy człowiek. I jeśli zaczyna On działać, wtedy ani kolor skóry, ani język, ani religia, ani nic innego nie ma znaczenia. Duch Święty może dotknąć się każdego serca. Zna On języki wszystkich ludów. Może mówić On do ludzi całkowicie niewykształconych i do uczonych tego świata. Mówi On do szamanów i czarownic, do doktorów nauk i profesorów, do bezbożników i teologów, do uczniów i nauczycieli. Należy tylko dziwić się obserwując, jak Duch Święty pracuje nad tymi ludźmi.

Zaraz po wylaniu Ducha Świętego Bóg zaczął działać w naszej miejscowości, przyprowadzając coraz to nowe dusze i burząc twierdze oraz warownie szatańskie. Nie było przy tym dźwięku dzwonu, nie było zaproszeń, nie było uprzedniej organizacji. Duch Boży, który kiedyś w dniu Pięćdziesiątnicy zbierał ludzi, czynił tę samą pracę i teraz. Tak został rozwiązany "problem Jana Chrzciciela", który mnie dręczył. Przecież on już w łonie swojej matki napełniony był Duchem Świętym, tym samym Duchem, który teraz zaczął pracować i u nas.

Pierwsza przyszła do nas czarownica, która sama miała szkołę, gdzie innych uczyła czarów. Zupełnie jej nie znając zapytałem ją, czego ona chce.

— Ja chcę, żebyście modlili się o mnie — odpowiedziała czarownica. — Ja chcę Jezusa! Zmęczyłam się swoim życiem i mam go po samo gardło. Jestem spętana łańcuchami piekła.

— Co...? — przerwałem jej. nie wierząc swoim uszom. (Nie mogłem tego zrozumieć. Przez dwanaście lat próbowałem nawrócić takich ludzi do Pana. Tygodniami przesiadywałem z nimi głosząc ewangelię, lecz wszystko było bez powodzenia. Nazywali oni swoje czary darem Bożym, twierdząc, że sam Bóg im to dał. I oto teraz ta kobieta przyszła sama z prośbą, żeby modlić się o nią. aby Pan rozerwał wiążące ją okowy piekielne).

— Kto rozmawiał z tobą? — zapytałem ją.

— Nikt.

— To kto opowiedział ci o Panu?

— Nikt.

— Być może byłaś na jakimś nabożeństwie?

— Nie, jeszcze nigdy w życiu nie byłam w zgromadzeniu.

— To kto zaprosił ciebie do nas?

— Nikt.

— Ależ, nie rozumiem! — (Moje oczy na pewno były okrągłe ze zdumienia, a jej także).

— Jak tu przyszedłeś? Kto ci powiedział, że tu jesteśmy?

— Proszę — przerwała mi czarownica — nie zadawaj mi tych wszystkich pytań! Jestem na drodze do piekła. Jeśli Jezus nie zbawi mnie teraz i nie uwolni ze szpon diabelskich, to jeszcze dziś zejdę żywa do otchłani. Jestem przeklęta na wieki wieków i dlatego pozostała tylko nadzieja, że Jezus może jeszcze nade mną się zlitować.

Tak, lecz przecież nie wiedziałem jeszcze nawet, jak trzeba modlić się o takich ludzi. Pomyślawszy trochę, wezwałem paru współpracowników i wyjaśniłem im w czym rzecz. Później zapytałem tę czarownicę, czy jest gotowa przyjąć Jezusa jako swojego osobistego Zbawiciela i wyznać swoje grzechy. Przecież Biblia mówi nam: „Kto ukrywa występki, nie ma powodzenia, lecz kto je wyznaje i porzuca, dostępuje miłosierdzia” (Prz 28:13). Tak więc, jeżeli wyznasz swój grzech, nie mając mocnego postanowienia na zawsze zerwać z nim, to takie wyznanie nie ma sensu. Jest to tylko „świętą grą”. Kto zaś wyznaje swój grzech, porzucając go — otrzymuje odpuszczenie i łaskę.

— Czy jesteś gotowa, wyznawszy, zostawić swoje czary i na zawsze zerwać z nimi? — zapytałem czarownicę.

— Tak! — odpowiedziała zdecydowanie, pragnąc całkowicie oddać się Jezusowi.

Lecz w ślad za tym znowu powstał problem, jak modlić się o nią, skoro ona jest opętana. Przypomniałem sobie, że już wcześniej próbowałem w imieniu Pana i krwi Jezusa Chrystusa nakazywać złym duchom, aby wyszły z człowieka, na co one tylko śmiały się i bluźniły Bogu. Moje nakazy były przyjmowane przez nie jako humor.

I pomimo to modlić się? Naradziwszy się, poszliśmy do mojego pokoju i siedząc na krzesłach w kręgu, zaczęliśmy śpiewać. Był to paschalny hymn o zmartwychwstaniu naszego Pana Jezusa Chrystusa. Śpiewaliśmy o tym, że On zwyciężył śmierć i grób, grzech, piekło i wszystkie moce nieczyste; o tym, że Jego święta krew oczyszcza i odkupuje nas.

Kiedy zaśpiewaliśmy ten hymn po raz drugi, czarownica nagle wstała ze swojego krzesła i stając na czworakach zaczęła warczeć oraz kręcić się, wykonując ruchy, jak dzikie zwierzę. W tym momencie przypominała tygrysić, gotującą się do skoku na swoją ofiarę. Jeden z naszych współpracowników był tak przestraszony, że w strachu wybiegł z pokoju i musieliśmy wołać go z powrotem, przekonując, aby nie bał się, gdyż Jezus jest Zwycięzcą.

Wyglądało to tak, jakby demony i sam szatan patrzeli na nas z oczu opętanej. Było to straszne. W ślad za tym zdarzyło się, co następuje. Ta całkowicie niewykształcona kobieta, która przeżyła całe swoje życie wśród czarnych, zaczęła mówić do nas najczystszym językiem angielskim. Później zaczęło z niej szczebrać

mnóstwo psów, przy czym wydawane dźwięki nie były czymś udawanym. Było to prawdziwe psie szczekanie. Później zaczęły wierzgać i chrząkać świnie.

W imieniu, które jest ponad wszystkie imiona, rozkazaliśmy mocom nieczystym wyjść z tej kobiety. Wzywaliśmy imienia trójjedynego Boga. W odpowiedzi na to, bluźniąc, sztydząc i drwiąc, złe duchy powiedziały nam: „Jest nas tu trzystu mocnych wojowników diabła, a ta kobieta jest naszym mieszkaniem. Nie zostawimy jej!”. Dalej modliliśmy się, kiedy nagle te demony zaczęły krzyzczeć: „O, teraz robi się nam zbyt gorąco! Ogień Ducha Świętego pali i zjada nas!”.

Po tym wyszła pierwsza setka, później — druga. Trzecia setka demonów opuściła ją ze strasznym krzykiem. Lecz zanim to się stało, złe duchy powiedziały coś takiego, co było dla nas niezwykle i znaczące. Mówiły one: „Wiedzieliśmy o Bogu-Ojcu i Bogu-Synu, lecz z Bogiem-Duchem Świętym jeszcze nie spotkaliśmy się. I gdy On przyszedł, Jego ogień święty zjada nas!”.

Wtedy przypomniałem sobie słowa Pisma: „Nie dzięki mocy ani dzięki sile, lecz dzięki mojemu Duchowi to się stanie — mówi Pan Zastępów” (Zach 4:6). Wcześniej nie mogłem też zrozumieć, czego uczy nas Nowy Testament mówiąc, że „bóg toczymy nie z krwią i z ciałem, lecz z nadziemskimi władzami, ze zwierzchnościami, z władcami tego świata ciemności, ze złymi duchami w okręgach niebieskich” (Ef 6:12). Czytając te słowa rozmyślałem często o tym, w jaki sposób możemy to robić. I oto w tej chwili dosłownie otworzyły mi się oczy — nie ciało walczy przeciwko duchowi, ale Duch Święty walczy przeciwko duchom ciemności.

Pan Jezus mówił kiedyś o ogniu Ducha Świętego. O tym samym głosił też Jan Chrzciciel, nazywając Boga i Ducha Świętego ogniem trawiącym, a o prawdzie tych słów przekonaliśmy się wtedy w praktyce.

Po tym, gdy złe duchy wyszły z tej kobiety, jej twarz zmieniła się nie do poznania i cały jej wygląd natychmiast się zmienił. Czy możecie sobie wyobrazić, jak wygląda stara czarownica z posępną i złą twarzą, zeszepeconą głębokimi zmarszczkami? Teraz zaś wyglądała jak kobieta, która przez wiele lat przebywała u nóg Jezusa i była uświęcona Jego bliską obecnością. Jej twarz lśniła i promieniała jakby w niej odbijało się niebo. Z niebiańskim uśmiechem powiedziała: „O, jak cudownie! Jezus uwolnił i odkupił mnie. On zerwał ze mnie okowy piekła”.

Drodzy przyjaciele! Tego widoku nigdy nie zapomnę. Widząc to, można tylko w wielkim uniżeniu pokłonić się przed naszym Panem. O, jakże On cudowny, nasz Zbawiciel i Odkupiciel!

W ślad za tą przyszła następna czarownica, później następne. Najpierw szli szamani i czarownice, później — opętani przez złe duchy, także jeden po drugim. Przychodzili oni do nas i mówili, ile jest w nich demonów. W jednych znajdowały się setki, w innych — tysiące. W niektórych mieszkały całe legiony. Wiele demonów mówiło przy tym, że nie wyjdą bez rozlewu krwi. I rzeczywiście, u takich opętanych powstawał duży krwotok zanim zostali uwolnieni. W tych dniach pytaliśmy wszystkich bez wyjątku:

— Kto powiedział ci o Panu?

— Nikt.

— Czy wiedzieliście wcześniej jeden o drugim?

— Nie, nie wiedzieliśmy.

— Lecz jak się dowiedziałeś, że jesteśmy tutaj? W jaki sposób? Dlaczego przyszedłeś? Kto pobudził cię do tego?

Nikt, ani jeden z przychodzących nie słyszał o tym od kogoś innego. Wszyscy oni bez wyjątku zostali do nas skierowani w sposób nadprzyrodzony. Tak przeżyliśmy w praktyce to, że Duch Święty wchodził do domów oraz mieszkań i dosłownie przyprowadzał ludzi tak, jak czynił to w dniu Pięćdziesiątnicy.

Ludzie mówili: „Nie mieliśmy spokoju, coś wewnątrz pobudzało nas, żeby iść. Tak odczuwaliśmy nasze grzechy, jak nigdy przedtem. Czuliśmy i wiedzieliśmy tylko jedno — trzeba iść i dlatego szliśmy”. Jedni mówili nam, że słyszeli głos, który mówił: „Pójdź tam, w to miejsce i tam powiedzą ci, co trzeba robić”. Inni mieli widzenia. Przychodzili najróżniejszymi drogami, przychodzili z bliska i z daleka. Niektórzy z nich mieli poranione i opuchnięte nogi, gdyż tygodniami szli do miejsca, w którym wtedy byliśmy.

Trwało to dniami i nocami, tak że przez dwa-trzy miesiące prawie nie spaliśmy. Nigdy bym nie pomyślał, że człowiek może tak mało spać. Rozumieliśmy, że może to zrobić tylko Bóg. Często nie mogliśmy też jeść, lecz pomimo to nawet nie czuliśmy zmęczenia. Pan niósł nas tak, jak na skrzydłach orlich.

Wychodząc z drzwi domu w dowolnym czasie dnia lub nocy, spotykaliśmy na podwórku 100, 200 lub 300 osób, które stojąc na ulicy czekały na nas. Okrutni, żądni krwi mężczyźni, którzy przedtem nie chcieli nic słyszeć o chrześcijaństwie, szlochali i płakali jak małe dzieci, jakby ktoś bił ich kijem. Znajdowali się w stanie wstrząsu duchowego i jeśli można tak się wyrazić, byli powaleni na ziemię. Duch Święty otwierał im oczy na ich grzechy, na sprawiedliwość Bożą i na Jego sąd.

— Dlaczego nie idziecie do pracy? — pytaliśmy się ich.

— Nie możemy — odpowiadali. — Nie możemy spać.

— Lecz co się stało?

— Jesteśmy grzesznikami. Czy Bóg może nam wybaczyć? — Ludzie, nie wiedzący dotąd, co to znaczy płakać, teraz płakali:

— Czy jest dla nas jeszcze nadzieja? Czy możliwe jest dla nas odpuszczenie?

— Tak — odpowiadaliśmy im.

— Ale mówicie tak, bo nie wiecie, jak strasznie grzeszyliśmy! Wtedy braliśmy do rąk Biblię i czytaliśmy im z Księgi proroka Izajasza 1:18: „Choć wasze grzechy będą czerwone jak szkarłat, jak śnieg zbieleją; choć będą czerwone jak purpura, staną się białe jak wełna”. W odpowiedzi na to kiwali tylko głowami. Tak głęboką świadomość i upamiętanie dał im Pan.

Duch Święty tak wyraźnie objawiał ludziom ich grzechy, iż niektórzy tracili wiarę, że dla nich jest możliwe odpuszczenie, a my musieliśmy pocieszać i budować ich słowami Pisma. Tak pewien duży człowiek z pogan siedział w pokoju i szlochał tak głośno, że nie mogłem wytrzymać i zostawiwszy wszystko, poszedłem do niego:

— Powiedz mi, co się stało?

— O! — płakał. — Jestem grzesznikiem! Pozostało parę centymetrów do

mego stoczenia się do piekła!

W Ewangelii według Jana 16:7 Jezus mówi: „Lepiej dla was, żebym Ja odszedł. Bo jeśli nie odejdę, Pocieszyciel do was nie przyjdzie”. Powstaje pytanie, co uczyni ten Pocieszyciel, jeżeli przyjdzie. Jak On będzie pocieszał ludzi? Biblia odpowiada nam na to tak: „A On, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, i o sprawiedliwości, i o sądzie” (Jan 16:8).

I tak, Duch-Pocieszyciel wskaże ludziom na ich grzechy. — Ależ mi pocieszenie! — powiedzą niektórzy. — Tak przecież nie można pocieszać człowieka! — Ale czy wiecie, że Bóg pociesza człowieka inaczej niż to robimy my, ludzie? — Nie, nie! — mówimy. — Pocieszać, ale nie tak! Tylko nie mówmy człowiekowi o jego grzechu! Przecież tak można w ogóle doprowadzić, że straci rozum! — Lecz, drodzy przyjaciele, jeśli pociesza Pan, to posyła On człowiekowi Ducha pocieszenia, który w pierwszej kolejności wskazuje mu na jego grzechy.

Właśnie dlatego trudno jest zrozumieć, jak to jest możliwe, żeby człowiek, który napełniony jest Duchem Świętym, mógł dalej żyć w grzechu. Przecież w tym zawiera się też istota Ducha Świętego, Ducha Pocieszyciela, że wskazuje człowiekowi, po pierwsze — na jego grzechy, i po drugie — na prawdę, sprawiedliwość i sąd. I to rzeczywiście można przeżyć we własnym życiu, jeśli tylko Duch Święty prawdziwie działa. Przeżywasz przy tym takie uczucie, jakby przyszedł dla ciebie dzień sądu. Wtedy ludzie tracą sen, nie mogą jeść, nie mogą pracować. Nie znajdują w niczym spokoju i trwa to do tej pory, póki takie dusze nie przyjdą w wielkiej skruszce swego ducha, będąc całkowicie przekonane o swojej grzeszności. Takich nie budują już wspólne modlitwy upamiętania i wyznanie swoich grzechów w samotności przed Bogiem. Oni nie mają spokoju do tej pory, póki nie ujawnią swojej nieczystości w świetle dziennym, póki w osobistym i głębokim wyznaniu nie nazwą każdego swego grzechu po imieniu.

W praktyce naszej pracy były takie przypadki, kiedy modliliśmy się o całe zgromadzenie, liczące 400 czy 500 osób, prosząc Pana o odpuszczenie grzechów wszystkich i każdego. Kiedy zaś później kończyliśmy nabożeństwo i rozpuszczaliśmy ludzi, to oni nie odchodzili. Siedzieli i płakali, a każdy odczuwał tylko jedną potrzebę — przynieść swoje grzechy w osobistym wyznaniu, nazywając każdy z nich po imieniu. Bez tego nie odczuwali odpuszczenia i uwolnienia. Ogólne wyznanie grzechów i ogólna modlitwa w takich przypadkach, jeżeli można tak się wyrazić, po prostu nie wystarczy.

W Liście do Efezjan 5:13-14 czytamy: „Wszystko to zaś dzięki światłu wychodzi na jaw jako potępienia godne; wszystko bowiem, co się ujawnia, jest światłem”. Także w Pierwszym Liście Jana 1:7 jest napisane: „Jeśli zaś chodzimy w światłości, jak On sam jest w światłości, społeczność mamy z sobą, i krew Jezusa Chrystusa, Syna Jego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu”.

Widzicie, drodzy przyjaciele! Samo Słowo Boże mówi nam, że krew Jezusa Chrystusa obmywa i oczyszcza nas tylko w tym przypadku, jeżeli chodzimy w światłości. Oczyszczająca moc krwi naszego Zbawiciela objawia się nie wtedy, kiedy ukrywamy nasze grzechy i chodzimy w ciemności, ale wtedy, kiedy ujawniamy je w świetle dziennym i dalej idziemy za Chrystusem w światłości.

Chcę dodać, że podczas wyznawania niektóre z ujawnianych grzechów wydają się nieznaczące, jeżeli patrzy się na nie oczami ludzkimi. Jednak jeśli Pan objawia się człowiekowi, wtedy „mały” grzech wygląda jak wielki, większy od największej góry. Na przykład, każdego męża, który patrzy na kobietę pożądliwie, Jezus nazywa cudzołóżnikiem; a każdego, kto gniewa się na bliźniego swego, nazywając go głupcem, Jezus nazywa zabójcą.

Taka jest miara i taki standard Tego, kogo nazywamy swoim drogim Zbawicielem. Jest to standard tego, kto miłuje Pana Jezusa. Oczywiście, takie podejście nie jest standardem letniego chrześcijanina, który patrzy na podobne rzeczy przez palce, licząc na to, że jest to tylko pół biedy i nie jest to czymś strasznym. Jednak jeśli zobaczymy i przeżyjemy świętość Bożą oraz Jego obecność, wtedy nie będziemy tak sądzić. Jeżeli zaś nie poznajemy tego tutaj na ziemi, to mimo wszystko przyjdzie taki moment, kiedy przekonamy się o tym będąc na innym miejscu. Tylko wtedy już ten dzień będzie dla nas dniem sądu. Tutaj lub w wieczności, lecz dla każdego z nas powinno to się kiedyś stać. I jeśli teraz nie przejdziemy przez te żarna Boże, wtedy będziemy musieli w innym czasie przejść przez nie.

Często, będąc w Europie, słyszę co następuje: „Tak, dla czarnych w Afryce powinno być tak, a dla nas — inaczej”. Lecz, przyjaciele moi, przecież dla czarnych i białych, dla Afryki, Europy, oraz wszystkich innych krajów i kontynentów istnieje tylko jedna Biblia. Innej nie dano nam.

Bóg jest światłością i każdy, wchodzący w tę światłość, sam staje się światłością. Jakże często zdarzało się widzieć ludzi, którzy przychodzili wyznawać z ciemnymi, smutnymi, przygnębionymi twarzami, ale kiedy ujawniali swoją nieczystość duchową i Jezus odpuszczał im grzechy, wtedy ich zmienione twarze lśniły i świeciły, odzwierciedlając w sobie Tego, kto sam jest światłością.

Tak więc, Bóg rozpalił wśród nas Swój ogień, a Duch Pański, ogarniając dusze ludzi, ciągnął ich sam z ciemności do światłości. Trzeba byłoby wiele godzin, żeby opowiedzieć szczegółowo o tym, jak to wszystko się odbywało, dlatego przytoczę tylko parę przykładów.

Pewna młoda dziewczyna wróciwszy ze szkoły usiadła pod drzewem cytrynowym, żeby odpocząć. Nagle przed jej oczami pojawiła się tablica, na której niewidoczna ręka pisała słowa: przy czym każde z napisanych słów było nazwą grzechu, który ona popełniła. Przeczytawszy tę długą listę, chwyciła leżący na ziemi czarny węgielek i kawałek rzuconego przez kogoś papieru, i zaczęła pisać. Kiedy ta uczennica przepisała ostatnie słowo, tablica znikła i w tym momencie wielki strach, świadomość swojej grzeszności i głębokie upamiętanie zawładnęły nią tak, że biegła bez odpoczynku parę kilometrów, póki nie znalazła nas.

— Oto moje grzechy — powiedziała, pokazując nam ten kawałek brudnego papieru — Pan objawił mi całe moje życie. Czy możliwe jest jeszcze dla mnie odpuszczenie? — Tak upamiętała się.

Zdarzało się, że zupełnie niewykształceni ludzie przeżywali coś podobnego. Tak było z młodym poganinem, który nigdy nie chodził do szkoły i nie umiał czytać ani pisać. Pewnego razu w południe pracował w polu. Był słoneczny dzień

i na niebie nie było ani jednej chmurki. Nagle stało się bardzo ciemno i w tym mroku młodzieniec zobaczył oświetloną tablicę, na której ktoś pisał. Wszystko napisane mówiło o jego minionym życiu i o wszystkich grzechach, popełnionych przez niego, a ten absolutnie niewykształcony człowiek mógł czytać każde słowo. Po tym, gdy przeczytał ostatnie zdanie, mrok znikł i znowu zajaśniało jasne słońce.

To, co się stało, tak wstrząsnęło nim, że drżał na całym ciele nie wiedząc, co ma teraz robić. W końcu przypomniał sobie, że w tej miejscowości mieszka pewna chrześcijanka, i pobiegł do niej. Wbiegłszy do chaty tej kobiety, zapytał ją:

— Umie pani pisać? — Usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, kontynuował — Pan nieoczekiwanie pokazał mi całe moje życie i ujawnił wszystkie moje grzechy. Nigdy nie myślałem, że jestem takim strasznym grzesznikiem i nie mogłem nawet przypuszczać, że Bóg jest tak święty i że nie mogę ostać się przed Jego świętym obliczem z całą swoją nieczystością. Wyliczę teraz moje grzechy. Proszę zapisać je!

Tak dyktował jej to, co było napisane na tablicy, a ona zapisywała. Później musiał przejść 20 lub 30 kilometrów do miejsca, gdzie wtedy przebywaliśmy. Zadzyszany, cały mokry od potu, zaraz opowiedział nam o tym, co przeżył, i podając mi spisana listę, powiedział:

— Przeczytaj! To wszystko robiłem przez całe swoje życie. Na ziemi nie ma człowieka bardziej grzesznego ode mnie. Co ze mną będzie? Czy możesz mi pomóc? Czy Bóg może mi wybaczyć?

I wtedy wskazaliśmy mu drogę do krzyża, mówiąc, że Słowo Boże mówi nam: „Jeśli wyznajemy grzechy swoje, wierny jest Bóg i sprawiedliwy i odpuści nam grzechy, i oczyści nas od wszelkiej nieprawości” (1J 1:9). Usłyszawszy te słowa, najpierw nie mógł ich pojąć, lecz później zaczął prosić, żeby pomodlić się o niego. Z gotowością zgięliśmy kolana i przynieśliśmy wszystko do nóg Pana.

Po modlitwie wstał jako nowy człowiek i jaśniejąc z radości, powiedział nam: — Teraz muszę iść do moich rodziców, do braci, sióstr i krewnych, gdyż od dzieciństwa byłem bardzo nieposłusznym dzieckiem. Nie byłem też w porządku tam, gdzie pracowałem. — Później udał się w podróż powrotną i wróciwszy, doprowadził do porządku swoje stosunki z krewnymi, bliskimi, przyjaciółmi i innymi ludźmi. Tak spotkał on Pana w swoim życiu i pojednał się z Nim.

Pan ma wiele dróg i sposobów do serca człowieka. Nierzadko czyni On to podczas czytania Pisma Świętego. Zdarzało się nam stykać z takimi przypadkami, kiedy w domach niewykształconych ludzi, których dzieci umiały czytać, w jakiś sposób pojawiała się Biblia. Wskutek tego ci ludzie przychodzili i mówili, że Bóg przemówił do nich w tej chwili, gdy ich dzieci zaczęły czytać głośno Biblię, która trafiła im do rąk.

Zdarzało się też inaczej. Kiedyś przyszła do nas kobieta, Zuluska, która była czarownicą. Opowiedziała ona, że słyszała skierowany do niej głos, który powiedział jej: „Weź Biblię i przeczytaj taki rozdział i taki werset”. Ulegając temu nakazowi, czarownica wybrała się na poszukiwania. Ona też była analfabetką, ale kiedy znalazła Biblię i otworzyła ją, to ku swemu wielkiemu zdziwieniu odkryła, że

potrafi ją czytać. Przeczytawszy wskazane miejsce, uwierzyła w Pana. Następnym jej krokiem było wyznanie i upamiętanie.

Ten przykład nie jest jedynym. Niewykształceni ludzie, stając się chrześcijanami i przychodząc do nas, opowiadali, że słyszeli głos, który powiedział im: „Weź Biblię i czytaj”. Interesujące jest przy tym to, że gdy otwierali Biblię, to mogli ją czytać, kiedy zaś zamykali — tracili zdolność czytania. Już dużo razy słyszeliśmy, jak tacy ludzie czytają Biblię i za każdym razem przekonywali się o prawdziwości ich słów.

O jednym przypadku, który wydarzył się z takim niewykształconym człowiekiem, chcę opowiedzieć bardziej szczegółowo.

Jeżeli Zulus zachoruje, wtedy nie idzie on do lekarza, ale do szamana lub czarownicy, żeby dowiedzieć się od nich imienia człowieka, który sprowadził na niego tę chorobę lub inne nieszczęście.

Tak więc, pewien znany czarownik miał dwunastoletniego syna o imieniu Maban-go, który był prawą ręką swojego ojca i dobrym jego pomocnikiem w czarach. Pewnego razu ten młody człowiek ciężko zachorował. Miał gangrenę palca nogi. Z powodu gnicia bóle były tak okropne, że młodzieniec nie mógł znaleźć sobie miejsca. Sztuka czarodziejska ojca nie pomagała i wtedy zostali wezwani czarownicy z Rodezji — sąsiedniego kraju afrykańskiego, będącego dwa tysiące kilometrów od nas. Jednak i oni nie byli zdolni pomóc choremu. Wtedy ojciec wybrał się do Mozambiku i przywiózł stamtąd najbardziej znanych szamanów. Lecz i oni okazali się bezsilni. Młody człowiek zmuszony był znosić straszne cierpienia.

Właśnie w tym czasie zaproszono nas do tej okolicy, żeby głosić ewangelię. Jeden z nowonawróconych chrześcijan, który mieszkał tam, przyszedł do tego syna czarownika i powiedział mu: — Posłuchaj, do nas tutaj przyjeżdżają wysłannicy Boży. Idź na ich zgromadzenie i poproś, żeby oni pomodlili się do Pana o twoje uzdrowienie.

— Nie — odpowiedział chory. — Czarodziejstwo i chrześcijaństwo nie mogą iść ręką w rękę. Spirytyzmu i nabożeństwa nie można połączyć. — Lecz ból w nodze był tak nieznośny, że dosłownie zmusił go do pójścia na to zgromadzenie. Tam usiadł w ostatnim rzędzie, starając się być niezauważonym. Jest zrozumiałe, iż kaznodzieja pojęcia nawet nie miał o tym, że ten syn znanego szamana był w zgromadzeniu. Po prostu głosił dobrą nowinę. Jednak słowa jego kazania były tak skierowane do tego chorego młodzieńca, że on, starając się schować za plecami siedzących z przodu, myślał: „Kto powiedział temu kaznodziei o wszystkich moich grzechach? Kto mógł powiedzieć mu wszystko o mnie?”.

Drodzy przyjaciele, coś takiego może się zdarzyć tylko wtedy, kiedy Pan prawdziwie działa przez Swego Ducha. W Pierwszym Liście do Koryntian 14:24-25 mówi się o tym, że jeśli do zgromadzenia ludu Bożego wejdzie niewierzący człowiek, to w świetle Słowa Bożego tajemnice serca jego ujawnią się, tak że padnie on na twarz, kłaniając się Bogu i powie: „Prawdziwie Bóg jest z wami”.

Nie rozumiejąc, w jaki sposób jego życie stało się znane kaznodziei, ten młodzieniec pomyślał, że widocznie człowiek, który zaprosił go na zgromadzenie, poszedł do kaznodziei i opowiedział mu wszystko o nim. My u siebie w południo-

wej Afryce mówimy w takich przypadkach, że jeżeli ludzie tak się czują i tak myślą, wtedy jest to bardzo dobrym znakiem. Często ma to miejsce przed tym, zanim człowiek zacznie pokutować w prochu i popiele.

Właśnie tak zdarzyło się i tym razem. Przez usta kaznodziei Pan ujawnił wszystkie grzechy tego syna czarownika, całe jego minione życie. Po zgromadzeniu, gdy inni wstali, ten młodzieniec nie miał siły podnieść się ze swego miejsca. Wydawało mu się, że on jakby przykleił się do swojego krzesła. Siedzący po lewej i prawej jego stronie dawno już opuścili zgromadzenie, a on siedział dalej.

Kiedy kaznodzieja zobaczył go w takim stanie i podszedł do niego, on zaczął płakać, powtarzając: „Jestem grzesznikiem. Jestem na drodze do piekła. Bez Chrystusa zginę! Czy Jezus może wybaczyć mi moje grzechy?”.

Po tym, gdy ten młody poganin w skrusze otworzył swoje serce i wyznał swoje grzechy, Pan dotknął się go i został momentalnie uzdrowiony ze swojej strasznej choroby. W tym momencie kaznodzieja nawet nie modlił się o jego uzdrowienie, lecz kiedy Jezus zmiłował się i zbawił jego duszę, wtedy choroba cielesna została też uzdrowiona.

Krótko po tym wydarzeniu, pewnego razu nocą ten młodzieniec miał sen. Przed nim otworzyło się niebo i zobaczył opuszczającą się ku niemu Biblię. Kiedy zatrzymała się przed nim, usłyszał głos Boga, skierowany do niego:

— Mabango, otwórz Biblię i przeczytaj Przepowiedzi 8 rozdział od pierwszego wersetu.

— Panie! — wykrzyknął. — Ja nie umiem czytać. Przecież jestem analfabeta! Nigdy nie chodziłem do szkoły.

W odpowiedzi na to usłyszał ten sam głos, który powiedział mu: — Jeżeli Ja każę tobie czytać, to nie możesz mówić, że nie potrafisz tego zrobić, gdyż Ja jestem Tym, kto stworzył twój rozum i oczy.

Później Mabango wziął do rąk Biblię i w tym momencie, gdy ją otworzył, mógł czytać. Było to pierwszy raz w jego życiu i oto co przeczytał: „Na was, mężowie, wołam, mój głos zwraca się do synów ludzkich. Uczcie się roztropności, prostaczkowie, a wy, głupcy, nabierzcie rozumu!”. Gdy przeczytawszy wskazane miejsce Mabango zamknął Biblię, ona zaraz znikła w niebie.

W następną noc widzenie senne powtórzyło się. Znowu otworzyło się niebo, a Biblia ponownie opuściła się do niego. Ten sam głos Boży powiedział mu: „Mabango, weź Biblię i przeczytaj Izajasza 49 rozdział, 15 i 16 werset”. On wziął Biblię i przeczytał: „Czy kobieta może zapomnieć o swoim niemowlęciu i nie zlitować się nad dziećciem swojego łona? A choćby nawet one zapomniały, jednak Ja ciebie nie zapomnę. Oto na moich dłoniach wyrysowałem cię, twoje mury stoją mi zawsze przed oczyma”. Później Biblia znikła w niebie w ten sam sposób, jak i pojawiła się.

W trzecią noc znowu widział to samo widzenie i zostało mu powiedziane: „Teraz przeczytaj Księgę proroka Jeremiasza 1 rozdział od 4 do 7 wersetu”. Otworzywszy to miejsce Mabango przeczytał: „Doszło mnie słowo Pana tej treści: Wybrałem cię sobie, zanim cię utworzyłem w łonie matki, zanim się urodziłeś, poświęciłem cię, na proroka narodów przeznaczyłem cię. Wtedy rzekłem: Ach, Wszzech-

mocny Panie! Oto ja nie umiem mówić, bo jestem jeszcze młody. Na to rzekł do mnie Pan: Nie mów: Jestem jeszcze młody! Bo do kogokolwiek cię pošlę, pójdziesz i będziesz mówił wszystko, co ci rozkażę".

Kiedy nastał ranek, Mabango nie mógł dłużej wytrzymać i udał się na poszukiwanie Biblii. Odczuwając duże pragnienie czytania Słowa Bożego, szedł od jednej chaty do drugiej pytając się, czy nie mają Biblii. Długo tak chodził, póki nie przyszedł do domu pewnego miejscowego kaznodziei. Mabango był pewien, że tutaj otrzyma upragnioną księgę. Zobaczywszy gospodarza, zaraz zapytał go:

— Proszę powiedzieć, czy ma pan Biblię?

— Tak — odpowiedział mu ten.

— Czy mogę ją od pana wziąć?

— Nie! — padła nieoczekiwana odpowiedź. — Po co ona tobie! Przecież nie umiesz czytać i tylko pobrudzisz ją. Przecież jesteś synem czarownika i nigdy nie chodziłeś do szkoły, pasąc owce i kozy twego ojca.

— Tak, to prawda — nie odstępując od niego, prosił młodzieniec

— lecz proszę pozwolić mi chociaż jeden raz wziąć Biblię w swoje ręce!

Takie zachowanie wydało się kaznodziei bardzo dziwnym i zaproponował mu, aby wszedł do domu. Wziąwszy z półki parę książek, położył je przed młodym człowiekiem i powiedział: — Zgadnij, która z tych książek jest Biblią. — Mabango od razu wskazał na nią palcem i poprosił: — Proszę mi pozwolić przeczytać cokolwiek z niej.

— Otworzywszy Biblię, ku swemu własnemu zdziwieniu i zdziwieniu kaznodziei, mógł łatwo czytać każde jej słowo.

Od tej pory ten był młody analfabeta może nie tylko swobodnie czytać, ale i dobrze pisać. Wszystko to zostało dane mu przez Pana. Z Biblią w rękach przeszedł później wiele dziesiątek wsi i miast, niosąc ludziom ewangelię zbawienia. Przez jego kazanie nawróciły się do Pana setki dusz.

Pewnego razu udało się mu być na jednej konferencji w dużym mieście, gdzie zebrali się szczególnie znani kaznodzieje i teolodzy. Tam poprosił o pozwolenie mówienia do zebranych. Patrząc na niego z jawnym niedowierzaniem, dano mu na to pięć minut. Po pięciu minutach zaproponowano mu jeszcze piętnaście minut, później jeszcze pół godziny.

Po tym kazaniu, trwającym ponad godzinę, otoczyli go zdumieni teolodzy. — Powiedz, młody człowieku — sypały się na niego ich pytania, — gdzie pan studiował teologię? Do jakiej szkoły biblijnej pan uczęszczał?

W języku Zulu słowo „szkoła biblijna” brzmi jak słowo „Biblia”. Podniósłszy swoją Biblię do góry, odpowiedział im: — Biblia.

— To oczywiście jest zrozumiałe! — niecierpliwie przerwali mu teolodzy. — Lecz my chcieliśmy wiedzieć, jaki uniwersytet pan kończył i gdzie otrzymał taką wiedzę?

Mabango znowu uniósł swoją Biblię i powiedział: — Mnie uczyła ta Biblia. — Lecz profesorowie teologii nie zrozumieli wtedy, o czym im mówił.

Ten był analfabeta, syn czarownika, już wiele lat jest pracownikiem naszej misji, naczyniem, przez które działa Pan w wielkiej mocy. Drodzy przyjaciele! To

nie bajka, a rzeczywista historia, której świadkami są nie tylko chrześcijanie, ale i zupełnie niewierzący ludzie. Pan może działać ponad naszymi prośbami i ludzkim zrozumieniem. Dana jest Mu wszelka władza na niebie i na ziemi, i jest On tym samym wczoraj, dziś i na wieki.

A teraz będę mówił dalej o rozwoju przebudzenia. Od chwili jego początku stało się zwykłym zjawiskiem, że jeżeli ktokolwiek z przychodzących do nas pokutował i nawracał się do Pana, to już po dwóch lub trzech tygodniach po swoim powrocie do domu wzywał nas do siebie.

— W czym rzecz? Co tam u was się stało?" — pytaliśmy i słyszeliśmy w odpowiedzi: — Cała nasza okolica zaczęła się ruszać. — Kiedy zaś przychodziliśmy tam, to spotykaliśmy 200-300-400 osób, siedzących pod drzewami lub po prostu pod gołym niebem, które czekały na nas.

— Co tu się stało? — pytaliśmy.

— Ten człowiek, żyjący wśród nas, upamiętał się i widząc jego życie czujemy, że też musimy upamiętać się i przyjąć tego samego Boga. (Dusze ludzi przy tym były podobne do dojrzałego łąnu, gotowego do żniw).

W ten sposób Duch Boży ogarniał coraz to nowe okolice, tak że w ciągu tygodnia setki, a nierzadko i tysiące ludzi nawracało się do Pana. Zdarzały się i takie przypadki, kiedy tylko w jednym dniu liczba tych, którzy uwierzyli, osiągała kilka tysięcy.

Wtedy place taneczne, piwiarnie, stadiony i korty tenisowe były zamykane. Zapytacie, dlaczego? Dlatego, że ludzie po prostu nie mieli na to czasu. Oni szli i głosili ewangelię. Nawet analfabeci i dzieci nieśli ludziom nowinę o zbawieniu. Nie mieli oni najmniejszego pojęcia o teologii, lecz za to znali coś innego: „Jezus przebaczył nam nasze grzechy. Jezus zbawił nas. Przez Niego staliśmy się dziećmi Bożymi". Tak nieśli innym słowa żywej ewangelii.

I kiedy ludzie zaczęli przychodzić tłumnie, setkami i tysiącami, kiedy Pan zaczął działać w duchu, duszy i ciele, to powtórzyło się prawie wszystko, o czym czytamy w Dziejach Apostolskich. Wielka moc Boża przebywała wśród nas, objawiając się różnorodnie, w tej liczbie i w uzdrowieniach, cudach oraz znakach. Mnóstwo chorych i kalek przynoszono i kładziono wprost na trawie, i często przed rozpoczęciem zgromadzenia Pan dotykając się, uzdrawiał ich.

Pamiętam, gdy przyszedł pewien niewidomy. Byliśmy wtedy zgromadzeni wprost pod gołym niebem. Podczas zgromadzenia jego oczy nagle otworzyły się. Nie zapomnę, jak on później szedł, wystawiwszy do przodu swoją niepotrzebną teraz łaskę, i ciągle powtarzał: „Ja przecież zawsze mówiłem, że Jezus to Bóg białych. Lecz teraz wiem, że to mój Bóg! On jest moim Bogiem!". Jak tylko przebudzenie rozpoczęło się, przekonanie czarnych, że Jezus jest Bogiem białych, przestało istnieć. Teraz mówili: „On jest naszym Bogiem!".

Droży przyjaciele! Teraz chciałbym dokończyć opowiadanie o opętanej dziewczynie, której Pan nie uzdrowił kiedyś po naszych modlitwach. Wtedy musiałem zwrócić ją matce powiedziawszy, że nie możemy jej pomóc. Do momentu rozpoczęcia przebudzenia od tamtych wydarzeń minęło ponad sześć lat.

Przypomniawszy sobie o tym, prosiłem Pana o spotkanie z nią, jeśli tylko

żyje. I oto kiedyś, kiedy byliśmy w pewnym miejscu, mając tam zgromadzenie, spotkaliśmy tam tę biedną matkę, która przez te lata z tego bólu postarzała się nie do poznania, jakby minęło nie sześć, ale dwadzieścia lat. O, jak radowało się moje serce, kiedy znów zobaczyłem ją! I wiecie, co się stało? Pan uczynił cud. Dziewczyna została uwolniona i uzdrowiona, i więcej nie musiała mieszkać w górach. Znalazła także Pana Jezusa. Tak wszechpotężny jest nasz Bóg i tak wielką mocą jest Boża żywa ewangelia!

Opowiadałem też o niewidomym człowieku, który nie został przedtem uzdrowiony po mojej modlitwie wiary, a ja poniosłem przy tym stratę duchową i gorzkie rozczarowanie. Po tym, gdy Duch Święty wylał się na nas i zaczął działać, Pan nauczył mnie tej prawdziwej, Bożej wiary. Powiedział On do mnie: „Erlo, zapomnij o swojej tak zwanej wierze! Ona u Mnie się nie liczy”.

Drodzy przyjaciele, ja oczywiście wiem, że w Liście do Hebrajczyków 11:6 jest napisane, iż „bez wiary zaś nie można podobać się Bogu; kto bowiem przystępuje do Boga, musi uwierzyć, że On istnieje, i że nagradza tych, którzy go szukają”. Te słowa wypełniały się też w czasach Chrystusa. Zawsze, kiedy jakiś człowiek przychodził do Jezusa, On pytał się go: „Czy wierzysz?”. Jeżeli proszący błagał o uzdrowienie, Jezus zadawał mu pytanie: „Czy wierzysz, że to może się stać?”. I dopiero po tym, gdy usłyszał potwierdzające „wierzę”, mówił: „Według wiary twojej niech ci się stanie”.

Tak więc, ten fakt, że musimy mieć wiarę, nie ulega żadnej wątpliwości. Tylko różnica w tym, że to, co my nazywamy wiarą, i to, co Pismo nazywa wiarą, przedstawia sobą całkowicie różne rzeczy. Na przykład Jezus w Ewangelii według Jana 5:44 mówi tak: „Jakże możecie wierzyć wy, którzy nawzajem od siebie przyjmujecie chwałę, a nie szukacie chwały pochodzącej od tego, który jedynie jest Bogiem?”. Widzicie, przyjaciele, jak Pan ocenia wiarę. Mówi On nam wprost, że jeśli oczekujemy i przyjmujemy cześć oraz chwałę od ludzi, to nie możemy wierzyć w Niego.

Tak więc, co to jest wiara? Na ten temat trzeba mówić oddzielnie, dlatego żeby nie oddalać się daleko od całego opowiadania, chcę teraz powiedzieć tylko jedno: Jezus nie mówił, żebyśmy wierzyli w naszą wiarę, lecz żebyśmy wierzyli w Niego. Wiara — to dziwna rzecz. Czym bardziej koncentrujemy się na naszej wierze i patrzymy na nią, tym coraz mniejszą ona się staje, póki nie zniknie całkowicie. Jeżeli zaś patrzymy na Jezusa, wtedy wiara rośnie i pomnaża się pomimo tego, że nawet sami nie uświadamiamy sobie tego.

Nierzadko, kiedy u nas na stacji misyjnej dokonują się duże cuda, ludzie przychodzą i pytają mnie o to, czy czułem w chwili dokonywania się cudu szczególnie dużą wiarę. Wtedy biorę się za głowę i proszę pytających:

— Poczekajcie, dajcie mi pomyśleć i przypomnieć sobie, czy była tam wiara, czy nie było wiary. Tak, na pewno była. U nas przecież zawsze powinna być wiara. — Tylko taka odpowiedź zwykle nie zadowala i znowu następuje pytanie:

— Lecz, jak to się stało?

— Po prostu przyszedłem do Pana, jak dziecko do swojego ojca. Prosiłem Go o to, tak jak Ojca, a On spełnił moją prośbę.

Wiecie, przyjaciele, kiedyś Pan powiedział mi: — Erlo, zostaw i odrzuć swoją tak zwaną wiarę. Myśl i dajż do tego, aby twoje stosunki ze Mną były w porządku. — Widzicie, co w oczach Bożych jest najważniejszym. Ważne jest, żeby więż z Jezusem była stała i nierozzerwalna, i żeby w życiu naszym nie było nic takiego, co oddziela nas od Pana. Jeżeli ta łączność, ten stosunek z Nim (nieważne, jak to nazwiemy) jest w porządku, wtedy może On działać bez przeszkód przez Ducha Świętego.

A teraz wróćmy do przerwaneę opowiadania. Usłyszawszy pierwszy raz o Panu, wielu pogan zostawiało swoją przeszłość i przychodziło do Nieęo, w pełni oddając siebie w Jego władzę. Przy tym nie mieli oni możliwości dowiedzieć się wszystkiego od razu o swoim przyszłym nowym życiu. Gdyby nawet było to możliwe, oni i tak nie mogliby od razu wszystkiego zapamiętać. Przecież nie darmo Jezus powiedział kiedyś, zwracając się do Swoich uczniów: „Mam wam jeszcze wiele do powiedzenia, ale teraz znieść nie możecie”.

Tak i ci czarni poganie, którzy uwierzyli i przyjęli Chrystusa, wracali od nas z powrotem tam, gdzie mieszkali; a tam sam Pan dalej kierował ich życiem, tak że wielu z nich po jakimś czasie znowu przychodziło do nas, przyjmując dla siebie coś nowego z życia chrześcijańskiego, na co wskazał im Pan.

Prócz tego, jak już mówiłem, wśród czarnych bardzo dużo jest zupełnych analfabetów, którzy nie umieją czytać ani pisać. Wielu z nich nie ma najmniejszego wyobrażenia o Słowie Bożym i nigdy przedtem nie słyszało o nim, dlatego sam Pan staje się ich nauczycielem.

Pewnego razu upamiętała się i nawróciła jedna starsza kobieta, która wcześniej była pijaczką. Wróciła do siebie do domu, lecz już po paru dniach znowu przyszła do nas i zapytała: „Powiedzcie mi, jeżeli jestem chrześcijanką i Jezus mieszka w moim sercu, to znaczy, że nie można więęć pić wina?” Byliśmy zdziwieni jej pytaniem i zapytaliśmy, jak do tego doszła. Wtedy opowiedziała nam, co następuje: „Kiedy wracałam od was do domu, to z przyzwyczajenia zaszłam do swoich przyjaciół, chcąc z nimi wypić. Jednak, wzięwszy parę łyków wina, poczułam się bardzo źle. Musiałam szybko wyjść z tego domu, gdyż zaczęłam mocno wymiotować. Torsje trwały tak długo i były tak męczące, że wydawało się mi, iż umrę. Nigdy przedtem nie zdarzyło się ze mną coś podobnego. Parę dni później próbowałam znów pić wino i powtórzyło się to samo. Teraz w ogóle nie mogę znieść alkoholu. Powiedzcie mi, czyżby chrześcijanie wcale nie pili wina? Czyżby to było przeciwne życiu chrześcijańskiemu? Czuję, że Bóg mocno zmienił mnie. Mam teraz zupełnie inną naturę, którą On mi dał. Bardzo dużo z tego, co robiłam wcześniej, nie mogę więęć robić. Czy tak jest? Czy to jest prawidłowe?”.

Jak widzicie, przyjaciele, z chwilą upamiętania i nawrócenia Chrystus stał się jej życiem. Tak ciąęgle przekonywaliśmy się w praktyce o prawdziwości Słowa Bożego, które mówi: „Jeśli ktoś jest w Chrystusie, nowym jest stworzeniem; stare przeminęło, oto wszystko stało się nowe” (2Kor 5:17).

Na początku swojego opowiadania mówiłem, że u Zulusów dzieci znajdują się pod działaniem czarów już w łonie matki, a w przyszłości czary, służba złym duchom i duchom zmarłych, a także składanie ofiar jest ich powszednim chlebem.

I oto jeden taki Zulus został chrześcijaninem. Pewnego razu zaprosił go do siebie w odwiedziny jego rodzony brat. Przed jego przyjściem ten brat złożył ofiarę duchom zmarłych i rozmawiał z nimi. Nowonawrócony chrześcijanin, który przyszedł tam, nie wiedział, że w tym dniu dokonano składania ofiar. Kiedy podczas obiadu podano mu ofiarne mięso i zaczął jeść, na oczach wszystkich stało się coś niewiarygodnego — całe jego ciało nagle zaczęło brzęknąć i drętwieć. Odrętwienie było tak duże, że nie był zdolny unieść powieki swego oka, żeby patrzeć.

Chrześcijanin szybko przywołał do siebie swego brata i zapytał go, co to za mięso, które mu dano. Usłyszawszy, że mięso było składane bałwanom, chory poprosił, aby szybko przewieziono go do jego domu i tam, padłszy na kolana, błagał Pana o przebaczenie tego grzechu, który popełnił z niewiedzy. Podczas modlitwy obrzęki i odrętwienie znikły. Tak ten człowiek zrozumiał, że już więcej nie może składać ofiar i jeść mięsa ofiarnego.

W taki sposób Bóg mówił i dotąd mówi do tych ludzi. Jest wiele, czego On ich uczy, a oni, jak owce, słyszą głos swojego Pasterza. Po uwierzeniu Chrystus staje się ich życiem, a Biblia ich przewodnikiem.

Jezus tak wypełnia życie człowieka, że cała jego postać i cała jego istota przekształca się w Jego obraz. Żony stają się podobne do Jezusa, w mężach zaczyna być widoczny Jezus, dzieci też odzwierciedlają obraz Chrystusa.

Życie rodzinne u Zulusów upływa według znanego powiedzenia: „psa komenderuje się kijem”, a tym „psem” u nich często jest żona. Tak oto, pewna taka czarna kobieta, przyjąwszy Chrystusa wróciła do domu. Jej mąż był największym pijakiem w całej tej okolicy. Był to strasznie zły i okrutny człowiek. Żona i dzieci nierzadko musiały spać na ulicy lub na kukurydzianym polu, gdyż każdego dnia bił ich kijem. Mąż przepijał wszystko, a żona musiała sama wyżywić swoją rodzinę. Oczywiście, w tym domu nie było pokoju, dlatego że żonie nie starczało sił, żeby milczeć, i często dochodziło do kłótni oraz awantur. Jednak nastąpił moment, kiedy ta kobieta upamiętała się i nawróciła do Pana. Po paru dniach, mąż, uderzony zmianą, która nagle w niej nastąpiła, zapytał:

— Posłuchaj żono, co z tobą się stało?

— Dlaczego o to pytasz? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.

— Tak się zmieniłaś! Już nie odzywasz się do mnie tak, jak to robiłaś wcześniej. Stałaś się tak posłuszna, jak nigdy jeszcze nie byłaś. Przecież zawsze starałaś się powiedzieć ostatnie słowo, jakbym nie ja, ale ty byłaś głową w domu. Teraz zaś zaczęłaś postępować inaczej. Szanujesz mnie tak, że czuję się w domu królem.

I rzeczywiście, kiedy mąż jak zwykle wracał do domu pijany, ona więcej nie pytała go, skąd przyszedł i gdzie tak długo był. Zamiast tego przynosiła mu misę z ciepłą wodą, żeby umyć nogi, przygotowywała łóżko, obchodząc się z nim spokojnie i czule. Obserwując to, zdziwiony mąż w zdumieniu tylko kiwał głową.

— Powiedz mi — dopytywał się — czyżbyś stała się chrześcijanką? Czy nie przyjęłaś Boga białych?

Trzeba powiedzieć, że Zulusi, stając się chrześcijanami, nie spieszą się do mówienia o tym, gdyż mówienie o tym oznacza narażenie się na śmiertelne nie-

bezpieczeństwo. Jeżeli dziecko powie rodzicom, że zostało chrześcijaninem, to wyganiają je. U nas na stacji misyjnej jest dużo dzieci, nawet zupełnie małych, które zostały wygonione z domu przez ich rodziny. Tych, którzy stają się chrześcijanami, Zulusi nazywają zdradcami, gdyż uważa się, że taki czarny staje po stronie białych i odrzucając własną religię, przyjmuje religię białych. Dlatego na pytanie swojego męża pijaka kobieta milczała. Przecież mógł on ją za to zabić. Lecz mąż z uporem pytał ją do tej pory, póki ona nie przyznała się, że rzeczywiście była u białych w Mapumulo i przyjęła ich Boga. Wtedy powiedział jej:

— Jeżeli Bóg białych mógł zrobić z tobą to, czego ja nie mogłem zrobić kiejem, to w tym coś jest. Dlatego ja też chciałbym tam pójść. — Następnego dnia przyszedł na zgromadzenie i od razu się upamiętał.

Wicie, przyjaciele, u nas w Południowej Afryce był pewien bardzo dobry pogromca lwów. Pewnego razu otwarcie przyznał się, że zdolny jest ujarzmić każdego, nawet najbardziej drapieżnego lwa, ale nie może ujarzmić swojej żony. Dlatego nie jest dziwne, że dla niektórych mężów jest to prawdziwy cud, jeśli Pan, zaczawszy działać w życiu ich żon, całkowicie je zmienia. Przy tym żonie nie trzeba wcale dużo mówić. Jeśli mąż widzi cudowną przemianę w jej życiu, wtedy bez słów to zwycięża go. Pamiętajcie, drogie żony, że serce męża zawsze ma jedną właściwość: on nie może i nie chce niczego przyjmować, jeżeli żona zaczyna uczyć go lub mówić kazanie. Będzie się sprzeciwiał jej słowom nawet w tym przypadku, jeżeli czuje, że żona ma rację. Takie jest już serce męża. Dlatego wiedząc to, Jezus obiecał pomóc wam, żony, jeśli będziecie posłuszne i uległe swoim mężom. Właśnie swoim zachowaniem żona zdolna jest szybko zawojować serce swojego męża i pozyskać go dla Pana. Mogliśmy się o tym przekonać od razu na początku przebudzenia i od tej pory zagadnienie upamiętania mężów przestało być problemem. Oni pokutowali jeden za drugim.

Także i dzieci, uwierzywszy w Jezusa, wracały do domu i też nie mówiły tam ani słowa, lecz ich zachowanie i ich życie tak zmieniali się, że już po paru dniach rodzice zaczęli pytać ich, co z nimi się stało. Przedtem trzeba było po dwa lub trzy razy mówić im, żeby kładły się spać, albo coś zrobiły lub pomogły umyć naczynia i zrobić porządek w domu. Przy tym zaczynały się sprzeciw i narzekania: „Ach, mamo, czemu właśnie ja, a nie ktoś inny musi to robić? Dlaczego zawsze ja muszę myć naczynia?”. Zaś teraz, nie czekając na polecenie rodziców, dzieci same zaczynały robić to. Wracając do domu, ojciec i matka widziały porządek, wszystko pomyte i wyczyszczone, i dziwiąc się pytali dzieci, gdzie były i kto ich tego nauczył. W ten sposób rodzice poznawali i przyjmowali Pana przez swoje dzieci, a ten ogień płonął i rozprzestrzeniał się przez życie Chrystusa, które odbijało się w tych, którzy Go poznali i przyjęli.

Dzieci, które uwierzyły, szły do swojej szkoły, a ogień przebudzenia rozpałał się tam, ogarniając nie tylko innych uczniów, lecz nawet nauczycieli. O jednym z takich przypadków będzie moje następne opowiadanie.

Wkrótce po rozpoczęciu przebudzenia przyszło do mnie paru rodziców, którzy teraz są najlepszymi pracownikami naszej misji, i powiedziało, że chcą zabrać swoje dzieci ze szkoły. Zdziwiony zapytałem ich o to, dlaczego chcą tak po-

stąpić. Odpowiedzieli, że jeśli tego nie zrobią, to nie będą mogli dalej głosić Słowa Bożego. Jeszcze bardziej zdziwiony dalej pytałem ich o przyczynę takiej decyzji.

— Czy Biblia nie mówi nam o tym — powiedzieli, że ten, kto nie potrafi kierować swoim własnym domem, nie jest zdolny też do kierowania społecznością? Dowiedzieliśmy się, że nasze dzieci są w szkole nieposłuszne, źle odrabiają zadania domowe, a także źle zachowują się nie tylko w stosunku do innych uczniów, ale nawet w stosunku do nauczycieli. Dlatego musimy zdecydować się na jedną z dwóch rzeczy: albo nasze dzieci się upamiętają, albo my powinniśmy przestać głosić Słowo Boże".

— No, no — myślałem — co teraz będzie? — A rodzice kontynuowali: — Modliliśmy się o to i postanowiliśmy nie pozwalać dzieciom chodzić do szkoły. Nie chcemy tych pieniędzy, które daje nam Pan, tracić na naukę naszych dzieci. Niech lepiej będą nieukami niż mądrymi satanistami. — Słyszac coś takiego, gotowy byłem wziąć się za głowę, myśląc, że takie podejście do rzeczy może doprowadzić do końca przebudzenia. Jednak ci rodzice pozostawali zdecydowani w swoim postanowieniu i nie pozwolili swoim nieposłusznym dzieciom chodzić do szkoły, wyjaśniając im to w ten sposób: — Dzieci, my głosimy ewangelię i mówimy ludziom o Panu Jezusie, a Biblia uczy nas, że jeżeli pracownik zboru nie jest zdolny utrzymać w posłuszeństwie swoich dzieci, wtedy nie może też kierować społecznością. Wy jesteście nieposłuszne, nie jesteście światłością i solą w szkole, a tym wiążecie nam ręce i nogi oraz zatykacie usta. Tak dalej być nie może! Dlatego nie będziemy kształcić was, póki służyście diabłu. — W ten sposób ci chrześcijanie zabrali swoje dzieci ze szkoły.

Po tym wydarzeniu minął tydzień, później drugi. I oto przywieźli oni dzieci do nas na misję i modląc się, prosili Pana, aby pomógł im w tej sprawie. Po jakimś czasie dzieci zaczęły pokutować jedno za drugim. Wiele z nich nie miało wtedy więcej niż siedem-osiem lat, inne dwanaście-trzydzieści. Pan posłał do tych dziecięcych serc głęboką świadomość ich grzechów i upamiętanie. Prosiły swoich rodziców i bliskich o przebaczenie, później przychodziły do mnie i w wyznaniu oczyszczały swoje życie.

Potem dzieci zwróciły się do rodziców z prośbą, żeby pozwolili im pójść do szkoły, aby mogły prosić o wybaczenie swoich rówieśników. Rodzice zgodzili się na to, lecz uprzedzili, że jednocześnie z tym chcieliby widzieć owoce ich upamiętania. Dzieci obiecały, że odtąd w szkole będą żyły tylko dla Pana.

Wtedy rodzice przyszedli do mnie z prośbą, żebym dał im samochód, aby pojechać do szkoły. Prosiли mnie o radę, co powiedzieć dyrektorowi po tym, co się wydarzyło. Przecież zabrali swoje dzieci bez żadnego wyjaśnienia przyczyny.

— To jest wasza sprawa, moi przyjaciele — odpowiedziałem im. — Przecież to nie ja mówiłem wam, żeby zabrać dzieci ze szkoły. To było waszym osobistym słowem i waszą decyzją. Powiedzieliście mi wtedy, że sam Pan wam to objawił. Jeżeli tak było rzeczywiście, to Pan może objawić wam też, jak postępować dalej. Tak że w tym przypadku nic nie mogę wam poradzić. — (Drodzy przyjaciele, my zawsze postępujemy tak, gdyż my, ludzie, nie możemy zajmować miejsca Ducha Świętego i samego Boga, który powinien być zawsze i we wszystkim

pierwszym i ostatnim. I jeżeli przychodzi do nas jakakolwiek dusza i pyta się o radę lub ukierunkowanie, to my z kolei pytamy tego człowieka: „A co na to mówi ci Pan?”).

Tak więc, ci rodzice wzięli samochód i z nie ukrywanym lękiem oraz drżeniem pojechali do szkoły. Ich niepokój tłumaczył się po części tym, że dyrektor tej szkoły nic nie chciał wiedzieć o ewangelii i zabraniał chrześcijaństwa w szkole, nie chcąc mieć z nim nic wspólnego.

Kiedy rodzice przyjechali do szkoły, to najpierw, zanim jeszcze wysiedli z samochodu, pomodlili się, prosząc, żeby Pan był z nimi i szedł przed nimi, przygotowując im drogę. Gdy skończyli modlitwę i otworzyli oczy, to prawie przeżyli szok. Przed ich samochodem stał dyrektor szkoły. Jakież było ich jeszcze większe zdziwienie, gdy ten dyrektor, zwracając się do nich, przemówił drżącym głosem: — Drodzy przyjaciele, czuję się przed wami przestępcą, człowiekiem z nieczystym sumieniem. Proszę, wybaczcie mi!

Wstrząśnięci rodzice nie wiedzieli nawet, co powiedzieć. Wszystko było odwrotnie. Przecież to oni popełnili błąd, bez żadnych wyjaśnień zabierając swoje dzieci ze szkoły! To oni przyjechali tutaj, żeby prosić tego człowieka o wybaczenie. Lecz zanim mogli cokolwiek powiedzieć, sam dyrektor poprosił ich o wybaczenie.

W końcu wszyscy razem przeszli do jego gabinetu. Siadłszy za swoim stołem, dyrektor znów zwrócił się do nich ze słowami: — Mam takie uczucie, jakbym był bardzo winny przed wami

— Nie — powstrzymali go chrześcijanie — to my jesteśmy winni przed panem! To my zgrzeszyliśmy! My postąpiliśmy nieprawidłowo, zabierając swoje dzieci ze szkoły bez wyjaśnienia przyczyny. I dlatego chcemy teraz powiedzieć panu tę przyczynę. My głosimy Słowo Boże — ewangelię, a Biblia mówi, że jeżeli jesteśmy pracownikami w zborze, lecz nie umiemy kierować swoim własnym domem, to nie jesteśmy godni naszej pracy. Słyszeliśmy, że nasze dzieci były niegrzeczne na zajęciach i nieposłuszne, źle odrabiały prace domowe i niektóre nawet paliły i kłóciły się w klasie. Dlatego postanowiliśmy, że dalej tak być nie może. Albo nasze dzieci się upamiętają, albo my powinniśmy przestać głosić Słowo Boże. Nie mieliśmy innego wyjścia i postanowiliśmy zostawić dzieci w domu. Już lepiej niech zostaną analfabetami, niż otrzymawszy wykształcenie staną się sługami diabła.

Przy tych słowach rodziców z rąk dyrektora wypadło pióro. — Drodzy moi — powiedział — pozwólcie mi zebrać wszystkich rodziców, żeby opowiedzieć im wszystko, co do mnie teraz powiedzieliście, i prosić ich wszystkich, żeby zrobili to samo, co zrobiliście wy. Przecież, jakże zmieniłby się cały nasz system nauczania i cała praca z dziećmi, gdyby wszyscy rodzice wzrosli do tego poziomu, który osiągnęliście wy! Teraz chcę powiedzieć wam, że odtąd otwieram drzwi tej szkoły dla głoszenia ewangelii. O każdym czasie dnia, kiedy tylko Bóg pobudzi was do tego, proszę przyjść do nas. Zawiesimy wszystkie zajęcia i zrobimy nabożeństwo. Nasze drzwi będą zawsze otwarte dla was i zawsze możecie głosić tutaj Słowo Boże.

Na pytanie rodziców, czy mogą teraz znów posłać swoje dzieci do szkoły, dyrektor z radością odpowiedział twierdząco.

W poniedziałek rano wszystkie te dzieci, poczynając od najmniejszych, przyszły do szkoły i w pierwszej kolejności poszły do dyrektora, żeby prosić go o wybaczenie. Po tym poprosiły go o pozwolenie, aby mówić do wszystkich uczniów. Wtedy dyrektor zebrał wszystkich uczniów, 600-700 uczących się, i wszystkie dzieci chrześcijan, wstawszy, zaczęły prosić o wybaczenie tego, że żyły złym życiem i były niewierne Panu Jezusowi. W tym czasie, kiedy dzieci tak osądzały swoje nieprawidłowe życie, prosiły o wybaczenie inne dzieci i świadczyły o Panu, wszyscy nauczyciele jeden za drugim zaczęli pochlipywać, a później głośno szlochać. W ślad za nauczycielami rozplakali się uczniowie.

Tak Duch Boży nawiedził tę szkołę i setki nowych dusz nawróciło się do Pana, oczyściwszy i doprowadzając do porządku swoje życie. W ciągu trzech tygodni ten ogień, zapalony przez Pana, przeszedł przez szkoły i inne uczelnie aż na uniwersytet republiki plemienia Zulu. Tysiące dzieci i młodzieży zostało ogarniętych przez Słowo Boże i Jego Ducha.

Pan odniósł zwycięstwo! A przecież od czego, wydawałoby się, to zaczęło się? Od „nieprawidłowego” posunięcia. Taki jest nasz Pan! Często przychodzi On wtedy, kiedy tego nie oczekujemy, i zaczyna działać tak, jak my w ogóle nie przypuszczamy.

Drodzy przyjaciele! Jeżeli choć raz przeżyjecie przebudzenie duchowe, to nie myślę, że po tym będziecie zadowoleni czymś mniejszym. Jeżeli zaś jesteście zadowoleni czymś mniejszym, to tylko dlatego, że widocznie nigdy jeszcze nie zasmakowaliście radości przebudzenia.

Jeśli poznacie Boga w Jego chwale, potędze i mocy, wtedy będziecie walczyć i modlić się, prosząc Pana, aby pomógł wam żyć tak, żeby nic nie stanęło na przeszkodzie między wami i Nim.

7. Wrogowie przebudzenia

Jeżeli modlimy się o przebudzenie, to nie możemy zapominać o trudnościach, które przyjdą razem z nim. To dlatego, że właśnie przebudzenie duchowe jest tym, czego diabeł szczególnie nienawidzi.

Prawdziwe przebudzenie duchowe można krótko scharakteryzować jako działanie Ducha Świętego w oddanych i wiernych sługach Bożych, którzy będąc przyobleczeni Jego mocą, wychodzą na niwę misyjną. I jeżeli ci posłańcy Pana wdzierają się do królestwa szatana, to rozumie się, że on przy tym nie pozostaje spokojny. W takim czasie będzie on podejmował wszelkie wysiłki, zmierzając ku temu, żeby powstrzymać lub chociaż zaszkodzić sprawie Bożej. Po to wykorzystuje swoje naczynia, których ma więcej niż wystarczająco nie tylko wśród ludzi tego świata, lecz niestety i wśród tych, którzy nazywają się chrześcijanami.

Na potwierdzenie tego opowiem wam o tym, co zdarzyło się nam bezpośrednio przed rozpoczęciem przebudzenia i dalej podczas jego rozwoju.

Przede wszystkim diabeł próbował zrobić wszystko, żeby przeszkodzić początkowi przebudzenia. W tym czasie, kiedy zbieraliśmy się codziennie, szukając oblicza Pańskiego i doprowadzając swoje życie do porządku, nieoczekiwanie wezwano mnie do burmistrza. Gdy przyszedłem tam, to zobaczyłem tu jeszcze sędziego. Przywitawszy mnie i proponując, żebym usiadł, zaczęli rozpytywać mnie o to, gdzie prowadzę nasze zgromadzenia. Odpowiedziałem im, że prowadzę je w starej szopie, która wcześniej była oborą. Usłyszawszy to, chcieli uściślić, w jakim właściwie miejscu ona się znajduje.

Wyjaśniając mi przyczynę wezwania, burmistrz powiedział, że w tej miejscowości są ludzie, którzy napisali na mnie skargę do pobliskiego miasta Pietermaritzburga. Nie chcieli oni, żebym u nich głosił ewangelię i naciskali, żeby usunąć mnie z ich miejscowości. W ten sposób zostały wyznaczone miejsca, gdzie nie pozwalano mi wchodzić, abym głosił.

Trzeba powiedzieć, że u nas w Południowej Afryce istnieje wolność dla głoszenia ewangelii. Jeżeli jednak, na przykład, jakiś król lub wódz czarnego plemienia oświadczy, że nie chce mieć nic wspólnego z chrześcijaństwem, wtedy nasz biały rząd bierze to pod uwagę, gdyż nie chce ograniczać praw czarnej ludności kraju.

Prócz tego są też niektóre kościoły, których interesów broni rząd. Rzecz w tym, że kiedy w minionym stuleciu do Południowej Afryki przyjechali pierwsi misjonarze, to otrzymali we władanie duże farmy z dużą ilością ziemi. Żyli oni wtedy w otoczeniu czarnych pogan i jeżeli ktokolwiek z Zulusów przyjmował Chrystusa i stawał się chrześcijaninem, to zostawał wygoniony. Dla takich czarnych nie było więcej miejsca wśród ich współplemieńców, dlatego znajdowali sobie miejsce na dużych farmach białych misjonarzy. W ten sposób tysiące hektarów zaczęło należeć do kościelnych społeczności, które powstawały i które całkowicie kierują życiem osiedli, znajdujących się na ich terytorium. Ich prawa są chronione przez państwo i rząd. Właśnie takie kościoły nie pozwalały mi teraz być i głosić w okolicach należących do nich, bo nie należałem do nich i do ich organizacji. W swojej skardze kościelni przywódcy pisali, że nie chcą, żebym zabierał im ich owce.

Oczywiście mieli na myśli owce duchowe.

Tak więc, pomimo tego, że miałem oficjalne pozwolenie południowoafrykańskiego rządu na moją pracę misyjną i miałem prawo głosić, gdzie chciałem, w tym przypadku miejscowi przywódcy kościołni mogli pozwolić lub zabronić mi przebywania na ich terytorium.

Rozumiejąc złożoność sytuacji, w wewnętrznej modlitwie oddałem tę sprawę w ręce Pana, bo czułem, że powinienem pozostać w Mapumulo.

I oto sędzia oraz burmistrz nakazali przynieść sobie szczegółowy plan tej miejscowości. Przeglądając go odkryli, że granica spornego terytorium przebiega wprost przez tę szopę, przy czym nie przez środek, lecz przez północną jej część. Tylko 1/8 części szopy, jej północno-wschodni róg znajdował się na wolnym terenie, a 7/8 jej powierzchni w strefie zabronionej dla nas.

Wtedy burmistrz zapytał mnie, w jakiej części szopy się znajduję podczas kazania. Odpowiedziałem, że głoszę stojąc z lewej strony stołu, który znajduje się w rogu szopy po jego lewej stronie. Porównawszy to z danymi planu, sędzia wykrzyknął ze zdumienia. Okazało się, że podczas kazania stałem zawsze przy rozdzielającej linii, po stronie wolnej od zakazu, podczas gdy zgromadzeni siedzieli na terenie strefy zabronionej.

Sprawa skończyła się tym, że pozwolono mi głosić dalej. Tak cudownie Bóg rozwiązał wtedy ten problem, a wkrótce po tym zaczęło się przebudzenie.

Jak widzicie, drodzy przyjaciele, diabłu prawie udało się przeszkodzić sprawie Bożej i wydawało się, że wszystko wisi na włosku. Lecz jeżeli w uniżeniu chodzimy przed Panem, chwając Go, wtedy On burzy wszystkie zamysły i zamiały szatana. Przecież dla Boga nie ma nic niemożliwego!

Minęły dwa lub trzy dni od rozpoczęcia przebudzenia, gdy znowu zabroniono nam odprawiania nabożeństw. Tym razem pochodziło to od człowieka, mającego władzę, który nie chciał nic wiedzieć o chrześcijaństwie. Zabronił nam zgromadzać się pod pretekstem, że miejsce, gdzie zbieraliśmy się, nie jest przeznaczone na zbor, ale na działalność gospodarczą. I wtedy pomyślałem, że to będzie końcem przebudzenia. Lecz pomimo to, że ludzie mogą zabronić nam zgromadzać się, to nigdy nie będą mogli związać Ducha Świętego i żywego Słowa Bożego.

Od dnia zakazu nie mogliśmy odprawiać nabożeństw i zgromadzeń modlitewnych w tej miejscowości, lecz ogień, który rozpałił Pan, nie przestawał płonąć. Sam Bóg szedł przed nami, dalej przyprowadzając dusze ludzkie i niszcząc powstające przed nami przeszkody.

Człowiek, który stosując prawo zabronił nam się zgromadzać, był bezbożnikiem i miał tylko jednego, siedmioletniego syna. Wkrótce po tym, gdy powstał on przeciwko nam, przeniesiono go służbowo do innego okręgu, do stolicy naszego kraju — Pretorii. Kiedy razem z rodziną przybył tam, to stało się nieszczęście. W tym czasie, gdy jego syn wyszedł pobawić się na podwórku, nie wiadomo skąd przybiegł duży pies i rozerwał to dziecko, że ono zaraz zmarło. Taka była zapłata Boża dla człowieka, który stał się przeszkodą na drodze przebudzenia. Opowiadano nam później, że po tym wydarzeniu ten były bezbożnik zaczął chodzić do

kościola.

Inny człowiek, który działał wspólnie z pierwszym i też powstał przeciwko nam, miał zdrowe i normalne dzieci. Ale kiedy stanął na drodze przebudzeniu, urodziło się mu w rodzinie jeszcze jedno dziecko, które nie mogło ani żyć, ani umrzeć, znosząc straszne cierpienia.

Kiedy diabłu nie udało się z zewnątrz przeszkodzić przebudzeniu, spróbował zrobić to od środka, wyszukując dusze, nadające się do użycia przez niego. Pewna rodzina, która była wtedy w naszej społeczności, powstała przeciwko przebudzeniu uważając, iż po to, żeby być chrześcijaninem, wystarczy przyjąć Pana i chodzić na zgromadzenia. Twierdzili, że nie ma konieczności zbierać się codziennie dwa razy, jak wtedy to robiliśmy, gdyż w domu też są obowiązki i sprawy, na które potrzebny jest czas. W tej rodzinie były cztery córki. Po tym, gdy ta rodzina powstała przeciwko nam, wszystkie te dziewczyny w ciągu roku popadły w nierząd, w rezultacie czego każda oczekiwała nieślubnego dziecka.

Jeszcze jedna rodzina, należąca do naszej społeczności, także sprzeciwiła się przebudzeniu, nazywając nas zbyt skrajnymi i fanatykami. Chcieli oni pędzić spokojne i wygodne życie chrześcijańskie, starając się przekonać do tego też pozostałych. Skutkiem tego było to, że wszyscy synowie z tej rodziny znaleźli się w więzieniu, po czym matka przysłała do nas z prośbą, żebym ich tam odwiedził.

Tak można byłoby przytaczać jeszcze wiele przykładów, kiedy Pan dokonywał Swego sądu nad przeciwnikami Jego sprawy. Z jednej strony widzieliśmy miłość i wierność Bożą, zaś z drugiej strony Jego sąd i zapłatę, potwierdzające tę prawdę, że Bogu nie można bezkarnie bluźnić.

I ciągle, pomimo tego, że niejednokrotnie widzieliśmy i przekonywaliśmy się o tym, że Bóg jest z nami, nie było mi łatwo znosić nałożonych na mnie nakazów i gorąco modliłem się do Pana. W tym smutku przejeżdżałem pewnego razu swoim samochodem obok zabronionej dla mnie miejscowości, gdy nagle przysły do mnie słowa obietnicy: „Ten lud i tę ziemię Ja dam tobie w dziedzictwo”. Uderzony tym wykrzyknąłem: „O, Panie! To niemożliwe! Przecież sąd zabronił mi wchodzić do tej miejscowości!”. Lecz słowa wypowiedziane przez Boga wypełniały się.

My dalej, oczywiście, modliliśmy się, chociaż nie było to jawnie. I oto w jednym z takich dni przysłała do nas pewna kobieta, pracująca w magistracie, i poprosiła, żeby modlić się o nią, gdyż była opętana. Pomyślałem wtedy, iż możliwe, że jej prośba jest rzeczywiście szczerą, jednak może być także pułapką dla nas, dlatego powiedziałem jej, że nie mogę modlić się o nią, gdyż chcę być posłusznym władzy. Przecież Biblia uczy nas, żeby być posłusznym prawu i władzy. Wyjaśnwszy jej to, wysłałem ją z powrotem do burmistrza, żeby przekazała mu, dlaczego odmawiam modlenia się o nią.

Po jakimś czasie wezwano mnie do magistratu. Kiedy przyszedłem tam, burmistrz zapytał mnie, dlaczego nie zgodziłem się modlić o kobietę, która pracuje u niego. Odpowiedziałem, że nie mogę tego robić, gdyż zabroniono mi.

— Nikt nie może zabronić ci modlić się o człowieka! — powiedział.

— Tak, lecz modlę się o ludzi nie sam, ale razem z moimi współpracowni-

kami — uściłitem. — A oni niekiedy śpiewają podczas modlitwy. — Burmistrz zamilkł i długo myślał w milczeniu. W końcu, znowu zwracając się do mnie, powiedział:

— Dobrze. Możesz to robić.

O, jakże cieszyliśmy się wtedy! Było to równoznaczne z wyrwą w murze zakazu. Po tym mogliśmy znowu zbierać się razem, śpiewać i modlić się o ludzi.

W tej kobiecie, pracującej w magistracie, były legiony złych duchów, które powiedziały nam, że nie wyjdą z jej ciała bez przelania krwi. I rzeczywiście, przez wiele godzin opętana miała krwotok, póki duchy nieczyste nie wyszły z niej.

Wkrótce po tym przypadku, jakoś o północy zebraliśmy się w mojej sypialni i gorąco modliliśmy się. W tym czasie mieszkałem w dużym domu mojego starszego brata w Mapumulo. W tym domu było dużo pokoi i nikt z postronnych nie mógł wiedzieć, w którym z nich jesteśmy.

Nagle nasza modlitwa została przerwana przez głośne stukanie w okno. Wstawszy z kolan podszedłem do okna i otworzywszy je, zobaczyłem przed sobą dwóch czarnych mężczyzn. Na moje pytanie, czego chcą, odpowiedzieli, że zostali wysłani specjalnie po mnie.

Okazało się, że około dziewięciu kilometrów od miejsca, gdzie byliśmy, zmarł pewien czarny, którego nawet nie znałem. Ostatnim życzeniem tego zmarłego było to, żebyśmy odprawili nabożeństwo żałobne nad jego grobem.

Z głupoty, zupełnie nie myśląc i nie pytając Pana, od razu powiedziałem tym ludziom to pierwsze, co przyszło mi do głowy — że nie mogę spełnić tej prośby, gdyż ich miejscowość jest dla mnie zabroniona. (Rzeczywiście nasz język rozpalony jest przez piekło i dlatego często mówi zbyt dużo, działając szybciej niż zdrowy rozsądek.) Zrozumiawszy swój błąd, poprosiłem obu mężczyzn, żeby poczekali, zanim pomodłę się o to.

Po modlitwie otrzymaliśmy jasność co do tego, jak mamy postąpić. Później zaproponowałem tym ludziom, żeby zostali u nas i przenocowali, a rano poszli do burmistrza i opowiedzieli mu o tym, z czym przyszli tutaj i o ostatniej woli zmarłego.

Teraz już nie był to mój problem, lecz problem rządzących, którzy tak samo jak i wszyscy wiedzieli dobrze, że ostatnia wola umierającego musi zostać spełniona niezależnie od ceny. W przeciwnym przypadku zacznie się szum i fala niezadowolenia, która zdolna jest przerodzić się w rewolucję.

Wysłuchawszy posłańców, burmistrz odesłał ich do tego, kto bezpośrednio był odpowiedzialny za tę miejscowość. Co teraz pozostało robić tym rządzącym, którzy nie chcieli widzieć mnie w swoich posiadłościach? Przecież oni też dobrze rozumieli, że nie mogą teraz się sprzeciwić, gdyż zgodnie z przekonaniem czarnych, jeżeli jakiś człowiek ośmieli się wystąpić przeciwko woli zmarłego, to zostanie strasznie ukarany za to w ten sposób, że ciągle będzie go prześladował i dręczył duch tego zmarłego. Takie pojęcia i taką wiarę mają czarni poganie.

Będąc w sytuacji bez wyjścia, miejscowa władza zmuszona była napisać do burmistrza, aby wydał mi pozwolenie na wejście do ich miejscowości nie dłużej niż dwie godziny w celu wykonania pogrzebu, później zaś musiałem bez zwłoki

zabierać się stamtąd.

Tak w moich rękach znalazło się pisemne pozwolenie wyjazdu na pogrzeb do zabronionej dla mnie miejscowości. Ogarnęła nas przy tym taka radość, iż wydawało się, że gotowi byliśmy lecieć.

Kiedy w tym samym dniu przyjechaliśmy na to miejsce, było już tam zebranych setki ludzi. O, jakaż była to piękna możliwość głoszenia ewangelii! Była taka atmosfera, jakby to nie był pogrzeb, lecz wesele. Nie mieliśmy żadnego powodu, żeby być smutnymi, gdyż jest to coś nadzwyczajnego — stać na zdobytej ziemi!

Minęło parę dni po tym wydarzeniu, gdy znowu przyszli do nas posłańcy z tą samą prośbą. Ostatnią wolą innego zmarłego było to samo pragnienie — żebym go pogrzebał.

Znowu wysłaliśmy tych ludzi do burmistrza, a ten — dalej, póki cała ta procedura nie powtórzyła się na nowo, w rezultacie czego posłańcy wręczyli mi nowe pozwolenie. Tak drugi raz odprawiliśmy na pogrzebie nasze otwarte nabożeństwo.

W krótkim czasie znowu ktoś umarł i znowu w zabronionej dla mnie strefie. Jak widzicie, przyjaciele, jesteście sługami Tego, który ma klucze piekła i śmierci, i dla którego nie ma nic niemożliwego. Pan użył kiedyś faraona po to, żeby Jego imię zostało uwielbione. Tak i dziś Bóg posługuje się podobnymi do faraona ludźmi z zatwardziałymi sercami, żeby zostało wywyższone Jego wielkie i święte imię.

W ciągu paru tygodni mieliśmy około dziesięciu pogrzebów, wszystkie na zabronionym dla mnie terenie. Ostatnią wolą każdego zmarłego było to, żebyśmy właśnie my pochowali go.

W końcu burmistrz nie wytrzymał, powiedział władzom tych ziem: — Jak was należy rozumieć? Z jednej strony zabraniać temu człowiekowi wchodzenia do was, a z drugiej strony co pięć minut dajecie mu pozwolenie na to!

Przez te tygodnie, kiedy trwały pogrzeby, tysiące ludzi zostało ogarniętych przez Ducha Świętego. Tak Pan wykorzystał śmierć jednych, żeby wskrziesić duże wielu innych do nowego życia w Chrystusie.

W ten sposób Pan otworzył nam drzwi dla zwiastowania w tej miejscowości, które są otwarte do dnia dzisiejszego, tak że nawet rządzący, przedtem sprzeciwiający się nam, stali się teraz naszymi przyjaciółmi i często zapraszają nas do siebie.

Po nabożeństwach żałobnych lud mówił: — To jest ta ewangelia, której chcemy, i to są ci ludzie, którzy powinni nam ją głosić.

Drodzy przyjaciele! Trzeba powiedzieć, że to, co przeżyliśmy wtedy, nie jest wyjątkiem. Tam, gdzie zaczyna działać Bóg, niewątpliwie będzie działał także szatan. Przebudzenie, o którym wszyscy mówią tylko dobrze, nie może być przebudzeniem od Ducha Bożego.

Zapytacie, dlaczego? Dlatego, że jeśli diabeł jest spokojny, wtedy jest to świadectwem tego, że królestwo należy do niego i że on jest tam panem. Kiedy zaś się wścieka, wtedy to pewny znak, że coś traci. W takim przypadku będzie dokładał wszelkich starań, żeby zaszkodzić sprawie Bożej, wykorzystując do tego naczynia, które bardzo często znajduje sobie wśród tych, którzy nazywają się po-

bożnymi i dziećmi Bożymi.

Dokładnie tak samo było i w czasach Jezusa. Przecież wtedy faryzeusze uważali się za najbardziej pobożnych. Dziś słowo „faryzeusz” stało się nazwą popularną, uwłaczającą a nawet ubliżającą; i jeśli nas nazywają faryzeuszami, to jesteśmy zdolni nawet gniewać się, czy nie tak? Lecz w tamtym czasie byli to ludzie, będący na najwyższym poziomie pobożności. Faryzeusz pościł dwa razy w tygodniu, ofiarował dziesiątą część swoich dochodów, dużo się modlił i wykonywał to, czego inni często nie robili. Byli to ludzie, którzy przez cztery stulecia gorąco i szczerze modlili się, żeby Bóg posłał im Mesjasza. Ale kiedy w końcu ich modlitwa została wysłuchana i Mesjasz został do nich posłany, oni znenawidzili Go i ukrzyżowali, przybwszy Go do krzyża.

Faryzeusze przekleli Chrystusa, gdyż On przyszedł nie tak, jak oni myśleli i wyobrażali sobie. Rzecz w tym, że przez cztery wieki, kiedy modlili się o Mesjasza, powstały u nich ich własne nauki i wyobrażenia o Jego przyjściu na ziemię. Stworzyli sobie obraz tego i twierdzili, że kiedy przyjdzie Mesjasz, pojawi się On jako król i zasiądzie na Swoim tronie, na górze Oliwnej. Wykorzystywali nawet miejsca z Pisma, które, wydawałoby się, potwierdzały ich wyobrażenia.

Dlatego sposób Jego przyjścia był dla nich nie do przyjęcia. — Czy może cokolwiek dobrego przyjść z Nazaretu? — mówili. — Prócz tego, wiemy skąd On jest, a przecież Pismo mówi, że kiedy przyjdzie Mesjasz, nie będziemy wiedzieć tego, gdyż nagle, nieoczekiwanie pojawi się wśród nas. Jak On śmie twierdzić, że przyszedł z nieba? Czy to nie jest Jezus, syn Józefa, którego matkę i ojca znamy? Znamy też braci Jego i siostry.

Możliwe, że dziś śmiejemy się tylko z tego, przyjaciele. Lecz chcę powiedzieć, że bardzo jest niebezpiecznie znać tylko pół prawdy.

Tak więc, ci sami pobożni, najbardziej duchowi ludzie tego czasu stali się przeciwnikami Chrystusa, gdyż Jego wpływ był sprzeczny z ich myślami i wyobrażeniami. Właśnie z tej przyczyny oni nie tylko nie przeżyli przebudzenia, ale stali się nawet jego przeciwnikami.

Drodzy przyjaciele! Wiele stuleci minęło od tej pory, lecz ten przykład powinien służyć jako dobra lekcja w naszych dniach. Jak się stało w czasach Chrystusa, tak i teraz trzeba zawsze liczyć się z tym, że właśnie ci, którzy modlą się o przebudzenie, mogą stać się jego przeciwnikami, gdy ono się rozpocznie. I możliwe, że takimi będą ludzie, będący wśród nas.

Jezus nie na próżno mówił, że nie można wlewać młodego wina do starych bukłaków, gdyż przez to można spowodować podwójną szkodę — bukłaki pękną i wino wycieknie. Z kolei po to, żeby Pan mógł wlać w nas Swoje młode wino, jest konieczne, żeby nasze stare bukłaki zdolne były odnowić się. Albo, mówiąc innymi słowami, jeżeli chcemy, żeby Pan ożywił naszego ducha i zaczął działać w naszym życiu, to powinniśmy być gotowi zostawić wszystko nasze, odwrócić się od naszych wyobrażeń, myśli oraz dróg, i przyjąć myśli i drogi Pańskie.

Przebudzenie nie jest możliwe do tej pory, póki nie wyrzekniemy się siebie i nie unizmy się, dając Bogu możliwość działania tak, jak On tego chce. Przecież On jest naszym Panem, a pan ma takie prawo. Jeżeli zaś nie zgadzamy się na to,

wtedy nie tylko nie otrzymamy przebudzenia, lecz przeciwnie, kiedy ono przyjdzie, staniemy się nawet jego wrogami.

Znam pewnego człowieka, który parę lat temu powiedział, że modląc się o przebudzenie musimy walczyć i stać na straży swego serca, żeby nie stać się jego wrogami, kiedy ono się rozpocznie. Jednak pomimo tego, że tak mówił, właśnie to stało się z nim samym. Kiedy przebudzenie przyszło do nich, on sam stanął na czele jego przeciwników. Przyczyna jego sprzeciwu spoczywała w tym, że Bóg użył ludzi, których on nie oczekiwał, a też dlatego, że przebudzenie rozpoczęło się w tym miejscu, gdzie według jego wyobrażenia ono nie mogło mieć miejsca.

Niestety, takie przykłady nie są rzadkością. Wiele lat temu, w najbardziej na południe wysuniętym punkcie Południowej Afryki, na Przylądku Dobrej Nadziei mieszkał pewien mąż Boży, który nazywał się Andre Morey i który był pastorem kościoła luterńskiego.

Pan posłał przebudzenie w to miejsce, gdzie on się znajdował. Stało się to podczas zgromadzenia modlitewnego, gdzie modlono się o przebudzenie. Wśród nich była pewna niepozorna dziewczyna-metyska, która zwykle siedziała w ostatnim rzędzie. Podczas wspólnej modlitwy ta dziewczyna poprosiła o pozwolenie, żeby pomodlić się oddzielnie. I oto, kiedy ona otrzymała pozwolenie, zaczęła wznosić swoją modlitwę ku niebu, stało się coś nieoczekiwanego — Pan usłyszał ją a Duch Boży zstąpił, zaczynając działać.

Kto mógłby przypuszczać, że wszystko się wydarzy właśnie tak? Jedni płakali, inni gorąco modlili się, jeszcze inni w skruszeniu pokutowali, a Andre Morey obserwując ten widok, chciał wszystko powstrzymać. Sprzeciwił się uważając, że jest to nie tak, że wszystko powinno być inaczej. Będąc kaznodzieją i pastorem tej społeczności, który sam modlił się o przebudzenie, powstał przeciwko niemu twierdząc, że to, co się stało, nie może być od Pana. Jednak szybko sam Bóg przemówił do tego człowieka, nakazując mu nie gasić Ducha Świętego. Dopiero po tym, gdy Andre Morey uświadomił sobie swój grzech i upamiętał się ze swego sprzeciwu, Bóg wziął go w Swoje ręce, czyniąc naczyniem dla Swojej chwały.

I tak, jak widzicie, możemy modlić się o cokolwiek, lecz jeżeli wszystko dokonuje się nie tak, jak myśleliśmy i jak wyobrażaliśmy sobie, to jesteśmy zdolni powstać przeciwko temu.

Coś podobnego wydarzyło się i nam w Południowej Afryce. Kiedy na przełomie 1966 i 1967 roku zaczęło się przebudzenie, ciesząc się mówiłem: „O, jakie to zwycięstwo! Całe chrześcijaństwo będzie teraz triumfować i radować się z nami z tego wielkiego przełomu w królestwie ciemności i z przewyciężenia tego mroku duchowego!”. Jednak jakie było moje rozczarowanie, gdy zamiast tego przyszło nam przeżyć wściekły opór współczesnego, faryzeuszowskiego chrześcijaństwa!

Przez 10 lat drzwi wszystkich kościołów chrześcijańskich były dla nas zamknięte i trwało to do tej pory, póki ludzie nie utwierdzili się w przekonaniu, że takie owoce może przynieść tylko prawdziwe przebudzenie duchowe.

Przy czym, jeżeli spojrzeć na całą historię Kościoła Chrystusowego, to

można się przekonać, że zawsze inkwizycję tworzyli nie bezbożnicy, ale wierzący, uważający siebie za pobożnych i walczących o prawdę.

Przypomnijcie sobie, co się działo podczas reformacji, kiedy kościół katolicki zdecydowanie odrzucił nową naukę. Strumienie krwi płynęły wtedy w Europie. Marcin Luter został uznany za przestępcę i pozbawiony wszystkich praw, tak że każdy mógł bezkarnie zabić go. O, gdyby każdy pastor luterski i kaznodzieja częściej myślał o tym!

W czasach Jana Wesleya kościół anglikański też sprzeciwił się i powstał przeciwko nauce chrześcijańskiej. Dochodziło to do takich rozmiarów, że Wesley będąc pozbawiony mównicy do kazania, zmuszony był stanąć na grobie swojego ojca i powiedzieć: „Stąd nie możecie mnie przegonić. Tu pogrzebany jest mój ojciec i tutaj wolno mi głosić!”

Tak, moi przyjaciele! Być prawdziwym chrześcijaninem, wiernie iść za Jezusem — to coś kosztuje!

Kiedy o ludziach mówią źle, kiedy ich prześladują, kiedy z całych sił starają się obalić to, o czym oni mówią, wtedy często jest to nawet dobrym znakiem.

Czy możecie pokazać mi chociaż jednego proroka, jednego prawdziwego męża Bożego, o którym by wszyscy mówili dobrze? Przecież nawet o naszym Panu i Nauczycielu mówili, że ma On demona i że czyni cuda nie inaczej, tylko mocą Belzebuba. Oto dłaczego, zwracając się do Swoich uczniów, Pan mówi: „Jeśli gospodarza Belzebubem nazwali, o ileż więcej jego domowników!”. Lecz „radujcie się i weselcie się, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebie” (Mat 5:12; 10:25).

Życie pokazuje, że jeżeli chrześcijanin niepoważnie odnosi się do swojego chrześcijaństwa, wtedy wokół niego króluje świat i spokój; lecz gdy tylko rzeczywistość nawróci się i odda swoje życie Jezusowi, to zaraz staje się dużym niebezpieczeństwem dla diabła, który podejmuje wszystko, co możliwe, aby takie dziecko Boże złamać i znieśliwić.

Drodzy przyjaciele, jeżeli wśród was jest taki kaznodzieja ewangelii, któremu nikt nie sprzeciwia się i z którego słowami wszyscy bez wyjątku się zgadzają, wtedy z nim nie jest coś w porządku. Dla takich brzmią słowa Pisma Świętego: „Biada wam, gdy wszyscy ludzie dobrze o was mówić będą” (Łuk 6:26).

Biada temu, kto stojąc na mównicy, stara się zadowolić swoich słuchaczy, kiedy w odpowiedzi na jego kazanie cała społeczność mówi „tak” i „amen”. Takie mu lepiej, jak można najszybciej, zejść z tej mównicy, gdyż sprowadza na siebie tylko gniew i przekleństwo Boże.

Jeżeli my, kaznodzieje, poważnie podchodzimy do swojej służby, jeżeli głosimy ludziom Słowo Boże tak, jak ono jest napisane, wtedy po prostu jest niemożliwe, żeby wszyscy bez wyjątku z tym się zgadzali, a tym bardziej szatan. Jeżeli zaś diabeł milczy, nie okazując trwogi, wtedy mimowolnie powstaje pytanie: „O czym głosimy? Co mówimy, czego nauczamy?”. Przypomnijmy sobie o tym, co się działo, gdy do ludu mówili prawdziwi mężowie Boży, prorocy i apostołowie. Pomyślcie, jaką reakcją powodowały słowa kazania samego Jezusa — Tego, który przyszedł zbawić lud Swój od grzechów ich. Jak wtedy wyglądało wszystko i

jak wygląda to teraz?

Czy wiecie, że po niektórych moich wizytach w Europie młodzież nie może mi wybaczyć tego, jak o nich mówiłem? Zapytacie dlaczego? Spróbuję wam to wyjaśnić. Wśród pogan dziewczyny chronią swoją czystość do ślubu, zaś młodzież europejska nie chce nawet słyszeć o tym. Co jest przestrzegane u pogan, to wśród białych narodów chrześcijańskich jest odrzucane i uważane za zbyt skrajne, zacofane i nierealne. Czyż nie jest tak?

Białe kobiety z oburzeniem mówią mi: „Co pan głosi! To nie jest możliwe! Żebyśmy ulegały i były zależne od męża? Nie! To nie dla naszego dwudziestego wieku!”.

Jeden z europejskich kaznodziejów nawet powiedział mi: „Nie, Erlo, to było tylko w przeszłości. Dziś wiele kobiet jest uczonymi, nauczycielami, lekarzami, pielęgniarkami. To i od nich należy oczekiwać, żeby one były uległe swoim mężom? Nie, teraz wszyscy są równi, mężczyźni i kobiety!”.

Zrozumcie, że mój główny cel nie polega na tym, żeby ludzie nawracali się do Boga i pokutowali, i nie na tym, żeby chorzy byli uzdrawiani. Najważniejszym dla mnie jest mówienie tego, z czym posłał mnie Pan. I w tym muszę być Mu wierny nie tylko teraz, ale i zawsze, do godziny mojej śmierci. Nieważne przy tym jest czy zginę, czy będę żył dalej, czy otrzymam pochwałę lub nieprzyjaźń i pretensje. To wszystko nie ma znaczenia. Najważniejsze, żeby była głoszona prawda, niezależnie od tego, jaka jest reakcja słuchających.

Apostoł Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian 9:16 mówi: „Jest to bowiem dla mnie koniecznością; a biada mi, jeślibym ewangelii nie zwiastował”. Tak też ani ja nie mogę mówić inaczej. Muszę mówić wam tylko prawdę. Powiedzcie, co mamy jeszcze głosić, jeśli Słowo Boże jest już nieskuteczne? Czego jeszcze mamy się trzymać i na czym budować?

Tak, być prawdziwym chrześcijaninem — to coś kosztuje! Lecz chwała Bogu, że Jezus powiedział kiedyś: „Szymonie, Szymonie, oto szatan wyprosił sobie, żeby was przesiać, jak pszenicę. Ja zaś prosiłem za tobą, aby nie ustała wiara twoja, a ty, gdy się kiedyś nawrócisz, utwierdzaj braci swoich” (Łuk 22:31-32).

Przyjaciele, Ten, który tak modlił się kiedyś o Piotra, modlił się też o innych Swoich naśladowców. Dlatego chwała Bogu za to, że On i teraz wiernym Swoim sługom daje moc, żeby mogli przejść przez wszystko! Przejść bez względu na cenę!

Lecz biada temu słudze, który nie ma odwagi zostawić krętych dróg zadowalania ludzi i prosto iść za Panem Jezusem! Biada temu, kto nie ma odwagi mówić prawdy i walczyć o nią! Biada kaznodziei, który troszczy się tylko o to, żeby zadowolić ludzi! Już lepiej dla niego byłoby nie głosić, gdyż o takich Słowo Boże mówi: „Udziałem zaś bojaźliwych i niewierzących będzie jezioro płonące ogniem i siarką” (Obj 21:8).

Na zakończenie tego tematu chcę jeszcze coś powiedzieć i powinno to być czerwoną nicią, ciągnącą się przez wszystko, co zostało powiedziane: Jeżeli człowiek staje się przeciwnikiem i wrogiem przebudzenia, to może być tego tylko jedna przyczyna — grzech, który znalazł miejsce w jego życiu, a bardzo często takim

grzechem jest nierząd.

Wierzycie temu lub nie, ale tak jest. Możecie to sobie zapamiętać i możliwe, że miną lata, zanim dojdziecie do tego samego wniosku, jeśli prawda się ujawni.

Jest wiele brudu wśród dzieci Bożych i niestety bardzo często wśród kaznodziejów. Nie jestem waszym wrogiem, bracia, ale też nie jestem przyjacielem uczonych w Piśmie, faryzeuszów i saduceuszów. Ten, kto stoi na mównicy, musi mieć czyste serce i czystym sercem głosić Słowo Boże. Innych nauczycieli nam nie trzeba. Już lepiej wtedy żyć bez nich.

8. Bóg jest ogniem trawiącym

Drodzy przyjaciele! Bardzo często opowiadając o przebudzeniu porównuje je do słońca. Podczas swojego wschodu i zachodu przypomina ono czerwoną kulę, na którą można spokojnie patrzeć, i często z samego tylko wyglądu trudno określić, czy to słońce, czy księżyc. W takich chwilach widzimy słońce, które nie ma swojej potężnej, oślepiającej i ogrzewającej mocy. Lecz wszystko zaczyna wyglądać zupełnie inaczej, kiedy to samo słońce w południe, będąc bardzo wysoko, jest w zenicie i świeci w całej swojej mocy tak, że nie trzeba patrzeć na nie, żeby przekonać się o jego obecności, gdyż czujesz pochodzące od niego ciepło. Kiedy zaś słońce znów zacznie zachodzić, to ponownie będzie wyglądać, jak czerwona kula, bo moc jego oślepiającego świecenia znowu zmaląła.

Dokładnie tak samo jest i w zwykłym chrześcijaństwie. Pan podobny jest do wschodzącego lub zachodzącego słońca. Natomiast podczas przebudzenia Pan jest dla nas słońcem, będącym w zenicie. Wtedy działa On w Swojej chwale, mocy i potędze, w Swoim wielkim Iśnieniu, blasku i świętości. Przeżywasz przy tym rzeczy, które w innym czasie po prostu nie są do pomyślenia.

W czasie pierwszego zboru apostołskiego, wkrótce po dniu Pięćdziesiątnicy, Ananiasz musiał umrzeć z powodu swego oszustwa, a w ślad za nim z tej samej przyczyny umarła też jego żona. Dzisiaj zaś w zbiorach dokonywane jest nawet cudzołóstwo, a nic przy tym się nie dzieje. Dzisiaj tam nienawidzi się, jest obłuda i kłamstwo, jednak nic się nie dzieje, ludzie żyją nadal.

Lecz jeśli Pan prawdziwie okazuje Siebie w całej Swojej potędze, jeśli działa On w Swojej wielkiej mocy Zmartwychwstałego i objawia się człowiekowi w całej potędze Swojego Bóstwa, wtedy zaczynają się dziać niezwykle, nadzwyczajne i wstrząsające wydarzenia. Niektóre z takich przykładów, które przeżyliśmy w Południowej Afryce, chcę wam opowiedzieć.

Pierwszy przypadek wydarzył się w Mapumulo — w miejscu, gdzie zaczęło się przebudzenie. Pewnego razu, jak zawsze byliśmy zebrani razem i gorąco oraz szczerze modliliśmy się, prosząc: „Panie! Przecież Ty przez Twoje Słowo święte mówisz nam: «Ogień przyszedłem rzucić na ziemię i jakżebym pragnął, aby już płonął» (Łuk 12:49). Oto jesteśmy, Panie! Zapal Twój ogień święty! Wykonaj to, po co przyszedłeś! Chrzcij nas Twoim świętym ogniem, Twoim Duchem!". To znaczy, mówiąc po ludzku, jakbyśmy przypominali Panu słowa, które powiedział Jan Chrzciciel: „On was chrzcić będzie Duchem Świętym i ogniem” (Łuk 3:16).

I oto, kiedy tak modliliśmy się, zdarzyło się coś takiego, co przedtem nigdy jeszcze nie zdarzało się. Jeden z zebranych nagle krzyknął: „O, biada mi! Moje oczy płoną, jak w ogniu! O, spalam się! Biada mi! Jestem człowiekiem z nieczystymi oczami! O, Panie, wybac mi!”.

W ślad za tym rozległ się inny krzyk spośród modlących się: „O, biada mi! Moje usta! Mój język! Biada mi!”. Przypominało to przeżycie proroka Izajasza. Kiedy zobaczył on Pana, siedzącego na Jego tronie w chwale, i usłyszał serafów, wołających: „Święty, święty, święty jest Pan Zastępów”, to wykrzyknął w lęku i drżeniu: „Biada mi! Zginałem, bo jestem człowiekiem nieczystych warg i miesz-

kam pośród ludu nieczystych warg!" (Iz 6:5).

Drodzy przyjaciele! Tak wtedy w rzeczywistości przeżyliśmy to, że „Bóg nasz jest ogniem trawiącym" (Hbr 12:29).

I znowu pośród modlitwy brzmiał krzyk kogoś z obecnych: „O, moje nogi! Moje nogi płoną, jak w ogniu!". W swojej rozpaczliwej potrzebie ten człowiek zerwał swoje buty i odrzucił je w drugą stronę pokoju. Uderzał rękami po nogach tak, jakby chciał zagasić płomienie, które go paliły. Oczywiście, żadnego ognia nie było widać, gdyż to, co się działo, było przeżyciem duchowym, jednak nie szczęśliwie doświadczał przy tym takich mąk, iż baliśmy się, aby nie umarł.

To Pan był pośród nas i dotykał każdego tam, gdzie był on nieczysty. Mógłbym teraz szczegółowo opowiedzieć wam o tym, co było powodem podobnych przeżyć, lecz myślę, że sami możecie sobie wyobrazić, co oznaczają nieczyste oczy, nieczyste usta, nieczysty język i nogi, chodzące po nieczystych miejscach.

Pewien czarnoskóry kaznodzieja ewangelii, który dla wielu ludzi był dużym błogosławieństwem i przez którego wielu nawróciło się do Pana, przeżywszy uwolnienie, nagle też głośno zawołał: „O, ginę! Panie, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem!".

Kiedy skończyliśmy, opowiedział nam, że podczas modlitwy przeżył takie uczucie, jakby ktoś rozcinał go na dwoje. Opisując to, użył takich samych słów, jakie czytamy w Ewangelii według Mateusza 24:48-51, gdzie Pan opowiada przypowieść o niewiernym słudze: „Jeśliby zaś ów sługa rzekł w sercu swoim: Pan mój zwleka z przyjściem, i zaczęły bić wspólstugi swoje, jeść i pić z pijakami, przyjdzie pan sługi owego w dniu, w którym tego nie oczekuje, i o godzinie, której nie zna. I usunie go i wyznaczy mu los z obłudnikami; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów".

Ten brat był w wielki strachu z powodu tego, co przeżył, i prosił nas, abyśmy modlili się o niego. Wtedy zebraliśmy się w krąg i zaczęliśmy się modlić. W czasie tej modlitwy on nagle nieoczekiwanie wstał z kolan i wyszedłszy na środek pokoju, zaczął kręcić się i zwijać, jak żmija, powtarzając przy tym: „Jestem w strasznej, nie do przejrzania ciemności. O, jakież to mrok! Nie mogę widzieć nawet swojej ręki!". (Chociaż w tym czasie był jasny, słoneczny dzień).

Widząc, jak kurczył się i zwijał w środku pokoju, przestaliśmy się modlić. Coś podobnego przeżyliśmy pierwszy raz i nie wiedzieliśmy, co mamy robić dalej. A on krzyczał: „Jestem w nieprzeniknionej ciemności, gdzie płacz i zgrzytanie zębów!".

Tak, przyjaciele moi, te słowa Pisma przeżywaliśmy wtedy naocznie, patrząc na tego czarnego Zulusa, który był kaznodzieją ewangelii.

Zaczęliśmy znowu modlić się i prosić o niego: „Panie, zmiłuj się nad nim! Opuść mu!". W końcu doszedł do siebie i powiedział: „Nie można opisać, przez co teraz przeszedłem. Ciemność, w której byłem, była dosłownie odczuwalna i namacalna. Jest to prawdziwie zewnętrzna ciemność, od której większej nie ma.

Zaczęliśmy prosić tego człowieka przekonując, żeby bez zwłoki zwrócił się do Pana i w upamiętaniu doprowadził swoje życie do porządku, jednak on i tak nie ujawnił swego grzechu. Po paru dniach zabrakło go. Umarł tak samo, jak Ju-

dasz Iskariota; tą śmiercią, której nikomu nie życzę. Ludzie, którzy ubierali jego ciało, opowiadali później, jak tragiczny widok przedstawiał ten obraz.

Dopiero po jego śmierci stało się znane to, co robił w tajemnicy. W życiu tego męża była nieczystość. Wyjaśniło się, że czynił ohydę z niektórymi młodymi dziewczynami ze zboru, krytykował i osądzał swoich bliźnich, a także oczerniał inne dzieci Boże. Za to wszystko spotkała go zapłata i sprawiedliwy sąd Boży.

Tak oto przeżyliśmy wtedy coś z chrztu ogniem. Nie był to pojedynczy przypadek. Podobne powtórzyły się jeszcze wiele razy.

W innym miejscu, gdzie było zebranych wiele ludzi, którzy także gorąco modlili się do Pana, wydarzyło się coś takiego, co można porównać z potężnym rykiem samolotu odrzutowego, przelatującego nisko nad tym budynkiem.

Kiedy Duch Boży w taki sposób zstąpił do nich, miejsce to zakółsało się, sufit pomieszczenia trząsał się, a ściany się chwiały. Wśród obecnych był pewien czarno-skóry, który budził przerażenie w całym swoim plemienu. Jeżeli zamyślał kogoś zabić, to robił to z rzadkim okrucieństwem i z zimną krwią. Spokojnie, bez okazywania złości na zewnątrz, brał swoją włócznie i podchodząc do wyznaczonej ofiary robił, co zamyślił. Wszyscy mężczyźni z jego plemienia drżeli przed nim. Był to prawdziwie okrutny, bezbożny, żądny krwi poganin, który nie bał się nikogo i niczego.

Nie wiadomo, w jaki sposób znalazł się tam na tym zgromadzeniu i dopiero prowadzenie Boże sprawiło, że ten straszny zabójca stał się świadkiem działania mocy Bożej. Kiedy usłyszał on ten potężny hałas i zobaczył, jak rusza się i kołyszce sufit, jak chwieje się i trzęsie cały budynek, to padł na kolana i w wielkim strachu oraz drzeniu rzeczywiście i głęboko się upamiętał.

Nie mógł on wtedy opuścić tego pomieszczenia bez tego, żeby w wielkim upamiętaniu nie oddać siebie i całego swojego życia bez reszty swemu Zbawicielowi, oczyściwszy je głęboko do samej podstawy. Po upamiętaniu zaszła w nim całkowita zmiana. Stał się zupełnie innym człowiekiem i do dzisiejszego dnia jest znakomitym przykładem dla chrześcijan oraz pogan.

Jeszcze w innym miejscu, będącym 150-200 kilometrów od Mapumulo, też byli zebrani chrześcijanie, którzy modlili się o to, żeby Pan rozpałił Swój ogień w ich pogańskiej wsi. Pomieszczenie, w którym odbywało się to zgromadzenie modlitewne, było zbyt małe, dlatego wyniesiono wszystkie meble. Niektórzy z nich siedzieli na krzesłach, lecz większa część ulokowała się wprost na podłodze.

Wśród zebranych znajdowała się pewna kobieta, która też uważała się za chrześcijankę. Kiedy wszyscy się modlili, ona nagle zaczęła miotać się niespokojnie na swoim miejscu i wykrzykiwać: „Biada mi! Jestem niegodna! Nie powinnam nawet przychodzić na to zgromadzenie! Jak mogłam się odważyć stanąć przed obliczem Bożym ze wszystkimi moimi grzechami?”.

Wstawszy z podłogi, podskakiwała tak, jakby stała na rozpalonej płycie. Płacząc i oblewając się potem, powtarzała: „O, spalam się! Biada mi! Jakże jestem winna!”.

Później, przeprosiwszy, zwróciła się do zebranych chrześcijan z prośbą o pozwolenie opuszczenia tego zgromadzenia. Otrzymawszy ich zgodę, ta kobieta

nie wyszła, ale dosłownie wybiegła z tego pomieszczenia i tak, nie zatrzymując się, biegła cały kilometr na górę do swojego mieszkania.

Wbiegłszy do domu, rzuciła się do swojego męża, błagając go o wybaczenie: „Pan stworzył nas, żony, żebyśmy były pomocą dla mężów — mówiła mu — a ja nie byłam pomocą dla ciebie. Nie byłam taką żoną, jaką powinnam być według Słowa Bożego. Nie byłam dla ciebie dobrym przykładem. Pan objawił mi to. Wybacz mi, mój mężu! Wybacz mi!”.

Otrzymawszy od niego przebaczenie, zaczęła chodzić od jednego swego dziecka do drugiego, mówiąc: „O, dzieci wybaczcie mi! Nie byłam dobrą matką dla was. Jakże często wyzywałam was i złościłam się na was! Jakże często byłam niezadowolona i zła, i wypowiadałam słowa, których nie powinnam była mówić! Proszę, wybaczcie mi!”.

Uczyniwszy to, pobiegła od jednych sąsiadów do drugich i kajając się, jednała się z nimi. „Wybaczcie mi — mówiła ze łzami — mówiłam o was źle. Wybaczcie, jestem wielką grzesznicą”. Później ta czarna kobieta pobiegła do białych i w skrusze prosiła ich o wybaczenie.

Przynosząc owoc upamiętania, wróciła z powrotem do zebranych chrześcijan, którzy ciągle jeszcze pozostawali w tym pomieszczeniu, i zginając kolana, zaczęła modlić się: „Dziękuję Ci, Panie, za tę możliwość, którą Ty mi dałeś. Dziękuję Ci za Twoją łaskę i za ten dogodny czas, który darowałeś, żebym mogła doprowadzić swoje życie do porządku. Jestem Ci wdzięczna, Panie, za to, że mogłam przyjść do Ciebie ze wszystkimi moimi grzechami i za to, że Ty dałeś mi tę możliwość pójścia do ludzi oraz proszenia ich o wybaczenie wszystkich moich złych słów i czynów!”.

Od tej pory minęło już wiele lat, lecz do dzisiejszego dnia ta kobieta pozostaje żywym świadkiem Pana Jezusa. Przeżyła ona na sobie, że Bóg zbeczczeć się nie da. Doświadczyła ona świętej obecności Bożej, a teraz, jeżeli opowiada o tym, to wie, o czym mówi.

Chcę jeszcze dodać, że to głębokie upamiętanie nie pozostało bez owocu. Jej mąż, będący wtedy wielkim pijakiem, po tym wydarzeniu upamiętał się i nawrócił, stając się dobrym przykładem dla wielu pogan. Wszystkie dzieci tej kobiety także uwierzyły i całym sercem służą Panu. Troje z nich zostało misjonarkami i współpracownicami naszej misji.

W Księdze proroka Malachiasza czytamy: „Gdyż jest on jak ogień odlewa-cza, jak ług foluszniczków. Usiądzie, aby wytapiać i czyścić srebro. Będzie czyścił synów Lewiego i będzie ich płukał jak złoto i srebro. Potem będą mogli składać Panu ofiary w sprawiedliwości”.

Nie wiem, czy widzieliście kiedykolwiek, jak oczyszcza się złoto. U nas w Południowej Afryce jest dużo kopalń złota i niejednokrotnie obserwowałem ten proces. Przy tym za każdym razem myślałem o tym, że i Pan, jako wytapiacz, będzie oczyszczał nas tak, jak oczyszczają i przetapiają srebro oraz złoto. On przy tym nie śpieszy się. Siada i mówi: „Tak, a teraz przez ogień”. I błogosławiony jest ten człowiek, którego Pan oczyszcza teraz! Przecież lepiej teraz niż w dniu sądu, kiedy każdy będzie musiał przejść przez ogień! Lecz biada temu, czyje życie nie

zostanie oczyszczone i nie przejdzie przez ogień.

I jeszcze jeden przypadek. W 1967 roku nawróciła się pewna młoda dziewczyna. Było to bardzo głębokie upamiętanie. Po nawróceniu serce jej prawdziwie płonęło dla Jezusa. Chodziła ona po domach i wioskach, świadcząc ludziom o Panu, wzywając ich do oddania się Jemu. Przy tym mówiła wszystkim: „Tylko nie przychodźcie, jeżeli nie chcecie przyjąć Go całym sercem, gdyż Bóg nie dopuści, żebyśmy bawili się z Nim!”.

Słyszając te gorące słowa wezwania, wielu ludzi zostawiało swoje stare, grzeszne życie i przychodziło do Pana. Nazywała się ona Lilimo.

Niestety, ogień jej pierwszej miłości był krótkotrwały. Wkrótce jej życie duchowe zaczęło stopniowo gasnąć. Już nie tak regularnie przychodziła na nasze zgromadzenia modlitewne i nie była na każdym nabożeństwie. Coraz częściej zostawała w domu, skarżąc się na zmęczenie. Tak stopniowo odchodziła coraz dalej i dalej, póki ogień Boży nie zgasł w niej całkowicie.

Później zaczęła prowadzić okropny sposób życia, bawiąc się bez upamiętania ze wszystkimi chłopcami oraz żonatymi mężczyznami, a w końcu zmieniła się w najbardziej upadłą nierządnicę. Minął jeszcze jakiś czas i stała się powszechnie znana ze swojej ohydnej, nieokiełzanej rozwiązłości. Rzecz skończyła się tym, że urodziła dziecko od mężczyzny, który miał już trzy żony, a ona została jego czwartą żoną.

Po dziewięciu latach, w 1976 roku, w pewien niedzielny poranek przyszła do nas na stację misyjną. W tym dniu musieliśmy jechać do oddalonej filii naszej misji, będącej od nas w odległości dwóch godzin jazdy.

Przed samym odjazdem, ujrawszy Lilimo, zapytałem ją, skąd przyszła i co tu chce. Nie mogąc ukryć swego wstydu, opuściła nisko głowę i odpowiedziała, że chciałaby wrócić do nas.

— Dobrze — powiedziałem. — Teraz nie mam czasu, gdyż musimy jechać, ale tutaj w Kwasizabantu też będzie zgromadzenie, które będą prowadzić inni pracownicy. Możesz też pójść tam.

Później opowiadali mi, że na tym nabożeństwie było około tysiąca ludzi, którzy siedzieli po obu stronach sali, zostawiając tylko wąskie przejście między rzędami. Lilimo siedziała bliżej przodu, niedaleko od przejścia.

W tym dniu była słoneczna pogoda i nic nie zapowiadało deszczu; jednak, gdy tylko zaczęło się zgromadzenie, na niebie pojawiło się parę obłoków, które dosłownie w oczach zmieniły się w ciemne chmury deszczowe i szybko poruszając się, podeszły i zawisły nad budynkiem, gdzie byli zebrani ludzie. (To nie bajka i nie wymyślam. Moja mała córka, która miała wtedy dopiero parę miesięcy, została przyniesiona przez czarnych współpracowników na zgromadzenie i leżała w wózku, który stał w przejściu niedaleko tej dziewczyny).

Zgromadzenie przebiegało swoim trybem, gdy nagle nieoczekiwanie uderzył piorun i poraził Lilimo. Z jej prawej i lewej strony, z tyłu i z przodu siedzieli ludzie, lecz piorun nie trąciwszy nikogo innego, uderzył prosto w nią z taką mocą, że została podrzucona w powietrze i odrzucona na bok, wprost w przejście między ludźmi.

Jakiś czas leżała na betonowej posadzce bez świadomości. Po paru godzinach przyszła do siebie i przemówiła cichym szeptem, gdyż nie mogła mówić głośniej. Połowa jej tułowia była sparaliżowana.

— Chciałabym porozmawiać z kaznodzieją — szeptała. — Proszę, wezwijcie go do mnie. — Kiedy przyszedł on do niej, otworzyła mu swoje serce, przez parę godzin wyznając swoje grzechy, począwszy od 1967 roku.

Ten kaznodzieja był człowiekiem, który wiele już przeżył i u którego wyznawało już wiele ludzi, jednak takiego wyznania nigdy jeszcze nie słyszał. Jego serce pękało, a on płakał.

Przeszła ona po minionych dziewięciu latach, ujawniając wszystko, co uczyniła. Dzień po dniu otwierała swoje życie, jak książkę, i wyznawała swoje grzechy z pokutą, pochodzącą z głębi serca. Po tym, gdy to zrobiła, zanesiono ją do szpitala, będącego przy misji.

Kiedy tego dnia wróciliśmy późno wieczorem, uderzył nas niezwykle widok. Na drodze obok szpitala w milczeniu stało setki osób.

— Co tutaj się stało? — zapytałem, zdziwiony takim milczeniem. — Czyżby ktoś zmarł?

— Nie — odpowiedzieli. — Pan nawiedził nas dzisiaj i był pośród nas.

— Tak, lecz dlaczego tak stoicie tutaj? — nie rozumiałem. — Co się stało?

— Lilimo leży tam w pokoju. Nie mógłbyś pójść tam do niej? — Zwlekałem i podszedł do mnie nasz współpracownik, mówiąc:

— Proszę, pośpiesz się! Idź szybko do niej!

Kiedy wszedłem, to od razu zobaczyłem leżącą bez ruchu Lilimo. Zobaczywszy mnie, cicho powiedziała:

— Ty przecież znasz mnie, czy nie tak? Ty wiesz też, jakie było moje upamiętanie. Na pewno nie zapomniałeś, jak płonęłam dla Pana od tego dnia, kiedy nawróciłam się do Niego. Lecz później stoczyłam się z powrotem i upadłam w grzech. W moim życiu jest jeszcze parę punktów, o których powinnam powiedzieć tylko tobie.

I tak, znowu otworzyła swoje serce i ujawniła te grzechy, które chciała powiedzieć tylko do mnie. Po tym, gdy to zrobiła, chrześcijanie zaczęli się modlić o nią. Pan usłyszał naszą modlitwę i Lilimo została całkowicie uzdrowiona z paraliżu.

Wstawszy na nogi, powiedziała: — Teraz muszę jak najszybciej pójść do mojej matki, żeby prosić ją o wybaczenie. Jakże często ostrzegała mnie, kierując na drogę prawdy! Lecz czy opętana dziewczyna mogła słyszeć to, co mówiła jej matka? O, jakże jestem winna przed nią! Jakże chcę zobaczyć ją, żeby doprowadzić do porządku moje stosunki z nią!

Jeden z naszych pracowników wziął samochód i zawiózł ją do domu rodziców. Przyjechawszy tam, rzuciła się do swojej matki ze słowami: — O mamo, wybacz mi! Dzisiaj Pan spotkał mnie na drodze w postaci wielkiej światłości, jak kiedyś spotkał Pawła. Rzucił On mnie na ziemię, posyłając z nieba piorun

— Dziecko! — przerwała jej matka. — Wystarczy okłamywania nas! Jesteś rzadko spotykaną kłamczynią. Co za nedorzeczości! O jakim piorunie mówisz?

Przecież dziś był słoneczny dzień!

— Mamo! — powtarzała Lilimo. — Ja teraz nie kłamię. Rzeczywiście byłam porażona piorunem. — I opowiedziała swojej matce o tym, co się stało, prosząc ją o wybaczenie.

Drodzy przyjaciele! A jak wygląda to z wami? Czyżby trzeba było czekać na uderzenie pioruna lub zstąpienie ognia? Przecież błogosławiony jest ten, kto wierzy nie widząc! To dlaczego chcecie doczekać się przejawu gniewu Bożego? Czy nie wystarczy tego, co Pan mówił do nas, wykorzystując ten przykład? Czy trzeba czekać na coś podobnego? Czy nie wystarczy nam Słowo Boże? Czy chcemy uczynić Boga kłamcą?

Biblia mówi nam: „Kiedy usłyszycie głos Jego, nie zatwardzajcie serc waszych!”. Możliwe, że podczas czytania tych słów Pan mówił już do was. Byliście Mu posłuszni, czy też poszliście dalej ze swoimi grzechami? Czy macie odwagę i w przyszłości robić to samo?

Przychodźcie przed światło Pisma z brzemieniem grzechów i z tym samym brzemieniem odchodźcie. Czy myślicie, że Pan będzie tolerował to? Jak długo jeszcze?

Jeśli nawet przeżyjemy uderzenie pioruna i jeśli ten budynek nie zakołysze się, jak drzewo pod naporem silnego wiatru; jeśli nie czujemy w naszym ciele palącego gniewu Bożego, to czy nie wystarczy nam to, co Pan teraz mówi do nas? Możliwe, że teraz w tej chwili On mówi do ciebie, przyjacielu: „Upamiętaj się i nawróć! Przestań grzeszyć! Oczyść swoje życie!”. I jeżeli słyszałeś i czułeś w sobie ten głos Boży, jeżeli wskazywał On tobie na coś, to co odpowiedziałeś Mu? Doprowadziłeś to do porządku? Czy poszłaś, żono, do swego męża i prosiłaś go o wybaczenie? Czy chcesz powiedzieć, że mąż jest bardziej winny niż ty? Zapomnij o tym zaraz! Ty nie będziesz leżeć razem z nim w grobie. Być może umrzesz wcześniej niż on, a on po twojej śmierci się upamięta. A ty, mężu! Czy wszystko u ciebie w porządku w stosunku do twojej żony? Dzieci! Jakie jesteście teraz, stojąc przed Bogiem?

Obecnie jest czas sprzyjający. Teraz jest godzina odpuszczenia. Godzina, w której powinniśmy pojednać się z Bogiem. Dlatego to, co nie podoba się Mu, i wszystko, z czym nie możemy stanąć przed Jego świętym obliczem i co nie może przejść przez ogień, musi zostać odsunięte.

Uczynimy to dziś, teraz, żebyśmy, kiedy przyjdzie ostatni dzień, nie zginęli i nie spłonęli w ogniu Jego gniewu razem z naszymi grzechami!

9. Próbuje i doświadczajcie samych siebie

W Ewangelii według Jana 5:39 czytamy: „Badacie Pisma, bo sądzicie, że macie w nich żywot; a one składają świadectwo o mnie”.

Te słowa Pan skierował kiedyś do ludzi, którzy mieli nadzieję przez Słowo Boże otrzymać życie wieczne. Utwierdzając ich w tym dążeniu, Jezus kieruje dziś te słowa także do was i do nas.

Badaniem Pisma powinien zajmować się każdy chrześcijanin. Pismo dla nas podobne jest do lustra, w którym widzimy siebie w świetle wieczności. Oczywiście wiecie, że lustro jest po to, żeby patrząc w nie można było zobaczyć, czy wszystko w naszym wyglądzie jest w porządku. Jeżeli zaś chcemy zobaczyć nasz stan duchowy, to trzeba wziąć w swoje ręce Słowo Boże. Wtedy w jego świetle objawia się nam nasze sprawy.

Mówiąc tak, wcale nie chcę powiedzieć, że nie musimy przy tym patrzeć na Jezusa. Koniecznie musimy czynić to. Lecz cud Boży polega właśnie na tym, że w tym czasie, kiedy patrzymy na Jezusa, widzimy samych siebie. Jeżeli ciągle spoglądamy na Niego, wtedy Jego chwała, Jego świętość. Jego miłość i Jego łaska pieczętują nas swoją pieczęcią.

Przebudzenie, które dał nam Pan w Południowej Afryce, narodziło się właśnie ze Słowa Bożego. Stało się to wtedy, kiedy niektórzy chrześcijanie postanowili dać Słowu Bożemu możliwość takiego działania, jak to przewidział Bóg. W tym niezapomnianym dla nas 1966 roku, kiedy dzieci Boże podjęły taką decyzję, Słowo Boże zaczęło być rzeczywiście żywym i działającym.

Przeżywszy to na sobie, chrześcijanie u nas mówią teraz tak: „Jeżeli w całej historii ludzkości był taki czas, w którym Słowo Boże miało szczególnie duże znaczenie, to jest to czas dzisiejszych dni — czas, w którym obecnie żyjemy”.

Tak więc, można byłoby usprawiedliwić chrześcijan, żyjących dwa tysiące lat temu, gdyby mówili oni, że Słowo Boże napisane jest nie dla nich, ale dla chrześcijan ostatnich wieków; lecz w żadnym wypadku nie może to być usprawiedliwieniem dla nas — chrześcijan, którzy żyjemy w tym czasie ostatecznym.

Drodzy przyjaciele! Jeszcze będąc na ziemi, Jezus powiedział, że nie przyszedł po to, żeby sędzić świat, lecz Słowo, które On mówił, będzie naszym sędzią. I jeżeli tak jest, wtedy właśnie Słowo Boże musi być naszą podstawą. Ono musi być decydujące dla nas, naszą miarą i naszą skalą. Inaczej popłyniemy z prądem życia, nawet nie zauważając i nie czując tego. W ten sposób można przyzwyczaić się do wielu rzeczy, z którymi my jako chrześcijanie nie powinniśmy wcale mieć do czynienia.

Czy wiecie, że żaba, skoczywszy do gorącej wody, od razu ginie w niej? Lecz jeśli tę samą żabę posadzimy w zimnej wodzie i zaczniemy podgrzewać, to będzie ona dalej żyć nawet przy wyższej temperaturze, gdyż jej ciało będzie też odpowiednio wolno ogrzewać się.

Widzicie, dokładnie tak samo można stopniowo przyzwyczaić się do wielu rzeczy i w naszym życiu duchowym. Wiele rzeczy i wszystko inne, co nie zgadza się z Biblią, może stopniowo przeniknąć do zboru, stopniowo opanowując myśli i

serca ludzi. Przy czym stanie się to tak niezauważalnie, że być może nie zwrócimy na to uwagi. I tak oto będziemy utwierdzać się sami oraz utwierdzać innych w tym, co nie jest prawdą. Lecz gdyby praojcowie naszej wiary wstali i zobaczyli to, co by nam wtedy powiedzieli?

Zdarzyło się wam pływać kiedykolwiek w wielkiej rzece? U nas, na przykład, w Oceanie Indyjskim, istnieją tak zwane podwodne prądy, które są niebezpieczne dla pływaka. Jeżeli w nim się płynie, nie orientując się na brzeg, to można znaleźć się bardzo daleko od brzegu. Stanie się to zupełnie niezauważalnie dla ciebie samego i może zdarzyć się, że za tobą pojawią się skały, na które zostaniesz wyrzucony przez fale oceanu i życiem zapłacisz za swoją nieostrożność.

Właśnie dlatego w naszym życiu duchowym musimy ciągle badać Pisma, sprawdzając i doświadczając siebie: czy jestem jeszcze chrześcijaninem, czy stoję na poziomie Słowa Bożego, czy wykonuję to, czego Bóg żąda i oczekuje ode mnie; czy jestem na niezbędnym poziomie duchowym w skali Bożej, czy też może zostałem już uniesiony daleko od prawdy przez jakiś obcy prąd?

Na początku przebudzenia wśród nas był odważny i trzeźwy duchowo chrześcijanin, z płonącym sercem dla Pana. Nigdy nie wpadał w skrajność, pozostając zawsze spokojnym i rozsądnym.

Po dwóch lub trzech dniach od rozpoczęcia przebudzenia, kiedy jak zwykle byliśmy zgromadzeni w naszej szopie, on zwrócił się do mnie, zapytał:

— Gdzie są te dwa słowa z Biblii, które wczoraj były napisane tutaj na ścianie? — Zdumiony odpowiedziałem mu, że wczoraj ani na ścianie, ani na papierze nie było napisanych żadnych słów. Jednak dalej twierdził, że słowa były, przy czym w pierwszej linijce było jedno słowo, napisane po angielsku: „test”, co znaczy „doświadczajcie”, a w drugiej linijce było napisane w języku zulu i oznaczało „badajcie”.

Znowu zacząłem przekonywać go, że na ścianie niczego nie było. On zaś kiwając głową powiedział, że pamięta to dokładnie i może nawet napisać, jak wyglądały słowa, które przeczytał nad drzwiami przy wyjściu.

Jak przedtem, wąpiąc patrzyłem na miejsce, które on pokazywał, nie znajdując tam ani śladu po kleju, ani nawet gwoźdźca, na którym mógłby trzymać się papier z napisanymi słowami. Wróciwszy do domu, wziąłem do rąk angielską Biblię i modląc się prosiłem Pana, aby mówił do mnie przez Swoje święte Słowo. Później, otworzywszy Biblię, przeczytałem werset, na którym zatrzymał się mój wzrok. Było to miejsce z Drugiego Listu do Koryntian 13:5: „Poddawajcie samych siebie próbie, czy trwacie w wierze, doświadczajcie siebie”.

Tak więc, były to te same słowa: „próbujcie i badajcie”, o których mówił mi nasz brat. W niemieckiej Biblii to miejsce przetłumaczono tak: „Badajcie samych siebie, czy jesteście w wierze, samych siebie doświadczajcie”.

Zdumiony pomyślałem wtedy, że nigdy przedtem nie zwracałem uwagi na te słowa i nawet nie pamiętałem, że one są w Piśmie.

Od tej pory i do dzisiejszego dnia te słowa „badajcie i doświadczajcie” stały się dla nas jakby naszym hasłem na szyi i naszym hasłem. Były one dla nas dużym błogosławieństwem, dlatego też dalej chcieliśmy być im posłuszni.

Także i wy, przyjaciele, poddawajcie samych siebie próbie i badajcie wszystko, co spotykacie na waszej drodze. Jednak zanim poddacie próbie cokolwiek, zbadajcie najpierw samych siebie, czy trwacie jeszcze w wierze, czy jesteście na drodze prawdy, czy też może już zesłicie z niej. Naszym drogowskazem w takim przypadku może być tylko Słowo Boże. Niestety u nas, chrześcijan, odbywa się to nierzadko zupełnie inaczej. Tak łatwo porównujemy siebie z innymi ludźmi, jak dzieci, które mówią: „Tamte dzieci robią tak, dlaczego my nie możemy?”.

Jakże często się słyszy: „Jeśli ten postępuje tak, to dlaczego ja nie mogę? Dlaczego muszę być niezadowolony ze swego życia i ze swego stanu duchowego, jeśli wszyscy inni chrześcijanie w naszym zborze, a i w innych miejscach, żyją dokładnie tak samo i pomimo to są zadowoleni?”.

Niestety, tak sądzi wielu. Lecz przecież Biblia uczy nas, abyśmy poddawali sami siebie próbie nie drogą porównywania się z innymi, ale w świetle Słowa Bożego! Właśnie w tym świetle powinniśmy żyć.

Jeśli będziemy ciągle poddawać próbie i badać samych siebie, jeśli nasze życie i nasza wiara będzie odpowiadać Pismu, wtedy staniemy się źródłami, z których wytrysną wody żywe, zdolne napełnić pragnące dusze.

Jeżeli zaś nie będziemy doświadczać i badać samych siebie, wtedy może się zdarzyć, że sam Bóg podda nas próbie i zważy na wadze Swojego słowa, i możliwe, że to stanie się w chwili, kiedy nie będziemy wcale oczekiwać, jak to się zdarzyło w pewnej znanej nam historii biblijnej.

Syn Nebukadnesara, król Belsazar dobrze wiedział o wszystkim, co przeżył jego ojciec. Na pewno opowiedziano mu o tym, jak za swoją wyniosłość i pychę Nebukadnesar został pozbawiony przez Boga zdrowego rozsądku i przez siedem lat żył jak dzikie zwierzę, żywiąc się trawą. Jednak, dobrze znając tę historię, Belsazar sam rządząc nie uniżył się przed Bogiem i żył tak, jak sam chciał. Prawdopodobnie i jego w jakimś momencie uniósł prąd.

I oto pewnego razu wydał dużą ucztę, jedząc i pijąc razem ze swoimi przyjaciółmi, żonami i nałożnicami. Upiwszy się, rozkazał przynieść złote i srebrne naczynia, które jego ojciec przeniósł z Jerozolimskiej świątyni do Babilonu. Kiedy przyniesiono te naczynia, razem ze swoimi gośćmi zaczął pić z nich wino.

Właśnie w tym momencie, będąc pijanym, zobaczył rękę, piszącą na ścianie słowa przeciwko niemu: „Mene, mene, tekel, uparsin”. Wielki strach i przerażenie ogarnęło wielkiego króla, i wykrzyknął głośnym głosem, wzywając tych, którzy mogliby wyjaśnić mu znaczenie tych słów, obiecując im za to wielką nagrodę. Lecz nikt nie mógł pomóc królowi w jego potrzebie.

W tej trudnej sytuacji na pomoc Belsazarowi przyszła królowa. Powiedziała ona mu, że w ich królestwie jest człowiek o imieniu Daniel, który służy Bogu żywemu i który był wielkim błogosławieństwem w czasie panowania jego ojca. Kiedy Daniel został wezwany i stanął przed królem, to przypomniał mu historię Nebukadnesara, mówiąc przy tym: „A ty, jego synu, Belsazarze, nie uniżyłeś swojego serca, chociaż to wszystko wiedziałeś. Lecz przeciwko Panu nieba się podniosłeś... w którego ręku jest twoje tchnienie i od którego zależą wszystkie twoje dro-

gi" (Dan 5:22-23).

Jak widzicie, przyjaciele, w życiu nierzadko bywa tak, że jakiś człowiek, który wiele lat temu przeżył coś w bliskości z Panem, co było wyraźne i żywe dla niego, i przez co Bóg objawił mu Siebie w Swojej mocy i potędze, po dłuższym czasie zdolny jest zapomnieć to.

Możliwe, że daliście kiedyś obietnicę, obiecując coś Panu, lecz z czasem zapomnieliście o tym. Albo, być może, u kogoś z was rodzice byli wierzący i nieraz doświadczaliście oraz odczuwaliście na sobie moc modlitwy matki lub ojca, kiedy modlili się o was. Lecz teraz ich już nie ma. Oni umarli, a ich modlitwy i wszystko inne zostało też zapomniane. Tak my, ludzie, możemy wiele zapomnieć. Lecz Pan nie zapomina!

I tak, ręka, posłana przez Boga, pisała na ścianie: „Mene, mene, tekel, uparsin”, co znaczy: „Jesteś zważony na wadze i znaleziony lekkim”.

Nie wiem, jak sądzą sędziowie u was, ale w Południowej Afryce pytamy się sędziów, którzy są naszymi przyjaciółmi, dlaczego temu lub innemu przestępca, który popełnił ciężkie przestępstwo, została zasądzona lżejsza kara niż to przewiduje prawo. Wyjaśniono nam, że jeżeli człowiek, dokonując zabójstwa, był pod wpływem alkoholu i nie zdawał sobie sprawy ze swego postępowania, wtedy w stosunku do niego jest inne podejście.

Tak sądzi ludzkie prawo. Lecz Bóg podszedł do tego inaczej. Zważył On Belsazara właśnie w tym momencie, kiedy był pijany i zaraz powiedział mu o rezultacie: „znaleziony lekkim”. Tak, Pan ma Swoją miarę i Swoją wagę, a jest nią Słowo Boże.

Drodzy przyjaciele! Pomyślcie poważnie nad tymi słowami: „Jesteś zważony na wadze i znaleziony lekkim”. Przecież u Pana i dziś jeszcze działa ta miara — Jego Słowo. I na tej wadze musimy ciągle się ważyć, sprawdzając siebie każdego dnia.

Zapytacie na pewno, jak to robić. Otwórzcie waszą Biblię, a ona was nauczy.

Stary Testament, na przykład, mówi „nie zabijaj”, a Nowy Testament nazywa zabójcą tego, kto złości się i oburza się na brata i bliźniego swego, nazywając go niedobrymi słowami. Tak więc, jest to pierwszy przykład tej miary, którą ma Bóg dla nas.

W Ewangelii według Mateusza 5:23-24 jest napisane: „Jeśli byś więc składał dar swój na ołtarzu i tam wspomniałbyś, iż brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam dar swój na ołtarzu, odejdz i najpierw pojednaj się z bratem swoim, a potem przyszedłszy, złóż dar swój”.

Zwróćcie uwagę na to, jak podchodzi do tego zagadnienia Słowo Boże. Ono nie mówi o tym, że masz coś przeciwko bratu, ale że „brat twój ma coś przeciwko tobie”. W konsekwencji, właśnie ty sam idź do tego brata i pojednaj się z nim. Dopiero wtedy dar, przyniesiony przez ciebie, zostanie przyjęty przez Pana jako ofiara przyjemna.

Widzicie, jaka dla nas jest skala Boża i jaka Jego waga. Zważcie siebie na niej! Czy nie okażecie się i wy zbyt lekkimi? Przecież wiecie, kiedy, w jakim cza-

sie i w jakich momentach waszego życia ta waga, będąca w rękach Bożych, waży was. Król Nebukadnesar i jego syn Belsazar mieli tego takie świadectwo od Boga, jak być może nikt inny. Obaj zostali zważeni przez Boga nagle, w tej chwili, kiedy zupełnie nie oczekiwali. A jak wygląda z tym sprawa u was?

Wicie także, że nie możemy cudzołożyć. Cudzołość to obrzydliwy grzech. U nas w Południowej Afryce wśród białych jest to oceniane jako bardzo obrzydliwe, a pomimo to, co trzecia para małżeńska się rozwodzi. A w dużym mieście Johannesburgu według statystyki rozpada się co druga rodzina. Lecz najsmutniejsze jest to, że rozprzestrzenia się to nawet na wierzących. Pastorzy różnych zborów opowiadali mi, że są u nich rodziny, w których dzieci mają różne nazwiska, gdyż pierwsze dziecko było od pierwszego męża, drugie nosi nazwisko drugiego męża, trzecie dziecko — nazwisko trzeciego męża. Takie przerażające rzeczy dzieją się u nas w Południowej Afryce.

Lecz Jezus, którego imieniem nazywamy siebie, w tym zagadnieniu idzie dalej niż nasze ludzkie pojęcia o cudzołóstwie. Nazywa On cudzołożnikiem już tego, kto tylko patrzy na kobietę pożądliwie i w myślach pragnie jej (Mat 5:28). Rozumiesz to, mężu? Wystarczy tobie, że jeden raz tylko spojrzysz na inną kobietę, mając przy tym nieczyste myśli, a w oczach Pana dokonałeś rozwodu i stałeś się cudzołożnikiem.

Co, zbyt fanatyczne? Zbyt wąska droga, żeby nią iść? Zbyt stroma góra, żeby na nią się wspinać? A czy możliwe jest coś takiego? Wtedy już lepiej nie żenić się niż żenić! Przecież tak powiedzieli uczniowie, gdy Jezus rozmawiał z nimi o tym. A więc, drodzy przyjaciele, jak wygląda sprawa z tymi zagadnieniami w waszym życiu?

Podczas przebudzenia Słowo Boże jest żywe i ostre, ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny. I to Słowo będzie decydujące dla nas w dniu sądu. Nie przejdziemy obok niego, przyjaciele! Nie, nie przejdziemy. Nie uciekniemy od tego Słowa. Ono dogoni nas. Przecież są to słowa samego Jezusa Chrystusa i to one są Bożą skalą!

Lecz i to jeszcze nie wszystko. Co na przykład, mówi Słowo Boże o obmowie, plotkach i oszczerstwach? Na to pytanie Biblia powie nam, że „jeśliby zgrzeszył brat twój, idź, upomnij go sam na sam” (Mat 18:15). Jeżeli zaś nie pójdziemy do niego i będziemy rozmawiać o jego grzechu z kimś innym, to grzeszący zginie, lecz i my też trafimy tam razem z nim; dlatego że nie tylko nie pomogliśmy mu, lecz jeszcze osądzaliśmy go, depreczając i poniżając go w oczach innych. Taka jest miara Boża dla tych, którzy nie postępują według Jego Słowa.

Niestety, zawsze zapominamy, że jeżeli Pan działa, to zawsze zaczyna od nas, chrześcijan. Nie jesteśmy wyjątkowymi, żeby móc twierdzić, iż Jego działanie nie będzie skierowane na nas, ale na innych. Lecz zobaczymy, co powie nam na to Jezus: „Czemu widzisz źdźbło w oku brata swego, a belki w oku swoim nie dostrzegasz? Obłudniku, wyjmij najpierw belkę z oka swego, a wtedy przejrzysz, aby wyjąć źdźbło z oka brata swego” (Mat 7:3,5).

Widzicie, co mówi nam Sędzia wszystkich sędziów, Ten, który będzie sądził cały świat w dniu sądu! Według naszych pojęć i według naszego spojrzenia,

nasze własne błędy i grzechy są źdźbłem, a błędy, grzechy i braki naszych bliźnich — belkami, o których tak dużo mówimy i myślimy. Bóg zaś patrzy na to odwrotnie, nazywając nas obłudnikami, którzy powinni najpierw wyjąć belkę ze swego własnego zepsutego serca i ze swego niedobrego życia.

Są ludzie, którzy tylko myślą, tylko osądzają grzechy innych. Prowadzą takie rozmowy nawet kiedy piją kawę lub herbatę z ciastem. Przy tym, jak z rogu obfitości sypią się wiadomości: „Już słyszałeś, że taki to a taki zrobił to i to? Wiesz, co narobiło dziecko tego lub tamtego?” Takim amatorom plotkowania chcę coś powiedzieć. Zanim coś powiecie o dzieciach sąsiadów, opowiedzcie najpierw o swoich własnych dzieciach! Jeżeli jesteś uczciwym i nieobłudnym człowiekiem oraz prawdziwym chrześcijaninem, to zanim powiesz o grzechach innych ludzi, powiedz najpierw o swoich własnych grzechach! Rozumiecie, o czym mówię? Nie zapominajcie o tym nigdy, gdyż tego uczy nas Biblia! Jeżeli zaś teraz nie chcemy tego widzieć, to przyjdzie nam przebudzić się w dniu sądu; w dniu, gdy już będzie zbyt późno, żeby cokolwiek naprawić, gdyż przyjdzie już zguba wieczna — nieokończony czas piekielnych mąk.

Drodzy przyjaciele! Na pewno teraz rozumiecie, dlaczego bardzo często mówię ludziom, żeby oni dobrze pomyśleli, zanim zaczną modlić się o przebudzenie. Czy wiecie, co to znaczy, kiedy Słowo Boże staje się decydujące i działające, kiedy ono jest „tak” i „amen”? Wtedy już po porostu nie będziesz mógł żyć dalej tak, jak przedtem, swoim grzesznym życiem. Wtedy trzeba będzie rzeczywiście nawrócić się do Boga i doprowadzić swoje życie do porządku. Co, nie jest to łatwe? Lecz przecież właśnie w tym świetle powinniśmy chodzić — w świetle Słowa Bożego!

Czy uczestniczycie w Wieczery Pańskiej? Czy wiecie, iż Słowo Boże mówi nam, że zanim weźmiemy chleb i sok owoców winnicy, musimy poważnie poddać próbie i sprawdzić samych siebie? W Pierwszym Liście do Koryntian 11:27 jest powiedziane: „Przeto, ktokolwiek by jadł chleb i pił z kielicha Pańskiego niegodnie, winien będzie ciała i krwi Pańskiej”. W konsekwencji tego, jeżeli niegodnie jecie chleb wieczery i pijecie wino przymierza, to tym samym dokonujecie sądu nad sobą. Przecież nie na próżno jest napisane dalej: „Dlatego jest między wami wielu chorych i słabych, a niemało zasnęło. Bo gdybyśmy sami siebie osądzali, nie podpadlibyśmy pod sąd” (1Kor 11:30-31).

Już nieraz mówiłem lekarzom w Południowej Afryce, żeby oni nie tylko opatrzywali swoich pacjentów, lecz jeszcze pytali się ich o to, czy przyjmowali Wieczere Pańską. Konieczne jest, aby wszyscy lekarze, wierzący lub nie, mieli to na uwadze. Szczególnie dobrze o tym powinni wiedzieć lekarze, którzy są chrześcijanami. Właśnie dlatego wśród dzieci Bożych niemało jest słabych i chorych, gdyż wieczerza Pańska przyjmowana jest niegodnie.

Jest nas dużo, lecz chleb jeden, dlatego i my musimy być jedno. A jak wygląda z tym sprawa w naszych społecznościach? Czy jest jedność wśród braci i siostr? Czy jest jednomyślność? Wino jest dla nas symbolem krwi Chrystusowej, której nie możemy deptać nogami. Jesteśmy nią odkupieni i jesteśmy własnością Pana. Czy zdajemy sobie z tego sprawę? Kiedy pijemy z kielicha cierpień Chry-

stusowych, czy rzeczywiście rozmyślamy o tym, co mówi o tym Jego Słowo: „Nie możecie pić kielicha Pańskiego i kielicha demonów; nie możecie być uczestnikami stołu Pańskiego i stołu demonów” (1Kor 10:21)?

Co na to powiecie, przyjaciele? czy pijecie z dwóch kielichów: z kielicha tego świata i z kielicha chrześcijaństwa? Czy siedzicie przy dwóch stołach? Jeżeli tak, to nie odważajcie się przyjmować Wieczerzy Pańskiej, gdyż ona będzie dla was przekleństwem.

Możliwe, że powiecie, iż od dawna przyjmujecie Wieczerzę Pańską z goryczą w sercu i niezdolnością, żeby wybaczyć innemu, jednak do tej pory nic nie wydarzyło się. Lecz czy wiecie, że przy tym wy sami, swoimi rękami założyliście sobie pętlę na szyję?

Jakże często modliliśmy się tą modlitwą: „Odpuść nam winy nasze, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Wiedźcie, że Bóg odpuści wam dokładnie tak samo, jak i wy odpuszczacie. Nic więcej. I jeżeli komuś nie odpuszczacie, wtedy i Bóg, który jest w niebie, też wam czegoś nie odpuści. Sami dajecie Mu do tego prawo mówiąc, żeby On odpuścił wam dokładnie tak samo, jak robicie to wy.

Czyżbyście nie znali przypowieści o człowieku, któremu jego pan odpuścić bardzo wielki dług, lecz który nie chciał okazać łaski swemu towarzyszowi, który był jego dłużnikiem? A przecież dług, którego żądał ten zły człowiek od swojego bliźniego, był znikomą częścią tego, co zostało odpuszczone jemu samemu. Pamiętajcie, co zrobił jego pan, usłyszawszy o takim postępowaniu? Czy nie rozgniewał się na niego, mówiąc: „Sługo zły! Wszystek tamten dług darowałem ci, boś mnie prosił. Czy i ty nie powinieś być zlitować się nad współsługą swoim, jak i ja zlitowałem się nad tobą”? Powiedziawszy to, pan wtrącił tego sługę do więzienia do tej pory, póki nie odda mu całego długu. Tak, zatwardziałość tego człowieka doprowadziła do tego, że pan jego zażądał od niego całego darowanego przedtem długu.

Kończąc tę przypowieść, Pan, zwracając się do nas, mówi: „Tak i Ojciec mój niebieski uczyni wam, jeśli nie odpuścicie z serca swego każdy bratu swemu” (Mat 18:23-35).

Widzicie, Biblia nie jest księgą z bajkami, a ja nie jestem tym, który w to wątpi. Jestem przekonany, że Słowo Boże i dziś jeszcze jest całkowicie prawdziwe. Dlatego biada temu człowiekowi, który myśli, że Pan odpuścił mu jego grzechy, chociaż sam nie odpuszcza swemu bliźniemu, który zgrzeszył przeciwko niemu! Biada mu! I jeżeli ty, będąc takim, będziesz twierdzić, że jesteś na drodze do nieba, to nie uwierzę w to, gdyż dla mnie ważne jest to, co mówi Biblia, a nie to, co myślą ludzie. Każdy człowiek jest kłamcą, a Bóg jest prawdą, i dlatego polegam na tym i buduję tylko na tym, co mówi Pan, bo wszyscy zostaniemy zważeni na wadze Jego Słowa.

Drodzy przyjaciele! Jesteście przedstawicielami różnych zborów i różnych społeczności. Jak wygląda z tym sprawa u was? Nie, nie w waszym zborze, ale osobiście u każdego z was. Ważycie siebie na wadze Słowa Bożego? Czy żyjecie tak, jak mówicie? Być może, że mówicie innym o przebudzeniu, o tym, że Duch Boży powinien działać i Królestwo Boże się budować. A czyje królestwo wy sami

popieracie? Z jakimi mocami wy sami macie do czynienia? Możliwe, że rozmawiacie o spirytyzmie, o mocach czarnej magii, a nie wiecie, że sami znajdujecie się w czarnej ręce, która nie jest ręką Bożą, i tolerujecie w waszym życiu takie sprawy i takie rzeczy, które nie są owocem życiodajnego Ducha.

Myślicie, że macie życie wieczne? To poszukajcie w Piśmie, które świadczy o prawdzie, a ono powie wam, czy macie życie, czy nie. Jest tragiczne, jeżeli ktoś żyje z nadzieją otrzymania życia wiecznego, lecz na koniec swojej drogi zobaczy, że to wszystko jest nie tak. Oto dlaczego musimy ciągle doświadczać i sprawdzać siebie i swoje życie w świetle ewangelii, i robić to stale przez całą naszą drogę naśladowania Pana.

Zupełnie niedawno wydarzył się u nas pouczający przypadek. Pewien człowiek, z pochodzenia Niemiec, którego przodkowie wiele lat temu przyjechali do Południowej Afryki, miał wysokie stanowisko, autorytet, duży majątek i uważał się za dobrego chrześcijanina w swojej społeczności. Nagle zachorował, a kiedy zwrócił się do lekarza i został zbadany, to usłyszał coś przerażającego. Lekarz powiedział, że nie może mu pomóc, gdyż ma on bardzo złośliwy rodzaj raka i jego stan jest beznadziejny. Możecie sobie wyobrazić, jakim wstrząsem była dla niego ta wiadomość.

Jeden z naszych współpracowników odwiedził tego chorego i oto, co ten mu powiedział: — Od tej pory, gdy dowiedziałem się o chorobie, dzieje się ze mną coś niezwykłego. Dzień po dniu przed moimi oczami, jak film, przechodzi całe moje życie, poczynając od dzieciństwa. I tak przypominałem sobie, że kiedyś, bardzo dawno, coś obiecałem pewnym ludziom i nie wykonałem tego. Zaraz zwołałem mojego syna, żeby odwiózł mnie samochodem do nich. Przyjechawszy tam, opowiedziałem im o tym, że życie moje zbliża się do końca i że Pan, objawiając mi wszystko, co było w nim nieczystego i niedobrego, przypomni mi i tę winę — mój dług w stosunku do nich. Przez to poznałem, jakim wielkim byłem kłamcą. Żeby chociaż trochę naprawić swój błąd, wyciągnąłem książeczkę czekową i wypisałem im dużą sumę. Bracie mój! — zwracając się do swojego gościa, kontynuował ten człowiek. — Nie rozmawiaj ze mną o polityce! Nie mam czasu teraz na to. Nie opowiadaj mi o tym, co dzieje się na świecie i nic nie mów o pieniądzach. Wcześniej było to moim celem i moim życiem, lecz teraz nie mam więcej na to czasu. Muszę przygotować się na wieczność. Koniec wszystkiego! Wszystkie moje myśli, słowa, sprawy i czyny stoją teraz przede mną, i jakże żałuję, że tak żyłem! — Tak ten człowiek zbliżał się do swojego końca, lecz dla niego był to jeszcze czas łaski.

Drodzy przyjaciele! Sprawdźmy siebie już dziś, póki nasza przyszłość jest jeszcze przed nami! Przecież nie wiemy, ile czasu pozostało każdemu z nas! Mojżesz nie na próżno mówił: „Naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy posiadli mądre serce”. *) Kiedyś będziemy musieli stanąć przed Panem, niezależnie od tego, czy

*) W niemieckiej Biblii te słowa modlitwy Mojżesza z Psalmu 90:12 w dosłownym tłumaczeniu brzmią tak: „Naucz nas rozmyślać o tym, że musimy umrzeć, abyśmy, myśląc o tym, mogli posiadać mądre serce”.

mamy pewność naszego zbawienia i życia wiecznego, czy nie. Musimy zawsze liczyć się z tym, że w jakiejś chwili Bóg wejdzie w nasze życie. Wtedy przyjdzie On ze Swoją wagą i zostaniemy zważeni. Biada nam, jeśli okazemy się przy tym zbyt lekkimi!

Może tak się zdarzyć, że Bóg przyjdzie do nas nie w tym momencie, kiedy będziemy na kolanach lub na mównicy, ale wtedy, kiedy będziemy razem z nie-rządnicą. Możliwe, że okaże nam łaskę, tak że nie zachorujemy na straszną chorobę AIDS, bo przecież z taką możliwością każdy cudzołożnik musi się teraz liczyć, gdyż taki jest sąd Boży nad bezbożnikami i niech cały świat to słyszy! Lecz jeżeli nawet nasze ciało pozostanie zdrowe, to jaka z tego korzyść, jeśli dusza pójdzie do piekła?

Pan może zważyć was w tej chwili, kiedy zazdrościcie, irytujecie się i złościcie; w tym momencie, kiedy macie złe myśli, albo kiedy w swoim wysokim mniemaniu wynosicie się nad innych. Tak, nie wiemy, jaki to będzie dla nas moment i gdzie nas zastanie.

W Ameryce żyła bardzo piękna dziewczyna, która była żenicą oka i brylantem dla swoich rodziców. Wyróżniała się ona ze wszystkich i wywyższała nad wszystkich, już od szkolnych lat otrzymawszy nazwę „pierwszej”. Później, podczas nauki na uniwersytecie, została wybrana królową piękności i wszyscy nie mogli napatrzeć się na nią. Rodzice nadzwyczaj byli dumni, że dali światu taką niespotykaną piękność. W dniu jej koronacji na królową piękności zostało ogłoszone wielkie święto. Na widok swojej córki w pięknej koronie, serce ojca i matki napełniło się radością i weselem.

Lecz oto bal się skończył i ludzie zaczęli rozjeżdżać się. Rodzice ledwo pożegnali się z córką i wrócili do domu, gdy nieoczekiwanie zadzwonił telefon. Wziąwszy słuchawkę, matka dziewczyny usłyszała trwożny głos lekarza: „Przyjeżdżajcie szybko! Wasza córka jest na reanimacji. Stało się nieszczęście i jej stan jest nadzwyczaj ciężki!”.

Kiedy rodzice przybyli do szpitala i weszli do córki, matka nie mogła rozpoznać swojej piękności. Jej twarz była zniekształcona i zmieniona. Leżała ona w specjalnym łóżku, gdyż miała złamany kręgosłup i zmiężdżone nogi. Wokół stały kropiółki i różna aparatura, leżały strzykawki i inne przyrządy medyczne.

Matka cicho podeszła i usiadła. Dziewczyna miała jeszcze świadomość i poczuła jej obecność. — Mamo! — otworzywszy oczy, cicho szepnęła. — Mamo, przyszedł dzień mojej śmierci. Mamo, uczyłaś mnie, jak młoda dziewczyna musi się upiększać. Uczyłaś mnie też, jak pięknie zapalać papierosa i jak podnosić kieliszek z winem. Mamo, nauczyłaś mnie, jak trzeba się ubierać, lecz nie nauczyłaś mnie, jak trzeba umierać! I oto umieram. Powiedz mi, co mam teraz robić? — Ale matka milczała. Kamień stał jej w gardle, a z oczu nieprzerwanymi strugami lały się łzy. — Mamo, szybko, umieram! Co mam robić? — Lecz matka nie mogła nic powiedzieć. Tak umarła ta dziewczyna. Została ona zważona na wadze i znaleziona bardzo lekką.

Powiedzcie, przyjaciele! Gdybyście umarli teraz, jakim byłby ten moment? Czy i wy bylibyście znalezieni zbyt lekkimi? Czy prawdziwie macie w życiu ewan-

gelię, zgodną z Pismem? Czy Słowo Boże będzie mogło potwierdzić to? Czy Jezus będzie mógł i wam powiedzieć: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Nad tym, co małe, byłeś wierny, wiele ci powierzę; wejdź do radości pana swego” (Mat 25:21)?

Czy jesteś gotowy na to? Czy jesteśmy gotowi na to? Pomyślcie o tym! Popatrzcie na to w świetle wieczności, która na pewno przyjdzie! Ja nie głoszę wam Erlo Stegena. Zapomnijcie o mnie! Przecież ja przychodzę i odchodzę! Nie mówcie o mnie innym, gdyż czyniąc to, tylko szkodzicie mojej służbie i mojemu powołaniu. Mówcie o Jezusie

i bądźcie wierni Jezusowi! Doprowadźcie swoje życie do porządku! Wasze życie powinno przebiegać zgodnie z Pismem, a jak to wygląda u was w rzeczywistości? O, dałby Pan, żeby Jego święta obecność spowodowała w waszym życiu to, co stało się u nas w Południowej Afryce!

10. Wstań i wyznaj swoje grzechy

W Księdze Jozuego w 7 rozdziale znajdujemy opis jednej z historii ludu izraelskiego, kiedy będąc pokonanym, zmuszony był uciekać przed swoim nieprzyjacielem. Nieszczęście dosięgło lud Boży z powodu kradzieży, dokonanej przez Achana.

W tym rozdziale od 6 do 13 wersetu, czytamy: „Wtedy Jozue rozdarł swoje szaty i padł twarzą na ziemię przed Skrzynią Pana i leżał tak aż do wieczora, on i starsi izraelscy, i sypali proch na swoje głowy. I rzekł Jozue: Ach, Panie, Panie mój, dlaczego przeprowadziłeś ten lud przez Jordan? Czy aby wydać nas w ręce Amorejczyków na zagładę? Obyśmy byli pozostali po tamtej stronie Jordanu! O, Panie, cóż mam powiedzieć, gdy oto Izrael odwrócił się tyłem do swoich nieprzyjaciół? Usłyszą to Kananejczycy i wszyscy mieszkańcy tej ziemi, zwrócą się przeciwko nam i wytępią imię nasze z tej ziemi. Co wtedy uczynisz dla wielkiego imienia twego?”.

Odpowiadając na ten płacz, Pan mówi do Jozuego: „Wstań! Czemu leżysz twarzą do ziemi? Izrael zgrzeszył: Naruszyli moje przymierze, które im narzuciłem. Wzięli nieco z tego, co było obłożone klątwą, ukradli, zataili i włączyli to do swoich rzeczy. Dlatego nie mogą synowie izraelscy ostać się wobec swoich nieprzyjaciół, ale podają tyły swoim nieprzyjaciółom, bo sami zostali obłożeni klątwą. Nie pozostaną nadal z wami, jeżeli nie usuniecie spośród siebie tego, co jest obłożone klątwą. Wstań! Poświęć lud i powiedz: Poświęćcie się na jutro, gdyż tak mówi Pan, Bóg Izraela: To, co jest obłożone klątwą jest pośród ciebie, Izraelu. Nie będziesz mógł ostać się wobec swoich nieprzyjaciół, dopóki nie usuniecie spośród siebie tego, co jest obłożone klątwą”.

Drodzy przyjaciele! Tutaj wprost i w praktyce widzimy, jak wygląda nasz Pan i co to znaczy chodzić z Bogiem. Widzimy lud Boży po jego wielkim zwycięstwie, kiedy przed nim padły mury Jerycha. O, jakże chwalili i wielbili oni wtedy Pana wiedząc, że nie jest to ich zasługą, ale wpływem Bożej potęgi!

I oto, kiedy przeżyli to cudowne zwycięstwo, mąż Boży Jozue, nic nie wiedząc, co stało się z Achaniem, posyła zwiadowców z całkowitym przekonaniem w nowe zwycięstwo.

O, my, pastorki i kaznodzieje! Jakże często nie mamy najmniejszego wyobrażenia o tym, co dzieje się w naszych zborach i społecznościach! W dni niedzielne widzimy ludzi w zborze i prawie wszyscy oni z małym wyjątkiem wyglądają na zewnątrz, jak aniołowie. I oto, stojąc przed nimi, głosimy o wielkiej miłości i łasce Bożej, o tym, że Bóg umarł za nas i przez Jego śmierć otrzymaliśmy zbawienie oraz odpuszczenie naszych grzechów. Cóż, wtedy im nie jest trudno wierzyć. Tak przecież każdy bez szczególnego wysiłku trafia do raj. Lecz, moi drodzy, naszym zadaniem jest powiedzenie im w pierwszej kolejności o tym, że nie mogą oni ujrzeć oblicza Pańskiego, zanim nie pozostawią swoich grzechów, co najmniej póki nie przestaną kłamać i kraść. Przez to nie chcę powiedzieć, iż musimy ciągle mówić ludziom, że trafiają do piekła. Jednak, jeżeli stoimy z Biblią w rękach nad grobem zmarłego, to tutaj mamy obowiązek powiedzieć im, jeszcze ży-

jącym, żeby upamiętali się, jeśli nie chcą trafić do straszego miejsca wiecznych mąk.

Tak więc, Jozue po chwalebny zwycięstwie nad Jerychem, myśląc, że wszystko idzie dobrze, posyła zwiadowców do Aj, żeby przeprowadzili wywiad. Wróciwszy, donieśli oni, że lud żyjący w tym mieście nie jest liczny i że dwa lub trzy tysiące wojowników wystarczy, żeby ich pokonać. Postanowiono posłać tam trzy tysiące ludzi. Z pełnym przekonaniem w zwycięstwo to wojsko opuszcza swój obóz, żeby zawładnąć miastem i jego mieszkańcami.

Jednak wydarzenia potoczyły się zupełnie inaczej. Stało się to, czego nikt nie oczekiwał. Nieprzyjaciel okazał się zbyt mocny, a lud Boży zmuszony był uciekać przed nim, pozostawiając trzydziestu sześciu mężów zabitych na polu walki.

Gdy Jozue usłyszał tę wiadomość i zobaczył ucieczkę wybranego ludu Bożego, kiedy w tym czasie poganie z radością świętowali zwycięstwo, rozdarł w bólu swoje szaty i padł twarzą na ziemię przed Skrzynią Pana, wołając: „Ach, Panie, Panie mój, dlaczego przeprowadziłeś ten lud przez Jordan? Czy aby wydać nas w ręce Amorejczyków na zagładę? Usłyszą to Kananejczycy i wszyscy mieszkańcy tej ziemi, zwrócą się przeciwko nam i wytępią imię nasze z tej ziemi. Co wtedy uczynisz dla wielkiego imienia twego?”.

Tak modlił się wielki mąż Boży razem ze starszymi swojego ludu, mając w pełni świadomość, że nie mają teraz mocy przeciwstawić się nieprzyjacielowi, że diabeł stał się zbyt silny, a lud Boży pokonany i rozbity leży na ziemi. Cały dzień do wieczora wołali oni do Boga, póki nie odpowiedział im i zwracając się do Swojego sługi, surowo powiedział im: „Wstań! Czemu leżysz twarzą do ziemi?”, to znaczy, mówiąc językiem naszych czasów: „Przerwij modlitwę! Po co Mi to?”.

Zgodzicie się, przyjaciele, że w chrześcijaństwie dwudziestego wieku bardzo dużo mówi się o modlitwie i o tym, że trzeba więcej się modlić. Jakże często można słyszeć teraz coś takiego: „Dlaczego nasze życie duchowe gaśnie? Dlaczego u nas nie ma przebudzenia? Dlaczego nie ma wzrostu duchowego? O, na pewno musimy więcej modlić się! Musimy dnie i noce spędzać na modlitwie! Musimy też więcej pościć. Dlaczego z naszego wnętrza nie wytryskają strumienie wód żywych? Dlaczego tak mało cudów Bożych jest dziś na świecie? Dlaczego świat triumfuje, a diabeł odnosi zwycięstwo za zwycięstwem? Dlaczego... ? O tak, musimy rzeczywiście jak najwięcej i coraz usilniej się modlić!”.

I oto zbieramy się na modlitewnych zgromadzeniach i modlimy się, modlimy, modlimy...

Jednak zwróćmy się do tego przykładu. Kiedy Jozue razem ze starszymi tak samo długo modlili się i wołali do Pana, sam Bóg objawił się im i powiedział: „Dość, przestańcie!”. Zwracając się do Swego sługi, mówi On do niego: „Po co padłeś na twarz swoją i dlaczego tak modlisz się i wołasz? Po co Mi to? Wstań! Gdyż do ludu Mojego wszedł grzech, który musi zostać wytępiony!”.

Widzicie, drodzy przyjaciele! Zgromadzenia modlitewne nie mają sensu, jeżeli przy tym nie oczyszczamy swego życia. Często ludzie przychodzą do nas i pytają się, jak patrzymy na post. Wtedy mówię, że uważam za lepsze, jeśli ludzie ogłaszają post swoim grzechom, a nie żołądkowi. Lepiej normalnie jeść, nie dając

przy tym pożywienia grzechowi, niż pościć i dalej grzeszyć.

Uwierzcie, że post cielesny nie ma żadnego znaczenia, jeżeli grzech dalej panuje nad nami. Co za sens, jeżeli pościmy, a twarz nasza jest pochmurna i udrecona, i sami jesteśmy niezyczliwi dla innych, zirytowani, niecierpliwi? Czy myślicie, że taki post podoba się Panu? Nie, jest to coś ludzkiego, nie mającego sensu i znaczenia przed Bogiem. Znam pewnego chrześcijanina, który bardzo często i długo pości, ale jak świadczą jego żona i dzieci, właśnie w tych dniach tak zwanego postu bywa on szczególnie uciążliwy dla otoczenia.

Między innymi, to pytanie o post interesowało kiedyś i faryzeuszów, na co Jezus odpowiedział im tak: „Czy możecie sprawić, by uczestnicy wesela, dopóki oblubieniec jest z nimi, pościli? Lecz przyjdą dni, że oblubieniec będzie im zabrany, wówczas pościć będą” (Łuk 5:34-35). Tak więc, jak widzicie, jeżeli Oblubieniec przebywa wśród nas, to nie ma szczególnej potrzeby pościć; jeżeli zaś nie ma Go, wtedy oczywiście zmuszeni jesteśmy pościć.

I tak, Pan mówi do Jozuego: „Wstań! Czemu leżysz twarzą do ziemi? Izrael zgrzeszył: Naruszyli moje przymierze, które im narzuciłem”.

Drodzy przyjaciele, wy, którzy odprawiacie nabożeństwa modlitewne! Czy słyszyte te słowa Pańskie? On i teraz mówi: „Dlaczego tyle modlicie się? Dlaczego padliście na twarze wasze?”. Gniewając się na Swój odkupiony lud, Pan dalej mówi Swemu słudze: „Nie pozostanę nadal z wami, jeżeli nie usuniecie spośród siebie tego, co jest obłożone klątwą.”

Jest wielu kaznodziejów, którzy mówią, że Pan będzie z nami do skończenia świata i jeżeli jesteśmy dziećmi Bożymi, to On nigdy nie zostawi nas. Nie mogę zrozumieć, jak można mówić taką bezmyślność. Przecież Pan Jezus jest wczoraj, dziś i na wieki ten sam! On nie zmienia się. Bóg Starego Testamentu jest także Bogiem i Nowego Testamentu. A ten Bóg mówi Jozuemu: „NIE POZOSTANĘ NADAL Z WAMI, JEŻELI NIE USUNIECIE SPOŚRÓD SIEBIE TEGO, CO JEST OBŁOŻONE KLĄTWĄ”.

Tak, to są wstrząsające fakty, lecz niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie, musimy przyjąć to do serca! Inaczej całe nasze chrześcijaństwo jest tylko teatrem, a nasz „Bóg” tylko bałwanem, którego stworzyliśmy sobie według pożądliwości naszego serca. To nie jest Bóg Biblii, a tylko wymysł naszego rozumu i naszej wyobraźni.

W Pierwszym Liście do Koryntian 10:11 jest napisane: „A to wszystko na tamtych przyszło dla przykładu i jest napisane ku przestrodze dla nas, którzy znaleźliśmy się u kresu wieków”. Ta historia też zapisana jest w Biblii i ma duże znaczenie dla nas, żyjących w tych czasach ostatecznych.

Jak można zobaczyć na tym przykładzie, modlitwa wołających do Boga została przerwana przez samego Boga, który powiedział, żeby przestali się modlić, gdyż pośród nich jest coś, co musi zostać doprowadzone do porządku, bo Izrael zgrzeszył.

Na pewno te słowa „Izrael zgrzeszył” trudno jest nam zrozumieć. Jakże to tak? Przecież nie Izrael zgrzeszył, a tylko jeden człowiek — Achan! Dlaczego zaś Pan gniewa się na cały lud izraelski?

Widzicie, jaką skalę ma Bóg? Tylko jeden człowiek zgrzeszył z szeregów Izraela, a Pan mówi o całym ludzie.

Drodzy przyjaciele! Moc łańcucha, składającego się z poszczególnych ogniw, określa się mocą najsłabszego jego ogniwa. To znaczy, że jeśli w całym łańcuchu znajdzie się tylko jedno słabe ogniwo, to cały łańcuch wytrzyma nie więcej niż ta najsłabsza jego część. Dokładnie tak samo jest wśród chrześcijan. Każdy, kto znajduje się w naszych szeregach, jest jakby jednym ogniwem, połączonym z nami, a my jesteśmy nierozdzielnie złączeni z nim, i dlatego grzech jednego członka ściąga przekleństwo na całą społeczność. Dopiero kiedy niegodziwość zostanie ujawniona i ukarana lub kiedy człowiek, czyniący grzech, zostanie usunięty, wszyscy pozostali staną się wolni. Tak było i w tym przypadku. Gdy lud izraelski usunął spośród siebie tego, na kim spoczywała klątwa, Bóg znowu zaczął przebywać wśród nich. Dopiero wtedy, a nie wcześniej!

Zauważcie jeszcze jedno. W tym momencie, kiedy Pan nagle zwrócił się do Jozuego, wszyscy oni przestali się modlić. Słowo Boże nie na próżno mówi: „czuwajcie i módlcie się”, przy czym słowo „czuwajcie” znajduje się na pierwszym miejscu. Niestety u nas, chrześcijan, często bywa odwrotnie. Stawiamy na pierwszym miejscu modlitwę, zaś czuwanie na drugim lub nawet ostatnim miejscu, albo zupełnie o nim zapominamy.

Bóg, zwróciwszy się do Jozuego, otwiera mu oczy na to, o czym nawet nie pomyślał podczas swojej modlitwy i wołania do nieba, a co było przyczyną ich przegranej i gniewu Bożego.

Czy nie tak jest teraz i u nas, drodzy przyjaciele? Jaki pożytek z modlenia się o przebudzenie i o zwycięstwo ludu Bożego, jeżeli pośród nich jest klątwa? Jeżeli nazywamy siebie Kościołem Chrystusowym i chcemy, żeby wśród nas przebywał Bóg, to musimy oczyścić się. Przecież sam Pan mówi: „Świętymi bądźcie, bom Ja jest święty” (3Moj 19:2). Kiedy do naszego środowiska przenika coś nieczystego i nieświętego, Pan oddala się lub całkowicie odchodzi od nas, gdyż nie może być społeczności czystego z nieczystym i świętego z tym, co obłożone jest klątwą.

I tak, jeżeli chcemy, żeby Bóg przebywał wśród nas, koniecznie trzeba zniszczyć to, co jest przeklęte lub wyrzucić ze swego środowiska tego, kto związał siebie z tym, co obłożone jest klątwą, i nie chce się z tym rozstać. Nie czyniwszy tego, lud Boży nie może osiągnąć zwycięstwa.

Właśnie tak postąpił Jozue. Wezwał cały lud, który zaczął podchodzić do niego, jak powiedział Bóg — według plemion i rodów. W ten sposób znaleziono Achana, którego grzech był przyczyną porażki Izraela.

Zwróciwszy się do niego, Jozue mówi: „Synu mój, oddaj Panu, Bogu Izraela, chwałę i złóż mu wyznanie. Oznajmij mi to, co uczyniłeś, niczego przede mną nie ukrywaj”. Zrozumiawszy, że został ujawniony, Achan powiedział: „Zaiste, ja zgrzeszyłem przeciwko Panu, Bogu Izraela. Postąpiłem mianowicie tak: Ujrzałem wśród łupów piękny płaszcz babiloński, dwieście sykli srebra i jedną sztabę złota wagi pięćdziesięciu sykli. Zapragnąłem ich i zabrałem je. Oto są one zakopane w ziemi w obrębie mojego namiotu, a srebro na spodzie”. Tak został odkryty ten

grzech.

Zauważcie, przyjaciele, że Achan ujawnił swój grzech dopiero wtedy, kiedy sam Bóg wskazał na niego. A przecież miał on możliwość zrobić to wcześniej, jednak nie chciał jej wykorzystać. Popelnivszy grzech, zataił i ukrył go, tak że nikt z postronnych nie wiedział o tym. Jednak przed Bogiem nie ma nic ukrytego i widzicie, jak Najwyższy rozsądza to, co się stało.

My, chrześcijanie, w takich przypadkach najczęściej mówimy po prostu tak: „O Panie, odpuść i zmiłuj się nad nami, grzesznymi”, jak ten niewidomy, który krzychał: „Jezusie, synu Dawidowy, zmiłuj się nade mną!”. W odpowiedzi na ten krzyk Chrystus wezwał go do Siebie i zapytał: „Powiedz, co chcesz, abym ci uczynił?”. Wtedy niewidomy powiedział Mu o swojej ślepcocie, po czym Pan dotknął się jego oczu.

Rozumiecie przyjaciele, dlaczego o tym mówię? Zawsze musimy, jak to się mówi, „brać byka za rogi”. Modlitwa typu: „Panie, odpuść mi, zmiłuj się nade mną” nie pomoże. Przykrywamy tym tylko naszą duchową nieczystość. Ujawniając grzech Achana, Pan mówi wprost, że wśród jego ludu jest coś obłożonego klątwą, że dokonano kradzieży, lecz winny ukrywa to, okłamując w ten sposób innych. Kiedy Jozue zmusza Achana do przyznania się, ten mówi, że rzeczywiście wziął to, co obłożone było klątwą, i zakopał w swoim namiocie. Posłani tam ludzie wykopali to, co było ukryte, i przynieśli, położywszy przed wszystkimi.

Po tym wydarzeniu Achana i całą jego rodzinę ukamienowano. Ich trupy razem z bydłem i dobytkiem spalono w ogniu i wzniesiono na tym wielki stos kamieni na pamiątkę tego, że Pan nie toleruje grzechu.

Myśląc o tym przykładzie, być może chcielibyśmy powiedzieć: „Ale dlaczego razem z Achaniem zostali ukamienowani żona, synowie i córki jego? Przecież w Biblii jest powiedziane, że nikt nie poniesie kary za grzechy innego”.

Niestety, Biblia nie mówi nam o tym; lecz można założyć, że żona Achana i inni członkowie rodziny wiedzieli o jego czynie, jednak przez nierozumność lub świadomie przemilczeli to.

Oczywiście chciałoby się zapytać żonę Achana, dlaczego od razu nie pobięła do Jozuego i nie opowiedziała mu o niedobrym czynie męża, ujawniając to. Przecież w ten sposób uratowałyby swoje własne życie, życie swoich dzieci i być może życie swego męża! Dlaczego żona nie wstała w tym okresie? Dlaczego nie podnieśli się synowie i nie powiedzieli: „Ojczy, Bóg nie toleruje tego”?

Niestety, nierzadko bywa tak, że ludzie jednoczą się w grzechu i zakrywają zło. Tak czynią mężowie, widząc grzech żon. Bardzo często postępują tak żony, gdy grzeszą ich mężowie; a także rodzice, którzy milczeniem zakrywają grzech swoich dzieci. W taki sposób ludzie jednoczą się między sobą w grzechu, zamiast stanąć po stronie Boga, mówiąc: „Pan nie zniesie tego, dlatego też nie mogę być z tobą jednomyślny”. Tak i w tym przypadku milczenie członków rodziny Achana stało się przyczyną tego, że oni stali się jego uczestnikami i wraz z nim zostali skazani na śmierć.

Na przykładzie tej historii Pan pokazuje nam wszystkim, którzy nazywamy siebie Jego imieniem, że ruch do przodu jest niemożliwy, jeśli w naszym środowi-

sku jest grzech. Rozumiecie teraz, przyjaciele moi, dlaczego w naszych zborach i społecznościach sprawy wyglądają tak, jak to widzimy. Przecież Bóg, dokonujący kiedyś takich dzieł, i dziś jest taki sam. I jeżeli wy do tej pory jeszcze nie mieliście takiego spotkania z Nim, to wiedzcie, że przyjdzie godzina, kiedy to przeżyjecie. Jeżeli nie w tym świecie, to w przyszłości, lecz to musi kiedyś się stać. Wtedy Pan stanie się jawą i rzeczywistością, i wtedy prawda wyjdzie na światło dzienne przed niebem i przed ziemią. Jest to nieuniknione, bez względu na to, czy w to wierzymy, czy nie.

I jeszcze na jeden punkt chciałbym zwrócić waszą uwagę. Zwracając się osobiście do Jozuego, Bóg mówi do niego: „Nie pozostanę nadal z wami, jeżeli nie usuniecie spośród siebie tego, co jest obłożone klątwą”. Usłyszawszy to, Jozue mógł prawdopodobnie wykrzyknąć: „Panie, ale co ja mam z tym wspólnego? Dlaczego mnie opuściłeś? Przecież zgrzeszył zupełnie inny człowiek z Twojego ludu! Ja zaś byłem Tobie wierny”. Lecz prawdziwy sługa Boży tego nie robi. Wystarczą mu słowa „Izrael zgrzeszył” i przez to zostało mu wszystko powiedziane. On nie jest oddzielony od ludu i przyjmuje razem z nim jego winę oraz jego karę. Pomyślcie o tym, pastory ludu Bożego! Pomyślcie poważnie!

Drodzy przyjaciele! Przejdźmy teraz do Nowego Testamentu, żeby otrzymać jeszcze większe zrozumienie tych zagadnień. W Pierwszym Liście do Koryntian 5:11 Duch Boży mówi nam przez apostoła Pawła: „Lecz teraz napisałem wam, abyście nie przestawali z tym, który się mieni bratem, a jest wszetecznikiem lub chciwcem, lub bałwochwalcą, lub oszczercą, lub pijakiem, lub grabieżcą, żebyście z takim nawet nie jadal”. My zaś, możliwe, że nie tylko siedzimy przy jednym stole z takimi ludźmi, lecz nawet uczestniczymy razem z nimi w świętej Wieczery.

Co teraz powiemy na to, stając w świetle Słowa Bożego? Kim stał się dla nas Bóg? Co stało się z chrześcijaństwem? Co znaczy dla nas dziś Biblia? Jeżeli już straciła ona dla nas swoje znaczenie, to rzućmy ją w ogień! Jeżeli zaś jest ona Słowem Bożym, to dlaczego jesteśmy mu nieposłuszni? Czy zapomnieliśmy, że nieposłuszeństwo i niepokorność w oczach Bożych jest tym samym, co grzech czarnoksiężstwa, a sprzeciw jest jak bałwochwalstwo? Możecie teraz zrozumieć, dlaczego wielu chrześcijan jest bezsilnych, jak zaczarowanych, zaplątanych w sieci diabła, nie mających spokoju nocy, bez pokoju w sercu, mających wygląd pobożny, ale zapierających się mocy Bożej.

To wszystko dlatego, że nie traktujemy Biblii na serio. Stała się ona dla nas czymś w rodzaju książki z bajkami. A jeśli jest ona Słowem żywego Boga, to kiedy w końcu podejmiemy do tego tak, żeby przyjmować ją z bojaźnią i drżeniem, prawdziwie jako Słowo Boże? Czy prorok Izajasz nie mówił, że Pan przebywa w tych, którzy boją się Boga i mają bojaźń przed Jego imieniem? A co my dziś robimy ze Słowem Bożym? Współcześni teolodzy dosłownie rwą je na części twierdząc, że ono oznacza nie to, lecz często co innego. A też i my sami, my, chrześcijanie! Co my sami robimy ze Słowem Bożym? Być może już depczemy je swoimi nogami i pomiatamy nim. Nie wstydzimy się siedzieć przy jednym stole z człowiekiem, nazywającym siebie nawróconym, chrześcijaninem i dzieckiem Bożym,

lecz będącym zawistnym, żądnym, stronnictwem lub żyjącym rozpustnie z młodą dziewczyną albo z zamężną kobietą. I tolerujemy to mówiąc, że musimy więcej wielbić i chwalić Pana, musimy więcej modlić się. O, jakaż to ciemność! W tym czasie, gdy nasza światłość powinna lśnić mocniej niż wszystko inne, my sami jesteśmy w ciemności.

„Jozue, wstań! Nie czas leżeć na twojej twarzy i modlić się. W ludzie Bożym coś jest nie w porządku. Wstań, sługo Mój! Niech lud uświęci się! Dokąd obłożone klątwą znajduje się w waszym środowisku, nie liczcie na Moją obecność i na Moją pomoc! Ja nie mogę żyć z takim ludem i przebywać w nim”.

Tak kiedyś Pan odszedł od Izraela i były tylko dwie możliwości: albo usunąć ze swego środowiska to, co obłożone klątwą, albo stracić Pana. Lecz chwała Bogu, że ten człowiek, Jozue, był gotowy zdecydować się na wszystko bez względu na cenę, aby tylko Bóg przebywał z nimi!

A my? Czy jesteśmy gotowi na to samo? Czy gotowi jesteśmy usunąć z naszego środowiska i z naszego własnego życia to, co w oczach Bożych jest obłożone klątwą? Czy jesteśmy gotowi zrobić to wszystko po to, żeby nasze modlitwy zostały wysłuchane i ofiary przyjęte przez Pana?

Wiecie, jeżeli my u nas, na stacji misyjnej, zbieramy się na zgromadzenie modlitewne, to nie zaczynamy go, zanim nie zapytamy wszystkich, czy nie ma czegoś między nami, co dzieli, i czy nie ma w jakiejś duszy czegoś, co jeszcze nie zostało doprowadzone do porządku. Do tej pory, póki tego się nie zrobi, nie ma sensu modlić się, byłoby to po prostu nierozsądne. Po prostu tracimy czas, jeżeli klękamy i modlimy się, gdy jednocześnie coś stoi między nami. Póki to nie zostanie usunięte i oczyszczone, lepiej w ogóle nie robić zgromadzenia modlitewnego.

Możliwe, że w świecie wyglądałoby inaczej, gdybyśmy mniej się modlili, dlatego, że jeśli modlimy się, a życie nasze nie jest w porządku, wtedy jesteśmy jakby otwartymi drzwiami, przez które łatwo może wejść szatan. Modlitwa bez czuwania i czystego życia to dobra możliwość dla diabła. Możecie sprawdzić to na przykładach wielu fałszywych nauk i sekt. Dużo z nich rozpoczynało się właśnie od modlitwy.

Przyjaciele moi, znowu chcę powtórzyć słowa kazania na górze Jezusa: „Jeśli byś więc składał dar swój na ołtarzu i tam wspomniałbyś, iż brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw ten dar swój na ołtarzu, odejdz i najpierw pojednaj się z bratem swoim, a potem poszedłszy, złóż dar swój” (Mat 5:23-24).

Widzicie, Pan nie toleruje tego, żebyście przychodzili z modlitwą do Jego ołtarza, nie pojednawszy się z waszym bliźnim, z waszym bratem, siostrą, mężem, żoną. Przecież taka modlitwa nie ma żadnego znaczenia! A jak to wygląda u nas? Iluż niepojednanym chrześcijanom chodzi po świecie! Ileż jest zła, obmów, złorzeczenia i niezgody! I z takimi oto sercami klękacie i modlicie się, chcąc otrzymać cokolwiek od Pana!

Jak wyglądają sprawy z tym w waszym domu? W Pierwszym Liście apostoła Piotra 3:7 Słowo Boże mówi do mężów: „Podobnie wy, mężowie, postępujcie z nimi (żonami) z wyrozumiałością jako ze słabszym rodzajem niewieścim i okazuj-

cie im cześć, skoro i one są dziedziczkami łaski żywota, aby modlitwy wasze nie doznały przeszkody". Tak więc, mężu, jeżeli nie masz do swojej żony prawidłowego stosunku, jeżeli w twoim sercu żyje gorycz przeciwko niej, to twoja modlitwa nie ma sensu, gdyż nie zostanie usłyszana i przyjęta przez Pana.

U nas jest pewien brat, któremu Pan okazał łaskę, otwierając mu oczy na ten problem. Opowiadał on, że modląc się, starał się tak głośno krzyknąć „alleluja", iż mogli to słyszeć sąsiedzi, mieszkający trzy domy dalej. Wydawało mu się, że właśnie tak musi wyznawać Pana, nie wstydząc się tego przed ludźmi. Jednak w tym samym czasie, ciągle, każdego dnia klócił się ze swoją żoną i ryczał na nią jak lew. Pomyślcie sami, czy przy tym jego modlitwy i ta gra „świętych słów" mogły wywrzeć wpływ na innych.

Przyjaciele moi! Ja muszę mówić wam o tym, gdyż do tego pobudza mnie Pan i muszę być Mu wiernym. Jestem Jego sługą i mam obowiązek robić to, co On mi każe. Ja nie chcę, żeby kiedyś powiedziano o mnie, co pewnego razu powiedział sam Bóg o prorokach: „Wszyscy oni to nieme psy, które nie umieją szczekać, tylko ziewają, leżą, lubią spać" (Iz 56:10). Jak widzicie, kaznodzieja i prorok muszą być podobni do psa, który szczekając, ostrzega o niebezpieczeństwie.

Lecz jeszcze raz na krótko wróćmy do historii z Achanem. Ujawniając jego grzech, Pan nazwał wszystkie nieczyste sprawy, które on popełnił, mówiąc, że ten człowiek nie tylko wziął to, co było obłożone klątwą, lecz i przestąpił przymierze, zataił, skłamał, wyrzekł się. Przez to chcę powiedzieć, że nie otrzymamy pomocy, odpuszczenia i uwolnienia, jeśli w swoim wyznaniu będziemy powierzchowni. Wyznając grzech trzeba dojść do jego korzenia i wyrwać razem z tym korzeniem. Nie będzie żadnego sensu, jeżeli zerwiemy tylko jego wierzch. Jeżeli ukradłeś, to nie mów: „Sam nie wiem, jak to się stało, że to wziąłem. To była tylko pomyłka. Później chciałem to oddać...", i tak dalej. Przyznając się, powiedz wprost, że jesteś złodziejem. Nie mów też, że pojawiają się u ciebie nieczyste myśli, kiedy widzisz to lub co innego. Lepiej powiedz przed żywym Bogiem, że jesteś cudzołaznikiem i wszetecznikiem. Przecież każdy człowiek jest tym, co myśli. Myśli człowieka są prawdziwym obrazem, gdyż pochodzą one z jego nieoczystego i nieuswięconego serca.

Nie wątpię, przyjaciele, że wśród was jest dużo dusz, które szczerze chcą doprowadzić swoje życie do porządku i ujawnić przed Panem swoje grzechy oraz swoją duchową nieczystość. Dlatego zwracając się do takich, chcę teraz powiedzieć coś na ten temat każdemu osobiście. Jeżeli po wyznaniu odkryjesz, że tajemnica twego wyznania nie została zachowana, to nigdy więcej nie chodź do tego, kto był jedynym świadkiem między tobą i Bogiem. Powtarzam: nigdy więcej nie chodź do takiego człowieka, gdyż był niewierny i Bóg będzie jego sędzią. Tajemnicy twego wyznania nie powinien poznać nikt więcej; tylko Bóg i ten sługa, którego własne życie także musi być od podstaw oczyszczone.

Pan rozkazał Jozuemu, żeby zebrał lud, aby mogli oni oczyścić siebie z tego, co było obłożone klątwą. Bez tego oczyszczenia Bóg nie mógł dalej przebywać wśród nich.

Rozumiesz teraz, przyjacielu, co musicie robić, jeżeli chcecie mieć u siebie przebudzenie? Wiecie, co jest wam konieczne, jeśli chcecie mieć strumienie żywych wód?

Zostawcie modlitwę! Zapomnijcie o poście! Nie to jest wam teraz potrzebne. Rozliczcie się z grzechem w waszym życiu! Pójdźcie do waszych bliźnich! Czy wszystko macie w porządku z nimi? Przypomnijcie sobie waszą przeszłość! Czy wszystko w niej zostało oczyszczone? Czy pojednaliście się ze wszystkimi? A jeżeli teraz chcecie się pojednać, to nie idźcie i nie mówcie: „Nie miałeś w tym racji i tam zrobiłeś błąd”, zaczynając przy tym udowadniać swoje zdanie i spierać się. Jeżeli tak, to nie należy w ogóle chodzić. Zostańcie lepiej tam, gdzie jesteście, razem z waszym brudem i waszymi grzechami. Dopiero wtedy będziecie mogli pojednać się, jeśli pójdziecie drogą uniżenia samego siebie. Kto się nie uniży, ten nie będzie mógł być wywyższony. Kto nie straci swojego życia ze względu na Pana, ten nie otrzyma go. Taka jest droga Boża.

Wielu modli się o przebudzenie i takim chcą coś powiedzieć: Chociaż nie jestem prorokiem ani nawet synem proroka, lecz to mogę powiedzieć zupełnie dokładnie. Możecie modlić się o przebudzenie przez całe wasze życie, do samej śmierci, i nie doczekać się go, jeżeli nie robicie tego, co Pan mówi: „Wstań i odrzuć to, co obłożone jest kłębą! Oczyszcź swoje życie, a w ten sposób oczyści się zbór! Bądź świętym, bo Ja jestem święty!”.

Drodzy przyjaciele! Jeżeli chcemy mieć pośród siebie żywego Boga, to musimy unikać grzechu i oczyszczać się z niego.

W co zmienił się dziś odkupiony lud Boży? Co stało się z armią żołnierzy Chrystusowych w dwudziestym wieku? Gdzie jest duchowy Izrael? Gdzie Syjon? Przeczytajcie 64 rozdział proroka Izajasza i przemyślcie te słowa: „Święte twoje miasta stary się pustynią, Syjon stał się pustynią, Jeruzalem pustkowiem...”.

Jerozolima, pierwszy zbór był napełniony obecnością Bożą. Nie tylko nie tolerowano tam grzechu, lecz także bez zwłoki był on karany śmiercią, żeby raz na zawsze pokazać, że żadna niegodziwość nie może wejść do środowiska ludu Bożego. A co teraz zostało z tego zboru? W co on się zmienił? Czym on się stał w świadomości ludzi?

U niektórych pojęcie zboru ogranicza się do przyjęcia chrztu, odwiedzenia go w Wielkanoc i Boże Narodzenie, później do bycia w nim w dniu swego ślubu i w końcu ostatni raz — podczas własnego tak zwanego „chrześcijańskiego” pogrzebu. Według ich poglądu należy przyjąć Chrystusa — i stajesz się dzieckiem Bożym. Potem można żyć, jak chcesz. Nieważne jak. Wystarczy, że nazywasz się dzieckiem Bożym.

Ale Bóg, który wczoraj, dziś i na wieki jest ten sam, Bóg niezmienny, mówi nam teraz, jak do Jozuego kiedyś: „Nie pozostanę nadal z wami, jeżeli nie usuniecie spośród siebie tego, co jest obłożone kłębą”. Kto ma uszy, niechaj słuca!

11. Czego nauczył mnie Bóg przez Zulusów

W Pierwszym Liście do Koryntian w 9 rozdziale, od 19 wersetu czytamy: „Będąc wolnym wobec wszystkich, oddałem się w niewolę wszystkim, abym jak najwięcej ludzi pozyskał. I stałem się dla Żydów jako Żyd, aby Żydów pozyskać; dla tych, którzy są pod zakonem, jakobym był pod zakonem, chociaż sam pod zakonem nie jestem, aby tych, którzy są pod zakonem, pozyskać. Dla tych, którzy są bez zakonu, jakobym był bez zakonu, chociaż nie jestem bez zakonu Bożego, lecz pod zakonem Chrystusowym, aby pozyskać tych, którzy są bez zakonu. Dla słabych stałem się słabym, aby słabych pozyskać; dla wszystkich stałem się wszystkim, żeby tak czy owak niektórych zbawić. A czynię to wszystko dla ewangelii, aby uczestniczyć w jej zwiastowaniu. Czy nie wiecie, że zawodnicy na stadionie wszyscy biegają, a tylko jeden zdobywa nagrodę? Tak biegnijcie, abyście nagrodę zdobyli. A każdy zawodnik od wszystkiego się wstrzymuje, tamci wprawdzie, aby znikomy zdobyć wieniec, my zaś nieznikomy. Ja tedy tak biegnę, nie jakby na oślepie, tak walczę na pięści, nie jakbym w próżnię uderzał; ale umarwiam ciało moje i ujarzmiam, bym przypadkiem, będąc zwiastunem dla innych, sam nie był odrzucony”.

Drodzy przyjaciele, jestem całym sercem wdzięczny Panu za to, że według Jego powołania mogłem zostać misjonarzem wśród czarnych, gdyż właśnie to było mi dużym błogosławieństwem.

Według swojej ludzkiej natury my, biali, mocno różnimy się od czarnych, przy czym nie tylko kolorem skóry, lecz i sposobem życia, zachowaniem, obyczajami, przyzwyczajeniem, a także wielu innymi rzeczami. Tak, na przykład, wstając, żeby przywitać wchodzącego, tym samym okazujemy mu swój szacunek. Czarni zaś w tym przypadku pozostają w pozycji siedzącej. Według ich rozumienia wstawanie jest zbezczeszczeniem przychodzącego. Podczas rozmowy czarni nigdy nie patrzą w oczy swojemu współmówcy, bo to u nich uważane jest za bezczelność. Stosunki rodzinne w ich życiu też wyglądają zupełnie inaczej. Wśród tych, którzy pozostają wierni swojemu pogaństwu, do tej pory rozpowszechnione jest wielożeństwo, a stosunki między członkami ich dużych rodów też są dziwne i niezwykle dla białych ludzi. Bardzo surowo przestrzega się starzeństwa i różnych zasad prawnej sytuacji członków rodziny. Oczywiście, to daleko nie wszystko, co można byłoby opowiedzieć o ich życiu i przytoczyłem tylko małe przykłady, żeby pokazać tę wielką różnicę, jaka istnieje między nami, przedstawicielami różnych ras.

Jednak pomimo to, że wszystkie plemiona i ludy, zamieszkujące ziemię, bardzo różnią się od siebie, my, chrześcijanie, powołani jesteśmy, żeby być błogosławieństwem dla wszystkich i prawdziwie być uczniami Pańskimi. A Jezus mówił, że nie możemy być Jego uczniami, jeżeli nie zaprzemy się siebie samych. Niemożliwe jest stanie się błogosławieństwem dla naszych bliźnich, niezależnie od ich rasy i narodowości, jeśli nie nauczymy się szanować innych ponad siebie. Nazywając siebie sługami Pana, po prostu koniecznie musimy umieć zapierać się siebie, mało tego — trzeba umierać dla siebie; przy czym musi to być nie tylko

pięknymi słowami na naszych ustach, lecz naszym życiem. Inaczej jest to niemożliwe. Przecież nie na próżno apostoł Paweł mówi w powyższych wersetach, że umartwia i ujarzma swoje ciało. A to, niewątpliwie, coś kosztuje.

Jeżeli zaś nie chcemy wejść w śmierć z naszym „ja” i z naszym ciałem, wtedy nie możemy stać się uczniami Chrystusowymi, a to znaczy, że nie będziemy mogli stać się błogosławieństwem dla innych — w czym właśnie zawiera się nasze powołanie. A przecież, zgodnie z Pismem, powinniśmy być błogosławieństwem nie tylko dla naszych bliskich i ludzi, którzy nas otaczają, ale i dla narodu, wśród którego żyjemy i nawet dla całego świata! Nie wierzycie w to? To zajrzyjcie do Słowa Bożego, a znajdziecie potwierdzenie w słowach samego Jezusa, który mówi: „Idąc na cały świat, głoscie ewangelię wszystkiemu stworzeniu” (Mar 16:15), i w innym miejscu: „Idźcie tedy i czyńcie uczniami wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, ucząc je przestrzegać wszystkiego, co wam przykazałem” (Mat 28: 19-20).

Pomyślcie, czy możemy nauczyć innych zachowywać przykazania Pańskie, jeżeli sami ich nie wykonujemy? Czy możemy uczynić innych uczniami Chrystusa, jeżeli sami nie jesteśmy tacy? Czyż możemy powiedzieć innym „nie kradnij”, gdy w tym czasie sami jesteśmy niegodziwi? Jak możemy uczyć innych, żeby byli pokornymi, gdy sami jesteśmy wyniośli i nie umiemy się unżyć? Nie możemy ich też wzywać, żeby przeobrażali się w obraz Jezusa, jeżeli oni nie widzą Jezusa w nas i jeżeli chwała Chrystusa nie odzwierciedla się w naszym życiu.

Pewnego razu podczas wykładu znany kaznodzieja i ewangelista Spurgeon powiedział do swoich studentów: „Kiedy mówicie o rzeczach niebiańskich, wtedy wasze twarze muszą łnić, a w życiu waszym musi odzwierciedlać się chwała niebios. Kiedy śpiewacie o niebie, to wasze głosy muszą brzmieć, jak głosy anielskie. Jeżeli zaś opowiadacie o piekle, wtedy wasze twarze mogą pozostać takie, jakie macie, i to będzie wystarczające”.

Widzicie, przyjaciele! Często nie możemy czynić z ludzi uczniów Chrystusa, gdyż w nas samych widoczne jest tylko piekło i diabeł. Jeśli w życiu swoim postępujemy nie tak, jak naucza nas tego Biblia, wtedy nie jesteśmy uczniami Pana, ale uczniami diabła. Oczywiście, według nazwy możemy być uczniami Chrystusowymi, ale tylko z nazwy. Jakże często, niestety, spotyka się takich ludzi, którzy nazywają siebie chrześcijanami i uczniami Pana; jednak, jeżeli spojrzysz na ich życie, to przekonujesz się, że ich nauczycielem jest szatan, a nie Jezus.

Dzięki temu, że Pan połączył mnie z czarnymi, dużo się nauczyłem. Przecież możemy nauczyć się tak wiele od naszych bliźnich. Ten, kto zawsze mówi „ja wiem”, jest głupcem i w rzeczywistości nic nie wie. To nie moje słowa, o tym mówi nam Biblia. My zawsze możemy i powinniśmy się uczyć, w tej liczbie i od tych, którzy są obok nas. U nas w Południowej Afryce często mówię ludziom o tym, że mamy wielki przywilej, mieszkając w kraju, gdzie jest dużo ras, plemion i narodowości. To powinno być dla nas pożytkiem, gdyż daje dobrą możliwość, żeby uczyć się wiele jeden od drugiego. Możemy dużo dobrego nauczyć się nawet od dzieci i trzeba powiedzieć, że rzeczywiście jest czego od nich się uczyć. Nie na próżno przecież Jezus, pouczając Swoich uczniów, wziął pewnego razu dziecko i

postawiwszy przed uczniami, powiedział: „Jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebios” (Mat 18:3).

Wkrótce po rozpoczęciu przebudzenia miałem taką chwilę, kiedy odczuwałem duży ciężar na duszy i wewnętrzną potrzebę ulżenia jej we wspólnej modlitwie z kimkolwiek. Pomyślawszy, postanowiłem powierzyć innemu bratu prowadzenie kolejnego zgromadzenia, a sam, oddalwszy się, pójść w góry, żeby się modlić. W myślach przebierałem w swojej pamięci wszystkich znanych mi chrześcijan, wybierając z nich najbardziej duchową rodzinę, z którą mógłbym się modlić.

I tak, zrobiwszy wybór, udałem się w drogę. Przejechawszy parę kilometrów samochodem i później, wspinając się wysoko w góry, doszedłem w końcu do miejsca, gdzie mieszkali ci ludzie.

Kiedy zobaczyli mnie, ich radości nie było granic. Moja twarz w tym momencie była skoncentrowana i poważna, gdyż według mojego ówczesnego rozumienia, w dniu postu i modlitwy nie można było uśmiechać się ani śmiać, toteż robiłem twarz tak kwaśną, jak było to tylko możliwe. Jednak, w przeciwieństwie do mnie, gospodarze cieszyli się, jak dzieci, a ich twarze wprost lśniły.

— O, jakież to dla nas prezent! — wykrzykiwali. — Powiedz, co pobudziło cię, żeby przyjść do nas?

— Wiecie, — odpowiedziałem — chciałbym cały dzień dzisiejszy poświęcić postowi i modlitwie.

— Dobrze! Lecz zanim będziemy się modlić, przygotujemy ci coś do jedzenia.

Trzeba powiedzieć, że ludzie z plemienia Zulu są bardzo gościnni. Niemożliwe jest, żeby wszedłszy do ich domu, wyjść stamtąd wcześniej nim coś zjesz. Przy czym filiżanka herbaty nie liczy się. Zulusi w ogóle nie mogą zrozumieć, jak można wypuścić gościa, nie nakarmiwszy go. Nawet jeśli są biedni, to wystawią przed nim wszystko, co mają; i jeśli na podwórku będzie tylko jedna kura, to przygotowują tę kurę.

Tak oto, kiedy moi przyjaciele zaczęli mówić o jedzeniu, kategorycznie zaprotestowałem oświadczając, że dziś nie mam w ogóle czasu na jedzenie i picie, gdyż chcę cały dzień spędzić na poście i modlitwie. W odpowiedzi na to zaczęli wesoło, serdecznie śmiać się.

— Co? — śmiejąc się mówili do mnie. — Czy chcesz, żeby Jezus powiedział nam kiedyś: „Pragnąłem, a nie daliście Mi pić, byłem głodny, a nie daliście Mi jeść”? Chcesz zastawić na nas pułapkę? Nie, rozumie się, oczywiście, że czegoś takiego nie zrobimy i nie posłuchamy cię. Tak więc bądź dobry i wejdź do domu!”.

I tak, nie pozostało mi nic innego, jak tylko wejść do ich chaty i usiąść, a oni poszli łapać kurę... Złapanej kury też przecież nie zaczniesz od razu gotować, trzeba ją jeszcze zarząbać, oskubać i wypatroszyć. Tak oto siedziałem i siedziałem... Wydawało mi się, że czekam nie godzinami, ale całą wieczność.

To interesujące, że my, biali, zawsze z jakiegoś powodu dokądś śpieszymy się. Wiecznie nie mamy czasu. Ciągłe śpieszymy się, chcąc żeby wszystko było

jak najszybciej. Właśnie to jest najkrótszą drogą do szpitala psychiatrycznego, a w najlepszym przypadku do nerwicy. Czarni zaś nie śpieszą się. Oni zawsze mają czas.

I oto, siedząc tak w oczekiwaniu na przygotowywane jedzenie, mówiłem do siebie: „O Boże! Jakże roztrwonilem tę niedzielę, która powinna być dniem Pańskim! Jakież błęd popełniłem! O, lepiej, abym tutaj nie przychodził! Przecież można było modlić się z innymi! Jak wiele mógłbym dzisiaj zrobić! A teraz cały ten dzień można uważać za stracony. Dzień, który powinien być dniem postu i modlitwy, minął w oczekiwaniu na jedzenie. Czyż nie głupio postąpiłem?”.

Tak, ganiąc siebie, siedziałem dalej, ciągle patrząc na zegarek. A czas mijał i mijał... Oto już nastąpił czas obiadu, a ja ciągle czekałem na jedzenie. W końcu przyniesiono mi jakieś zimne picie, później filiżankę herbaty. Potem zastawili stół, który dosłownie ugiął się od obfitości rozstawionych na nim pokarmów. Czego tam nie było! Drób, różne rodzaje innych mięs, ryż, ziemniaki, sałata, warzywa, owoce... Był to prawdziwie królewski obiad i za tym stołem zasiadałem sam. (Według zwyczajów Zulusów, szanowanego gościa zostawia się przy stole samego. Przed rozpoczęciem jedzenia gospodarze wychodzą z pokoju, żeby gość mógł czuć się zupełnie swobodnie).

Gospodyni pobłogosławiła, a ja przystąpiłem do jedzenia. Pomimo tego, że talerz postawiony przede mną był niezwykle dużych rozmiarów, miejsca na nim nie wystarczyło, żeby pomieścić chociaż niedużo z całego pożywienia, przygotowanego dla mnie.

Mąż i żona tak starannie częstowali mnie, że w końcu powiedziałem im, że to nazywa się już nie jedzeniem, ale żarciem. Ledwo uporałem się ze swoim talerzem, gdy podano mi deser i jakieś picie. W ślad za tym przynieśli jeszcze coca colę...

— Przyjaciele moi! — jęknąłem. — Po prostu nie mogę więcej. To już grzech tak objadać się i opijać.

— Dobrze, dobrze — powiedzieli mi. — Tylko wyniesiemy naczynia i będziemy się modlić.

— O! — prawie jęknąłem. — Jak będę mógł teraz modlić się z takim napchanym brzuchem? (Widzicie, w tym czasie moje modlitwy pochodziły jeszcze z żołądka, a nie z serca).

Po tym, gdy stół został uprzątnięty, w końcu zgięliśmy kolana i zaczęliśmy się modlić. Nie minęły dwie-trzy minuty, gdy miejsce pod nami zakotyssało się... Nie byłem zdolny zrozumieć tego, co się dzieje. Chwyciwszy się za głowę, płakałem i nie przestając, powtarzałem: „Panie, zupełnie nie znam Ciebie! Jak coś takiego jest możliwe? Jaki jesteś? O, rzeczywiście nie znam Ciebie, mój drogi, miłujący Panie!”.

Tak oto, zupełnie od nowa zacząłem poznawać Boga, poznawać takiego, jakiego nigdy przedtem nie znałem. Znałem Go z opowiadań, z wyobrażenia, a rozumem moim tworzyłem sobie jakby bałwana. I to nie było tylko moje zbłądzenie, lecz błąd wielu ludzi, którzy przez wieki i tysiąclecia, przez naukę i książki stworzyli sobie obraz Boga, czyniwszy sobie swoimi rękami i swoim umysłem

bałwana.

Możemy twierdzić, że Bóg jest taki lub taki; że w służbie Bogu powinno przebiegać tylko tak, jak to jest u nas; i że, jeśli przychodzimy do Niego, to musi wyglądać to właśnie tak, a nie inaczej. I postępując w ten sposób, nawet nie zauważamy, jak potwornie grzeszymy. Przecież nie możemy czynić bałwanów! Nie można tworzyć obrazów! Nie można służyć bóstwom!

Możemy mówić poganom, że kłaniają się obcym bogom, a sami przy tym mieć największego bałwana, stworzonego przez naszą własną fantazję. Ten „Bóg”, który jest taki, jakiego sobie wyobrażamy, który daje nam wszystko, czego pragniemy, i robi właśnie to, czego od niego oczekujemy — jest niczym innym, tylko bożkiem naszego rozumu i naszej wyobraźni. To nie jest żywy i prawdziwy Bóg.

Oto dlaczego narzekałem wtedy, jak dziecko, a serce moje ścisnęło się i krzychało z powodu gorzkiej świadomości tego, jakiemu „Bogu” w rzeczywistości służyłem przez te wszystkie minione lata.

Tak znowu i znowu Pan objawiał się mi przez tych czarnych ludzi, ukazując Siebie inaczej niż to sobie wyobrażałem, iż przez dni, tygodnie i miesiące nie przestawałem powtarzać: „Panie, ja zupełnie nie znam Ciebie! Mój Boże, o jakże jesteś inny!”.

Tak, drodzy przyjaciele! Kiedy w nadchodzącym dniu sądu wszystko zostanie doświadczone przez ogień, spłonie w nim wiele tego, co nasze; wiele zmieni się w proch i popiół; wiele z tego, co tutaj na ziemi było dla nas cenne, nie będzie miało wtedy żadnego znaczenia. Są to tylko ludzkie obyczaje i ceremonie, owoce naszego umysłu i wyobraźni — to wszystko, co musi w nas umrzeć.

Właśnie tak stało się wtedy i ze mną. Wszystko, czego mnie nauczono, wszystkie moje pojęcia i wyobrażenia przyszło pogrzebać i zacząć od początku. W tym czasie byłem podobny do małego dziecka, które pierwszy raz uczyło się alfabetu życia duchowego. Będąc w takiej sytuacji, nie mogłem już nic robić z siebie. Nie mogłem więcej polegać na swoim rozumie i dlatego musiałem całkowicie zaufać Panu i iść za Nim tak, jak On mnie prowadził. Było to dla mnie czymś całkowicie nowym, czego przedtem nigdy nie znałem, lecz właśnie dlatego mogę teraz powiedzieć, że życie w duchu — to życie w zupełnie innym świecie. I jeśli tego nie wiemy i nie żyjemy w tym, jeśli nie godzimy się na to, żeby całkowicie być kierowanymi przez Pana, wtedy nie należy modlić się o przebudzenie.

Nasze stare życie i nasze duchowe bukłaki muszą całkowicie odnowić się, inaczej nawet w tym przypadku, gdy Pan da nam pełnię Swojego Ducha i napęlni nas Swoim młodym winem, nie będzie w tym szczególnego sensu, gdyż już po krótkim czasie okaże się, że wszystko to straciliśmy. Przy tym może nawet zdarzyć się, że właśnie ci ludzie, którzy nie otrzymali Ducha Świętego, okażą się na wyższym poziomie niż ci, którzy mieli w swoim życiu takie znakomite świadectwo.

Pismo mówi nam, że Jego myśli nie są naszymi myślami, a nasze drogi nie są Jego drogami. Dlatego nie może być życia z Bogiem i ciągłego chodzenia z Nim, jeżeli nie jesteśmy gotowi złożyć w tym celu ofiary z naszych myśli i naszych dróg, mówiąc: „Nie moja, lecz Twoja, Panie, wola niech się stanie!”.

Jestem niezmiennie wdzięczny Bogu za to, że wiele z tego mogłem nauczyć się od Zulusów, którzy byli tak niepodobni do mnie — człowieka innej rasy. Obserwując ich życie, widząc ich dziecięcą ufność i posłuszeństwo w naśladowaniu Pana oraz wierność Jemu, mogłem wiele razy prześledzić i z Bożą pomocą sprawdzić to w moim własnym życiu.

Jak już mówiłem, charakterystyczną cechą białych ludzi jest to, że my zawsze i ciągle gdzieś śpieszymy się. Czarni nie są podobni w tym do nas, oni zwykle są niefrasobliwi i nie śpieszą się. Trzeba przyznać, że ogólnie wszystkie niebiałe rasy są ze swojej natury właśnie takie.

Miałem okazję spotkać pewnego człowieka, który był ewangelistą i pastorem bardzo dużej społeczności. On też był przedstawicielem niebiałej rasy. Kiedyś, podczas naszej rozmowy, powiedział: — Wiesz, to bardzo dziwne. Kiedy jestem w zborach białych ludzi, to ze zdziwieniem zauważam, jacy są tam zmęczeni pastory i kaznodzieje. Jeżeli w zborze u jakiegokolwiek kierującego naliczy się trzy tysiące członków, to on absolutnie nie ma czasu. Trudno go zastać, ciągle jest czymś zajęty i wiecznie gdzieś się śpieszy. Nieraz słyszałem, że z powodu nadmiernego ciężaru w pracy duchowej, wielu z nich musiało zwrócić się do lekarza, gdyż chorowali w rezultacie przemęczenia. Osobiście trudno jest mi to zrozumieć — kontynuował mój współrozmówca. — Nasz zbor liczy trzydzieści tysięcy członków, lecz pomimo to mam dużo czasu i mogę godzinami rozmawiać z jakimkolwiek człowiekiem.

Widzicie, drodzy przyjaciele! A przecież wśród białych nie ma aż tyle zborów, gdzie jest po trzy tysiące członków. Nierzadko są to społeczności, w których jest kilkuset lub zaledwie kilkudziesięciu członków, potrzebujących opieki duchowej, lecz i taka ilość jest dla pastorów zbyt duża, i zaczynają szybko się męczyć z nimi. Pochodzi to najwidoczniej właśnie z tego, że mają oni nieprawidłowe podejście do sprawy i dzieje się tak również dlatego, że ciągle śpieszą się.

Widocznie tacy nie weszli jeszcze do odpocznienia Jezusa i nie poznali, co to znaczy. Pamiętajcie ten przypadek, gdy Jezus podczas burzy znajdował się w łodzi ze Swoimi uczniami, których ogarnął strach oraz przerażenie i którzy drżeli przed sztormem w tym czasie, kiedy Jezus spokojnie spał? On spał... On znajdował się w odpocznieniu... Miał On ten pokój wewnątrz siebie i dlatego spokojnie spał.

Żeby poznać ważność i głębię znaczenia tych słów o odpocznieniu, zwróćmy się jeszcze do jednego przykładu wewnętrznego pokoju, lecz już nie u Boga, ale u człowieka.

Pierwszy człowiek Adam nie niepokoił się o żonę, jak to czyni teraz wielu młodych ludzi, którzy już w dwunasto-trzynastoletnim wieku myślą o dziewczętach lub chłopcach. Jakże często myśląc o tym tracą spokój, spędzając bezsenne noce! U niektórych zachodzi to tak daleko, że wpadają w depresję. Wśród nich znajdują się też tacy, którzy z tej przyczyny odbierają sobie życie tylko dlatego, że ich sprawy w tym zagadnieniu nie idą tak, jak chcieliby. A przecież skończyć z sobą — to coś strasznego! Dla samobójców pozostaje tylko jedna droga — wieczna zguba! Dlatego pomyślcie dobrze o tym, zanim podniesiecie na siebie

rękę!

Pewien katolicki kapłan powiedział jakoś tak: „Już lepiej zabij kogoś innego niż siebie samego. Jest to bezpieczniejsze niż samobójstwo, bo jeżeli zabijesz innego, to jeszcze masz możliwość pokuty i otrzymania odpuszczenia. Jeżeli zaś skończysz ze swoim własnym życiem, wtedy pokuta i odpuszczenie są już niemożliwe”. Oczywiście, przytaczając te słowa nie mówię, że one są absolutnie prawdziwe, jednak, co dotyczy problemu pokuty zabójcy i otrzymania przez niego odpuszczenia, to taka możliwość rzeczywiście istnieje.

I tak, w tym czasie, gdy Pan przygotowywał żonę dla Adama, ten znajdował się w stanie pełnego odpocznienia i mocno spał. Ten głęboki sen został mu zesłany z wysokości. Sam Bóg widział, że niedobrze jest Adamowi pozostawać samemu i wziął na Siebie troskę o to.

Interesujący jest ten fakt, że do czasu wykonania tej sprawy, Adam został sprawdzony przez Boga, który przeprowadził przed nim wszystkie zwierzęta, proponując mu, żeby nadał każdemu z nich swoją nazwę. (W Starym Testamencie imię zawsze charakteryzowało istotę i charakter danego stworzenia). W ten sposób wszystkie zwierzęta przeszły przed Adamem, a mając dar rozróżniania, mógł on scharakteryzować każde z nich, nadając mu odpowiednią nazwę. Kiedy, na przykład, obok niego przechodził pawian, nie nazwał go człowiekiem. Tak samo, nie nazwał człowieka małpą, pomimo jego dużego podobieństwa do niej. Nawet jeśli wielu uczonych naszych czasów nie jest zdolnych zobaczyć różnicy między człowiekiem i małpą, to Adam mógł uczynić to szybko i bezbłędnie. Nie wątpię też, że jego zdolność rozróżniania była o wiele większa niż nasza, współczesnych chrześcijan, którzy w życiu duchowym nierzadko uznają to, co małpie, za ludzkie, nazywają niezbawionych wierzącymi, a duchowymi ludźmi tych, których życie zupełnie nie świadczy o tym.

Adam zaś mógł rozróżnić i dlatego dla niego nie znalazła się pomoc pośród wszystkich stworzeń, które przechodziły przed nim. Wtedy Pan zesłał na niego głęboki sen, żeby w tym czasie przygotować dla niego żonę. Jak widzicie, przy tym Adam nie miał bezsennych nocy, on nie myślał o przyjacielu i towarzyszu życia, nie troszczył się o swoją przyszłość, zostawiając to wszystko Bogu. Przecież jeden tylko Pan wie, czego rzeczywiście potrzebujemy, a czego nie potrzebujemy.

Tak więc, istnieje życie w odpocznieniu i pokoju Bożym. Pan nie na próżno mówi, że nie ma pożytku dla człowieka, jeśli zabiega i troszczy się. Przez to nie możemy dodać do swojego wzrostu ani zmienić koloru swoich włosów. Kto dużo się troszczy, ten dużo grzeszy, dlatego Pismo wskazuje nam na to, że istnieje możliwość życia w odpocznieniu i stałym pokoju wewnętrznym, dla ludzi młodych i dla starych.

A teraz wróćmy do rozmowy o tym, że jesteśmy często niecierpliwi i śpieszymy się. W Słowie Bożym często spotykamy wyrażenie „oczekujący Pana” i „polegający na Panu”. O tych, którzy w swoim poleganiu na Panu umieją cierpliwie oczekiwać na wykonanie Jego woli, mówi się, że oni otrzymują nowe siły. Biblia mówi nam także wprost i zupełnie wyraźnie, że ten, kto wierzy, nie troszczy się, a takimi mogą być tylko te dzieci Boże, które umieją oczekiwać na Pana i po-

legać na Nim.

Można być ściśniętym ze wszystkich stron, przeżywać burze i sztormy, a pomimo to mieć pokój w swoim sercu. Nie na darmo przecież jest napisane: „A pokój Boży, który przewyższa wszelki rozum, strzec będzie serc waszych i myśli waszych w Chrystusie Jezusie” (Flp 4:7). Jeżeli zaś w naszym sercu zachwiany jest ten pokój Boży, wtedy z nami nie jest coś w porządku. Kiedy z nami coś się dzieje, to wystarczy nam zajrzeć w swoje serce i sprawdzić, czy jest tam jeszcze pokój Boży. Jeżeli go nie ma, to pewny znak tego, że już wszedł tam szatan. Jest to jak czerwone światło sygnalizatora, jak ostrzegający sygnał, który mówi nam o tym, że coś weszło do naszego serca i naszego życia, co nie powinno mieć miejsca. Wtedy trzeba szybko zatrzymać się i wrócić z powrotem do tego punktu, gdzie ten wewnętrzny pokój został utracony. Przyjaciele moi, jest to bardzo ważne i zawsze powinniśmy tak postępować.

Pamiętacie, w Objawieniu, zwracając się do zboru w Efezie, który stracił swoją pierwszą miłość, Pan nie mówi im, żeby modlili się i prosili o dużą miłość oraz duży ogień w służbie. Nie, On mówi: „Pamiętaj więc, skąd spadłeś, i nawróć się, i pierwsze czyny podejmij!” (Obj 2:5 BT). Tak i wy przypomnijcie sobie teraz o tym czasie, kiedy pierwszy raz upamiętaliście się i nawróciliście się. Pamiętacie, co wtedy doświadczyliście i przeżyliście? Tak samo trzeba zrobić i teraz. Każdy, kto stracił pierwszą miłość do Boga, u kogo w sercu więcej nie płonie ogień i u kogo oziębła gorliwość, musi pokutować i nawrócić się do Boga tak, jak uczynił to na początku, gdyż w okresie swego oziębnięcia znowu zmienił się w poganina.

Pan mówi: „pierwsze czyny podejmij”, to znaczy te czyny upamiętania, które czyniłeś na początku. Oznacza to powrót do tego miejsca, w którym zgrzeszyłeś. Przy tym nie trzeba modlić się o większą miłość, trzeba tylko upamiętać się i nawrócić. A kiedy to zostanie zrobione, ogień Boży rozpali się znowu.

Najważniejsze dla nas jest to, żebyśmy pomyśleli i przypomnieli sobie, gdzie nastąpił nasz upadek i abyśmy, wróciwszy tam, doprowadzili to do porządku. Nie możemy naszego życia duchowego budować na prochu i popiele, nie możemy budować go na grzechu, gdyż takie budowanie nie ostoi się i na pewno zostanie zniszczone. Powinniśmy budować na jedynie pewnym fundamencie — na Panu Jezusie, i dlatego wszelki brud i nieczystość duchowa muszą być usunięte. Nie zrobivszy tego, nie będziemy mogli poruszać się do przodu w naszym życiu duchowym.

Grzech ma zgubny wpływ nawet na nasze ciało i dlatego tak dużo ludzi jest chorych oraz cierpi cieleśnie. Pan dobrze wie, co jest pożyteczne dla człowieka i co mu szkodzi. Ci, którzy nie znają Boga, pijąc, nie myślą o tym, co to jest grzech, jednak ich ciało wie o tym i choruje. Oni nie wiedzą także, że palić też nie można, za to ich ciało wie, jak jest to szkodliwe. Dokładnie tak samo jest i w naszym życiu duchowym. Dając miejsce grzechowi, okazując niewierność Bogu, zostajemy osądzeni przez nasze sumienie, dręczymy się i cierpimy, co w konsekwencji odbija się szkodliwie nawet na naszym zdrowiu.

Jak widzicie, prawa i nakazy Boże są od stworzenia wpisane w nas, w naszym ciele, i jeżeli występujemy przeciwko nim, występujemy w pierwszej kolejno-

ści przeciwko sobie samym, szkodząc sobie samym. Oto dlaczego dopiero wtedy będziemy mieć prawdziwe odpocznienie i pokój, kiedy będziemy posłuszni Panu. Przy tym Słowo Boże stanie się dla nas jak lekarstwo, które pomoże w wielu rzeczach.

Czarni Zulusi wiedzą o tym. Oni dobrze rozumieją, że poleganie na Panu przynosi głęboki pokój w sercu i spokój ducha. I dlatego są bardzo cierpliwi w swoim oczekiwaniu. Właśnie od nich mogłem się dowiedzieć, co znaczy „oczekiwać Pana”, i że czas oczekiwania Boga nie jest czasem straconym.

Jeżeli Zulusi idą do swojego króla, wtedy wstają wcześniej rano. Już ze wschodem słońca muszą być u króla. Kiedy przychodzą tam, to pukają zupełnie nie tak, jak zwykle robimy to my. Stoją oni na drodze lub przy bramie i powiadają o swoim przyjściu tym, że chwalą swojego króla i śpiewają mu chwalebne pieśni, w których mówią, że nie ma podobnego do niego wśród wszystkich królów. Ta chwała królowi i schlebianie językiem jest ich pukaniem.

Tak stoją na zewnątrz do tej pory, póki król nie pošle do nich swego sługi z nakazem wejścia. Lecz i po tym człowiek nie wchodzi jeszcze do królewskiego domu, ale podchodzi tylko do jego drzwi. I dopiero wtedy sam król, zwracając się do niego osobiście, zaprasza do wejścia.

Zdarzało mi się spotykać Zulusów, którzy godzinami stali przed domem króla, oczekując na pozwolenie wejścia. Zdarzały się przypadki, że podchodziłem do takiego człowieka i pytałem go, czy przekonany jest, że król wie o jego obecności. Na to on spokojnie odpowiadał mi twierdząco.

— A co on ci powiedział? — pytałem dalej.

— Nic nie powiedział.

— Jak to, nic? — nie rozumiałem. — Gdzie on teraz jest? U siebie w domu?

— Nie, wyjechał samochodem. (Wyjaśniło się przy tym, że król, przebudziwszy się i wyszedłszy z domu, zobaczył go i zawróciwszy, odszedł, żeby się wykapać, przebrać i zjeść śniadanie. Potem wsiadł do swojego samochodu i przejechał obok, nie powiedziawszy mu ani słowa).

— Kiedy król wróci? — ze zdziwieniem dopytywałem się.

— Nie wiem — wzruszył ramionami czarny.

— To co tu robisz?

— Czekam na niego.

— I dokąd będziesz czekał?

— Póki nie wróci.

— O! — nie wytrzymawszy, wykrzyknąłem. — Jakiż to złośliwy człowiek ten król! Jakże to, po prostu milcząc przejść obok i odjechać!! Nie, na twoim miejscu dawno bym poszedł.

— Co ty mówisz, biały człowieku! — ze wzburzeniem przerwał mi Zulus. — Jak możesz tak sądzić? Przecież on jest moim królem! Jeżeli teraz odejdę stąd, będzie to równoznaczne z uderzeniem i pluciem w jego twarz. Biada mi, jeżeli król, wróciwszy, nie zastanie mnie w tym miejscu. Przecież widział mnie i dlatego teraz nie mam innego wyjścia! Muszę czekać na niego do tej pory, póki on nie

wróci. I zrobię to chętnie, gdyż on jest moim królem, moim władcą. Nie robiąc tak, jak mnie się podoba i jak ja tego chcę, on pokazuje mi, że jest moim panem. Gdyby on „tańczył, jak ja mu zagram”, spełniając moje pragnienia, to nie byłby moim królem, lecz byłby mi równy. Jednak on jest moim panem i dlatego nie on powinien słuchać mnie, ale ja muszę być mu we wszystkim posłuszny.

Tak czarny Zulus oczekuje swojego króla. Przy tym on nie złości się, nie oburza, nie denerwuje się. Cierpliwie czeka do tej pory, póki król nie wróci i sam z nim nie porozmawia. Dlatego też, jeżeli takim ludziom powiesz, że Pan jest naszym Królem i naszym Panem i że powinniśmy oczekiwać Go, to dla nich jest to absolutnie zrozumiałe i zupełnie oczywiste. — Oczywiście — powiedzą oni — król jest królem! — Słowo Boże mówi nam, że ci, którzy oczekują Pana z niecierpliwością, otrzymują nowe siły: „Lecz ci, którzy ufają Panu, nabierają siły, wzbijają się w górę na skrzydłach jak orły, biegną, a nie mdleją, idą, a nie ustają” (Iz 40:31).

Upadek białego człowieka w jego życiu chrześcijańskim polega na tym, że on zawsze zbyt się śpieszy. U niego wszystko musi być szybko. I właśnie dlatego, że ciągle nie mamy czasu, nie mamy go też dla Pana i dla naszych bliźnich. Wszystko w naszym życiu kręci się tylko wokół nas i jesteśmy dla samych siebie bożkami. Wszystko musi być tylko tak, jak tego chcemy. Nawet Bóg musi robić to, co my chcemy. Wszystko musi być według naszych myśli i według naszych planów. My już dla siebie samych staliśmy się bogami.

Natomiast u czarnych w podobnych zagadnieniach sposób myślenia i obraz życia mocno różni się od sposobu myślenia i życia nas, białych. Jest dużo takich rzeczy w chrześcijaństwie, które czarni rozumieją lepiej niż biali.

My, biali, wybieramy swoich przywódców i swoich rządzących, którzy muszą robić to, czego chce lud. Jeżeli postępują inaczej, czyniąc nie to, czego od nich oczekujemy, wtedy nie wybieramy ich lub zrzucamy. Nasi przywódcy rządzą 4-5 lub 10 lat i później przez głosowanie wybieramy sobie innych.

Czarni tak nie robią. Dla nich wódz jest wodzem przez wszystkie dni jego życia, póki nie umrze. On jest królem i dlatego rządzi tak, jak on chce i jak uważa za potrzebne. Cała władza jest w jego rękach i on jeden rozwiązuje wszystkie problemy. Tylko on może rządzić, wszyscy pozostali muszą podporządkować się jego woli.

W naszych czasach tak dużo mówi się o wyborach, o prawie głosu, o prawach człowieka do tego lub czegoś innego. Dla czarnych Afrykańczyków te pojęcia są całkowicie obce. My uważamy, że każdy człowiek musi mieć prawo głosu. Oni zaś mówią, że to prawo ma tylko jeden człowiek — ten, kto jest królem lub wodzem. U nich rzeczywiście tak jest i dlatego nie są zdolni zrozumieć, jak to jest możliwe, że nasze rządy mogą rządzić, mając obok siebie opozycję. W pojęciu czarnych z wrogiem i przeciwnikiem może być tylko jedna rozmowa — trzeba go zabić, przebiwszy serce włócznią. Innego podejścia w rozwiązywaniu takich problemów oni nie znają. Wróg musi być unicestwiony niezależnie od ceny.

W Słowie Bożym jest napisane, że jeżeli jakiś dom lub królestwo, lub naród podzieli się w sobie, wtedy nie może ostać się. Czarni dobrze to rozumieją. Oczywiście, te problemy dotyczą podziału politycznego, a ja nie jestem politykiem i nie

mogę powiedzieć, czy prawidłowe lub nieprawidłowe jest takie podejście w sferze polityki. Także nie chcę powiedzieć, że to, co mają u siebie czarni, jest prawidłowe i doskonałe. Opowiadając o tym, chcę podkreślić tylko to, że jeśli my, biali, przenosimy nasze pojęcia o rządzeniu do naszego życia duchowego, wtedy to wychodzi wprost z piekła. I tak, jak czarni postępują w swoich problemach politycznych, my, chrześcijanie, powinniśmy postępować w naszym życiu duchowym. Tylko Jezus może rządzić nami. Jedyne On może być Panem i Królem, pierwszym i ostatnim. Przy tym dla nikogo innego i niczego innego nie może być miejsca. W życiu chrześcijanina nie może istnieć w stosunku do Pana żadna opozycja. Jezus musi być dla nas jedynym i wszystkim.

Właśnie dlatego tak dobrze jest głosić ewangelię wśród pogan. Jeżeli powiemy, że Jezus jest Królem, Panem i Bogiem, wtedy oni wiedzą, że oddając Mu siebie, muszą zrobić to raz i na zawsze; że od tej chwili nikt i nic innego nie może królować i rządzić w ich życiu i że teraz muszą żyć całkowicie tylko dla Chrystusa, bez kompromisów. Nie ma potrzeby mówić im, że odtąd nie można więcej służyć dwom panom; oni sami dobrze to rozumieją i mówią: „No, oczywiście! Przecież Bóg jest Królem i tylko On wszystkim rządzi; a my musimy być zawsze Mu wierni, do samej śmierci”. Dlatego dla czarnych nie jest trudno oczekiwać Pana i polegać na Nim. Oni rozsądzą tak: „No tak, teraz, kiedy złożyliśmy swoją potrzebę Panu, możemy pozostawić to dla Niego, a On będzie działał w Swoim czasie. Musimy tylko spoglądać na Niego, iść za Nim i żyć dla Niego”.

Drodzy przyjaciele! Opowiedziałem wam, jak podchodzą do najważniejszych zagadnień duchowych czarni chrześcijanie. A jak to wygląda u nas? Jakże często przestajemy oczekiwać, czy nieprawda? Jakże często jest to ponad nasze siły i denerwujemy się, nie mając więcej sił czekać. Ale dlaczego? Niektórzy uważają to nawet za oznakę wysokiej duchowości, lecz niestety jest to właśnie na odwrót, raczej to wskazuje na to, że jesteśmy jeszcze cieleśni.

Ludzie, którzy ciągle biegają to tu, to tam, w samej rzeczy mało pracują. Wydaje się im, że dużo robią, lecz w rzeczywistości jest to bardzo mało. Jeżeli zaś w cierpliwości oczekujemy Pana, wtedy wszystko wygląda inaczej. Przecież u Niego jeden dzień jest jak tysiąc lat i może On przez jeden dzień zrobić tyle, na co trzeba byłoby tysiąca lat ciężkiej pracy. Przekonałem się o tym w swoim własnym doświadczeniu.

Przed przebudzeniem ciągle byłem zajęty. Moje ewangelizacje przeciągały się do 8-10 lub nawet 12 miesięcy, przy czym często bywały po dwa zgromadzenia dziennie. Jak Piotr, który bez powodzenia łowił ryby przez całą noc, ja także, pracując z całych sił, nic nie mogłem złowić. Zawładnęło mną zmęczenie i nie mając sił ciągnąć tak dalej, postanowiłem wszystko zostawić. Po 12 latach takiej bezowocnej służby, kiedy już całkowicie poddałem się i opuściłem ręce, pojawił się Pan i powiedział mi: „Wyjedź na głębie”.

Te same słowa powiedział On kiedyś do Piotra, który odpowiedział Mu: „Mistrzu, całą noc ciężko pracując, nic nie złowiliśmy; ale na Słowo twoje zarzuciłem sieć” (Łuk 5:5). I właśnie dlatego, że te słowa powiedział Jezus, a Piotr był Mu posłuszny, już po krótkim czasie zostało złowionych tyle ryb, że sieci zaczęły się

rwać, a obciążona łódź z trudem utrzymywała się na powierzchni.

I tak, jeżeli pracujemy według ciała, wtedy można przepracować całe życie, do samej śmierci, jednak przy tym dokonać bardzo mało lub nawet w ogóle nic. Jeżeli zaś działamy w Duchu, wtedy okazuje się, że nic szczególnego nie robiąc, czynimy o wiele więcej.

Po rozpoczęciu przebudzenia w moim życiu było dużo takich dni, kiedy mogłem powiedzieć: „Dziś przyniosłem Panu więcej owoców niż przez wszystkie moje poprzednie 12 lat”. I rzeczywiście tak było. Dwanaście lat ciężkiej i napiętej pracy nie mogły równać się z jednym tylko dniem. Lecz w tym celu trzeba było nauczyć się polegania na Panu i posłuszeństwa, czyniąc tylko to, co On nakazywał. Wtedy w mojej pracy zacząłem wykonywać wiele rzeczy, których może dokonać tylko Bóg, i wtedy stało się możliwe biegnięcie do przodu, nie męcząc się i nie słabnąc. Przy tym trzeba było tylko być w ciągłej łączności z Panem, nie zasmucając i nie gasząc Jego Ducha.

Ciągłe trwanie u nóg Jezusa jest dla nas tym najważniejszym. Biblia mówi, żebyśmy bez przestanku modlili się. Oczywiście, to wcale nie znaczy, że musimy całe swoje życie spędzić na kolanach z zamkniętymi oczami. Te słowa Pisma oznaczają ciągłą łączność z Bogiem, nierozzerwalność naszych stosunków z Nim przez cały czas.

O, jakże jest to ważne, żeby nasze życie było w pełni podporządkowane Panu, potwierdzając, że On rzeczywiście jest naszym Panem i Królem! Przecież właśnie przez to otrzymujemy od Niego błogosławieństwa i nowe siły.

Jak czarny człowiek oczekuje swojego króla do tej pory aż on przyjdzie, tak i my musimy robić to w naszych modlitwach. Bardzo jest ważne, żebyśmy też oczekiwali naszego Pana i żebyśmy nie oddalali się od Niego, przeczekawszy pół dnia, tydzień, miesiąc, rok lub więcej. Przecież niestety zdarza się tak, że odczekawszy jakiś czas, przestajemy czekać, zanim Pan przyjdzie do nas, i upodabniamy się w tym do Saula, który stracił całe swoje błogosławieństwo tylko dlatego, że nie znalazł w sobie siły, aby doczekać do przyjścia Samuela i zrobił to, czego nie należało mu robić.

Ach, ten nasz ludzki pośpiech i niecierpliwość! Ile szkody czasami to przynosi i jakże często przeżywałem to! — Szybciej! — poganiałem siebie. — Trzeba śpieszyć się na zgromadzenie. Nie można się spóźnić! — I oto, jak można najszybciej, jedziemy tam. W tym pośpiechu mogłem nawet zostawić człowieka, który miał potrzebę. I cóż... Przyjechawszy o oznaczonym czasie do oznaczonego miejsca, widzieliśmy, że ludzie jeszcze nie zebrali się i nabożeństwo odbędzie się później. Wtedy zmuszeni byliśmy siedzieć tam i czekać. — Widzisz, Erlo — mówić przy tym do mnie Pan. — Nie byłeś kierowany przeze Mnie, nie byłeś w Duchu.

Oczywiście bywa i tak, że jesteśmy zbyt wolni i dlatego spóźniamy się, jak pewien kaznodzieja, którzy przyszedł na zgromadzenie, kiedy społeczność już się rozeszła. Przyszedł następnym razem — i znowu zbyt późno. Zakłopotany, podzielił się tym z pewnym bratem, który był farmerem, i prosił go, żeby modlił się z nim, aby Pan pokazał mu, w czym rzecz. Chciał on wiedzieć, co Bóg chce powiedzieć mu przez to. Wtedy ten farmer powiedział mu: „Czy pan nie rozumie, co

trzeba zrobić? Po prostu rano trzeba wcześniej wstawać". Tak też Lotowi z jego rodziną nakazano pośpiech w wyjściu z Sodomy, jednak on nie śpieszył się.

I tak, najważniejsze polega na tym, żeby nasze stosunki z Jezusem były w porządku i żebyśmy byli posłuszni Mu we wszystkim. Wtedy Bóg sam będzie kierował nami, gdyż On lepiej wie, kiedy musimy się śpieszyć, a kiedy lepiej poczekać. Jeżeli zaś jesteś niecierpliwy i nerwowy, to wiedz, że pochodzi to wprost z piekła. Jest to duch szatana, a nie Duch odpocznienia i pokoju Bożego, w którym powinniśmy się znajdować. W ten sposób szkodzimy sobie i sprawie Bożej.

Wielu misjonarzy, niestety, śpiesząc się też popełnia duży błąd. Jak już mówiłem, czarni z swojej natury są bardzo wolni. Jeżeli zgromadzenie zaczyna się o 11-tej godzinie, to przyjdą na pewno później. Oczywiście, są tego też inne przyczyny, na przykład: wielu z nich nie ma zegarków, niektórzy muszą iść z daleka piechotą itd. I jeżeli misjonarze przychodzą o oznaczonym czasie na zgromadzenie, a ludzi jeszcze nie ma, to zaczynają się denerwować, a to znaczy — grzeszyć. Tak rzecz idzie od jednego grzechu do drugiego, a całe błogostawieństwo zostaje utracone. Zamiast denerwować się, czy nie lepiej byłoby zadać sobie pytanie: „Po co tu jestem?”. Przecież celem przyjazdu jest głoszenie ewangelii. To jaka to różnica, w jakim czasie będzie to zrobione — o 11 czy 12 godzinie. Najważniejsze powinno pozostać najważniejszym, wszystko pozostałe — drugorzędnym. Jeżeli trwamy w odpocznieniu i pozwalamy pokojowi Bożemu panować w naszym sercu, wtedy to strzeże nas przed złem i grzechem oraz pomaga oczekiwać tego, co przewidział Pan.

Tak, ludziom ciężko jest czekać. Zdolni jesteśmy stracić spokój ducha, jeśli ktoś zapomni i zmusza nas do czekania 5-10 lub 15 minut. Jest to dla nas straszne. Lecz jeśli przy tym grzeszysz, denerwujesz się i złościsz, to czy wtedy nie jest to straszne? „Nie powstrzymał się, zdenerwował się... Co w tym szczególnego? Każdemu może się to zdarzyć. To przecież drobiazg”.

Oto tak nierozumni możemy być. Tacy ślepi. A przy tym mieć jeszcze pobożny wygląd.

Drodzy moi, nie możemy grzeszyć. Chrystus nie na próżno mówił: „Idź i więcej nie grzesz”. Nawet kiedy inni grzeszą, nie daje to nam prawa, aby czynić to samo. Jeżeli nasi bliźni postępują nieprawidłowo, to my musimy postępować prawidłowo. I jeśli oni są cielesni, to my musimy być duchowi. Nasze życie i chodzenie muszą być w Duchu. Pan jest Duchem, a nasza łączność z Nim musi być nierozzerwalna. Postępując według ciała, tym samym jesteśmy wrogimi Bogu, a to znaczy, że nie możemy być z Nim jedno.

Wszystkie te tak zwane „drobiazgi” nie są wcale drobiazgami, i tego wszystkiego nauczył mnie Pan właśnie przez czarnych. Tak, dużo się nauczyłem od nich, w tym także dużo nowego.

Jeżeli poganie przyjmują ewangelię, to po prostu muszą się zmienić. Przy tym dla nich wszystko jest nowe. Lecz, czy wiecie, że to samo trzeba powiedzieć i w stosunku do nas, narodów chrześcijańskich? My też musimy zmieniać się, kiedy żywa ewangelia wchodzi do naszego życia. My, biali, musimy zmieniać się przy tym dokładnie tak samo, jak i czarni, gdyż oni mają wielkie i ciemne pogań-

stwo, a my bardziej wysubtelnione i wybielone, lecz też pogaństwo — jeśli można tak się wyrazić, chrześcijańskie pogaństwo. I to „chrześcijańskie pogaństwo” musimy przynieść i złożyć do nóg Jezusa, po czym całe nasze życie powinno przechodzić pod stałą kontrolą i przy ciągłym prowadzeniu Ducha Świętego. Istnieje wiele, co zwie się „pobożnym”, a co pochodzi wprost z piekła; jeżeli zaś pozwalamy Duchowi Świętemu działać w naszym życiu, wtedy On całkowicie zmienia nas, czyniąc z nas prawdziwie dzieci Boże.

Możemy pójść do Żydów i Greków, Arabów i innych narodów, i zobaczymy tam, jaka duża różnica istnieje między nami, ludźmi. Co mamy powiedzieć, spotykając się z nimi? „Ach, całkowicie jesteście inni. Wasze pojęcia i poglądy, wasz sposób życia tak różni się od naszego. Jacy jesteście dziwni! Jak można tak rozsądzać?”.

Lecz pomyślcie, czy będzie to dobre z naszej strony? Czy powinniśmy oczekiwać od nich, żeby zmienili się, stając się tacy, jak my? Niestety, właśnie ten błąd popełniamy najczęściej. A przecież nasze zadanie polega zupełnie nie na tym, żeby upodobnić innych do siebie, ale żeby pozyskać ich dla Pana.

Przypomnijcie sobie, co na ten temat mówił apostoł Paweł: „I stałem się dla Żydów jako Żyd, aby Żydów pozyskać; dla tych, którzy są pod zakonem, jakobym był pod zakonem, chociaż sam pod zakonem nie jestem, aby tych, którzy są pod zakonem, pozyskać. Dla tych, którzy są bez zakonu, jakobym był bez zakonu, chociaż nie jestem bez zakonu Bożego, lecz pod zakonem Chrystusowym, aby pozyskać tych, którzy są bez zakonu. Dla słabych stałem się słabym, aby słabych pozyskać; dla wszystkich stałem się wszystkim, żeby tak czy owak niektórych zbawić”.

Myślę, że rozumiecie, co chcę powiedzieć tymi słowami. Prawda, są i tacy chrześcijanie, którzy w tym zagadnieniu wpadają w inną skrajność. Pewnego razu u nas na stacji misyjnej przebywał pewien kaznodzieja, który powiedział: „Kiedy jestem wśród narkomanów, wtedy też biorę narkotyki. Jeśli jestem z palącymi, to też palę, żeby pozyskać ich dla Chrystusa”.

Oczywiście, takie podejście jest od podstaw złe. Jeśli zewnątrz jesteśmy słabi, to wewnątrz musimy być duchowo silni i mocni. Przecież apostoł Paweł mówi z tego powodu tak: „Dla tych, którzy są bez zakonu, jakobym był bez zakonu, chociaż nie jestem bez zakonu Bożego, lecz pod zakonem Chrystusowym”. Oczywiście nie możemy być przy tym obłudnikami, jednak najważniejszym jest to, żebyśmy nauczyli się zapierać samych siebie i zostawiać to, co nasze, pokonując i pozyskując dla Pana inne dusze.

Takie samo podejście trzeba mieć i w stosunku do zagadnień duchowych. Rozumie się, że to nie znaczy, iż musimy robić coś niedobrego, jeśli ludzie, wśród których się znajdujemy, postępują duchowo źle. Jednak, pomimo to, musimy umieć się unieść, pozostawiając Panu możliwość, aby sam wskazał takim drogę do prawdy.

Na przykład, wśród dzieci Bożych jest jeden temat, który powoduje wiele interpretacji i niezgody. W pierwszym Liście do Koryntian, 12:4-11 czytamy: „A różne są dary łaski, lecz Duch ten sam. I różne są posługi, lecz Pan ten sam. I

różne są sposoby działania, lecz ten sam Bóg, który sprawia wszystko we wszystkich. A w każdym różnie przejawia się Duch ku wspólnemu pożytkowi. Jeden bowiem otrzymuje przez Ducha mowę mądrości, drugi przez tego samego Ducha mowę wiedzy, inny wiarę w tym samym Duchu, inny dar uzdrawiania w tym samym Duchu. Jeszcze inny dar czynienia cudów, inny dar prorocтва, inny dar różniwania duchów, inny różne rodzaje języków, inny wreszcie dar wykładania języków. Wszystko to zaś sprawia jeden i ten sam Duch, rozdzielając każdemu poszczególne, jak chce". Dalej w tym samym rozdziale, w 29 i 30 wersecie, apostoł Paweł mówi: „Czy wszyscy są apostołami? Czy wszyscy prorokami? Czy wszyscy mają moc czynienia cudów? Czy wszyscy mają dar uzdrawiania? Czy wszyscy mówią językami? Czy wszyscy je wykładają?”.

Są tacy chrześcijanie, którzy twierdzą, że wszyscy muszą mówić innymi językami. Inni uważają, że jest to złe, gdyż nie zgadza się z tym, co mówi Biblia, która uczy nas, że Duch Święty działa tak, jak On chce, dając dzieciom Bożym dary według Swego uznania. To wszystko dzieje się nie według wcześniej określonego schematu, a według woli Bożej. Przy tym jeden otrzymuje jeden dar, inny — drugi, jeszcze inny — trzeci.

I tak, spotkało się dwóch ludzi z różnymi pojęciami o innych językach. Jeden mówił, że wszyscy bez wyjątku powinni mówić innymi językami. Drugi to odrzucał i na podstawie wyżej wskazanych miejsc Pisma próbował przekonać współrozmówcę o tym, że dar innych języków jest jednym z wielu darów Ducha Świętego i dlatego przekonanie, że wszyscy muszą mówić językami, nie odpowiada nauce Biblii.

Tak siedząc przy stole rozsądzałi, udowadniając każdy swoje, a ten, który mówił rzeczywiście prawdę, zaczął nagle irytować się. Wtedy jego współrozmówca, zauważywszy to, powiedział mu: „Jeśli masz rację i prawda jest po twojej stronie, to dla czego denerwujesz się i unosisz?”.

Tych słów pierwszy brat długo potem nie mógł zapomnieć i pokutując, prosił: „O, Panie, odpuść mi! Mówię innemu, że mam prawdę, a sam irytuję się przy tym. Twierdzę, że mam czystą i niezaprzeczną ewangelię, a sam denerwuję się, spieram i kłóczę”.

Widzicie, drodzy przyjaciele, jak jest to niedobre. Powinniśmy w każdych okolicznościach zachować pokój w naszym sercu, mieć bliską społeczność z Panem i chodzić w Jego Duchu, świadcząc o prawdzie nie językiem, ale swoim życiem. Inaczej nasze chrześcijaństwo nic nie jest warte. Jeżeli denerwujemy się, irytujemy, stajemy się niecierpliwi, grubiańscy i złośliwi, wtedy każdy, patrząc na nas, może pokazać palcem i powiedzieć: „Spójrzcie na niego! A jeszcze nazywa siebie chrześcijaninem!”.

Czy myślicie, że będąc takimi, będziecie mogli pozyskać dla Pana innego człowieka? Oczywiście, że nie! Lecz jakże często niestety chrześcijanin stara się to zrobić! Jakże często się zdarza, że otwieramy swoje usta i zaczynamy mówić, zamiast pomodlić się w swoim sercu i w uniżeniu zapytać Pana, jaka jest Jego wola i czego w tej chwili oczekuje On od nas. Jakże jest ważne w takiej chwili, żeby zapytać Ojca Niebieskiego: „Panie, co chcesz, żebym uczynił?”, albo: „Co

powiniennem teraz powiedzieć?". I jeżeli Bóg nic nam nie powie na to, wtedy i my powinniśmy milczeć i nic nie mówić.

Tak więc, nie możemy pozyskiwać dusz i być dla innych błogosławieństwem, jeśli nie jesteśmy gotowi zaprzecić się siebie i zostawiwszy swoje, uznać innego za większego od siebie, stając się dla każdego tym, kim on jest. Dopiero kiedy zgodzimy się na to, w życiu naszym będzie mogło wypełnić się to, o czym pisał apostoł Paweł: „I stałem się dla Żydów jako Żyd, aby Żydów pozyskać... Dla tych, którzy są bez zakonu, jakobym był bez zakonu... aby pozyskać tych, którzy są bez zakonu. Dla słabych stałem się słabym, aby słabych pozyskać... żeby tak czy owak niektórych zbawić”. Niech Pan pomoże i nam osiągnąć taki stan duchowy, w którym będzie łatwo zaprzecić się siebie. Przecież tylko wtedy Bóg może wykorzystywać nas w dziele zbawienia innych dusz!

Paweł mówił o sobie, że według zakonu był bez wady, prowadząc przykładowe życie; jednak, pomimo tego, gotów był odrzucić wszystko, zaprzecić się samego siebie. Wiedział on, jaka jest tego cena i dlatego powiedział: „Każdego dnia umieram”. Tylko tak, codziennie umierając, możemy być współukrzyżowani z Chrystusem, w pokorze niosąc swój krzyż.

Ten krzyż jest ciężki i nie ma nic wspólnego z tym krzyżem, który niektórzy ludzie noszą na szyi. Taki krzyżyk jest bardzo lekki i nietrudno jest go nosić. Lecz prawdziwy krzyż nie jest tak lekki i tak przyjemny. Kiedy Jezus niósł Swoj krzyż, niekiedy nie wytrzymał i upadał pod jego ciężarem, tak że inny człowiek musiał pomóc Mu nieść to brzemię.

Krzyż chrześcijanina też nie jest czymś małym. Niosąc go, nie możesz iść prosto, z wysoko podniesioną głową, lecz musisz nisko ugiąć się pod nim. Człowiek, który rzeczywiście niesie swój krzyż, jest człowiekiem pokornym i pochyłym. Właśnie to jest znakiem tego, że niesie on swój krzyż i że Jezus znajduje się w jego sercu. Jeżeli zaś człowiek jest wyniosły i pyszny, jeżeli uważa się za wyższego i mądrzejszego niż jego bliźni, to w jego sercu żyje diabeł. Mówiąc tak, nie myślę się, gdyż pychę i wyniosłość może włożyć do naszego serca tylko diabeł. Tego nie może uczynić Jezus, który mówi nam: „Uczcie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca”. Człowiek, w którego sercu prawdziwie mieszka Chrystus, jest pokornym, dobrym i delikatnym w stosunku do innych. On nie może być grubiańskim i oschłym dla swojego bliźniego, gdyż Pan nigdy takim nie był.

O, jakże to wszystko jest ważne dla nas — nauczyć się nieść swój krzyż! A ten, kto niesie krzyż, nie może bronić się. Kiedy go biją, on nie ośmieli się odpowiedzieć tym samym, gdyż niesie krzyż, a to znaczy, że skazany jest na śmierć. Taki człowiek nie ma praw. Nic mu już nie należy się. Staje się pośmiewiskiem dla świata, który robi z nim wszystko, co chce. Przybijają go do krzyża, a on przy tym może robić tylko jedno — modlić się za krzyżujących go, tak samo, jak kiedyś modlił się Jezus: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”.

Codziennie nieść swój krzyż, w pokorze znosić obelgi i zniewagi — jest to nieodłączna część życia tego, kto nazywa siebie chrześcijaninem. Nie wiem, czy człowiek ma w ogóle prawo nazywać się chrześcijaninem, jeśli nie niesie swego krzyża. Możliwe, że taki dawno już należy do tych, o których apostoł Paweł z bó-

lem pisał kiedyś: „Wielu bowiem z tych, o których często wam mówiłem, a teraz także z płaczem mówię, postępuje jak wrogowie krzyża Chrystusowego” (Flp 3:18).

Tak więc, można nazywać się chrześcijaninem, lecz w samej rzeczy być wrogiem krzyża, idąc przeciwko niemu. Kto nie chce zaprzeć się siebie, kto ciągle obwinia innych, szukając sobie usprawiedliwienia — nie może być naśladowcą i przyjacielem Tego, kto bez narzekania niósł Swój krzyż na Golgotę.

O, jakże to jest straszne, głosząc innym o Bogu, samemu okazać się odrzuconym za to, że nie niosło się swojego krzyża i nie chciało się zaprzeć siebie! I jaka szkoda, jeśli przez całe życie nazywamy się chrześcijanami i jesteśmy przekonani, że rzeczywiście nimi jesteśmy, a w końcu okaże się, że to wszystko było daremne, a udziałem naszym jest wieczna zguba!

12. Jak zostać przydatnym naczyniem

Drodzy przyjaciele! Jeżeli popatrzeć wokół nie ślepych, ale otwartych oczami, to można przerazić się widząc, jak wygląda wszystko w dzisiejszym świecie. Szczególnie zaś smutnym jest ten fakt, że przez ostatnie 50 lat ogólna liczba ludzi, przynależących do chrześcijaństwa, zmniejszyła się prawie trzy razy, gdy w tym czasie inne niechrześcijańskie wyznania i ateizm rozprzestrzeniają się coraz bardziej.

Prawie we wszystkich kościołach, z rzadkim wyjątkiem, liczba uczestniczących w nabożeństwach zmniejsza się i dlatego ten, kto ma jeszcze chociaż trochę życia duchowego, powinien wołać do Pana, błagając Go o zmiłowanie się nad nami i aby zatrzymał ten ruch spadkowy.

Nie mogę zrozumieć tych chrześcijan, którzy w tej sytuacji pozostają zadowoleni. Rozejrzyjcie się i spójrzcie wokół siebie! Czy nie jest prawdą, że można przerazić się tym, co widać i słyszać teraz? A przecież tylko jeden Bóg wie, co może nam jeszcze przynieść przyszłość. Oto dlaczego dla nas teraz pozostaje tylko jeden ratunek — prawdziwe przebudzenie duchowe, które w pełni zgodne jest z Biblią i które daje Pan, zaczynając działać przez Swojego Ducha Świętego. Jeżeli zaś nie przeżyjemy prawdziwego przebudzenia, wtedy trafimy pod inny wpływ i zostaniemy pociągnięci przez fałszywy prąd. Innego wyjścia nie ma.

Dlatego, przyjaciele moi, każdy chrześcijanin musi być gorącym chrześcijaninem, z sercem płonącym dla Pana. Zaś każdego, czyje serce ledwo tli się, można nazwać w takim przypadku zdrajcą Królestwa Bożego. I dlatego, jeżeli takie dzieci Boże tracą pewność zbawienia, z tego można tylko się cieszyć i czym wcześniej to się stanie, tym lepiej. Moja modlitwa do Boga polega właśnie na tym, żeby tacy jak najszybciej przebudzili się ze swojego snu duchowego. Daleki jestem od myśli, żeby uspokajać i pocieszać wierzącego człowieka, który duchowo jest daleko od tej miary, której oczekuje od niego Pan.

Jeśli ktoś mówi mi, że przebudzenie u nas w Południowej Afryce jest czymś niepewnym, w czym jest coś nieczystego, niebiblijnego, wtedy odpowiadam mu: „Bracie, jeżeli znasz coś lepszego, to pokaż mi to lepsze, lecz nie przychodź z pustymi słowami i pobożnym wyglądem, zapierając się przy tym mocy Bożej”.

Ewangelia i mowa o krzyżu powinny być mocą Bożą, która zdolna jest przewrócić i postawić na nogi dzisiejsze chrześcijaństwo, uczyniwszy z nim to samo, co stało się kiedyś w Jerozolimie.

Każdy chrześcijanin musi być gorącym świadkiem Jezusa Chrystusa. Każdy, bez wyjątku, młody czy stary, mężczyzna czy kobieta, kawaler czy żonaty. Nie możemy dłużej tolerować w swoim środowisku takich, których serca nie biją dla Pana dniem i nocą, i dla których sprawa Boża nie jest na pierwszym miejscu. My, nazywający siebie chrześcijanami i naśladowcami Chrystusa, musimy żyć tak, żeby Jezus był dla nas pierwszym i ostatnim, był prawdziwie naszym życiem i naszym codziennym chlebem.

Nastał czas, kiedy nikt nie może się wstydzić Pana, kiedy każdy chrześcijanin musi się ujawnić wobec wszystkich. Świat robi wszystko, co możliwe, żeby

diabeł triumfował, a kiedy my, chrześcijanie, w końcu zaczniemy robić to dla naszego Pana? Świat walczy o władzę szatana, słudzy diabła robią wszystko dla jego chwały i dla jego panowania nad duszami ludzkimi. O ileż więcej musimy robić to my, chrześcijanie, dla Króla i naszego Pana!

Nie możemy zapominać, że czasu zostało bardzo mało, gdyż wszystko zbliża się ku końcowi. Żyjemy właśnie w takim czasie, o którym napisano: „W dniach ostatnich nastaną chwile trudne... Będą okazywać pozór pobożności, ale wyrzekną się jej mocy” (2Tm 3:1,5 BT). Właśnie o nich apostoł Paweł pisze nam: „Od takich stroń”.

Tak więc, stroniąc od każdego tak zwanego chrześcijanina, który tylko okazuje pozór pobożności, ale wyrzeka się jej mocy, doświadcz także i siebie, czy nie jesteś i ty taki!

Wnikajcie głębiej w te słowa, przyjaciele moi, i pomyślcie, czy rzeczywiście nie nastąpił czas, żebyśmy zaczęli poważnie traktować Słowo Boże. Dokąd jeszcze będziemy utykać na obie nogi? Czy nie przyszedł już ten moment, żebyśmy prawdziwie oddali cześć Bogu naszemu i żeby życie nasze stało się prawdziwym świadectwem tego, że tylko On jest Prawdą, a Biblia — przewodnikiem do Niego? Przecież musi w końcu wybić ta godzina, w której Pan stanie się naszym ostatnim słowem, mającym decydujące znaczenie.

Kiedy Bóg działa, robi to tak, jak chce; a ja nie wiem dlaczego, lecz On działa zawsze właśnie przez nas, ludzi. Pan potrzebuje ludzkich naczyń i dlatego powstaje pytanie: Jak stać się naczyniem, zdatnym do użycia w rękach żywego Boga? Z tym pytaniem spotykamy się wszędzie. Chrześcijanie się pytają: „Co mamy robić, żeby Pan dał przebudzenie? Co do tego jest konieczne? Jak stać się naczyniem, przydatnym Niebieskiemu Władcy?”.

W Drugim Liście do Tymoteusza 2:19-21 czytamy: „Wszakże fundament Boży stoi niewzruszony, a ma tę pieczęć na sobie: Zna Pan tych, którzy są jego, i: Niech odstąpi od niesprawiedliwości każdy, który wzywa imienia Pańskiego. W wielkim domu zaś są nie tylko naczynia złote i srebrne, ale też drewniane i gliniane; jedne służą do celów zaszczytnych, a drugie pospolitych. Jeśli tedy kto siebie czystym zachowa od tych rzeczy pospolitych, będzie naczyniem do celów zaszczytnych, poświęconym i przydatnym dla Pana, nadającym się do wszelkiego dzieła dobrego”.

Słowo Boże mówi nam tutaj, jakie naczynia są w domu Bożym i do czego są używane. Lecz najcenniejsze w tym miejscu Pisma jest to, że te słowa nie kończą myśli Ducha Bożego, który później doprowadza nas do najważniejszego: „Jeśli tedy kto siebie czystym zachowa od tych rzeczy pospolitych, będzie naczyniem do celów zaszczytnych, poświęconym i przydatnym dla Pana, nadającym się do wszelkiego dzieła dobrego”.

Droży przyjaciele! Jest to kluczem i odpowiedzią na wszystkie postawione pytania. Tutaj słowami apostoła Pawła Pan mówi nam o tym, jak jest ważne oczyszczanie siebie ze wszelkiej nieprawości naszego ducha i naszego ciała, i że ten proces oczyszczenia jest bezwzględnie konieczny i niezbędnym warunkiem tego, żeby Bóg mógł użyć nas. Bez tego nie możemy stać się tym naczyniem,

które by On użył dla Swojej chwały.

Niektórzy ludzie mówią: „Co zrobić, jeśli taki urodziłem się? Taki już mam charakter. Moi rodzice też byli tacy. Widocznie jestem tylko glinianym naczyniem, które nie może być użyte dla chwały Bożej. Niestety, tego już nie zmieni się”.

Lecz dzięki Bogu, że tak nie jest i że w ogóle nie trzeba takim pozostawać. Nawet, jeśli jesteś glinianym naczyniem, nie przeznaczonym dla chwały, a twoje poprzednie życie było bezczeszczeniem Boga, to i wtedy może to się zmienić. Przy czym nie przez to, że zaczniesz studiować teologię lub uczęszczać do szkoły biblijnej, chociaż wcale nie chcę powiedzieć, że jest to złe. Tylko to wszystko nie pomoże, jeżeli nie oczyszczamy się. Przecież, zgodnie ze Słowem Bożym, właśnie oczyszczenie jest najważniejsze.

W ciągu wielu lat ciągle mogliśmy przekonywać się, że Bóg nie jest stronniczy i że On naprawdę nie patrzy na osobę. Mężczyzna lub kobieta, młody lub stary — każda dusza, która oczyszcza siebie i czyni dobro, podoba się Panu i stanie się Jego przydatnym naczyniem. Przy tym nie odgrywa żadnej roli, kim jest ten człowiek: wykształcony czy zupełny analfabeta, mężczyzna czy kobieta, czy jest pracownikiem w kościele, czy prostym, szeregowym członkiem. Najważniejsze, żeby miał czyste serce i czyste życie, gdyż tylko wtedy Duch Boży może działać. Jeżeli zaś do życia takiego człowieka wchodzi grzech, wtedy Duch Święty smuci się, a to oznacza, że i działanie Jego ustaje, do tej pory, póki to nie zostanie oczyszczone i doprowadzone do porządku.

W przytoczonym wyżej tekście są jeszcze takie słowa: „Wszakże fundament Boży stoi niewzruszony, a ma tę pieczęć na sobie: Zna Pan tych, którzy są jego, i: Niech odstąpi od niesprawiedliwości każdy, który wzywa imienia Pańskiego”.

Widzicie, drodzy przyjaciele, co w oczach Bożych jest niewzruszonym fundamentem, na którym musimy budować. Nie możemy budować na innym fundamencie, gdyż wtedy będziemy budować na piasku. Nie możemy budować na dobrym kazaniu, nie możemy opierać się na ludzkiej mądrości. Nie powinniśmy także utwierdzać się w określonej nauce, lecz tylko na jednym fundamencie Bożym, który wskazany jest nam przez Słowo Boże — „Niech odstąpi od niesprawiedliwości każdy, który wzywa imienia Pańskiego”.

Bóg jest święty i nie może tolerować żadnej niesprawiedliwości. Przy czym ma się na uwadze nie niesprawiedliwość w życiu postronnych ludzi, lecz niesprawiedliwość w moim własnym życiu. Nie grzech moich bliźnich, ale mój własny grzech, który zasmuca Ducha Bożego, będącego we mnie.

Na potwierdzenie tego, co zostało powiedziane, chciałbym przytoczyć chociaż jeden przykład z życia dzieci Bożych. Jest ich tak dużo, tych, których Pan wykorzystuje w Swoim Królestwie; o których można byłoby opowiadać przez wiele dni. Lecz teraz mam w sercu pragnienie opowiedzenia o pewnej kobiecie, żeby pokazać, w jakiej wielkiej mocy Pan może działać przez najprostszą kobietę. Przecież On może wszystko. Może On mówić, jak chce i przez kogo chce. W Biblii jest nawet przykład, kiedy Bóg mówił przez osła, gdyż prorok w tej chwili był ślepy. Przypominając tę historię, można tylko z żalem powiedzieć, że coś podob-

nego powtarza się ciągle. I teraz, w naszym dwudziestym wieku nierzadko zdarza się tak, że prorok jest ślepy, nie widzący tego, co powinien widzieć. Wtedy musi mówić „osioł”, żeby uratować życie takiego proroka.

Kobieta, o której będzie moje opowiadanie, żyła w takim miejscu, w takiej rodzinie i w takim domu, gdzie było rzeczywiście bardzo ciężko. Już w pierwszym tygodniu po weselu otrzymała pierwsze razy kijem po głowie. Jej mąż był okropnie złym człowiekiem, szybko wpadającym we wściekłość. Był on alkoholikiem i mógł tak kłać i rozstawiać rodzinę po kątach, jak mato kto. Mając pracę, pomimo to w ogóle nie troszczył się o utrzymanie swojej żony i dzieci, w rezultacie czego troje z ich dzieci umarło z głodu. Mąż nie tylko przepijał wszystko, co zarobił, lecz jeszcze codziennie używał bata lub kija. Ciało tej kobiety do tej pory jest zeszpecone przez szramy i blizny od uderzeń. Tak samo prawie każde jej dziecko ma na swoim ciele takie same straszne ślady. Z tej przyczyny żona i dzieci musiały nierzadko spać na ulicy. Było to naprawdę straszne życie.

Interesujące jest to, że Pan często działa właśnie tam, gdzie okoliczności są najgorsze i dlatego tak prawdziwe są słowa tego hymnu: „Czym noc ciemniejsza, tym jaśniejsze gwiazdy...”. Właśnie w głębokiej ciemności światło wygląda szczególnie jasno. Jeśli zapali się świecę w jasny dzień, to jej światło będzie prawie niezauważalne, lecz jeśli tę samą świecę zapali się głęboką nocą, wtedy jej światło będzie szczególnie jasne.

U Zulusów rodziny mieszkają zawsze razem, a to znaczy, że i niewiasty przebywają ze swoimi teściowymi. Lecz w przypadku, o którym opowiadam, wspólne życie było prawdziwym piekłem, gdyż na domiar wszystkiego teściowa była też nad wyraz złą kobietą. Dlatego nie jest dziwne, że w takiej rodzinie było dużo kłótni i awantur. Dzieci mówiły, że kiedy dorosną, to w pierwszej kolejności rozprawią się ze swoim znieawidzonym ojcem, gdyż życzyły mu tylko śmierci.

Tak wyglądały tam sprawy i trwało to do tej pory, póki ta kobieta nie upamiętała się. Było to w 1963 roku, lecz do dzisiejszego dnia nie mogę zapomnieć jej upamiętania. Pamiętam, że raz po zgromadzeniu przyszła ona do mnie, przynosząc swój ból i swoją potrzebę. Jak myślicie, co ona wtedy mówiła? Żeby nie robić z tego zagadki, powiem wam, że ona mówiła to samo, co niestety mówi wiele kobiet: „O — żaliła się — tak mi ciężko z moim mężem! Jest taki okrutny! Jest niewierzącym i okropnym pijakiem. Żyje z inną kobietą. Strasznie przeklina”. Opowiedziałam wszystko o nim, później zaczęła o swojej teściowej, opisując ją najbardziej niepocholebnyimi słowami.

Później, gdy skończyła, zapytałem ją: „Proszę powiedzieć, a jak wygląda sprawa osobiście u ciebie w twoim życiu duchowym?” (Była ona tak zwaną chrześcijanką i nawet kierowała młodzieżą w swojej miejscowej społeczności). Nie rozumiejąc, dlaczego mówię z nią o tym, z niezrozumieniem zapytała:

— Dlaczego mówisz o mnie? Przecież problem nie jest we mnie, a w moim mężu! Nie ja, ale on jest przyczyną wszystkich naszych rodzinnych nieporozumień.

— Dobrze. Lecz zobaczymy, co mówi o tym Biblia. Pomyśl, być może to jest twoje pole misyjne. Czy nie jest twoim przywilejem właśnie to, że znajdujesz się w

miejscu, gdzie króluje nieprzenikniona ciemność? Przecież w takich warunkach twój ogień chrześcijański może płonąć i świecić szczególnie jasno.

— O, to dla mnie gorzka pigułka! — mówiła rozstrojona kobieta.

— Tak, lekarstwo bywa gorzkie, ale to nie jest tak ważne, jeśli pomaga.

Jak już mówiliśmy, przyjaciele, kiedy mowa jest o przebudzeniu, nie można zapominać o tym, że ono zaczyna się osobiście u ciebie, żono, a nie u twego męża. Ono zaczyna się u ciebie, drogi mężu, a nie u twojej żony, i u ciebie, synu i córko, a nie u twoich rodziców. Pan rozpoczyna Swoje dzieło właśnie od tego, kto się modli i prosi o Boże działanie.

Dlatego i tej chrześcijance zostało powiedziane: „Zapomnij o swoim mężu, zapomnij o złej teściowej i pomyśl o swoim własnym życiu! Czy ono jest w porządku? Czy oczyściłaś je przed Bogiem?”.

Tak Duch Święty zaczął Swoją pracę w jej sercu. Wtedy zrozumiała, że też grzeszyła; że nie tylko mąż, lecz i ona sama jest winna; i że nie tylko teściowa była zła, ale i u niej samej w sercu była taka gorycz, że nie mogła więcej wybaczać. W tym momencie, kiedy przed jej wewnętrznymi oczami duchowymi ujawniło się to wszystko, ona wystraszona wykrzyknęła:

— Co mam teraz robić?

— Oczyść swoje własne życie! Doprowadź je do porządku i zło zwyciężaj dobrem.

Później, gdy Duch Boży zaczął Swoje dzieło oczyszczenia w jej życiu, ta kobieta zaczęła stopniowo się zmieniać, przekształcać się w to naczynie, które było potrzebne Panu dla Jego użytku. Zaczęła ona od tego, że poszła sama do swojego męża i powiedziała mu:

— Drogi mężu, wybacz mi! — Przy tym nie mówiła mu o tym, że on unikał jej, cudzołożył z inną kobietą. Nie, ona przyznawała się, że grzeszyła sama: — Nie byłam taką żoną, jak uczy tego Biblia — mówiła. — Nie byłam posłuszna tobie i nie miałam dla ciebie miłującego serca. Denerwowałam się i złościłam na ciebie, gdyż nie mogłam wytrzymać, gdy piłeś i łajdaczyłeś się. Wybacz mi to, mój mężu! Proszę, wybacz mi...!

Potem poszła do swojej teściowej i doprowadziła swoje stosunki z nią do porządku. Następnego dnia, wracając z pracy, zaszła do sklepu i zebrawszy wszystkie swoje nędzne grosze, kupiła jej bochenek chleba.

Tak oto, robiąc dobre uczynki, zgarniała węgle rozżarzone na głowy tych ludzi. A wkrótce potem Duch Boży zaczął działać przez nią w wielkiej mocy. Najpierw nawróciło się do Pana jej pierwsze dziecko, później drugie. W ślad za nimi upamiętała się i uwierzyła w Pana jej teściowa. Minął krótki czas i uwierzyły jej szwagierki oraz mieszkający obok sąsiedzi, uniżeni jej miłością. Było to podobne do reakcji łańcuchowej i trwało do tej pory, póki wszyscy ludzie, mieszkający w tej okolicy, nie oddali siebie Jezusowi. Pokutowali jeden za drugim, przy czym nie przez kazanie, a przez żywe świadectwo życia tej kobiety. Jeżeli życie człowieka zgodne jest z Pismem, to jego słowa mają moc i nie są pustym gadaniem, na które nie zwraca się uwagi.

Drodzy przyjaciele, chcę podkreślić, że już wielokrotnie przekonywaliśmy

się o tym fakcie, że gdy tylko jakiś człowiek zaczyna oczyszczać się i doprowadza do porządku swoje życie i swoje stosunki z Bogiem oraz ludźmi, Duch Boży zaraz zaczyna działać, potwierdzając tym samym, że dana dusza znajduje się na dobrej drodze. Tacy bardzo szybko stają się przydatnymi narzędziami w rękach Bożych, naczyniami sposobnymi, aby Pan ich użył. Lecz jeżeli ci chrześcijanie, już stawszy się przydatnymi naczyniami, dają grzechowi możliwość ponownego wejścia do ich życia, to szybko stają się znowu nieprzydatnymi dla Pana, a Duch Święty przestaje przez nich działać.

Każdy z nas ma ten przywilej stać się naczyniem, potrzebnym Panu po tym, gdy oczyściwszy swoje życie, zacznie wiernie służyć Panu. Służyć, pozostając wiernym w małym i najbardziej nieznaczącym, i żyć takim życiem, które prawdziwie można nazwać życiem w Panu. W języku zulu mówimy tak: „Pan daje przebudzenie, Pan błogosławi i działa przez to, że człowiek żyje życiem, którego On oczekuje od niego”. Przy czym bardzo ważne jest, żeby życie nasze było takim nie od przypadku do przypadku, lecz ciągle, każdego dnia, gdyż dopiero wtedy Bóg udzieli Swego błogosławieństwa.

Właśnie tak było i w przykładzie z tą czarną kobietą. Dopiero wtedy, kiedy zgodziła się pójść tą drogą, Pan pobłogosławił ją. On i dziś jeszcze używa jej jako Swego cennego naczynia i do tego więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Jednak trzeba jeszcze powiedzieć, że w tych minionych latach ona nieraz zetknęła się z tym, czego musiała się nauczyć. Zawsze, kiedy chodziła w Duchu, Bóg był z nią, lecz gdy tylko zaczęła postępować według ciała, Pan odstępował, a Duch Święty już nie był po jej stronie. Jeśli ona w uniżeniu swoim była wierna Panu, to mąż dawał jej możliwość bycia na zgromadzeniach, lecz gdy tylko zaczęła postępować według ciała, złościć się i oburzać, jeśli w odpowiedzi na jego obelgi odpowiadała sprzeciwem, wtedy wydawało się, jakby diabeł znowu otrzymywał moc, a mąż znów zabraniał jej chodzić na nabożeństwa. Kiedy to się zdarzało, przychodziła do nas w swojej potrzebie i mówiła:

— Nie mogę być z wami. Mąż znowu zabronił mi chodzić na zgromadzenia.

— Tak? Lecz dlaczego? Co się stało?

— Ach, nie mogłam dłużej wytrzymać! Nie miałam już siły i dlatego też coś mu powiedziałam.

— Jak uważasz, było to od Ducha Bożego czy z ciała?

— Nie, to nie było według woli Bożej, gdyż nie mówiłam w miłości i nie w duchu chrześcijańskiej pokory.

— To idź i doprowadź to do porządku!

— Lecz to jest poniżej mojej godności! Nie mogę pójść z tym do męża, żeby znowu prosić go o przebaczenie. (Niestety, u wielu kobiet tak jest. Łatwiej im prosić o wybaczenie innego mężczyznę niż własnego męża).

Jednak Pan nie dawał tej żonie spokoju i nie mając innego wyjścia, uniażała się, szła do męża i mówiła: „Wybacz mi! Postąpiłam źle. Pan nie toleruje tego”. Dopiero po tym, gdy to czyniła, Pan znów otwierał dla niej drzwi i następnym razem była ponownie na nabożeństwie.

To, co się działo z nią, i dla nas było ważną lekcją, z której nauczyliśmy się

także postępować nie według ciała, ale według Ducha. Gniew, uraza, irytacja, nerwowość — są niczym innym, tylko uczynkami ciała, z których trzeba się oczyścić i unżywszy się, stać się takim, żeby Duch Boży mógł działać i żeby nic szatańskiego w nas nie zagasało Go.

Nie minęło już tak wiele czasu, a mąż tej kobiety upamiętał się i od tej pory wielu innych sam przyprowadza do Chrystusa, o czym można byłoby też dużo opowiadać. Jednak, nie wiedząc dlaczego, czuję się pobudzony, żeby mówić właśnie o tej kobiecie. Możliwe, że wśród was są takie żony, których Pan chce użyć i które na przykładzie tej kobiety chcą nauczyć się oraz przygotować do tego.

Drogie siostry! Chcę zwrócić waszą uwagę na to, że mąż tej kobiety zaczął zmieniać się dopiero wtedy, gdy ona powiedziała w swoim sercu: „O, Panie! Gotowa jestem unżyć się i iść Twoją drogą, czyniąc tylko to, czego Ty chcesz. Jeżeli jest to Twoją wolą, żebym miała takiego męża do końca moich dni, to przyjmę to z radością. Tylko daj mi łaskę, żebym zawsze była wierna Tobie!”.

Właśnie przez to Pan dotknął się wtedy serca jej męża. Nie mogąc zrozumieć zmiany, która w niej zaszła, mówił do niej: „Słuchaj, przecież znam ciebie! Wiem, jaka jesteś uparta i jak ci ciężko się unżyć. Co się stało z tobą teraz? Stałaś się inna nie do poznania”.

Tak ta prosta czarna kobieta stała się tym światłem, które kierowało inne dusze do Chrystusa. I wtedy w jej życiu wypełniły się słowa: „Kto wierzy we mnie tak, jak powiada Pismo, z wnętrza jego popłyną rzeki wody żywej”. Trzeba byłoby dużo czasu, żeby opowiedzieć szczegółowo o wszystkim, co robił dla niej Pan i jak błogosławił jej, o tym, jak upamiętały się wszystkie pozostałe jej dzieci i jej starzy rodzice. Unżywszy się przed Bogiem, pozyskała dla Niego ich wszystkich.

Minął czas, dzieci wyrosły i wszystkie bez wyjątku zostały pracownikami na polu misyjnym. Później pojawiły się wnuki, które także idą za Panem. Jeden z nich, mały Kwazi, mający cztery lata, umiał tak powiedzieć ludziom o Bogu, że dorośli, płacząc, zaczęli pokutować.

Jak widzicie, drodzy przyjaciele, ta kobieta stała się przydatnym naczyniem, gdyż zgodziła się oczyścić i doprowadzić do porządku swoje życie. Chciałoby się, żeby ten prosty przykład życiowy posłużył wam za ten punkt, który pomógłby i wam zdecydować się na to samo. Wierzę, że podobny wasz krok może stać się początkiem tego, czego, być może, nawet nie przypuszczacie. Kto wie, być może zbawienie dusz waszych bliskich, krewnych, przyjaciół i znajomych zależy od tego, czy zgodzicie się tak samo, jak ta czarna kobieta, oczyścić i doprowadzić do porządku swoje życie.

A przecież Boży plan zbawienia nie ogranicza się do tych, których znacie i kochacie. Przed nami leży cały świat, a Pan, zwracając się do nas, mówi: „Idźcie i głoscie ewangelię wszystkiemu stworzeniu”, a to oznacza — tysiące i miliony innych ludzi. Przecież nigdy jeszcze w całej historii ludzkości nie było tylu pogan, jak dziś. Co będzie, jeśli Pan zapyta nas o te dusze? Oto dlaczego każdy chrześcijanin musi szeroko otworzyć Panu drzwi swojego serca, pozwalając Mu zrobić w nim to, co już od dawna chce. Dopiero po tym, gdy nasze serce i życie będzie oczyszczone, będziemy mogli stać się naczyniem, przydatnym Panu dla Jego

użytkowania, i wtedy będzie mógł On działać przez nas tak, jak tylko On jeden to może.

Drodzy przyjaciele, mam nadzieję, że jeszcze nie zapomnieliście mego opowiadania o tym, gdy kiedyś na początku przebudzenia, czując na duszy wielki ciężar, chciałem spędzić dzień w poście i modlitwie, i szukałem społeczność z ludźmi, którzy w moich oczach byli najbardziej duchowi. Oczywiście pamiętacie także, jak przywitali mnie chrześcijanie, do których wtedy przyszedłem, i jak przez to spotkanie z nimi poznałem Pana takiego, jakiego nie znałem wcześniej i jak przeżyłem szczególnie bliską społeczność z Nim.

Tymi chrześcijanami byli właśnie ta czarna kobieta razem z jej mężem i ich rodziną. Kiedy ten mały zbór, zgiąwszy swoje kolana, zaczął modlić się, to już po 2-3 minutach otworzyło się niebo i to miejsce zakotłowało się.

Jak myślicie, co było ich tajemnicą i dlaczego Pan tak szybko usłyszał ich modlitwę i odpowiedział im? Cała rzecz w tym, że ci ludzie oczyścili swoje życie i dlatego ich modlitwy pochodziły z czystego serca.

Przyjaciele moi! W tym właśnie zawiera się cała tajemnica. Oczyśćmy się! Wyrzucmy z naszego serca i naszego życia wszelki grzech, wszelką nieczystość i wszelką rozwiązłość! Prośmy Pana, żeby On objawił i pokazał wszystko, co nie podoba się Mu w naszym sercu i naszym życiu. Wskazanie nam na nasze grzechy jest sprawą Ducha Świętego; my zaś musimy dać Mu taką możliwość i prosić Pana o moc, żeby doprowadzić do porządku to wszystko, co zostanie nam wskazane.

Chcę jeszcze powiedzieć, że nie musimy być przygnębieni i pochmurni, kiedy Pan zacznie dokonywać Swego dzieła i objawiać wszystko, co zasmuca Jego Ducha Świętego; przeciwnie, powinniśmy być radośni i wdzięczni Jemu za tę łaskę.

Używajmy też, przyjaciele, Słowa Bożego jako lustra. Przecież jest to tak ważne, żeby wszystko w naszym życiu zgodne było z Pismem i żeby było ono zapisane nie tylko na papierze, lecz i w naszym sercu, w naszych myślach, w naszych czynach i postępowaniu.

Dążmy do tego, żeby patrząc na nasze życie, inni ludzie mogli czytać z niego Słowo Boże — Biblię! Dopiero wtedy staniemy się naczyniami przydatnymi dla naszego Pana i dopiero wtedy Duch Święty będzie używał nas tak, jak chce.

O, jakże wdzięczny jestem Panu za to, że On naprawdę nie patrzy na osobę! I niech da On łaskę, żeby tu w tym miejscu znalazły się serca, gotowe stać się naczyniami, przydatnymi dla Niego!

Zapamiętajcie sobie tylko, przyjaciele moi, że Bóg potrzebuje was właśnie tam, gdzie jesteście. Wcale nie musicie jechać do Japonii, Chin lub Południowej Afryki. Życie dla Pana tam, gdzie mieszkacie! Tam powinno rozpocząć się dzieło Boże. Jeżeli nie jesteśmy przydatni tam, gdzie jesteśmy, to i w innym miejscu nie będzie z nas pożytku. Musimy być przydatni tam, gdzie jesteśmy. Nie na próżno przecież Pan nakazał Swoim uczniom, żeby zostali w Jerozolimie. Stąd przecież wszystko się zaczęło i stąd rozprzestrzeniła się ewangelia po całym świecie.

I tak, kto oczyszcza się, ten stanie się przydatnym naczyniem — naczy-

niem czci i chwały Bożej. Pan z całą pewnością będzie używał takiego naczynia według Swego uznania.

Możliwe, że świat dziś potrzebuje nie kaznodziejów i ewangelistów, lecz tego, żeby każdy z nas stał się naczyniem, zdatnym do użycia w rękach Bożych. Jeżeli będziemy zdolni stać się błogosławieństwem dla innych, wtedy Pan na pewno wezwie nas do udziału w Jego dziele i zacznie dokonywać Swego dzieła tam, gdzie jesteśmy.

Nie widzę innego wyjścia. Jest to jedyny ratunek dla nas, naszych rodzin, naszych krewnych i znajomych, a także dla naszego narodu w tym czasie ostatecznym. O, dałby Pan, żeby tutaj, wśród was znaleźli się tacy ludzie, którzy przyjmą to całym sercem!

13. Droga która jest drogą świętą

Drodzy przyjaciele! Chcę teraz przeczytać cały rozdział z Pisma Świętego i mam nadzieję, że nie będziecie przy tym się nudzić. I tak, Księga proroka Izajasa, 35 rozdział:

„Niech się rozweseli pustynia i spieczona ziemia; niech się rozraduje i zakwitnie step! Niech jak złotogłów bujnie zakwitnie i weseli się, niech się raduje i wydaje radosne okrzyki! Chwała Libanu będzie mu dana, świetność Karmelu i Saronu; ujrzą one chwałę Pana, wspaniałość naszego Boga. Wzmocnijcie opadłe ręce i zasilcie omdlałe kolana! Mówcie do zaniepokojonych w sercu: Bądźcie mocni, nie bójcie się! Oto wasz Bóg! Nadchodzi pomsta, odплата Boża! Sam On przychodzi i wybawi was! Wtedy otworzą się oczy ślepych, otworzą się też uszy głuchych. Wtedy chromy będzie skakał jak jeleń i radośnie odezwie się język niemych, gdyż wody wytrysną na pustyni i potoki na stepie. Rozpalona ziemia piaszczysta zmieni się w staw, a teren bezwodny w ruczaje; w legowisku szakali będzie miejsce na trzcinę i sitowie. I będzie tam droga bita, nazwana Drogą Świętą. Nie będzie nią chodził nieczysty; będzie ona tylko dla jego pielgrzymów. Nawet głupi na niej nie zbłądzi. Nie będzie tam lwa i zwierz drapieżny nie będzie po niej chodził, tam się go nie spotka. Lecz pójdą nią wybawieni. I wrócą odkupieni przez Pana, a pójdą na Syjon z radosnym śpiewem. Wieczna radość owionie ich głowę, dostąpią wesela i radości, a troska i wzdychanie znikną”.

To miejsce opisuje chwalebny stan ludu Bożego i opowiada nam o tym, jak cudownie będzie kiedyś w Izraelu, kiedy Bóg przeobrazi tam pustynię w ogród. Wtedy wybawieni przez Pana, powróciwszy, z triumfem i radością przyjdą na Syjon.

Lecz to Słowo ma dla nas nie tylko takie znaczenie, gdyż jeżeli Pan o czymś mówi, to zawsze, bez wyjątku, ma na uwadze przede wszystkim rzecz duchową. Weźmy, na przykład, zagadnienie uzdrowienia. Mówiąc o niewidomych lub głuchych, nie myślcie w pierwszej kolejności o oczach cielesnych, uszach cielesnych lub ustach. Ciało jest ciałem, które kiedyś zostanie zjedzone przez robaki, pomimo, że było świątynią Ducha Świętego.

Ważne jest, żeby wszystko w naszym rozumieniu było w prawidłowym porządku. Tysiąc razy lepiej być Łazarzem, chorym od głów do stóp, lecz zdrowym duchowo, niż mieć dobre zdrowie, ale być kaleką duchowym. Dziesięć tysięcy razy lepiej być niewidomym cielesnie, mając przy tym otwarte oczy duchowe, niż mieć doskonały wzrok, lecz całe życie pozostawać ślepy duchowo.

Pewnego razu do nas na stację misyjną przyszedł niewidomy mężczyzna. Jeden z pracowników przyszedł do mnie i powiedział:

— Erlo, on chce widzieć osobiście ciebie.

— Teraz jestem bardzo zajęty — odpowiedziałem. — Proszę, ty z nim porozmawiaj. — Jednak znów wrócił on do mnie ze słowami:

— Nie, ten niewidomy chce mówić właśnie z tobą.

— Powiedz mu, — znowu poprosiłem — że mam teraz wiele spraw i nie mogę spotkać się z nim w tej chwili. Niech spokojnie powie ci wszystko, co leży

mu na sercu.

Lecz niewidomy nie słuchał. Przecież są tacy ludzie, którzy po prostu nie chcą słuchać i nie ma pożytku z tego, jeśli im cokolwiek się mówi. — No cóż, — zdecydowałem — co za sens, jeżeli ja będę taki sam. Uniżę się. Nie zaszkodzi mi to. — (Oczywiście, dla niektórych ludzi jest bardzo ciężko to zrobić. Oni szybciej złamią się niż ugna. Tak uparci mogą być ludzie w tym świecie).

Tak więc, zostawiwszy wszystko, przyszedłem do tego niewidomego człowieka i zapytałem go, czego chce.

— Widzicie, jestem ślepy. Pomódlcie się o mnie, żebym przejrzał.

— Co za żarty! — zdziwiłem się. — W ogóle nie będę tego robił. W odpowiedzi na to okropnie się oburzył. — Czy pan nie jest

Erlo Stegen? — w złości zapytał mnie.

— Tak, to ja.

— Tam, skąd przyszedłem, mieszka trzech ślepych, którzy przejrżeli po tym, gdy pan o nich pomodlił się. To dlaczego pan nie chce pomodlić się o mnie?

— Po prostu nie mogę tego zrobić — wykrzyknąłem. — Nie mogę, gdybym nawet chciał. Przecież związałeś mi ręce i nogi!

— Jak to? — zdumiał się niewidomy.

— Wszystko zaczyna się od rzeczy duchowych — wyjaśniłem. — W Liście Jakuba 5:16 jest napisane: „Wyznawajcie tedy grzechy jedni drugim i módlcie się jedni za drugich, abyście byli uzdrowieni”.

Zwróćcie uwagę, przyjaciele, jak Biblia uczy nas postępować w takich przypadkach. Najpierw musimy przyznać się i upamiętać w grzechach i dopiero po tym modlić się, żeby otrzymać uzdrowienie. U nas zaś niestety zdarza się odwrotnie. Zapominamy o pierwszej części tego pouczenia i zaczynamy od razu od modlitwy, która najczęściej nie przynosi rezultatu.

Ja w ogóle nie chcę tracić czasu na modlitwę, która nie zostanie wysłuchana przez Boga. Dlatego, jeśli człowiek przychodzi do mnie z prośbą o modlitwę, żeby zostać uzdrowionym, ja najpierw pytam się go: „Powiedz, jak wygląda sprawa w twoim życiu duchowym? Czy oczyściłeś je i doprowadziłeś w nim wszystko do porządku?”. Jeżeli on odpowiada mi przecząco, to proponuję mu, żeby najpierw zrobił to i później znowu przyszedł do mnie.

Przyjaciele moi, najważniejsze powinno pozostawać najważniejszym. Najpierw *rzeczy duchowe*, później — *cielesne*. Nie ma żadnego sensu modlić się o uzdrowienie człowieka, którego serce sparaliżowane jest trądem grzechu. Uwierzyć, że najcięższy rak nie jest tak niebezpieczny, jak najmniejszy grzech, gdyż rak zabija tylko ciało, a grzech gubi duszę na wieki wieków.

Nie mogę zrozumieć tych ludzi, którzy mówią, że mają dar uzdrawiania i modlą się o chorych, niepokojąc się przy tym o ich choroby duchowe. A przecież mamy ich więcej niż wystarczająco! Gorycz, nienawiść, zawiść, przekleństwa, gniew, myśli nieczyste, chciwość, zachłanność — to daleko niepełna lista tego, co bywa w sercu chrześcijanina i co pochodzi prosto z piekła. I z takimi rzeczami pojawiajemy się przed świętym obliczem Bożym, pocieszając siebie myślą, że trafimy do raju. Lecz powiedzcie, jak coś takiego będzie możliwe, jeśli Słowo

Boże wyraźnie mówi nam, że nic nieczystego nie wejdzie do Królestwa Niebieskiego? Wielu przekonanych jest, że są na drodze do nieba, lecz jak uda się im tam wejść — tego nie wiem. Jeżeli Pan wpuści ich do raju, to niebiańscy mieszkańcy zostaną skalani i staną się piekłem.

— Ach! — prawdopodobnie powiedzą na to niektórzy. — Wszyscy grzeszymy i każdy jest nieczysty. — Tak, tak jest. Lecz przecież po to został postawiony w tym świecie krzyż Jezusa Chrystusa, z którego wytryska źródło, zdolne obmywać i oczyszczać nasze grzechy, czyniąc nas bielszymi od śniegu! Dzieje się to przez moc zmartwychwstania Jezusa i dlatego, jak On przebywa w nowym życiu, tak i my powinniśmy odnowić się. Stare przeminęło! Przez moc Chrystusa, moc Jego krzyża i Jego wniebowstąpienia możemy teraz, pokonując grzech, iść do przodu od zwycięstwa do zwycięstwa.

Tak więc, zaprosiwszy niewidomego człowieka do siebie, zapytałem go:

— Powiedz mi, czy widziałeś już Boga?

— Nie — odpowiedział — przecież Boga nie można widzieć.

— Czy widziałeś Jezusa, wiszącego na krzyżu? Czy rozumiesz, że jest to i twoja wina?

— Nie! — roześmiał się Zulus. — Przecież to nie my, czarni, ale wy, biali, ukrzyżowaliście Go!

— Czy rozumiesz, że Bóg jest Bogiem świętym? Czy poznałeś Jego świętość?

— Nie...

— Czy myślałeś o tym, że i za ciebie został ukrzyżowany Jezus? Że za twoje grzechy został On przybity do krzyża?

W miarę tego, jak niewidomy wsłuchiwał się w te słowa, jego oczy duchowe nagle otworzyły się i wykrzyknął: — O! Teraz chyba zrozumiałem, co pan chce mi przez to powiedzieć. — I z tymi słowami, zanim zdażyłem jeszcze cokolwiek powiedzieć, otworzył swoje serce i wyznał swoje grzechy, zaczynając od dzieciństwa. Nie przestając, ujawniał jeden swój grzech za drugim, powtarzając często przy tym: — O, Boże! Jakim jestem okropnym grzesznikiem!

I wiecie, co przy tym się zdarzyło? Właśnie w tym czasie, kiedy ten niewidomy człowiek tak oto wyliczając, wyrzucał z siebie całą swoją nieprawość, nagle poderwał się na nogi i krzyknął: „O, moje oczy otworzyły się! Teraz widzę! Widzę!”.

W taki sposób jego cielesne oczy przejrzały. A przecież nawet nie modliłem się o niego, nie wkładałem na niego swoich rąk. Pan uzdrowił go bez tego wszystkiego w tej chwili, kiedy w upamiętaniu przyszedł do Niego ze swoimi grzechami.

Widzicie, drodzy przyjaciele, co nam potrzebne jest do tego, żeby zostać usłyszonym? Często nawet nie wyobrażamy sobie, jak nasze grzechy mogą oddzielać nas od żywego Boga. O, jakże straszny jest ten rozdzielający mur grzechu! Niektórzy chrześcijanie w Europie mówili mi o tym, jak jest to ciężkie uczucie, gdy modlisz się, lecz modlitwa twoja nie dochodzi do Boga. Przy tym doświadczasz takiego uczucia, jakby nad tobą leżało ciężkie, jak żeliwo, wieko. Kiedy Billy Graham prowadził ewangelizację w zachodniej Europie, jeden z jego

współpracowników powiedział mu później: „Była taka atmosfera, jak gdyby zaraz miało zacząć się przebudzenie, lecz ciągle, jak mocny mur, stała jakaś przeszkoda”.

Jak myślicie, co to za mur i co to za żeliwne wieko? Nic innego, tylko grzech. To nie materialny dobrobyt i nie bogactwo, które oczywiście też mogą stać się grzechem. To jednak nie jest tym, co w pierwszej kolejności oddziela nas od Boga.

Dlatego też u nas w Południowej Afryce ciągle mówimy ludziom o tym, że jeżeli ktoś przychodzi do Boga z jakąś potrzebą, niezależnie od tego, czy ona jest cielesna czy duchowa, to przede wszystkim trzeba zatroszczyć się o to, żeby ta modlitwa została usłyszana. Innymi słowy — trzeba usunąć z drogi wszystko, co może być przeszkodą dla Pana. Jeżeli zbieramy się, żeby się modlić, to niezależnie od tego ilu nas jest, chociażby nawet dwóch, musimy zapytać jeden drugiego, czy nie ma u nas czegoś takiego, co stanie się przeszkodą między nami i Bogiem. I jeśli coś takiego jest, to trzeba najpierw doprowadzić to do porządku i dopiero po tym zaczynać się modlić.

Jeżeli nasze stosunki z Bogiem i naszymi bliźnimi nie są w należyłym stanie, wtedy modlitwa nie ma żadnego sensu. Nie można też twierdzić, że masz bliską społeczność z Bogiem, jeśli przy tym nie masz bliskiej społeczności z twoim bratem lub siostrą. Przecież Biblia zupełnie bezkompromisowo mówi nam, że jeśli ktoś powie, że kocha Boga, jednak nie kocha przy tym swojego brata — ten jest kłamcą. Miłość do bliźniego jest przykazaniem dla nas, a bez wykonania go nie można mieć bliskiej społeczności z Panem. W Ewangelii według Mateusza 25:40 jest napisane: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych moich braci, mnie uczyniliście”. W naszym życiu duchowym działa takie prawo: im bardziej zbliżamy się do Pana, tym bardziej zbliżamy się do naszego bliźniego.

Zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy mówią, że trzeba dążyć do powszechnego pokoju, w którym wszystkie wyznania na ziemi staną się jednym i nastąpi zjednoczenie chrześcijan, muzułmanów, buddystów i tak dalej. Nie, to nie jest ten pokój, o którym Chrystus powiedział kiedyś: „Mój pokój daję wam; nie jak świat daje, Ja wam daję” (Jan 14:27).

Pewnego razu podszedł do mnie pewien młody człowiek i zapytał o to, co myślę o tym „powszechnym pokoju”.

— O! — odpowiedziałem mu krótko. — To wszystko jest diabelskie.

— Jakże to? — zdziwił się. — Przecież to dobrze mieć powszechny pokój!

— Lecz jaka korzyść dla pana z tego powszechnego pokoju, jeśli w pańskim własnym sercu nie będzie pokoju? Proszę doprowadzić do porządku swoje życie! Wyznać grzechy, przychodząc pod krzyż, i dopiero wtedy pan otrzyma pokój. Jeżeli zaś grzech pozostaje w pańskim sercu, to żyje tam diabeł. Taki stan nie może być pokojem, a tylko jego podróbką.

I tak, pierwsze powinno być na pierwszym miejscu. W każdym przypadku najpierw idą rzeczy duchowe, później — cielesne. I nawet jeśli człowiek nie otrzyma uzdrowienia ciała, ale zostanie uzdrowiony duchowo, to pozyskuje pełnowartościowe życie wewnętrzne — życie w obfitości. Przy tym ma on radość, pokój i

miłość w swoim sercu. Tak choroba może stać się dla człowieka błogosławieństwem, zbliżając go do Pana i utrzymując w Jego bliskości. Nie na darmo przecież Słowo Boże mówi nam, że „kto cieleśnie cierpiął, zaniechał grzechu” (1P 4:1).

W przeciwieństwie do tego, jeśli człowiek zostanie uzdrowiony cieleśnie, lecz zostanie duchowo chorym, wtedy grzech, żyjący w jego sercu, otrzymuje możliwość działania i objawia siebie w czynie. Na przykład, były chromy lub sparaliżowany, zacząwszy chodzić normalnie, może pójść na tańce, cudzołożyć i prowadzić wstrętne życie, które doprowadzi go do wiecznej zguby. W ten sposób otrzymane uzdrowienie stanie się dla niego przekleństwem. Oto dlaczego, modląc się o chorych, nie można o tym zapominać. Jeden tylko Pan wie, co jest lepsze dla naszej duszy — zdrowie naszego ciała czy jego choroba; i nie nam, ludziom, określać to, lecz mamy w pokorze przyjąć to, co jest Jego wola.

Jest wiele „uzdrowicieli” i „cudotwórców”, lecz musimy wszystko badać, a szczególnie w tym ostatnim czasie. Nie na próżno apostoł Jan w swoim Liście mówi nam: „Umiłowani, nie każdemu duchowi wierzcie, lecz badajcie duchy, czy są z Boga, gdyż wielu fałszywych proroków wyszło na ten świat. Po tym poznawajcie Ducha Bożego: Wszelki duch, który wyznaje, że Jezus Chrystus przyszedł w ciele, z Boga jest. Wszelki zaś duch, który nie wyznaje, że Jezus Chrystus przyszedł w ciele, nie jest z Boga. Jest to duch antychrysta, o którym słyszeliście, że ma przyjść, i teraz już jest na świecie” (1J 4:1-3).

Drodzy przyjaciele! Te słowa Pisma Świętego mają głębsze znaczenie niż niekiedy sobie wyobrażamy. To nie znaczy, że musimy zapytać opętanego przez złego ducha, czy wierzy on, że Jezus przyszedł w ciele. Oczywiście, są takie demony, które z głupoty odpowiedzą: „Nie, nie wierzę”, jednak naprawdę demony też wierzą w to. W Liście Jakuba 2:19 jest powiedziane, że „demony również wierzą, i drżą”. A zatem co to wszystko znaczy, iż Jezus przyszedł w ciele i że Duch, który to wyznaje, jest Duchem z Boga?

W Liście do Rzymian 8:3 otrzymujemy odpowiedź: „Albowiem czego zakon nie mógł dokonać, w czym on był słaby z powodu ciała, tego dokonał Bóg: przez zesłanie Syna swego w postaci grzesznego ciała, ofiarując je za grzech, potępił grzech w ciele”. W konsekwencji, co dla zakonu było niemożliwe, to uczynił Bóg przez Swego Syna, posyłając Go na świat w postaci ludzkiego ciała.

Zakon, na przykład, mówi: „Nie kradnij, nie cudzołoż, nie kłam, nie bądź pyszny” itd. Jednak sama znajomość tego zakonu nam nie pomaga. Pomimo jego znajomości, grzech króluje nad nami. Dlatego też Bóg zesłał nam Jezusa w ciele, żeby potępił grzech; a co dla zakonu było niemożliwe, to uczynił Syn Boży.

Tak więc, ten Duch, który wyznaje, że Jezus może zbawić nas od naszych grzechów i że grzech będzie potępiony w naszym życiu, jest Duchem z Boga. Jest to Duch, wyznający uzdrowienie i zbawienie od grzechów. Pomyślcie o tym, bo jest to bardzo potrzebne i ważne dla nas. W dzisiejszym czasie szczególnie jest nam potrzebny dar mądrości i rozróżniania, bo jeżeli nie nauczymy się rozróżniać duchów, to zostaniemy zwiedzeni przez fałszywe nauki, które coraz bardziej rozprzestrzeniają się.

Drodzy przyjaciele, ten temat będziemy kontynuować trochę później, a teraz powróćmy do przeczytanego wyżej 35-go rozdziału proroka Izajasza: „Wtedy otworzą się oczy ślepych, otworzą się też uszy głuchych. Wtedy chromy będzie skakał jak jeleń i radośnie odezwie się język niemych, gdyż wody wytrysną na pustyni i potoki na stepie. Rozpalona ziemia piaszczysta zmieni się w staw, a teren bezwodny w ruczaje; w legowisku szakali będzie miejsce na trzcinę i sitowie. I będzie tam droga bita, nazwana Droga Świętą. Nie będzie nią chodził nieczysty; będzie ona tylko dla jego pielgrzymów. Nawet głupi na niej nie zbłądzi...”.

Ten rozdział bardzo dokładnie do najmniejszych szczegółów pokazuje nam to, co się dzieje, gdy zaczyna się przebudzenie duchowe. Przy tym wykonują się w dosłownym sensie słowa: „...rozpalona ziemia piaszczysta zmieni się w staw, a teren bezwodny w ruczaje”. Tam, gdzie kiedyś było sucho i pusto, Pan zsyła obfity deszcz Swoich duchowych i ziemskich błogosławieństw.

Na potwierdzenie tego chcę możliwie krótko opowiedzieć wam o tym, jak ten rozdział w dosłownym znaczeniu jego słów wykonał się w pewnym miejscu Południowej Afryki. Mówię „w pewnym miejscu”, gdyż w naszym kraju jest teraz wiele miejsc, gdzie wyraźnie widać wypełnienie się tych słów.

Tak więc, w pewnym rejonie, nazywanym Tugela Fery, było bardzo sucho. Była to sucha, pustynna miejscowość, gdzie padało bardzo mało deszczów, a duchowo wyglądało jeszcze gorzej. Przez sto lat misjonarze próbowali głosić tam dobrą nowinę, lecz to nie udawało się im, gdyż ludzie nic nie chcieli słyszeć ani wiedzieć o ewangelii. Tak było do tej pory, póki Pan w Swojej wielkiej łasce nie zesłał tam przebudzenia. A wtedy setki i tysiące ludzi, nawracając się do Boga, przyszło pod krzyż.

Po tym, gdy zaczęły tam wytryskać wielkie strumienie duchowe, Pan otworzył nad nimi także Swoje niebo, toteż teraz padają tam obfite deszcze, a ludzie z radością mówią: „Od tej pory, gdy żywy Bóg zaczął działać wśród nas, otrzymujemy deszcz na naszą ziemię”.

Tak Pan razem z danym błogosławieństwem duchowym zesłał tam też błogosławieństwo ziemskie. Taki jest nasz Bóg. Jego łasce nie ma końca. Uzdrawiając tę ziemię, uzdrowił On też i żyjących na niej. Ludzie, chorzy cieleśnie, nie tylko poznawali swego Zbawiciela i zaczęli wierzyć w Niego, odradzając się duchowo, lecz otrzymywali też i cielesne uzdrowienie: niewidomi zaczęli widzieć, chromi — chodzić, niemi — krzyczeli i śpiewali w wielkiej radości. Co przepowiedział kiedyś prorok, to zaczęło wypełniać się w rzeczywistości.

Teraz opowiem wam szczegółowiej o tym, jak to się stało.

Nagle nastał tam wielki głód słuchania Słowa Bożego i ludzie zaczęli napływać ze wszystkich stron. Zbierali się setkami w miejscu, gdzie była głoszona ewangelia, a po kazaniu wielu z nich pozostawało, żeby oczyścić i doprowadzić do porządku swoje życie. W tym czasie już nikogo nie wzywałem do upamiętania i nawrócenia, lecz Słowo Boże, które stało się żywym i działającym, samo przenikało do serc ludzi, dokonując w nich to, do czego ono jest przeznaczone, aby czynić.

Nie mówiliśmy ludziom o tym, że muszą wyznać osobiście swoje grzechy,

nie uczylśmy tego, jak to robić. Ale Duch Święty sam pobudzał ich do tego, sam kładł im na sercu, co i jak mówić. Podchodząc do nas, ze łzami prosili: „Proszę, dajcie nam możliwość opowiedzieć wszystko. Nie możemy wracać do domu tacy, jacy jesteśmy. Nie odejdziemy stąd, zanim nie oczyścimy przed Bogiem swego życia”. Spędzali wiele godzin w samotności z tym człowiekiem, w obecności którego wyznawali swoje grzechy Bogu, ujawniając nieczystość swego życia i nazywając każdy grzech po imieniu. Jacy byli przygnębieni, czekając całymi godzinami w oczekiwaniu na taką możliwość, lecz jak później po dziecięcemu cieszyli się, gdy mogli w końcu to uczynić! O, jakże przy tym lśniły ich twarze i jak jaśniały szczęściem ich zapłakane oczy! Tak Bóg dokonywał Swoją pracę, przyłączając zbawionych do Kościoła.

Pewnego razu wyznaczono tam trzy wieczorne zgromadzenia — w piątek, sobotę i niedzielę. Chociaż w takich przypadkach zawsze zgromadzenia odbywają się pod gołym niebem, tym razem rozbiliśmy duży namiot, który, jak się okazało, był zbyt mały, żeby pomieścić wszystkich pragnących.

W piątek wieczorem, prowadząc zgromadzenie, zobaczyłem młodą dziewczynę, która leżała na ziemi, wprost przed nami. Wszędzie stali ludzie, tłum cisnął się wokół namiotu, lecz ta dziewczyna leżała, nie ruszając się. Po zgromadzeniu czułem się bardzo zmęczony i zwróciwszy się do współpracowników, poprosiłem o wybaczenie, że muszę odejść, żeby trochę odpocząć. Przy tym prosiłem ich, aby dalej rozmawiali z ludźmi, którzy nieprzerwanym strumieniem szli wyznawać grzechy.

Po paru godzinach pracownicy przyszli do mnie prosząc, żebym poszedł z nimi. Powiedzieli, że przyjęli już kilkaset ludzi, chcących oczyścić swoje życie.

Zwykle podczas takich zgromadzeń mamy do 50 pracowników, którzy zajęci są ludźmi wyznającymi swoje grzechy. Jednak i taka liczba bywa często niewystarczająca, i wtedy zmuszeni są nieprzerwanie przez długie godziny trwać w swojej służbie, spędzając bez odpoczynku całe noce, tak że czerwienieją i łzawią im oczy. Nierzadko zdarza się, że ludzie musieli czekać w kolejce trzy lub nawet pięć dni, zanim udało się im wyznać i osobiście porozmawiać z jakimkolwiek pracownikiem. Nie chcieli oni odchodzić, nawet gdy prosiliśmy ich o to. — Jaki ma pożytek człowiek, — odpowiadali nam słowami Pisma, — jeśli pozyska cały świat, a na duszy szkodę poniesie? Nie, nie możemy odejść stąd do tej pory, zanim nie doprowadzimy swego życia do porządku. Musimy pojednać się z Bogiem.

I tak, będąc wezwany przez moich przyjaciół, przyszedłem w miejsce zgromadzenia, gdzie jeszcze było nie mniej niż dwieście osób, które były chore i potrzebowały pomocy fizycznej. One już oczyściły w wyznaniach swoje życie i chciały teraz, żeby odmówić modlitwę o ich uzdrowienie.

W podobnych przypadkach, kiedy razem jest zebranych wielu chorych cieleśnie, modlimy się z włożeniem rąk tylko na jeden, dwa, najwyżej pięć procent z nich. O pozostałych modlimy się w grupach, składających się z 5, 10, 20, a niekiedy nawet 100 chorych, prosząc przy tym, żeby sam Pan dotknął się każdego z nich. I wtedy odbywa się to bez włożenia naszych rąk. Wielu otrzymuje uzdrowienie podczas słuchania kazania; jeszcze większą liczbę chorych Pan uzdrawia w

tym czasie, gdy doprowadzają do porządku swoje życie. Przy tym dotyka się On nie tylko ich duszy, dając uzdrowienie duchowe, lecz i ich ciała. Odbywa się to bez tego, żeby ktoś miał dar uzdrawiania. Przecież to czyni Pan, który mówi nam: „Ja Pan jestem waszym Lekarzem”, i te słowa pozostają prawdziwymi i w naszym dwudziestym wieku.

W ten wieczór pracownicy powiedzieli mi, że w tym tłumie chorych znajduje się dziesięciu niewidomych, o których proszą mnie, żebym pomodlił się oddzielnie z włożeniem rąk, po czym żebym ogólnie się pomodlił o wszystkich pozostałych.

I wiecie, co wtedy się stało? W ten wieczór Pan przebywał wśród nas w tak wielkiej mocy i potędze, że każdy z tych dziesięciu niewidomych przejrzał, przy czym wielu z nich nawet bez wkładania rąk. Gdy wchodzili do pokoju, żeby się o nich modlić, zaraz otwierały się im oczy i mogli widzieć. Oczywiście, że to mogło stać się z nimi dopiero po tym, gdy przez wyznanie doprowadzili do porządku swoje życie.

Lecz jeszcze bardziej interesujące było następne wydarzenie. W piątek jeden z naszych współpracowników wiół ciężarówką bardzo wielu ludzi, którzy też chcieli być na tych nabożeństwach. Zulusi nie rozumieją, że samochód może być przeciążony. Jeżeli na skrzyni pozostaje tylko troszeczkę miejsca, to i wtedy mówią, że w samochodzie jest jeszcze miejsce. I oto, gdy byli już w drodze, samochód zatrzymała pewna niewidoma czarna kobieta, która stała wprost przy drodze z małą dziewczynką. Wyszedłszy z samochodu, pracownik podszedł do niej i zapytał, czego chce.

— Słyszałam — powiedziała niewidoma — że jedziecie na zgromadzenie, które będzie odbywać się 40 kilometrów stąd. Czy mogę pojechać tam razem z wami?

— Czy mogę pojechać z nią? — prosiła towarzysząca jej dziewczynka, służąca jej za przewodnika.

— Niestety, to niemożliwe — odpowiedział nasz brat. — Samochód i bez tego jest już mocno przepelniony.

Usłyszawszy te słowa, kobieta zaczęła gorzko płakać.

— Uwierzcie mi! — mówił pracownik. — Rzeczywiście nie mam możliwości zabrać was. Jedyne wyjście byłoby takie, że ktoś z będących na samochodzie zgodzi się zejść, ustępując wam swoje miejsce.

Jednak wszyscy znajdujący się na ciężarówce powiedzieli, że nie mogą tego zrobić, gdyż jadą z daleka i ta miejscowość jest im zupełnie nieznaną; prócz tego nie mają tu znajomych, u których mogliby się zatrzymać. Tak że musieli pojechać dalej, zostawiwszy na drodze tę płaczącą niewidomą kobietę.

To wszystko wydarzyło się w piątek po południu, a w sobotę, około północy, Pan w łasce Swojej dotknął się oczu dziesięciu niewidomych, darując im wzrok.

Kiedy zaś w niedzielę po obiedzie wszyscy ci ludzie ciężarówką wracali z powrotem do domu, to przy drodze spotkali tę samą kobietę, która radowała się i cieszyła.

— Przejrzałam! — mówiła im. — Teraz ja też jestem uczennicą Chrystusa!

— Ale jak to z tobą się stało? — pytali ze zdziwieniem.

— W sobotę w nocy moje oczy otworzyły się i zaczęłam widzieć. Kiedy porównali godziny, to okazało się, że było to dokładnie w

tym samym czasie. W tej chwili, gdy Pan dotykał się tych dziesięciu niewidomych, On, użaliwszy się nad tą kobietą, dotknął się i jej oczu, dając jej wzrok. Tak wielki jest nasz Pan! Taka bezgraniczna jest Jego łaska i Jego moc! Nie ma podobnego do Niego!

W ten sobotni wieczór przed nami jak przedtem leżała ta sama dziewczyna. Jak i za pierwszym razem, była całkowicie bez ruchu. Po tym, gdy odmówiliśmy modlitwę nad wszystkimi dwustoma chorymi, pracownicy powiedzieli mi:

— No tak, teraz została tylko ta jedna sparaliżowana dziewczyna. Leży ona w chacie i o nią też trzeba się modlić.

— Co? — zdumiałem się. — Lecz jak będziemy mogli to zrobić? Przecież ona nie jest w stanie nawet mówić!

Ta dziewczyna leżała przez ostatek półtora roku, będąc całkowicie sparaliżowana, od głowy do nóg. Nie mogła otworzyć nawet oczu. Tylko troszeczkę poruszały się jej powieki, a w prawej ręce prawie niezauważalnie poruszał się jeden palec. Był to żywy trup. Rodzice tej dziewczyny próbowali wszystkiego, co było możliwe. Wozili ją do pięciu różnych szpitali i gdy nie mogli jej pomóc lekarze, zaczęli ją nosić od jednego czarownika do drugiego. Jeden z nich nawet smażył żaby i gorące prosto z patelni kładł jej na głowę, tak że zaraz spaliły się jej włosy i skóra na głowie. Jednak i to „końskie leczenie" było bez powodzenia. Wtedy siostra tej dziewczyny, która była nauczycielką, przyniosła ją do nas na nabożeństwo, położywszy na ziemi wprost przed kaznodzieją.

— Mówicie — ze zdziwieniem mówiłem dalej, zwracając się do współpracowników — że musimy o nią się modlić? A czy ona już oczyściła swoje życie?

— Tak, ona to zrobiła — spokojnie odpowiedzieli mi.

— Lecz to jest niemożliwe! — wykrzyknąłem. — Jak wam się to udało? Przecież ona w ogóle nie jest zdolna mówić! W jaki sposób mogła ona ujawnić swoje grzechy?

— Zrobiliśmy to tak — wyjaśnili moi przyjaciele. — Zbliżywszy się do jej ucha, zapytaliśmy: „Czy byłaś kiedykolwiek nieposłuszna swoim rodzicom?"

W Piśmie jest powiedziane: „Czcij ojca swego i matkę swoją, aby długo trwały twoje dni w ziemi" (2M 20:12), i jeśli tego nie robisz, to grzeszysz. Nie jest możliwe, żeby człowiek, który jest posłuszny Bogu, nie był posłuszny swoim rodzicom. Przy czym posłuszeństwo rodzicom powinno być nie tylko do pełnoletności, nie tylko do ukończenia 18 lub 20 lat, lecz przez cały czas, póki oni żyją. Czczyć matkę i ojca swego — to znaczy wypełniać przykazanie Pana, do którego należy obietnica: „Aby ci się dobrze działo, i abys długo żył na ziemi" (Ef 6:3). Dziecko, które nie chce słuchać i szanować swego ojca i matki, jest gorsze od poganina, nawet jeśli nazywa się chrześcijaninem. Ono nie żyje dla chwały Bożej, lecz dla chwały diabła i jego szatańskiego królestwa. Takie dziecko musi upamiętać się i doprowadzić swoje stosunki z rodzicami do porządku, prosząc ich oboje o wybaczenie. Inaczej nie będzie mogło otrzymać błogosławieństwa od Pana.

Oto dlaczego pierwszym pytaniem, skierowanym do tej sparaliżowanej dziewczyny, było właśnie pytanie o posłuszeństwie:

— Czy byłaś już nieposłuszna ojcu lub matce? Być może mówili coś do ciebie, lecz ty nie słuchałaś?

W odpowiedzi na pytanie ta dziewczyna minimalnie poruszyła powiekami oczu i po tym ruchu można było określić „tak” lub „nie”.

— Czy byłaś wcześniej nieposłuszna nauczycielom w szkole? Czy okłamywałaś kogokolwiek?

I znowu ledwo zauważalny ruch powiek — „tak”.

— Czy byłaś już kiedykolwiek razem z chłopcami?

Niestety, dziś to zagadnienie wygląda wielce niepokojąco. Często dziewczyny zawierają związek małżeński, będąc już nieczystymi. Jest to smutny obraz. Czy wiadomo wam, przyjaciele, że poganie kontrolują swoje niezamężne dziewczęta? I jeżeli dziewczyna już nie jest dziewicą, to ją wyganiają. Tak robią ludzie, którym nasi przodkowie głosili ewangelię! A jak teraz wygląda z tym u nas? Nie raz już słyszałem od porządnych dziewcząt, chroniących swoją czystość, że za to jeszcze je wyśmiewają. Powiedzcie, czy nie jest to tragiczne?

Wiecie, jeśli już o tym mówimy, to chcę jeszcze coś powiedzieć na ten temat. Przez minione 23 lata przebudzenia wielokrotnie przekonywaliśmy się o tym, że jeżeli młoda dziewczyna miała w głowie chłopców, a chłopak myślał o dziewczętach, wtedy nie mogli być naczyniami, przydatnymi dla Pana do użycia. Niejednokrotnie też byliśmy świadkami tego, że Bóg używał kogoś z młodych w tak wielkiej mocy, że przez nich pokutowało i nawracało się do Pana setki i tysiące dusz. Jednak, gdy tylko w głowie takiej dziewczyny pojawiały się myśli o chłopcu, Duch Boży od razu przestawał działać. To samo obserwowało się i u młodych chłopców.

Wyjątkiem są tylko te przypadki, kiedy to jest od Boga i kiedy sam Pan przeznaczył ich dla siebie. Lecz wtedy to wszystko odbywa się w pełnej czystości i dziewictwie. Przy tym młodzi ludzie, których związek upatrzył sam Bóg, nie tylko nie całują się, ale nawet nie biorą jedno drugie za rękę. Oni nie przyciskają się jedno do drugiego, nie mają tak zwanej przyjaźni ani miłosnych spotkań. Postępując tak, mówią oni: „W tym dniu, kiedy staniami przed ołtarzem Bożym, ubierzemy białe szaty, które będą rzeczywicie czyste i niesplamione. My nie chcemy okazać się obłudnikami, stojąc brudni w białej ślubnej szacie”. W ten sposób chrześcijanie u nas wstępują w związek małżeński i tylko tak Pan może błogosławić parę małżeńską.

Kiedy poruszyłem ten temat w swoim kazaniu w pewnym zgromadzeniu w Niemczech i wtedy chór młodzieżowy od razu zastrajkował. Oni powiedzieli, że nigdy więcej nie będą śpiewać, jeśli ja będę u nich jeszcze głosił. O, jakże cieszyłem się z tego! Przecież oni nie są pomocą dla mnie jako kaznodziei. Tacy tylko przeszkadzają Słowu Bożemu. Chór także powinien być czysty. Co można zrobić dla Pana z chórem wszeteczników i wszetecznic? Jakiej pracy można dokonać z ludźmi, którzy nie żyją czystym i świętym życiem? Żadnej! To tylko nieczyste zbiegowisko, którego Pan na pewno nie może wykorzystać dla Swojej sprawy.

Skromność, dziewictwo i czystość potrzebne są Panu i w naszym dwudziestym wieku. Wróćmy do biblijnego standardu! Spójrzcie do Pisma i zobaczycie, że kiedy Pan chce powiedzieć nam o tym, jaki czysty i bez skazy powinien być Jego Kościół, stawia za przykład młodą niewiastę — czystą dziewicę. Apostoł Paweł — ten duchowy olbrzym, mąż pełen mądrości i nauki Bożej, zwracając się do nas, chrześcijan, mówi: „Zabiegam bowiem o was z gorliwością Bożą; albowiem zaręczyłem was z jednym mężem, aby stawić przed Chrystusem dziewicę czystą” (2Ko 11:2).

Widzicie, jacy musimy być duchowo. Jak młoda, niezamężna dziewczyna, która jest dziewicą i czysta cieleśnie. Taki jest dla nas standard duchowy i taki jest alfabet naszego duchowego życia.

Nierzadko, zwracając się do żon, mówię im: „Pokażcie mi swoim życiem i swoim stosunkiem do męża, jaki powinien być stosunek nasz, chrześcijan, do Jezusa, gdyż jest napisane: 'Ale jak kościół podlega Chrystusowi, tak i żony mężom swoim we wszystkim' (Ef 5:24). Oczywiście, w naszych nowoczesnych czasach często to wygląda zupełnie inaczej. Żony dwudziestego wieku uważają, że pokora i uległość względem męża jest czymś takim, co ogranicza ich ludzkie prawa i poniża poczucie własnej godności. No cóż, jeżeli tak sądzić, to Biblia nam więcej nie jest potrzebna, skoro mówi głupstwa...

Lecz powiem wam, że prawdziwie wolną i szczęśliwą może być tylko ta kobieta, która ulega swemu mężowi i żyje tak, jak tego uczy Biblia, a nie ta, która przewodzi u siebie w domu. Jeżeli ty, żono, w waszych rodzinnych problemach chcesz „nosić spodnie męża”, to możesz spokojnie oddać mu swoją sukienkę. Niech on ją włoży zamiast ciebie!

Mówiąc tak, wcale nie chcę zdjąć odpowiedzialności z mężów. Mąż powinien być mężem w prawdziwym sensie Słowa Bożego; mężem, który oddaje się swojej żonie tak, jak Jezus oddał Siebie Kościołowi, żeby uświęcić go. Przeczytajcie List do Efezjan 5:25-26. Czyż nie do nas, mężów, odnoszą się te słowa: „Mężowie, miłujcie żony swoje, jak i Chrystus umiłował kościół i wydał zań samego siebie, aby go uświęcić, oczyściwszy go kąpielą wodną przez Słowo”? A jak to wygląda u nas w rzeczywistości? Gdzie są teraz mężowie, którzy uświęcają swoje żony? Gdzie są mężowie, którzy są dla żon dobrym przykładem? Gdzie są ci, którzy życiem swoim pokazują żonie i dzieciom prawdziwe chodzenie przed Bogiem?

Tak... W świecie teraz rzeczywiście jest chaos. Lecz wiedzcie, przyjaciele moi, że zanim wszystko nie znajdzie się na swoich właściwych miejscach, nie będziemy mogli przeżyć przebudzenia. Najpierw wszystko musi zostać doprowadzone do właściwego porządku, żeby to, o czym mówi Pismo, stało się naszą rzeczywistością i życiem.

A teraz znowu wrócę do opowiadania o osiemnastoletniej sparaliżowanej dziewczynie. Współpracownicy powiedzieli mi: „Tak więc, ona już ujawniła swoje grzechy, a Jezus mówi, że jeśli kto wyznaje swoje grzechy i pozostawia je, to On, będąc sprawiedliwym i wiernym w Swoich obietnicach, odpuści mu i oczyści go z wszelkiej nieprawości”.

I czy wierzycie, gdy chrześcijanie zaczęli wszyscy razem modlić się o tę dziewczynę, nieruchomo leżącą na łóżku, moc Boża zstąpiła na nią w takiej potędze, że wszystkie kości w jej ciele trzęsły się i drżały, jak liście na drzewie w porywie silnego wiatru. Została podniesiona z pościeli nie rękami ludzkimi i wstawszy na nogi, pobiegła. Przy tym nie mogła utrzymać równowagi i chwiejąc się, jak trzcina, upadła na lewy bok. Paru ludzi, stojących tam, pochwyciło ją i podniósłszy, znowu postawiło na nogi. Wtedy znów upadła w przeciwną stronę i znowu została podniesiona. Później równowaga wróciła do niej, a ona, chodząc w kółko, cieszyła się i chwaliła Pana.

Stało się to około północy. Nagle, jak na sygnał, wokół nas zebrał się ogromny tłum ludzi. Skąd i jak oni przyszli w tym momencie, nikt nie wie. Jest to niewyjaśnione, lecz podczas przebudzenia bywa tak, jakby samo powietrze było przeniknięte i napełnione obecnością Bożą. Nie fantazjuję, gdyż zupełnie niewierzący ludzie zbierają się w tym miejscu, gdzie działa Pan, a Duch Święty objawia im ich grzechy, tak że oni zaraz, nie odchodząc, pokutują i nawracają się do Boga. Ludzie przy tym tak są owładnięci, że dosłownie ciałem swoim odczuwają obecność Bożą. Kto tego nigdy nie doświadczył, ten prawdopodobnie powie, że to tylko fantazjowanie i wyobraźnia. Niech każdy myśli o tym, co chce. Pomimo to jesteśmy trzeźwi w swoim postępowaniu, a wszystko idzie w Bożym porządku. Jeśli nie wierzycie mi, to przyjdźcie i zobaczcie sami.

W tym tłumie znalazło się trzech całkowicie niewierzących ludzi, którzy pracowali w biurze burmistrza tej miejscowości. Przyszli do nas

i zapytali:

— Gdzie jest ta uzdrowiona dziewczyna? Gdzie Anagretta?

— Oto ona — wskazaliśmy na nią. Wtedy oświadczyli:

— Chcemy być z nią na osobności, bez kaznodziei i pozostałych chrześcijan. Musimy przesłuchać ją samą, żeby nikt inny nie był obecny przy tym.

Ci ludzie nie mogli uwierzyć temu, co się stało. Przecież żyje na ziemi jeszcze dużo takich, którzy podobni są do Tomasza, który powiedział kiedyś: „Zanim nie zobaczę swoimi oczami i nie dotknę swoimi rękami — nie uwierzę”. Tak więc, w czwórki weszli do pokoju. Kiedy po dłuższym czasie znowu wyszli stamtąd, to powiedzieli, zwracając się przy wszystkich do uzdrowionej Anagretty:

— Dziewczyno! Ten Bóg, który cię uzdrowił, naprawdę może wskreszać martwych i umartwiać żywych. Bądź Mu wierna aż do śmierci! — Taki był ich wniosek. (Dziś ta dziewczyna jest zamężna i jest matką dwójki dzieci).

Następnego dnia kilku pracowników poprosiło o pozwolenie pojechania z Anagrettą do jej ojca, który pracował w innym miejscu jako strażnik przy bramie więziennej. I oto pojechali oni tam z nią — całkowicie normalną i zdrową, teraz szczęśliwym i wolnym dzieckiem Bożym.

Podjechawszy pod więzienie, podeszli do drzwi i zastukali. Ojciec Anagretty wyszedł, żeby dowiedzieć się, czego chcą, i w tej chwili zobaczył swoją córkę.

— O! — wykrzyknął. — Czy to twój duch, czy ty sama, Anagretto?

— To ja, tato! — odpowiedziała.

Wtedy rzucił się do niej, zostawiwszy drzwi więzienia otwarte, tak że współ-

pracownicy musieli przypomnieć mu, żeby szybko zamknął je, zanim nie rozbiegną się wszyscy uwięzieni.

— Jak to jest możliwe? — ciągle powtarzał wstrząśnięty ojciec. — Jak to możliwe?

— Jezus odpuścił mi moje grzechy! — lśniąc z radości, odpowiedziała mu córka. — On zbawił moją duszę i uzdrowił moje ciało.

Usłyszawszy te słowa, on, nisko pochyliwszy się, powiedział: — Naprawdę to Bóg żywy! Nie ma innego, podobnego do Niego. —

Tak wywyższało się i wielbiło imię naszego Pana Jezusa Chrystusa, i tak ono dotąd uwielbia się wśród tych ludzi. O, jakże prawdziwie jest napisane, że ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi! Ludzkim umysłem nie można tego ogarnąć. I rzecz nie tylko w tym, że ślepi duchowo przejrzą, niemi duchowo przemówią, a chromi duchowo będą biegać. Te prorockie słowa Izajasza wykonują się w dosłownym znaczeniu, fizycznie, i jesteśmy tego żywymi świadkami.

Jednak przy tym wszystkim najważniejszym ciągle pozostaje to, o czym prorok mówił tak: „I będzie tam droga bita, nazwana Drogą Świętą. Nie będzie nią chodził nieczysty...”.

Dusze, stanąwszy na tej świętej drodze, przeżywają pełne i całkowite nawrócenie, zaczynając żyć absolutnie innym, nowym życiem. Lecz biada temu człowiekowi, który poznawszy kiedyś prawdę, wraca znów z powrotem do grzechu.

Pewnego razu w Tugela Fery upamiętał się stary czarownik. Był on niewidomym, lecz po tym, gdy uwierzył w Pana, jego oczy otworzyły się i przejrzał. Minęło parę miesięcy od jego uzdrowienia, gdy znowu pociągnęło go do starego życia. I oto, postanowiwszy ponownie zająć się swoją szatańską sztuką, poszedł na wysoką górę, żeby zbierać trawy i kopać korzenie, które stosował wcześniej w swoim czarodziejstwie. W tym momencie, kiedy znalazłszy potrzebne korzenie, zaczął wykopywać je — światło w jego oczach zgasło, a on znowu oślepl. Nie mogąc samodzielnie zejść z tej góry, zaczął głośno krzyczeć i wzywać pomocy. Usłyszawszy te krzyki, przyszli ludzie i odprowadzili go do domu. Od tej pory do dzisiejszego dnia pozostaje niewidomym.

Nie na próżno kiedyś, zwracając się do uzdrowionego przez siebie człowieka, Jezus powiedział: „Oto wyzdrowiałeś: już nigdy nie grzesz, by ci się coś gorszego nie stało” (Jan 5:14). Właśnie tak zdarzyło się w tym przypadku. Gdy tylko ten były czarownik wrócił do swego starego życia i zaczął grzeszyć — znowu oślepl.

Inny Zulus, który miał 90 lat, był sparaliżowany i mógł tylko z dużym trudem na kolanach ciągnąć po ziemi swoje ciało. Stało się tak, że ten zatwardziały poganin usłyszał raz zbawienną wieść ewangelii i uwierzył w Jezusa. Pan zmiłował się nad jego duszą i w cudowny sposób uzdrowił jego ciało, tak że po tym mógł zupełnie normalnie chodzić.

Spędziwszy z nami 2 lub 3 dni, wrócił do swojego domu. Kiedy wszedł do swojej chaty, jego dorośli synowie, wstrząśnięci zmianą, która w nim zaszła, wykrzyknęli:

— Ojczy, co z tobą się stało?

— Jezus uzdrowił mnie!

— Jezus? Dobrze, lecz musimy także okazać wdzięczność duchom naszych przodków.

Powiedziawszy to, zaraz zabili krowę, zamierzając złożyć ją w ofierze. Niestety, uzdrowiony ojciec nie sprzeciwił się temu i nie powstrzymał ich. W tym momencie, kiedy to się działo, kiedy płynęła krew ofiarnego zwierzęcia, ten stary człowiek na oczach wszystkich zamienił się w poprzedniego kalekę. A wkrótce potem umarł i tak odszedł do wieczności.

Tak... Wielką prawdę powiedział prorok. Ta droga jest rzeczywiście drogą ŚWIĘTĄ!

Drodzy przyjaciele! Od wielu w Europie już słyszałem: — Ach, Erlo! Tak możesz głosić u siebie w Afryce. Tam jeszcze życie niewinnym życiem. Mów o tym tam, ale nie tu, w Europie! U nas tutaj są sex-shopy i rozpustna telewizja. Tutaj otrzymujemy pornografię i ciągle widzimy obrazy gołych dziewcząt i kobiet, którymi dosłownie napełniony jest otaczający nas świat. Codziennie słyszymy światową muzykę. Po prostu zmuszeni jesteśmy jej słuchać. Już na wylot przepojeni jesteśmy całym tym jadem. Dlatego nie możesz oczekiwać od nas, żebyśmy tutaj, we współczesnej Europie, żyli tak, jak to głosisz. Możesz opowiadać to prymitywnym ludziom, lecz nie nam.

Co powiedzieć na to? Naprawdę, jak kwas zakwasza całe ciasto, tak i niektórzy chrześcijanie zakwaszeni są grzechem. Cóż, utwierdzajcie się w tym dalej! Lecz wiedźcie, że tylko ten Duch, który wyznaje, że Chrystus przyszedł w ciele po to, żeby zwyciężyć grzech, jest Duchem z Boga. Każdy inny duch — to duch pochodzący z piekła. Tak więc badajcie i sprawdźcie sami, jaki jest ten duch, który zamieszkuje w was.

Jezus chce i teraz — we współczesnym, cywilizowanym, wolnym świecie widzieć Kościół, który jest czysty i bez skazy. I kiedy chrześcijanie staną się tacy, wtedy zacznie się przebudzenie duchowe, które jest skutkiem świętego i oczyszczonego życia. Po to, żeby Duch Święty mógł działać tak, jak On chce, musi mieć On dla Siebie wolną drogę do naszego życia. Bez tego jest to niemożliwe. Przecież Duch Boży dlatego też nazywa się Duchem Świętym, bo nie toleruje niczego nieczystego i nieświętego. I kiedy ten Duch otrzyma możliwość działania przez nas, wtedy pojawia się chwała Boża. Dopiero wtedy pustynia zmienia się w kwitnący ogród, wtedy chrześcijaństwo wyjdzie i rozkwitnie, jak narcyz, i wtedy świat pozna, że Pan jest Bogiem i że jest tym samym żywym Bogiem także i w naszym XX wieku.

Świat znajduje się w rękach chrześcijan. Biblia nie na darmo mówi: „I ukorzy się mój lud, który jest nazwany moim imieniem, i będą się modlić, i szukać mojego oblicza, i odwrócą się od swoich złych dróg, to Ja wysłucham z niebios, i odpuszczę ich grzechy i ich ziemię uzdrowię” (2Krn 7:14).

Drodzy moi! Możliwe, że znacie nawet na pamięć ten werset, lecz powiedźcie, myśleliście kiedykolwiek poważnie o nim? Czy rzeczywiście poświęciliście należyłą uwagę tym słowom? Czy zauważyliście ten warunek, który stawia Pan,

chcąc odpuścić nam i uzdrowić naszą ziemię? Przecież Bóg tak wyraźnie mówi tutaj właśnie do nas: „I ukorzy się MÓJ LUD, i będą się modlić, i szukać mojego oblicza, i odwrócić się od swoich złych dróg, TO JA WYSŁUCHAM...”.

Przyjaciele moi! Przebudzenie zaczyna się nie od innych ludzi. Ono zaczyna się od nas i u nas — w Kościele Bożym. I dlatego naszym zadaniem jest przygotowanie drogi Duchowi Świętemu, żeby mógł On zacząć działać. Żaden nieczysty nie wejdzie na tę drogę, która nazywa się DROGĄ ŚWIĘTĄ. I ta droga jest jedyną dla każdego chrześcijanina. Na niej Pan chce nas widzieć. O, jak byłoby cudownie, gdyby Kościół Jezusa Chrystusa dziś już żył tak, żeby widoczna w nim była chwała naszego Zbawiciela!

14. Wielkie zaczyna się od małego

W Ewangelii według Marka 6:32-44 opisana jest interesująca historia o nakarmieniu przez Jezusa pięciu tysięcy. Przeczytajmy ją.

„Odjechali więc w łodzi na ustronne miejsce, na osobność. Ale widziano ich odjeżdżających i poznało ich wielu, i pieszo ze wszystkich miast tam się zbiegli, i wyprzedzili ich. A wyszedłszy, ujrzał mnóstwo ludu i ulitował się nad nimi, że byli jak owce nie mające pasterza, i począł ich uczyć wielu rzeczy. A gdy już była późna godzina, przystąpili do niego uczniowie jego i rzekli: Miejsce jest puste i godzina już późna; odpraw ich, aby poszli do okolicznych osad i wiosek i kupili sobie coś do zjedzenia. A On, odpowiadając, rzekł im: Dajcie wy im jeść. I powiedzieli mu: Czy mamy pójść i kupić chleba za dwieście denarów i dać im jeść? A on rzekł do nich: Ile macie chlebów? Idźcie i zobaczą. A oni, dowiedziawszy się, powiedzieli: Pięć i dwie ryby. I nakazał im posadzić wszystkich grupami na zielonej trawie. Usiedli więc w grupach, po stu i po pięćdziesięciu. A On wziął owe pięć chlebów i dwie ryby, spojrzał w niebo, pobłogosławił, łamał chleby i dawał uczniom, aby kładli przed nimi; i owe dwie ryby rozdzielił między wszystkich. I jedli wszyscy, i nasycili się. I zebrali pełnych dwanaście koszów okruszyn i nieco z ryb. A było tych, którzy jedli chleby, pięć tysięcy mężów”.

Tak więc, znajdując się w pustym miejscu, Jezus głosi i naucza lud. Czas jest późny, a zaniepokojeni tym, że ludzie są głodni, uczniowie podchodzą do Niego z pytaniem, co mają robić. Rozumie się, zamierzali oni wysłać wszystkich do okolicznych wiosek, żeby każdy kupił sobie coś do jedzenia. Jednak w odpowiedzi na to, Jezus mówi do nich: „DAJCIE WY IM JEŚĆ”. W ten sposób Pan daje swoim uczniom zadanie nakarmienia ludu. Właśnie na nich wkłada On tę odpowiedzialność.

Można sobie wyobrazić, w jakiej trudnej sytuacji znaleźli się oni wtedy, usłyszawszy nakaz swojego Nauczyciela. Przecież po to, żeby posłuchać Jezusa, zebrała się ogromna masa ludzi. Jak donosi Pismo, było tam około pięciu tysięcy samych tylko mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci.

I oto uczniowie, policzywszy, ile pieniędzy potrzeba im do tego, żeby nakarmić wszystkich, mówią Jezusowi: „Panie, nie starczy nam nawet 200 denarów do tego, żeby każdy otrzymał chociaż trochę”. Jednak ta wiadomość ani trochę nie zasmuciła ich Nauczyciela, który powiedział im, że nie muszą rozpuszczać ludu, zanim go nie nakarmią.

Drodzy przyjaciele! Te słowa: „DAJCIE WY IM JEŚĆ” brzmią dla uczniów Chrystusowych i dziś. Przecież wiecie, że Biblia mówi nam: „Idźcie na świat i głoscie ewangelię wszystkiemu stworzeniu”. I jeżeli nazywacie siebie dziećmi Bożymi, to także jest to i waszym zadaniem. Czy nie czytaliście, że krwi niewierzących będzie żądać się od nas? Naszym zadaniem jest nieść światu nowinę o zbawieniu, głosząc im o Chrystusie nie tyle słowami naszych ust, ile naszym życiem i naszym chodzeniem. Nasze życie jest dla ludzi tą ewangelią, którą głosimy. Święte życie, a nie „święte słowa” przełamują dusze innych. Właśnie takimi chce widzieć Pan swoich uczniów, którzy powinni stać się Jego żywym świadectwem.

„Ach, nie! To nie dla mnie! To nie na moje siły! Po prostu jestem niezdolny do tego. Dla mnie mimo wszystko nic się nie stanie!” — takie słowa zdarza się słyszeć dzisiaj. Lecz i w tym przypadku Pan żąda od Swoich uczniów czegoś pozornie niemożliwego, mówiąc im: „dajcie wy im jeść”, wtedy, kiedy nic nie mają. Nikt z nich nie miał w tym momencie nawet kawałka chleba. Nikt! Tak trafiła się im sytuacja bez wyjścia. Niektórzy z nich myśleli o tym, dokąd mają pójść, żeby kupić tyle chleba; inni podliczali, ile to będzie ich kosztować. Znana ludzka reakcja, czy nieprawda?

Tak, co też nie przychodzi nam na myśl, jeśli Pan stawia nam zadanie, aby pozyskać dla Niego cały świat! Wtedy myślimy i rozważamy, co nam do tego jest potrzebne. I oto już proponuje się, żeby zacząć modlitwę o przebudzenie, o to, żeby Bóg zaczął działać i żeby ogień zstąpił z nieba, wstrząsając wszystkimi twierdzami szatańskimi.

Tak modlimy się i modlimy, prosząc Pana, żeby On dokonywał wielkich dzieł, żeby setki i tysiące pokutowały, żeby grzeszny świat poznał swojego Zbawiciela i tak dalej. Lecz mijają miesiące i lata, starzejemy się, oto już i głowa nasza posiwiała i być może jedną nogą stoimy w grobie, a przebudzenia ciągle nie ma. Mało tego, sprawy duchowe wyglądają coraz gorzej i gorzej. Pościmy i błagamy, żeby Pan zaczął szybciej działać, i nawet chudniemy przy tym. Kto wie, może byśmy posunęli się dalej w naszych wysiłkach, gdybyśmy przyjmowali pokarm z wdzięcznością i byli zdrowsi cieleśnie. I tak, wszystko na próżno. Pan nie odpowiada na naszą modlitwę. Zapytacie dlaczego?

Rozwiązanie tego problemu dla uczniów Chrystusowych nie polegało na tym, żeby szli oni do pobliskich wiosek i kupowali tam chleb. Pan, kontynuując, mówi do nich: „Dajcie im to, co macie”. Tak, lecz przecież w tym przypadku rzeczywiście nic nie mieli. Co mieli robić?

I oto właśnie w tym momencie, kiedy oni niezdecydowanie patrzyli jeden na drugiego, przychodzi jeden z uczniów, apostoł Andrzej, i zwracając się do Jezusa mówi, że wśród ludu znajduje się pewien chłopiec, który ma pięć małych chlebów jęczmiennych i dwie rybki (Jan 6:9).

Pomyślcie, przyjaciele, tylko pięć małych chlebów i dwie rybki! Przecież to jest bardzo mało! Taką ilością jedzenia mógłby nakarmić się tylko ten mały chłopiec. Prawdopodobnie było to tym, co przygotowała i dała na drogę synowi jego matka. Lecz właśnie z tą małą ilością przyszli do Chrystusa Jego uczniowie. Właśnie z tym, co przyniósł i dał im ten chłopiec.

To dziecko nie było uczniem Chrystusa, nie było teologiem, jak prawdziwi uczniowie Chrystusowi, których, wyrażając się współczesnym językiem, można byłoby tak nazwać. Jednak wtedy, gdy oni nie mieli nic, co można byłoby dać ludziom, ten chłopiec coś miał. I chociaż to, co on miał, było bardzo małe, Jezus posłużył się właśnie tym po to, żeby nakarmić cały ten liczny tłum.

Widzicie, drodzy przyjaciele! Bardzo często popełniamy duży błąd myśląc, że Pan postępuje tak samo, jak my. Jeżeli człowiek coś robi, to zaczyna zawsze od dużego; przy czym od takiego dużego, jak to tylko jest możliwe. Lecz interesujące jest to, że zwykle to duże staje się z jakiegoś powodu coraz mniejszym i

mniejszym, póki nie zniknie całkowicie.

Pan zaś postępuje odwrotnie. Jeśli chce On coś uczynić, to zaczyna zawsze od małego. I wtedy to małe rośnie oraz pomnaża się, zmieniając się w wielkie. W tym też zawiera się różnica między dziełem Bożym i dziełem człowieka.

Oczywiście wierzę, że na sercu wielu chrześcijan leży pragnienie, żeby jeszcze wielu upamiętało się i poznało Pana. Wierzę też, że wielu modli się o przebudzenie duchowe i o wielkie działanie Ducha Bożego. Lecz, prawdę mówiąc, trudno jest mi nawet sobie wyobrazić, jak mogłoby to wyglądać tutaj, u was, gdyby Pan od razu zaczął działać w wielkiej mocy. Nie będziemy wysilać swojej wyobraźni, gdyż Bóg nigdy nie działa tak, jak my tego chcemy i wyobrażamy sobie. On nie zaczyna od wielkiego.

Tak i w tym przypadku sprawa rozpoczęła się od małego chłopca; i jakże jestem wdzięczny Bogu za to, że uczniowie Chrystusowi, zobaczywszy tego chłopca, nie odsunęli go na bok i nie powiedzieli mu: „Ach, co ty zamierzasz dać? Przecież to, co masz, jest tak małe, że po prostu nie ma znaczenia”. Byli oni gotowi wziąć to małe i dlatego otrzymali coś wielkiego.

Tak więc, przyjaciele moi! Jeżeli chcemy służyć Bogu i być naczyniami, przydatnymi i użytecznymi dla Niego, to musimy nauczyć się cenić to, co jest najbardziej nieznaczące. Kto lekceważy małe, ten nie jest godny wielkiego. Jeżeli chcemy, żeby Pan działał przez nas, to trzeba być Mu wiernym w najmniejszym.

Mówię o tym dlatego, że właśnie w tym my, chrześcijanie, popełniamy wielki błąd i tracimy swoje błogosławieństwa. Modlimy się i prosimy Pana, żeby wziął on jakąś sprawę w Swoje ręce, oczekując, że będzie On działał tak, jak to sobie wyobrażamy. Przy tym zapominamy

o Słowie Bożym, które mówi nam, że drogi Jego nie są naszymi drogami, a myśli Jego nie są naszymi myślami. Oto dlaczego tak ważne jest dla nas, żeby mieć mądrość w tym zagadnieniu.

Myślę, że rozumiecie teraz, dlaczego u siebie w Południowej Afryce mówimy wszystkim o tym, iż każdy chrześcijanin musi być żywym chrześcijaninem, z wnętrza którego wytryskują rzeki wód żywych. Każdy bez wyjątku może i powinien być takim, niezależnie od tego, czy jest dorosłym czy zupełnie małym. Każdy powinien przynieść Panu to, co ma.

Możemy tylko dziwić się czynowi tego chłopca. Przecież mógł powiedzieć wtedy: „Nie, nie! Nie mogę oddać swojego jedzenia. To jest dla mnie. Ja nie chcę głodować”. Lecz nie, ten chłopiec gotów był oddać innym wszystko, co miał, a przez to nasycił się nie tylko on sam, lecz jeszcze i ponad pięć tysięcy ludzi. Tak z małego powstał wielki cud Boży.

Spójrzmy teraz na postępowanie Pana Jezusa. Wziąwszy od chłopca jego małe chleby i dwie rybki, uniósł oczy Swoje ku niebu i podziękował za to Bogu.

O, jakże wielu chrześcijan grzeszy przez to, że zamiast dziękować Bogu za to małe, co już mają, oni narzekają i żalą się, mówiąc: „Ach, to takie mizerne, takie małe!”. Przyjaciele moi! To wielki grzech. Musimy dziękować Bogu za najmniejsze i nawet w najmizerniejszym być Mu wierni!

Istnieje pewna mała historia z życia ludzi tego świata, która opowiada o

tym, jak pewien chłopiec poszedł bawić się do parku ze swoją koleżanką. Przyszedszy tam, usiadł na ławce i przemówił, zwracając się do niej: „O, gdybym miał tysiąc rąk, żeby objąć ciebie!”. Wtedy ta głupia dziewczyna powiedziała mu na to: „Dlaczego nie wykorzystasz tych dwóch rąk, które masz?”.

Oczywiście, będąc chrześcijanami, nie robimy tego. Tak postępuje świat. Lecz zgodzicie się, że ta dziewczyna swoją odpowiedzią rozjaśniła jedną prawdę duchową. „O, gdybym sześcioma tysiącami ust mógł Ciebie, Panie, chwalić...” — śpiewamy w pewnej pieśni duchowej. Lecz tych jednych ust, które mamy, nie używamy.

Jakże często można słyszeć: „O, gdybym mógł głosić! O, gdybym miał dar uzdrawiania! O, gdybym miał moc, czego bym wtedy nie robił!”. Znam pewną kobietę, która lubiła powtarzać: „O, gdybym była mężczyzną! Wtedy byście coś przeżyli!”. Jednak ona nie wykorzystywała ani tego, co miała.

Jakimi możemy być głupimi! Na pewno nie ma ludzi bardziej nierozumnych niż my, chrześcijanie. Nie na darmo przecież Słowo Boże mówi, że synowie tego świata są rozumniejsi niż synowie Królestwa Bożego. I niestety tak jest. Często są oni rzeczywiście o wiele rozumniejsi niż my.

Czego to nie podejmują się dzieci księcia świata tego, żeby przyciągnąć dusze ludzkie! One nie patrzą na przeszkody i nie zatrzymują się przed trudnościami, żeby osiągnąć swój cel. Starcza im odwagi, żeby wejść nawet do zgromadzenia dzieci Bożych, aby i tam prowadzić swoją niszczącą pracę. Tak służą oni swojemu królowi. A co robimy dla Pana my, chrześcijanie? Ten świat powinien leżeć u nóg Jezusa! A czym jesteśmy zajęci? Czym? Unikamy trudności. Jest nam zbyt ciężko. Pokuszenia są dla nas zbyt wielkie i chcemy uciec tam, gdzie nie ma diabła. Ale przecież nie ma takiego miejsca, gdzie go nie ma!

W Starym Testamencie czytamy o jednym starym człowieku, o którym na pewno wiecie. Miał on 85 lat i kiedy dzielono ziemię obiecaną wśród dwunastu pokoleń, prosił on o najcięższy dział — o górę, gdzie mieszkali ludzie-olbrzymy. Nie przstraszyły go słowa wysłanych tam zwiadowców, którzy mówili: „Jesteśmy jak mrówki w porównaniu z nimi”. Ten osiemdziesięcioletni chciał właśnie ten teren, przekonany, że i tam Pan będzie z nim i da mu zwycięstwo (Joz 14). O, jakże inaczej wygląda to z nami! My, którzy powinniśmy być duchowymi mężami, w samej rzeczy upodabniamy się do słabych kobiet.

I tak, Pan mówi do Swoich uczniów: — Dajcie wy im jeść. — A oni nie mają chleba. — To poszukajcie wśród was! — mówi dalej Pan. — Czy rzeczywiście nic nie ma? — I oto, poszukawszy, uczniowie znaleźli tego chłopca z tym, co miał, i przynieśli to Jezusowi. Kiedy pytali się Pana, czy nie odprawić ich wszystkich do wiosek, żeby każdy zatroszczył się o siebie lub czy nie wziąć pieniędzy, żeby kupić jedzenie dla wszystkich, On odpowiedział im na to: „Nie, Ja chcę to, co macie. Szukajcie tego, co wśród was już jest i wykorzystajcie to”.

Uważniej wniknijmy w te słowa. Przecież jesteśmy tak skłonni nie widzieć tego, co już mamy, i szukamy czegoś większego. Jednak Pan tak nie działa. Jeśli On cokolwiek nam daje, to chce, żeby to zostało wykorzystane. Nie możemy powtarzać błędu, który popełnił pewien człowiek, który w konsekwencji został na-

zwany złym i leniwym sługą. Oczywiście pamiętacie tę przypowieść, którą opowiadał kiedyś Jezus. Mówi się w niej o tym, że jeden sługa dostał od swego pana pięć talentów, drugi — dwa, a trzeci — tylko jeden. Pierwszy i drugi wykorzystali to, co otrzymali, a ten, który miał tylko jeden talent, poszedł i zakopał go. Kiedy zaś pan, wróciwszy, dowiedział się o tym, to osądził go i zabrał mu nawet ten jedyny talent, powiedziawszy: „Każdemu bowiem, kto ma, będzie dane i obfitować będzie, a temu, kto nie ma, zostanie zabrane i to, co ma” (Mat 25:29).

Widzicie, drodzy przyjaciele, jak niebezpiecznie jest lekceważyć małe i nie puszczać w obieg. To samo może się stać i z nami. Bóg może zabrać i to małe, które już mamy, dlatego używajcie tego i bądźcie wdzięczni za to. Nie szukajcie dużego, lecz proście Pana o łaskę, żebyście zostali znalezieni jako wierni w tym, co zostało wam dane.

Przed rozpoczęciem przebudzenia, kiedy Bóg zaczął pracować nade mną, zaczął On właśnie od tego, co w moich oczach było nic nieznaczące. Do tego czasu kierowałem dużymi zgromadzeniami starając się, żeby było jak najwięcej ludzi. Drukując setki zaproszeń, rozdawałem je ludziom, a kiedy oni przychodzili, przekonywałem do przyjęcia Jezusa i oddania siebie w Jego ręce. Gdy zaś na początku przebudzenia Duch Święty zaczął działać, to w pierwszej kolejności wskazał mi na te grzechy w moim życiu, które według ówczesnych moich pojęć były drobnostkami i na które nie chciałem zwracać szczególnej uwagi. Jednak te „drobnostki” były tymi małymi liskami (jak nazywa je Słowo Boże), które psuły moją winnicę.

Pan powiedział mi wtedy: „Erlo, jaki pożytek z tego, że głosisz innym, jeżeli twoje własne życie nie jest w porządku? Przecież twój własny stosunek do najmniejszego z tych, którzy wierzą we Mnie, jest daleko nie taki, jaki powinien być według Pisma”.

Było to dla mnie równoznaczne z uderzeniem obuchem. — Ach, — rozważałem — co mi do najmniejszego? Wielcy ludzie, przywódcy, królowie — to tak! Co zaś dotyczy najmniejszego, głupiego, nic nie znaczącego, to co mam do niego? — Lecz Pan patrzy na to inaczej. Dał On mi jasno do zrozumienia, że nawet w najmniejszym musimy być wierni.

Słowo Boże mówi nam, że człowiek, który nie jest zdolny kierować swoim domem, nie może kierować społecznością. Jeżeli nie może żyć dobrze ze swoją żoną i swoimi dziećmi, to jak będzie kierował innymi? Ku wielkiemu smutkowi, nie patrząc na to proste wskazanie Biblii, my, chrześcijanie, dopuszczamy to; przy czym wcale nie rzadko. Tak że w tej kwestii Pismo już nie ma dla nas żadnego znaczenia. To, jak wyglądają sprawy u nas, w naszym własnym domu i w naszej rodzinie — to są dla nas drobnostki, nie mające odniesienia do naszej pracy duchowej. I lekceważąc te tak zwane „drobnostki”, stajemy na mównicy i mówimy innym interesujące kazanie, nie zauważając przy tym, że właśnie wtedy tracimy swoje błogosławieństwo.

Poucządzając lud, Jezus szedł tak daleko, że zupełnie wprost i niedwuznacznie mówił: „Jeżeli więc w niesprawiedliwej mamonie nie byliście wierni, któż wam powierzy prawdziwą wartość?” (Łuk 16:11). Tak więc, jeśli w kwestii z pieniędzmi,

w finansowych sprawach nie byliście wierni, to Ojciec Niebieski nie może błogosławić was i w duchowych sprawach. Tak więc widzicie, gdzie wszystko się zaczyna.

To samo dotyczy też naszej pracy ziemskiej. Jeżeli w niej nie jesteśmy wierni i uczciwi, wtedy Pan nie może powierzyć nam pracy na Swojej niwie, w Jego winnicy.

Możliwe, że ktoś powie: „Ach, co wspólnego ma to wszystko ze sprawami duchowymi i moją służbą w zborze? Przecież całkiem dobrze radzę sobie z tym, co mi powierzono. Mogę dobrze głosić, śpiewać i świadczyć ludziom o Bogu, i wcale nie wątpię w to, że jestem zbawionym. Czy przy tym ma aż takie znaczenie to, że u siebie w pracy trochę nie byłem w czymś wierny? No i co, jeżeli w kwestii pieniędzy też coś nie jest w porządku? Pomyśl! Czy to dla Boga jest najważniejsze?”.

Drodzy przyjaciele! Możemy rozumieć i interpretować jak chcemy. Wiedzcie tylko, że Bóg w niebie mówi na to jedno: „Byłeś niewierny i dlatego Ja nie mogę ci błogosławić”.

Jeżeli ty, żono, żyjąc ze swoim mężem, postępujesz nie tak, jak uczy tego Biblia, wtedy ty też nie jesteś wierna mężowi i Bogu. Weź do rąk Słowo Boże i przeczytaj uważnie, co mówi Bóg o żonie i o tym, jaki powinien być jej stosunek do męża. Nie można usprawiedliwiać siebie tym, że te czasy dawno minęły i że żyjemy w XX wieku. Przecież wiesz, że Biblia napisana została raz i na zawsze, i że jej słowa są prawdziwe i dziś. Sprawdź sama siebie i powiedz przed Bogiem, czy jesteś taką żoną, jaką powinnaś być według Pisma. Czy twoje życie i zachowanie w domu zgodne jest z tym, co przeczytałaś? Jeśli nie, to nie ma żadnego sensu, żebyś modliła się o sprawę Bożą, gdyż sama jesteś przeszkodą dla działania Ducha Świętego.

I ty, mężu, sprawdź jeszcze raz swój stosunek do twojej żony. Czy kochasz ją tak, jak tego uczy Biblia? Czy kochasz ją, jak swoje ciało? Czy okazujesz jej cześć jako współdziedzicze błogosławionego życia? Czy bierzesz pod uwagę, że ona słabsza jest od ciebie według ciała i dlatego potrzebuje twojej pomocy? Czy żyjesz tak, żeby jej uległość tobie była dla niej radością? Czy jesteś cierpliwy w stosunku do niej, jak i Chrystus w stosunku do Swojego Kościoła, czy też jesteś surowy, grubiański i wymagający? Jeżeli twój stosunek do żony nie jest zgodny ze Słowem Bożym, to modlitwy twoje nie mogą być słyszane z powodu przeszkody, którą sam postawiłeś.

Rodzice! Czy wychowujecie swoje dzieci w bojaźni Bożej? Czy widzą one w was światłość? Czy takie jest wasze życie, żeby one chciały naśladować was?

Dzieci! Czy jesteście radością i pociechą dla waszych rodziców? Czy wasze posłuszeństwo może służyć im za przykład, jakim powinno być ich posłuszeństwo Bogu?

Nie mów, przyjacielu, że nie możesz być takim, jakim powinieneś być według Słowa, gdyż twój mąż i twoja żona, twoje dzieci lub rodzice żyją niegodnie! Pan pyta się dziś osobiście ciebie, czy jesteś na właściwym miejscu. Chce On zacząć właśnie od ciebie i przez twoje zmienione życie mówić do dusz innych.

Drodzy przyjaciele! Na pewno wielu z was chciałoby przeżyć szczególne błogosławieństwo i spotkanie z Panem. Lecz powiedzcie, jak to sobie wyobrażacie?

Mówiąc o tym, przypomnijmy sobie o jednym przykładzie, pozostawionym nam w Piśmie. Kiedy prorok Eliasz znajdował się w pieczarze, Bóg, zwróciwszy się do niego, powiedział: „Eliaszu, wyjdź i wejdź na górę, a tam ujrzysz Mnie”. Gdy Eliasz uczynił to, wtedy Pan mu się objawił. Ale jak? W jakiej postaci?

Najpierw pojawiła się moc w postaci potężnego wichru, tak że zatrzęsły się góry i poruszyły skały. Wielkie zjawisko, czyż nieprawda? Gdyby dziś coś takiego się zdarzyło, to po paru godzinach cały świat dowiedziałby się o tym i chrześcijanie najszybciej powiedzieliby, że to niewątpliwie jest okazanie się mocy Bożej. Góry kołyszą się i ruszają, a wszystko zmieniło się w proch i popiół! Tylko Pismo Święte mówi nam o tym coś innego, — że w tym potężnym wichrze nie było Pana. Później nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi, lecz i w tym nie było Pana. W ślad za trzęsieniem ziemi zstąpił z nieba ogień, jednak i w nim nie było Boga. Był to obcy ogień. I chociaż palił się i płonął, Boga nie było w nim. Dopiero potem, gdy to wszystko minęło, nastąpił powiew delikatnego wiatru i wtedy prorok zakrył swoją twarz (1Kr 19).

Drodzy przyjaciele, czy zrozumieliście tę lekcję? Oczekujemy wielkich spraw, oczekujemy i szukamy czegoś wielkiego i nawet nie zauważamy przy tym, że przechodzimy obok delikatnego powiewu, w którym objawia Siebie Władca całego wszechświata. Jakże często w sercu swoim jesteśmy nieposłuszni Duchowi Bożemu! O, jakże nieposłuszni! Jakże często śpieszymy się mówić innym o Duchu Świętym, gdy w tym czasie w nas samych nie widać owoców tego Ducha! Jak natarczywi możemy być, żądając od Pana tego wielkiego, czego chcemy, upodabniając się w tym do syna marnotrawnego, który powiedział kiedyś: „Daj mi, ojcze, należąca do mnie część twego majątku! Daj mi moje! Mam do tego prawo i chcę teraz to otrzymać. Daj mi! Daj!”. Ojciec nie spierał się z nim i dał mu to, o co prosił, lecz co się stało później?

Czy nie tak zdarza się i z nami? Natarczywie prosimy o coś naszego Ojca Niebieskiego, a kiedy otrzymujemy, często nie wiemy, co z tym robić dalej. Mijają lata i tracimy, ubożjemy... I może nawet zdarzyć się, że my, otrzymawszy kiedyś dużo, duchowo znajdziemy się przy korycie z otrębami dla świń. Tak, wiele może zdarzyć się z nami, jeśli nie troszczymy się o czystość naszego serca i naszego życia. W takim nieczystym stanie człowiek może otrzymać odpowiedź z piekła, gdyż diabeł rozпали swój obcy ogień na jego języku i w jego sercu; ogień, w którym nie będzie Boga.

Tak więc, drodzy moi! Jak to wygląda u was? Jeżeli chcemy przebudzenia, jeżeli chcemy przeżyć coś wielkiego, to uzbrójmy się w myśl, że ono zaczyna się od małego. Jeśli jesteś mężem i ojcem, to musisz doprowadzić do porządku swoje stosunki z żoną i dziećmi, i stać się prawdziwym, dobrym mężem i ojcem. Jeśli pracujesz, to okaż tam wierność i pokaż siebie jako prawdziwego chrześcijanina.

Zamknijmy nasze usta, gdyż zbyt dużo już mówiliśmy, przez co narobiliśmy niemało nieczystości! Nastął czas, żeby nie słowa, ale życie nasze stało się świa-

dectwem i kazaniem dla innych.

Jak już mówiłem, u nas w Południowej Afryce stało się zwykłym zjawiskiem i najłatwiejszym sposobem, gdy niewierzący mąż jest pokonywany i pozyskiwany dla Pana przez swoją wierzącą żonę, niewierzący rodzice — przez ich dzieci, które się upamiętały, sąsiedzi — przez swoich wierzących sąsiadów. Przy tym chrześcijanie nie mówią dużo, jak to było w jednym z takich przypadków.

Ojciec pewnego czarnego chłopca, zwracając się do swoich dzieci, powiedział raz: „Jeżeli ktokolwiek z was zostanie chrześcijaninem, to ja własnoręcznie przebiję włócznią jego serce”. A jeśli mężczyzna Zulus coś powiedział, to można być pewnym, że wykona swoje słowo, pomimo tego, jak dziwnym byłby ten czyn.

I oto stało się tak, że jeden z jego synów upamiętał się i nawrócił do Pana. Oczywiście po tym nie poszedł on do swojego ojca, żeby oświadczyć mu, że stał się chrześcijaninem. Nie, zrobił inaczej. Przyszedł do ojca i powiedział mu: „Ojczy, grzeszyłem przeciwko tobie. Byłem ci nieposłuszny. Jesteś moim ojcem, a ja jako syn powinienem szanować ciebie i żyć w uległości”.

Jego ojciec był, można tak powiedzieć, kapłanem u demonów i złych duchów. Jego zadaniem było wychwalanie w swoich pieśniach wszystkich mocy nieczystych i robił to w imieniu całego ich plemienia.

I oto, gdy jego syn przyszedł w pokucie do niego, prosząc o wybaczenie wszystkiego, co było złe w jego synowskim stosunku do niego, był tak wstrząśnięty, że zaczął w wielkiej radości dziękować duchom zmarłych za to, że tak zmieniły jego syna. W tym czasie nawet nie przypuszczał, jaki Duch w rzeczywistości dokonał tej cudownej przemiany. Zmienione życie tego młodzieńca było taką światłością dla całej rodziny, że wszystkie pozostałe dzieci też upamiętały się, a później wkrótce uwierzył w Pana i sam ojciec.

Jego dom wcześniej był pełen różnych przedmiotów do czarów, co było celem jego życia. Wykorzystując spirytyzm i czarodziejstwo, mógł przepowiadać ludziom przyszłość. Po jego upamiętaniu wszystkie te nieczyste rzeczy zostały przyniesione przez niego na stację misyjną i publicznie oddane ogniovi. W konsekwencji, on sam i wszystkie jego dzieci zostali pracownikami i kaznodziejami ewangelii. Byli oni pierwszymi chrześcijanami w ich plemieniu, w którym królowała ciemność. Lecz ich życie, które stało się prawdziwie światłością, mówiło bez słów, pokonując i pozyskując dla Pana inne dusze.

Czytając Biblię, nierzadko spotykamy w niej opis takich przypadków, gdy Jezus, zwracając się do uzdrowionych przez Niego ludzi, mówił: „Nikommu nie mów o tym, co uczynił ci Pan”. Można przeczytać też, co działo się w tych przypadkach, gdy byli oni nieposłuszni i szli, opowiadając to innym. Często tacy byli nie tyle pomocą, ile nawet przeszkodą dla Chrystusa, gdyż potem już nie mógł On wejść do niektórych wsi. Rezultatem podobnych niepotrzebnych świadectw było też to, że Pan musiał opuszczać miejsce, w którym coś uczynił, i pozostawać w odosobnionych, pustynnych miejscach (Mat 9:30-31; Mar 7:36; 8:26).

Widzicie, przyjaciele, w co może obrócić się niekiedy nasze świadectwo. A przecież tak często śpieszymy się powiedzieć o tym, co uczynił nam Pan, i... swoją niepowściągliwością czynimy tylko szkodę sprawie Bożej.

Chcę jeszcze powiedzieć, że my, ludzie, bardzo skłonni jesteśmy do zachwyty nad czymś, co przeżyli inni, uważając, że i u nas powinno to się wydarzyć dokładnie tak samo. Rozsądzając tak, można łatwo zachwycić się i zbłądzić. Znam człowieka, który usłyszał raz piękne świadectwo z ust innego chrześcijanina, który opowiadał o tym, jak święta krew Chrystusa oczyściła go, jak potem wszystko w jego życiu stało się nowym i jak on to wszystko głęboko odczuwał. Wysłuchawszy to natchnione opowiadanie, młody człowiek, rozstrojony, powiedział: „O, to znaczy, że zupełnie jeszcze nie upamiętałem się, gdyż podczas mojego nawrócenia nie doświadczałem nic podobnego. Przecież powinienem też to doświadczać i odczuwać”.

Widzicie, jesteśmy często, jak nierozumne barany. Pan działa tak, jak On chce, u jednego — tak, u drugiego — inaczej. Lecz jest coś, gdzie nie ma wyjątku, a to jest tym, że zaczyna On zawsze od małego, przygotowując nas w ten sposób to tego, co może jeszcze przyjść. U nas zaś nierzadko zdarza się tak, że dziś pokutujemy i nawracamy się do Pana, a jutro oczekujemy już od Niego czegoś wielkiego. Co byście powiedzieli o młodym człowieku, który zaczął pracę w banku i od razu w pierwszym tygodniu zechciał zostać jego dyrektorem. Prawdopodobnie uważalibyście go za nierozumnego i powiedzielibyście, że powinien zwrócić się do psychiatry. Pomyśleć tylko! Czyż ten młodzieniec może od razu na początku swojej pracy stać się kierującym bankiem? Przecież jest to głupie, tak sądzić! Po prostu jest to niemożliwe. Powinien on w swojej pracy zacząć od dołu.

Lecz powiedzcie, czy nie tak zdarza się też u nas, chrześcijan? Przecież zawsze chcemy zaczynać od góry. Nie wiem dlaczego, lecz niestety tak jest. Zapominamy przy tym, że jest tylko jeden przypadek, kiedy zaczynasz od góry. I wiecie, kiedy to jest? — Gdy sam sobie kopiesz grób. Wtedy rzeczywiście zaczynasz od góry. I niestety, jakże często zdarza się to w życiu duchowym chrześcijan!

Przyjaciele moi! Początek nie jest na górze. Zaczyna się on na dole — od czyszczenia butów, od mycia podłóg i zmywania naczyń. Tam wszystko się zaczyna i tam musimy okazać się wiernymi. Nie zapominajcie, że w tym czasie Ojciec Niebieski uważnie obserwuje nas i jeżeli w małym nie okazujemy wierności, to On nie powierzy nam dużego, gdyż wie, że w dużym też nie będziemy wierni, tak jak w małym.

Proście o błogosławieństwa, o to, żeby ludzie upamiętywali się i nawracali do Pana, czyż nie tak? Lecz jeżeli Pan kiedyś rzeczywiście da wam przebudzenie, to co będziecie z nim robić? Powiedzcie, myśleliście już o tym? Wyobrażacie sobie, co może stać się z wami samymi, jeżeli przebudzenie zacznie się?

Opowiem wam o pewnym błogosławionym mężu Bożym, który razem ze swoją żoną przez długi czas modlił się, żeby Pan zesłał przebudzenie do tej miejscowości, gdzie mieszkali. — Panie! — prosili oni.

— Daj przebudzenie! Skrusz serca ludzkie i przyprowadź ich tutaj! Ześlij duszom głód i pragnienie słuchania Twojego świętego Słowa!

— Jednak pomimo ich modlitw wszystko pozostawało twarde jak kamień. Było to niełatwe, lecz dalej błagali Pana wierząc, że On kiedyś odpowie im.

W końcu nastąpił ten dzień, gdy Pan rozpoczął u nich Swoje dzieło. Przy tym i tam zaczął On działać tak, jak zawsze rozpoczyna

— nie od bezbożników, o których tak długo się modlili, ale od nich samych; przy czym od tych tak zwanych „drobiazgów”, których nie zauważali lub nie chcieli zauważać. Tak musieli zrobić porządek przede wszystkim w swoim własnym życiu.

O, jakże cieszyli się, kiedy w końcu upamiętał się i nawrócił do Boga pierwszy człowiek! Żona ugotowała wtedy najlepszą zupę, przygotowała wspaniały obiad, jak dla króla. Cieszyli się, chwalili i dziękowali Bogu za tę pierwszą duszę. Później przyszedł drugi człowiek, za nim — trzeci, potem więcej i więcej. Tak trwało przez trzy miesiące. Społeczność nieprzerwanie rosła i pomnażała się. Z dnia na dzień nowe dusze nawracały się do Pana.

Po trzech miesiącach osiągnęło to takie rozmiary, że żona nie wytrzymała. Pewnego razu mąż wrócił do domu, prowadząc z sobą ponad dziesięciu ludzi, których pozyskał dla Pana. W tym momencie żona podeszła do okna i przez firankę zobaczyła, że mąż prowadzi wszystkich tych ludzi do ich domu. — Ach! — pomyślała w gniewie. — Dlaczego przyprowadza teraz od razu tak dużą ilość? Nie, dłużej tak nie mogę! Po prostu zmęczyłam się ciągłym przyjmowaniem ich wszystkich. Zmęczyłam się ciągłym przygotowywaniem, karmieniem i ubieraniem. Dla mnie to już zbyt duży ciężar. — I kiedy mąż wszedł do domu, ona nie mogąc już powstrzymać się, powiedziała mu zirytowanym szeptem: — To już zbyt wiele dla mnie! Zrozum w końcu, że po prostu jestem zmęczona. — Spojrzawszy na nią, spokojnie powiedział: — Dobrze. Przejdźmy do naszej sypialni. — Gdy weszli tam, zaproponował jej zgiąć kolana i zaczął się modlić: — O Panie Jezu! Wybacz nam, że modliliśmy się o przebudzenie! Proszę, przestań działać, gdyż to daje mojej żonie zbyt dużo pracy.

Jednak chwała Bogu, że gdy żona słuchała słów tej modlitwy, otworzyły się jej oczy duchowe i upamiętała się. Dotknąwszy ramienia męża, poprosiła: — Mój drogi mężu! Proszę, powstrzymaj się! Nie trzeba więcej tak się modlić, — i gdy on umilkł, mówiła dalej, zwracając się już do Boga: — O Jezu! Odpuść mi! Błagam Cię, odpuść! — Tak w głębokiej skrusze swego serca pokutowała, prosząc o wybaczenie Boga i męża.

Później Pan mógł dalej działać przez te dwa naczynia, zbawiając jeszcze wiele dusz. Potem miałem okazję być u nich gościnnie i osobiście przekonać się o tym, jak ta kobieta jest cicha i delikatna, dosłownie anioł; z jaką cierpliwością i pokorą wykonuje ona powierzoną jej służbę.

Drodzy przyjaciele, bardzo często Pan nie słucha naszej modlitwy o przebudzenie, gdyż od samego początku wie, że to jest nic innego, tylko pusta gra pobożnych słów. On wie, że nie jesteśmy zdolni przejść przez to, że bardzo szybko stanie się ono dla nas zbyt trudnym i zaczniemy jęczeć.

Jeżeli modlimy się o przebudzenie, prosząc Pana, żeby zaczął działać, wtedy nie można zapominać o tym, że będzie to nas coś kosztować.

Tak, to rzeczywiście będzie coś kosztować. Przyjeżdżajcie do nas do Kwazibantu! Przyjdźcie do mnie do domu, a zobaczycie, czy często śpię w swojej

sypialni. Zobaczycie, jak wygląda nasze życie rodzinne. Ile czasu mam dla swojej żony. Pójdziecie do niej i zapytacie, ile godzin może ona przebywać ze mną. Możecie też pójść do moich dzieci i zapytać, co mają ze swojego ojca. Oczywiście, ja też mógłbym, jak i wy, być w domu razem z moją żoną i rodziną. Tylko bym nie chciał za nic zamienić mojego życia na wasze. W żadnym wypadku! Już lepiej umrzeć. I tego nikt nie odważy się mi zabrać.

Tak więc, jeżeli już o coś modlicie się i prosicie, to obliczcie najpierw, ile to będzie was kosztowało i czy będziecie mogli przejść z tym przez całe wasze życie. Przy tym nie należy zapominać, że Pan patrzy na wasze życie, sprawdzając, czy byliście Mu wierni w tej sprawie lub tamtej. Przecież Bóg nie jest tak „głupi”, żeby powierzyć wam coś bardzo wielkiego wiedząc, że już po pierwszych krokach zmienicie powierzoną wam pracę i zostawicie ją. Wtedy wszystko zostanie stracone. Pan doskonale wie, kto do czego jest zdolny i od kogo można czego oczekiwać.

Tak... Najważniejsze, żebyśmy byli wierni. Bóg nie proponuje łatwych dróg, chcąc uczynić nas wiernymi właśnie tam, gdzie znajdujemy się. Dlatego nie możecie dużo myśleć o tym, czy pojechać do Afryki lub nie. Zostańcie lepiej tam, gdzie jesteście, bo jeżeli w waszym miejscu nie jesteście błogosławieństwem, to będziecie brzemieniem i dla nas. Mam nadzieję, że tymi słowami nie obraziłem was i waszych uczuć. Jest zrozumiałe, że tak jak wszystkich innych, serdecznie zapraszamy i was do odwiedzenia nas, lecz chcę ciągle, żebyście zrozumieli, co mam na uwadze.

Bądźcie błogosławieństwem dla innych i jeżeli tego nie było, to zacznijcie już dziś, teraz. Wy najlepiej wiecie, co w waszym życiu było niewłaściwe i co jeszcze nie jest w porządku. Jeżeli, przyjacielu, masz jeszcze żyjącą matkę, to idź do niej i proś ją o wybaczenie za cały sprawiony jej ból i wszystkie uczynione jej przez ciebie rany. Jeżeli żyje twój ojciec, to idź do niego i doprowadź twoje stosunki z nim do porządku. Żono, uczyn to samo z twoim mężem! A ty, mężu, — ze swoją żoną! Przez to w ogóle nie chcę powiedzieć, żebyście uczynili ze swego męża lub żony tego, komu wyznajecie wszystkie swoje grzechy. Żona jest żoną, a ty, mąż, musisz być z nią jednym ciałem. Co zaś dotyczy kwestii wyznawania swoich grzechów, to bądźcie w tym mądrzy i rozsądni. Niektórzy mężowie popełniają poważny błąd, zaczynając wyznawać żonie wszystkie swoje grzechy. Przy tym (jak pokazała nam praktyka) żony nie są zdolne znieść takiego uderzenia i prawie tracą rozum od świadomości, że mąż był zdolny zrobić coś takiego.

Coś podobnego zdarzyło się u nas pewnego razu w Durbanie. Jeden mężczyzna nawrócił się do Boga. Miał tak głęboką świadomość swojej grzeszności, która jest naturalnym rezultatem działalności Ducha Świętego, że od razu poszedł do swojej żony i w szczerym wyznaniu otworzył jej swoje serce. — Proszę, wybac mi, żono! — mówił do niej. — Grzeszyłem z tą kobietą i z tą także...

Jego żona nigdy nie oczekiwała czegoś podobnego od swojego męża i była całkowicie rozbita. Jednak przez to uświadomiła ona sobie swoje własne grzechy, i pomyślała, że jeśli mąż ujawnił jej swoje grzechy, to i ona też musi tak zrobić. — Drogi mężu! — powiedziała do niego. Ja też chcę ujawnić tobie moją

niewierność. Kiedyś zgrzeszyłam z pewnym mężczyzną. — I gdy to wszystko powiedziała mu, on tak zezłościł się, że powiedział jej w gniewie: — Nie! Ja nigdy nie wybaczę ci tego!

I oto, nie wiedząc, co ma dalej robić, przyszedł do nas. Wysłuchawszy, powiedział mi: — Pomyśl sam! Oczekujesz od niej, że ona wybaczy tobie, a ty sam nie chcesz jej wybaczyć?

Później przyszła ze swoją potrzebą i żona, szukając pomocy i rady. Powiedziałem jej wtedy, że nie należało mówić tego wszystkiego mężowi. — Ależ, jak to? — nie rozumiała. — Przecież on wszystko mi ujawnił! Myślałam, że jeśli on to zrobił, to i ja też muszę być taka szczerą. Dlatego opowiedziałam mu o swoich grzechach. — Nie, tego nie trzeba było robić — znowu powtórzyłem. — Należało wam pójść do pracownika Bożego lub kaznodziei, który zdolny byłby wysłuchać waszych wyznań i razem z wami przynieść to w modlitwie Bogu.

Przytaczając ten przykład chciałbym przestrzec was, przyjaciele, przed takimi głupimi błędami. Podobne „wyznania” przynoszą najczęściej więcej szkody niż pożytku. Gdyby mąż tej kobiety był duchowo wystarczająco mocnym, żeby to znieść, to można byłoby otworzyć mu serce. Lecz on, jak widzicie, nie był wystarczająco silny. To samo można powiedzieć i o żonie. Ona też nie była zdolna znieść tego, co opowiedział jej mąż. Zdarzają się przypadki, gdy żona lub mąż mają duchową moc od Pana, tak że mogą to nieść. Lecz w tym przypadku oboje małżonkowie byli do tego niezdolni.

Pan Jezus wie bardzo dobrze, ile może znieść ten lub inny człowiek, dlatego powiedział kiedyś Swoim uczniom: „Mam wam jeszcze wiele do powiedzenia, ale teraz znieść nie możecie” (Jan 16:12). Tak więc Bóg nie wkłada na nasze plecy duchowe więcej, niż możemy unieść. Postarajcie się zapamiętać ten przykład i być rozumnymi. Bądźcie dla waszych żon dobrymi mężami, zgodnie ze Słowem Bożym, lecz wszystko musi być na swoim miejscu.

Tej kobiecie powiedziałem jeszcze wtedy: — Musi pani szanować swojego męża za to, że przyszedł do pani i szczerze opowiedział o swoich grzechach. Do końca życia powinna pani cenić go za to, gdyż dla mężczyzny podobny krok nie jest łatwy. Czegoś takiego nie można zrobić lekkomyślnie. — Prawda, w Europie na takie rzeczy patrzą inaczej, gdyż nie jest już rzadkością, że mężczyźni i kobiety ciągle zmieniają swoich partnerów; mąż odprawia swoją żonę do innych mężczyzn, a żona pozwala mężowi iść do obcych kobiet. Uważają oni, że jest zbyt nudno mieć ciągle jednego i tego samego człowieka za partnera i są przekonani, że trzeba czynić swoje życie bardziej interesującym. Nie ma co mówić, niewiarygodne i przerażające rzeczy dzieją się dziś na świecie. Nie wiem, czy było już coś podobnego w historii ludzkości. Chyba, że w czasach Sodomy i Gomory.

Żeby skończyć myśl o takim rodzaju wyznania, chcę dodać, że w tym przypadku, gdy mąż wie o grzechu cudzołóstwa, który miał miejsce w życiu jego żony, wtedy ona nie tylko może, lecz i powinna powiedzieć mu, iż Pan pokazał jej, jaki to obrzydliwy grzech, po czym doprowadzić to z nim do porządku. Jeżeli zaś mąż nie wie o tym grzechu żony, to lepiej, żeby nie mówiła mu o tym, lecz ujawniła to w osobistym wyznaniu z człowiekiem, który ustanowiony jest przez Boga do takiej

służby. Jednak są takie rzeczy, które ty, żono, musisz doprowadzić do porządku osobiście z twoim mężem. Ty sama wiesz, co w twoim życiu i twoim stosunku do niego było złe. I ty, mężu, musisz postąpić tak samo. Ty też wiesz, co w twoim stosunku do żony i dzieci nie było zgodne z Pismem. Każdy powinien oczyścić się z wszelkiego grzechu i niesprawiedliwości w swoim własnym życiu, po czym być wiernym w tym miejscu, gdzie się znajduje. Mam nadzieję, że rozumiecie, o czym mówię.

I tak, drodzy przyjaciele, Pan chce czynić Swoje dzieło w każdym i przez każdego, nie patrząc na osoby. Po to nie trzeba być kaznodzieją. Być może wasza sytuacja duchowa jest taka, jak u tego małego chłopca w ewangelicznej historii, a to małe, co macie, Bóg może wykorzystać tak, że stanie się ono tą iskłą, od której zapali się cały wasz kraj i cały świat. Wyobraźcie sobie, jak to będzie wyglądać, gdy kiedyś staniecie przed Panem, a On powie do was: — Ty, mężu, i ty, żono! Ty, dziewczyno, i ty, chłopcze! Przez to małe, co miałeś, przez twoje „dwie rybki i pięć chlebów jęczmiennych” Ja mogłem dać światu przebudzenie i rozpalić ogień duchowy. Lecz zostawiłeś to sobie. Nie byłeś wierny w małym, gdyż nie chciałeś oddać innym tego, co miałeś i co zostało ci dane.

Drodzy przyjaciele! Nie módlcie się o duże, lecz módlcie się o łaskę, żebyście okazali się wierni w tym, co już macie. Wtedy Pan da wam większe bez waszego proszenia o to. Wielkie zaczyna się od małego. Tylko tak otrzymujemy błogosławieństwo. Uwierz, bracie i sestro, że nie otrzymasz go, jeśli będziesz tylko ciągle modlić się i prosić: „Panie, błogosław mi! Okaż łaskę Twoją dla mnie! Uczyni ze mną to, co sam przewidziałeś!” Zostaw to, przyjacielu, gdyż są to tylko słowa. Bądź wierny w tym, co dał ci Ojciec Niebieski i co już masz, niezależnie od tego, jak małe i nieznaczące wydawałoby się to tobie! Właśnie to stanie się dla ciebie błogosławieństwem. Czarni Zulusi mówią tak: „Błogosławieństwo nie polega na tym, żeby stać przed tłumami ludzi, głosząc im o prawdzie, ale na tym, żeby okazać wierność w sprawie, powierzonej ci przez Boga, czy to małej, czy wielkiej”.

Dziś przypominam sobie, jak wyglądało wszystko, gdy pierwszy raz przyjechałem z Południowej Afryki do Europy. Było to w 1974 roku. W latach 1869-1880 nasi przodkowie wyjechali z Europy do Afryki i oto po upływie 100 lat znnowu odwiedziliśmy Europę. Na pierwszym moim zgromadzeniu było w sumie tylko 2 ludzi i dla nich głosiłem. Podczas następnego nabożeństwa przyłączyło się do nich jeszcze troje — dwóch dorosłych i jedno dziecko. Zobaczywszy przed sobą tych pięciu ludzi, pomyślałem: „O, to już dużo!”. Jak radowało się wtedy moje serce z tego, że Pan już działa! Zostawiłem tysiące w Afryce i przyjechałem do Europy, żeby głosić ewangelię dla dwóch i pięciu. Jeżeli sądzić po ludzku, czy to nie głupie? Lecz wtedy wziąłem w ręce modlitwy tych parę dusz i uniósłszy swoje oczy ku niebu, dziękowałem Bogu za nie. Tego nauczył nas Pan w Afryce i tego uczy On mnie ciągle — żeby być wdzięcznym za najmniejsze. Postępując tak, stajemy się świadkami tego cudu, że Pan błogosławi i pomnaża, zmieniając to w coś wielkiego.

Przeżyliśmy to nie tylko duchowo, ale też w materialnych sprawach oraz

pożywieniu. Pewnego razu do nas na stację misyjną przyszło trzy tysiące ludzi, a jedzenia było bardzo mało, wszystkiego parę kotłów. Wtedy czarne kobiety stanęły wokół tych kotłów z jedzeniem, wypowiadając modlitwę wdzięczności. — O Panie! — mówiły. — Dziękujemy Tobie za ten pokarm, który nam dałeś. Dziękujemy Tobie, że możemy stąd czerpać. Prosimy Ciebie, Ojczye Niebieski, błogosław to, co mamy!

Później zaczęły nabierać z kotła i rozdawać ludziom. Było przy tym takie wrażenie, że pokarmu nie ubywało. Tak zostało nakarmionych całe trzy tysiące, a to, co zostało, wystarczyło jeszcze i na następny dzień.

Widzicie, one dziękowały Bogu za to, co miały. My chcemy zawsze i w przyszłości iść tą drogą Bożą. Ta droga, przyjaciele, jest najchwalebniejsza. Jest to droga mocy i zaczyna się u nóg Jezusa. Na tej drodze musi zostać okazana wierność nie tylko w małym, lecz i w najbardziej nieznaczącym.

Często podczas przebudzenia Pan czyni cuda, które i dziś jeszcze nie są znane światu. Jest wiele rzeczy, o których nie opowiadamy. Niekiedy ludzie mówią do nas: „Jak możecie milczeć o tym? Takim cudem można wstrząsnąć i pokonać cały świat. Opowiedzcie to wszystkim!”.

Jednak czarni chrześcijanie sądzą inaczej. Mówią oni: „Nie, my tak nie zrobimy, gdyż to nie jest naszym celem. Teraz, gdy wszystko się dokonało, idziemy i będziemy trwać w modlitwie. Wrócimy z powrotem do Pana, żeby podziękować Mu za to, co On uczynił. Pan Jezus musi być dla nas najważniejszym i znaczącym niż dokonany cud lub zwycięstwo nad światem. On jest dla nas najważniejszym, jedynym i wszystkim, i dlatego bliska społeczność z Nim jest droższa ponad wszystko na świecie, droższa nawet od samego głoszenia ewangelii. Przecież dla apostoła Pawła Pan Jezus i społeczność z Nim były ważniejsze niż jego służba zwiastowania, inaczej smuciłby się, będąc uwięziony w lochu. On zaś przy tym mógł śpiewać i chwalić Boga tak, że ziemia zatrzęsała się i żelazne drzwi więzienne otworzyły się. Obecność Jezusa była dla niego cenniejsza niż wszystko pozostałe. Oto dlaczego tak samo chcemy postępować i my. Wtedy będziemy mogli iść od zwycięstwa do zwycięstwa, a wtedy Pan Jezus będzie w nas się uwielbiał, Jego imię będzie się świącić, a Jego wola będzie wykonywać się tutaj wśród nas na ziemi, jak i w niebie”.

15. Miejsce gdzie pomagają ludziom

Drodzy przyjaciele! Jeśli opowiadam o przebudzeniu, to czynię to z gorącą modlitwą i szczerą prośbą do Boga, żebym nie mówił po prostu o przebudzeniu, a wy nie tylko słuchali o tym, lecz żeby jednocześnie przebudzenie zaczęło się w waszym życiu i waszym własnym sercu.

Przebudzenie nie jest czymś takim, co, jak współczesne ewangelizacje, mogą organizować ludzie. Tak jak zbawienie i uświęcenie dane jest zawsze przez Boga, tak i przebudzenie duchowe daje tylko Bóg. Jeżeli w ewangelizacji na pierwszym planie może stać człowiek, to w przebudzeniu najważniejszym jest sam Pan, ludzie zaś na drugim planie. W przebudzeniu, które pochodzi od Ducha Świętego, sprawa obraca się nie wokół przebudzenia jako takiego, lecz wokół Jezusa jako osoby i dlatego wszystko dzieje się dla Niego i ze względu na Niego.

O przebudzeniu można mówić dopiero wtedy, kiedy ludzie, owdądnięci przez Pana, będąc napełnieni Duchem Bożym i Jego mocą, mają gorące serca w służbie swemu Bogu.

Przebudzenie przejawia się przede wszystkim w tym, że człowiek zostawia swoje grzechy i żyje życiem, które zgodne jest z Pismem, a to znaczy — podobać się Panu. Wszystko inne jest tylko teatrem i nie ma większego znaczenia.

Nie będę powtarzał się, wracając do wydarzeń, które miały miejsce u nas przed rozpoczęciem przebudzenia; jedno tylko chcę znowu przypomnieć — że zaczęło się ono w starej oborze, która była pełna nawozu. Żeby przekształcić tę szopę w dom modlitwy i zgromadzeń, trzeba było iść do więzienia i wziąć paru więźniów, którzy pomogli mi wywieźć stamtąd wszystkie te nieczystości. W tym przygotowaniu zamierzone było przez Pana wielkie znaczenie duchowe, które wtedy nie od razu zrozumiałem. Jeśli chcemy przeżyć przebudzenie, wtedy przede wszystkim musimy usunąć nawóz z naszego własnego życia i z naszego nieczystego serca. Przecież Pan nie może mieszkać w chlewie.

W tej szopie było też dużo węży, myszy i innych obrzydliwych zwierząt oraz owadów, dlatego musieliśmy wspólnie napracować się, żeby wyczyścić i wyrzucić stamtąd całe te paskudztwo. Po tym musieliśmy gruntownie wyskrobać podłogę, wymyć i pobielić ściany.

To wszystko może być typowym obrazem tego, co powinno poprzedzić przebudzenie, i jeżeli nie jesteście gotowi do takiej pracy w naszym domu duchowym, wtedy możemy doczekać się siwych włosów, lecz nie doczekać się przebudzenia. Można poświęcić modlitwie

o przebudzenie całe swoje życie, ale umrzeć, nie zakosztowawszy go, albo też przyjdzie ono, lecz nie do nas, lecz do innych i przez innych.

Tak więc, prawdziwym przebudzeniem jest działanie zmarłychwstałego Pana Jezusa Chrystusa przez Jego Ducha Świętego. Na tym punkcie zatrzymajmy się i rozpatrzmy to szczegółowiej.

Żyjemy w takim czasie, w którym bardzo dużo mówi się o trzeciej osobie żywego Boga — o Duchu Świętym. Nie wiem, czy był kiedykolwiek w historii Kościoła taki czas, kiedy tak dużo mówiło się o Duchu Świętym. Obecnie wszędzie i

wszyscy w dużym stopniu interesują się oraz pytają o to. I pomimo to, niestety, nigdy jeszcze nie było takiego czasu, kiedy ludzie tak mało rozumieliby, kim jest Duch Święty i o czym właściwie jest mowa. Jest to smutny stan, chociaż w ogóle tego nie powinno być. Można tylko dziwić się, dlaczego w tej kwestii tak często chodzimy w ciemności, pomimo tego, że mamy w rękach Biblię, która jest źródłem światła na naszej drodze.

Trudno jest zrozumieć, dlaczego w chrześcijaństwie istnieje tak wiele niezrozumienia i niewiedzy w kwestii działania Ducha Świętego, skoro mamy przed sobą słowa samego Pana Jezusa, który mówi, że jeśli przychodzi Duch Święty, Duch Pocieszyciel, to pierwsze, co On czyni, — to przypomina światu, wskazując mu na grzech, na sprawiedliwość Bożą i na Jego sąd (Jan 16:8).

Opierając się na tym Słowie i kierując się nim, możemy sprawdzać i badać duchy; i jeśli mowa jest o przebudzeniu, możemy szybko oraz dość łatwo rozpoznać skąd ono pochodzi — z wysokości czy z dołu, od Boga czy od szatana. Przecież przebudzenie może pochodzić też z piekła.

Pan powiedział kiedyś przez proroka Joela, że wyleje Ducha Świętego na wszelkie ciało; a jeśli On decyduje się wylać Swego Ducha Świętego, to diabeł nie ma siły przeszkodzić temu. Jednak szatan nie pozostaje przy tym spokojny i też zaczyna działać. Najpierw staje w opozycji i prowadzi wojnę przeciwko sprawie Bożej, próbując ją zniszczyć. Lecz jeśli to nie udaje się mu, zaraz zmienia swoją taktykę i zaczyna działać równolegle, dostosowując się do prawdy. W ten sposób przychodzi w postaci anioła światłości. Oto dlaczego mamy wszelkie podstawy, żeby oczekiwać pojawienia się często tego, co nieprawdziwe, przewrotne, podrobione.

Jeżeli działa prawdziwy Duch Boży, to pierwszym znakiem, po którym można to rozpoznać, jest to, że OTWIERA ON LUDZIOM OCZY NA ICH GRZECHY, UKAZUJĄC IM ŚWIĘTOŚĆ I SPRAWIEDLIWOŚĆ BOŻĄ ORAZ PRZYPOMINA O NADCHODZĄCYM SĄDZIE.

Widzicie, mowa przy tym jest nie o przywracaniu wzroku cielesnym oczom niewidomych i dokonywaniu innych cudów, którym my, ludzie, skłonni jesteśmy przypisywać szczególne znaczenie. Nie, nie to jest pierwszoplanowym i najważniejszym dla Pana, gdyż od tego zdolny jest też szatan. Nie na próżno przecież napisano dla nas, że antychryst, gdy przyjdzie, będzie też czynił cuda oraz znaki i tym pociągnie oraz zwiedzie wielu.

Słowo Boże mówi nam także o tym, że nastanie dzień, gdy wielu przyjdzie i powie: „Panie, Panie, czyż nie prorokowaliśmy w imieniu twoim i w imieniu twoim nie wypędziliśmy demonów i w imieniu twoim nie czyniliśmy wiele cudów?“, lecz usłyszą w odpowiedzi: „Nigdy was nie znałem. Idźcie precz ode mnie, którzy czynicie bezprawie" (Mat 7:22-23). Z tych słów można zrozumieć, że Bóg patrzy na cuda i znaki innymi oczami niż to robimy my, ludzie. Czyniący grzech i postępujący bezprawnie odziedziczą wieczne potępienie, nawet jeżeli na ziemi byli kiedyś prorokami, uzdrowicielami i cudotwórcami. Słowo Boże jest tutaj bezkompromisowe.

Żyjemy obecnie w świecie, który jest spragniony cudów i dąży do nich.

Wiem, że jeśli Wszechpotężny Bóg jest pośród nas, wtedy po prostu nie jest możliwe życie bez cudów. Przecież i samo życie chrześcijańskie jest prawdziwym cudem! Jednak, jeżeli rzeczywiście działa Pan, to działa On w pełnym i doskonałym porządku. Przy tym zawsze, bez wyjątku, na pierwszym miejscu są duchowe rzeczy i dopiero później cielesne.

Jeśli przychodzi Jezus, to przede wszystkim otwiera oczy duchowe i wtedy dokonuje się największy cud — człowiek zostaje uzdrowiony duchowo. Od tego zaczynają się wypełniać słowa Pisma, mówiące nam, że „Jego ranami jesteśmy uleczeni”. Zostaliśmy uzdrowieni z naszych grzechów, z tego trądu duchowego, który jest niebezpieczniejszy i okropniejszy niż najcięższe cierpienie cielesne, gdyż doprowadza duszę do zguby wiecznej i na zawsze.

Drodzy przyjaciele, mówiąc o przebudzeniu, mam na myśli taką sytuację, gdy Pan całkowicie i niepodzielnie panuje w człowieku, kierując całą jego istotą. Wtedy mówimy o życiu, pełnym Ducha. Przy tym nie mam na uwadze tego, że człowiek ma dar, który potwierdza to napełnienie Duchem Świętym. Kto rzeczywiście napełniony jest Duchem Bożym, ten sam jest odbiciem istoty Chrystusowej i Jego życia. Jeżeli podejść do tego w ten sposób, to tylko słowa, wypowiedziane w innym języku, nie będą jeszcze znakiem tego, że ten człowiek napełniony jest Duchem Świętym. Jeśli Duch Święty naprawdę napełnia nas, to dotyka się nie tylko naszego języka, lecz i naszych myśli, naszych oczu, naszego serca i całej naszej istoty. Przy tym nasze ciało jest rzeczywiście świątynią Bożą, jak o tym mówi Pismo, a nasze życie — życiem, w którym odzwierciedla się Chrystus.

Czy wiecie, że jeśli Pan i Jego Duch Święty zamieszkują w nas, to Jego obecność można widzieć i odczuwać?

Być może zapytacie, w jaki sposób jest to możliwe, jak to wygląda w rzeczywistości i jak poznaje się w praktyce. Żeby znaleźć odpowiedź na te pytania, znowu zwróćmy się do Biblii.

Słowo Boże uczy nas, żebyśmy zło i dobro rozpoznawali po owocach. W konsekwencji, tak jak drzewo rozpoznaje się po jego owocach, tak też nasze chrześcijaństwo i my jako chrześcijanie, rozpoznawani jesteśmy nie po darach Ducha Świętego, ale po Jego owocach. Tak więc, powstaje nowe pytanie — co jest owocem Ducha Świętego?

Pierwszym owocem, o którym czytamy w Liście do Galacjan 5:22 jest miłość. Czy wiecie, co znaczy prawdziwa miłość, która dana jest nam z wysokości? Ta miłość, która nie nadyma się, nie jest chępliwą, nie unosi się, nie myśli nic złego? Przeczytajcie Pierwszy List do Koryntian, 13 rozdział, a powie on wam, co to jest prawdziwa miłość. Ona objawia siebie przede wszystkim w tym, że nie szuka swego, lecz tego, co jest pożyteczne dla innych. Miłość nie rzuca oszczerstw, nie życzy bliźniemu swemu zła, jest cierpliwa, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wybacza, wszystko znosi, nigdy nie ustaje i nigdy nie przemija. Wszystko inne ma koniec, lecz miłość nie ma końca. Nawet jeśli wszystko ziemskie przemienie i zniknie, miłość pozostanie. Powiedz mi, przyjacielu, czy masz taką miłość?

Drugi owoc to radość. Jak widzicie, radość jest też tym owocem, po którym

nas rozpoznają. Czy macie w sobie radość, przyjaciele? Słowo Pańskie mówi nam: „Zawsze się radujcie”. A jak to jest z nami?

Prócz tych, wyliczone są także inne owoce Ducha Świętego: pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność i wstrzeźliwość, które oznaczają czystość i cnotliwość. To wszystko są owoce Ducha Świętego i można je zobaczyć tylko tam i tylko wśród tych, gdzie naprawdę przebywa i króluje Duch Święty. Jeżeli zaś tych owoców nie ma w naszym życiu, czy możemy twierdzić, że mamy Ducha Świętego?

Chcę wam powiedzieć, przyjaciele, że z początkiem przebudzenia słowo „chrześcijanin” przybrało dla mnie zupełnie inne znaczenie, a Biblia stała się całkowicie inną księgą. Podczas przebudzenia Pismo Święte staje się najcenniejszą i niezastąpioną księgą dla chrześcijan. Dniem i nocą są zajęci jej czytaniem. Żadne gazety, żadne czasopisma, książki, broszurki i żadna pornografia nie przyciągają chrześcijanina tak, jak Biblia; tak że on, można powiedzieć, przesycony i przepełniony jest Słowem Bożym, które dla niego słodsze jest od miodu. Dlatego nie jest dziwne, że Ten, który sam jest Słowem — Jezus Chrystus — jest dla takiego człowieka jego pierwszą i największą miłością. Przy tym nic innego i nikt inny: ani ojciec, ani matka, ani żona, ani dzieci nie są dla niego tak cenni, tak drodzy i tak kochani, jak Jezus Chrystus, który jest nie tylko teoretycznie, lecz i w praktyce, początkiem i końcem, pierwszym i ostatnim.

W Liście do Filipian 1:21 apostoł Paweł mówi o sobie tak: „Albowiem dla mnie życiem jest Chrystus”. Widzicie, tutaj nie jest napisane, że Chrystus jest czymś takim, co istnieje dla niedzieli lub kogo przypominamy sobie, budząc się ze snu albo kładąc się do łóżka. On nie jest czymś takim, co znajduje się w naszej głowie i w naszym rozumie. Nie, On jest naszym życiem, jego centrum, sensem i istotą; wszystko pozostałe jest drugorzędnym i ubocznym, nie mającym tak wielkiego znaczenia.

Przeżyliśmy to u nas w Południowej Afryce ponad 20 lat temu i od tej pory ten strumień, porywając setki i tysiące nowych dusz, staje się z każdym rokiem coraz szerszy, głębszy i mocniejszy.

Chrystus, stając się życiem, napętnia Sobą młodych i starych, mężczyzn, kobiety i dzieci. Przy tym spełnia się to, co jest napisane: „I jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak musi być wywyższony Syn Człowieczy... A gdy Ja będę wywyższony ponad ziemię, wszystkich do siebie pociągnę” (Jan 3:14; 12:32).

Wiecie, przyjaciele, gdy Jezus rzeczywiście staje się dla chrześcijan ich życiem, wtedy jest to taką wielką mocą przyciągającą, że ludzie przychodzą i przyjeżdżają zewsząd, nie licząc się z niczym.

Od początku przebudzenia nie kończy się u nas problem z miejscem. Ciągłe nie starcza nam pomieszczenia, żeby przyjmować coraz więcej ludzi, których liczba nieprzerwanie wzrasta. Niekiedy wprost zmuszeni jesteśmy prosić ich: „Proszę, nie przychodźcie teraz. Na pewno będziecie mieli jeszcze możliwość!” Taka prośba uzasadniona jest tym, że czasami nie wiemy, co mamy robić ze wszystkimi tymi tysiącami przychodzących, a dokładniej mówiąc, nie wiemy, jak ich pomieścić.

Gdy zaczynamy budować nasze pomieszczenia, mamy nadzieję, że będzie wystarczająco miejsca, a na koniec budowy okazuje się, że i to jest za mało.

Ten sam problem jest z pomieszczeniem do nabożeństw. Sala na 800 miejsc, którą teraz mamy, stała się zbyt ciasna dla nas. Kiedy do nas przychodzą tysiące ludzi, rozbijamy ogromny namiot, mieszczący przykładowo 3000 osób. Parę lat temu zdecydowaliśmy się wybudować salę na 5000 osób, lecz w krótkim czasie zrozumieliśmy, że będzie zbyt mała. Wtedy zaczęliśmy planować na 7000, lecz i to okazało się niewystarczające. Teraz trwa budowa ogromnej hali, zdolnej pomieścić 10000 ludzi.

Nie starcza nam też miejsc do spania. Mamy wszystkiego tysiąc łóżek, gdy bardzo często przychodzi dwa, trzy tysiące gości dziennie. Żeby pomieścić pozostałych, musimy rozkładać duże namioty. Zdarzało się, że ludzie spali w namiotach, które nie wytrzymały naporu ulewnego deszczu i przemakały na wylot. Musieli przy tym dosłownie stać w wodzie, gdyż z powodu silnej burzy, trwającej całą noc, wszystko wokół było zalane. Jednak, pomimo to, ludzie nie poddają się i nie rozczarowują. A przecież to wszystko jest tylko dodatkiem do tego, że oni, jadąc na nabożeństwa, muszą docierać do nas na otwartych skrzyniach ogromnych ciężarówek, gdzie stoją na nogach, ciasno stłoczeni jeden przy drugim. Ich droga często trwa od 5 do 20 godzin pod palącym afrykańskim słońcem.

Wyobrażacie sobie, co to znaczy, jeżeli 200, 300 lub 400 osób na jednej ciężarówce stoi w niewyobrażalnym tłoku i zaduchu przez 20 godzin? Jednak, schodząc z takich ciężarówek lub znowu wchodząc na nie, oni nie narzekają i nie skarżą się. Ich jedynym pytaniem przy tym jest: „Kiedy będzie następne zgromadzenie? Kiedy będziemy mogli znowu przyjechać?”

Jedni idą piechotą tak daleko, że mają krwawiące nogi. Drudzy jadą przez parę dni pociągiem, żeby trafić do nas. Z niektórych krajów i kontynentów ludzie przylatują samolotem, spędzając w samolocie po 10, 16 i więcej godzin.

Przebudzenie dawno już przekroczyło ramy plemienia Zulusów, ogarnąwszy nie tylko inne czarne plemiona i ludy, zamieszkujące Południową Afrykę i sąsiednie państwa afrykańskie, lecz i ludzi, mieszkających w innych częściach kuli ziemskiej.

Odwiedzają nas grupy ze Szwajcarii, Niemiec, Francji, a także goście z Austrii, Holandii, Anglii, Australii, Północnej i Południowej Ameryki.

Przybywają do nas ludzie z głuchej, niedostępnej dżungli i mieszkańcy pustyni — Buszmeni, którzy nie wiedzą, co to znaczy mieszkać w domu i spędzają całe swoje życie pod gołym niebem. Nie mają oni wyobrażenia o tym, co to jest praca. Kiedyś taka grupa Buszmenów przez 6 tygodni mieszkała u nas na stacji misyjnej. Musieli przebyć najmniej 1200 kilometrów, żeby dotrzeć do nas. Ich jedynym pragnieniem było to, żeby dowiedzieć się i usłyszeć o Jezusie.

Tak oto ludzie przychodzą zewsząd, gdyż mają wielki głód i pragnienie żywej ewangelii i prawdziwego życia w Chrystusie.

Czego nie robi i czego nie proponuje świat dla rozkoszy i zadowolenia! Jedni jeżdżą i podróżują po całym świecie. Drudzy chcą widzieć Jezusa w naturze i idą do lasu lub wspinają się wysoko w góry. Takim chciałoby się powiedzieć:

„Jeśli rzeczywiście chcecie zobaczyć Jezusa, to idźcie do żywego, prawdziwego zboru! Tam zobaczycie chwałę Bożą. Spójrzcie na prawdziwych chrześcijan, a zobaczycie w nich chwałę wielkiego i żywego Boga”.

Odwiedzają nas przedstawiciele różnych ras i narodowości. Jeżeli policzyć liczbę narodowości i ludów, będących u nas na zwykłym zgromadzeniu, to ich liczba dochodzi do 12 lub 14. Czy możecie to sobie wyobrazić? Czternaście narodowości zebranych razem, zjednoczonych miłością do Jezusa! Podczas nabożeństwa kazania tłumaczy się zwykle na 4 różne języki. U nas w Kwasizabantu każdego dnia średnio odbywają się dwa zgromadzenia, niekiedy nawet trzy lub cztery.

A ludzie przychodzą i przychodzą, a ich jedynym pragnieniem jest przeżycie prawdziwego spotkania z Panem. Przecież Kościół musi być światłością i solą dla całego świata. Niedawno przyjechali do nas dwaj biskupi i przedstawiciel metodystycznego kościoła całej Południowej Afryki, a także działacze religijni z Mozambiku, Rodezji, Namibii, Botswany i Republiki Suazi.

Znani ludzie, przywódcy polityczni i inni politycy przyjeżdżają do nas na stację misyjną i mówią: „My chcemy Jezusa! Pragniemy pojednać się z Bogiem. Chcemy być naczyniami dla Jego chwały, naczyniami, zdatnymi do użycia przez Niego. Chcemy żyć świętym życiem, przez które uwielbiłoby się Jego święte imię”.

Tak dzieje się we wszystkich naszych zborach. Stacja misyjna Kwasizabantu jest tylko centrum przebudzenia. Prócz niej mamy jeszcze około 140 filii. Są to rozsiane po całej południowoafrykańskiej republice zbory i społeczności, z którymi jesteśmy blisko związani i którymi ciągle opiekujemy się. Prócz tego jest jeszcze wiele innych zborów, które często zapraszają nas do siebie, gdyż ogień przebudzenia rozprzestrzenia się po całym kraju, w szkołach, instytucjach, wzdłuż i wszerz, dosięgając kierujących krajem.

Poczynając od 1978 roku regularnie jeździmy grupowo do Europy. Przez szereg lat pracownicy misji prowadzą różnego rodzaju zgromadzenia duchowe w Niemczech, Francji, Belgii, Holandii i Szwajcarii. Obejmuje to: prowadzenie nabożeństw w różnych zborach i społecznościach w miastach tych krajów, coroczne regularne tygodnie ewangelizacyjne, specjalne nabożeństwa dziecięce podczas wakacji. Trzy razy przyjeżdżał do Europy nasz chór.

Próć ciągle rosnącej i umacniającej się więzi z niektórymi społecznościami i zborami tych krajów, w ostatnich paru latach zaczęliśmy otrzymywać zaproszenia z Anglii, Ameryki, Australii i nawet z Izraela. Tak, na przykład, pod koniec 1988 roku grupa sześciu naszych pracowników odwiedziła Australię. Często proszono ich tam, żeby odprawiali po 4 nabożeństwa dziennie. Czas, spędzony przez nich na tym oddalonym kontynencie, przyniósł bardzo wiele radości i obfite błogosławieństwa duchowe, po czym otrzymaliśmy wiele nowych zaproszeń na następny rok. Wszędzie, gdzie byliśmy, można widzieć wielkie pragnienie Słowa Bożego, dlatego bardzo się cieszymy, że możemy prowadzić te pragnące dusze do żywego Źródła.

Oczywiście, gotowi jesteśmy wykorzystać każdą możliwość, żeby nieść

światło ewangelii wszędzie, dokąd posyła nas Pan i gdzie otwierają się drzwi; lecz ciągle podstawowym miejscem pozostaje dla nas to miejsce, gdzie jesteśmy, gdyż przebudzenie, dane przez Pana u nas w Południowej Afryce, przybiera coraz większe rozmiary.

Ludzie przychodzą ze swoją potrzebą i szukają pomocy. Nazwa naszej stacji misyjnej „Kwasizabantu” w dosłownym tłumaczeniu oznacza „Miejsce, gdzie pomagają ludziom”. Na okładce książki widzicie rysunek drzewa, dającego cień. Ten symboliczny obraz pokazał nam Pan na początku przebudzenia. W Południowej Afryce, gdzie ludzie nierzadko znoszą palący upał, cień drzewa jest dobrym schronieniem i miejscem odpoczynku. Nasza misja upodabnia się duchowo do drzewa, w którego cieniu zmęczeni pielgrzymi mogą odpocząć i nabrawszy nowych sił, dalej kontynuować swoją wędrówkę. Przecież ewangelia Jezusa Chrystusa jest rozwiązaniem wszystkich problemów. Ona uwalnia człowieka od mąk i piekła życia, przynosząc jego sercu pokój i odpocznienie. Tego wszystkiego nie można opisać słowami. Można tylko powiedzieć każdemu z was: „Przyjdź sam i zobacz!”.

Gdy przychodzą do nas ludzie, my prowadzimy ich do rodzin chrześcijan i proponujemy, żeby zobaczyli na własne oczy wzajemne stosunki dzieci i rodziców, mężów i żon. Przychodzący mogą widzieć sami, jak wygląda życie rodzinne, jakie są stosunki między chrześcijanami, jak wygląda atmosfera duchowa, królująca w misji i duszy tych, którzy tu przychodzą. Przecież to naprawdę jest cudownie obserwować, jak ewangelia, zwyciężając, przenika sobą życie ludzi.

Przychodzący do nas czują się, jak jedna całość z nami. My nigdy nie pytamy, kim jest ten człowiek: luteraninem, katolikiem, baptystą, zielonoświątkowcem czy metodystą, nie pytamy, czy jest hinduistą, muzułmaninem czy buddystą. Po prostu głosimy o tym, żeby ludzie doprowadzali do porządku swoje życie i swoje stosunki z Bogiem oraz bliźnimi. Interesuje nas tylko to.

Mamy dobre stosunki z różnymi innymi kościołami. Oczywiście, na początku przebudzenia wszystko wyglądało inaczej. Ludzie byli nastawieni bardzo sceptycznie i dopiero po siedmiu latach pierwszy kościół otworzył nam swoje drzwi, a w późniejszych trzech latach wiele innych kościołów zrobiło to samo. Przy czym, w tym czasie było to nawet dobrze, bo gdyby od razu przyszło do nas wiele ludzi, to byśmy nie dali rady.

Podczas jednego z naszych misyjnych wyjazdów do Europy, pewien człowiek zapytał mnie, na czym polega sens naszej pracy i czego właściwie chcemy tutaj na Zachodzie. Odpowiadając na to, chcę powiedzieć, że jeździmy do wszystkich krajów. Przecież Pan powiedział: „Idźcie na cały świat i głosźcie ewangelię wszystkiemu stworzeniu”.

Po drugie — naszym hasłem są słowa: „Wróć każdy tam, skąd przyszedłeś!”. Takie podejście nie każdemu się podoba. Niektórzy, dziwiąc się lub nawet oburzając, pytają nas, dlaczego tak robimy. Przecież wielu przychodzi z różnych sekt i ruchów z wyraźnym odchyleniem od prawdy, i dlatego, jaki sens jest dla nich, żeby wracać tam? Odpowiadamy na to, że nie możemy mówić ludziom, jak mają postępować. Nigdy tego nie robimy, co czynią inni, radząc przychodzącym

do nich ludziom, żeby zostawili swoje społeczności, zbory i przyszli do nich. Uważamy, że najważniejszym jest to, żeby chrześcijanin był światłością dla innych tam, gdzie się znajduje. Nie jestem ustanowiony po to, aby mówić ludziom, co mają robić. Każdy powinien być kierowany tylko przez Pana. Co zaś dotyczy nas osobiście, to nie pochwalamy wierzących, którzy przechodzą z jednego zboru do drugiego i z jednej społeczności do drugiej, jak motyl, fruający z kwiatka na kwiatek.

Wierzmy, że każdy człowiek powinien mieć swoją służbę i że każdy powołany jest przez Pana do jakiejś sprawy, w której musi być wierny. Oczywiście, jeśli ktoś mówi mi, że Bóg sam wskazał mu, żeby postąpił właśnie tak, jak czyni, wtedy nic nie mogę powiedzieć na to, gdyż nie jestem Bogiem. Jednak obserwujemy takiego człowieka i patrzymy, jaki owoc przynosi, żeby przekonać się, czy rzeczywiście Bóg poprowadził go tak, czy było to jego własną decyzją. Niejednokrotnie widzieliśmy, jak przebudzenie, zaczynające się w sercu jakiegoś człowieka, będącego u nas, przynosiło dobry owoc w tym zborze, w którym się znajdował.

Często przychodzą do nas kaznodzieje razem z grupami członków ich zborów. Zdarzało się też, że w ciągu jednego tygodnia odwiedzało nas ponad 60 pastorów, przy czym w tym czasie nie było jakiejś specjalnej konferencji lub spotkania dla nich. Był to najzwyczajniejszy tydzień w misji.

Kaznodzieje, prezbiterzy i inni kierujący zborami, ze wszystkich punktów Południowej Afryki, przyjeżdżając do nas, przywozili ze sobą swoje społeczności. Chcieli oni sobotę i niedzielę lub nawet cały tydzień spędzić razem z nami. Zawsze cieszymy się z takich odwiedzin, gdyż jest o wiele lepiej, gdy człowiek zobaczy na swoje własne oczy, co robi Pan z życiem ludzi, którzy naprawdę żyją dla Niego. Jednak największą radością dla nas jest to, że po powrocie tych społeczności do domu, zaczynają zachodzić u nich duże zmiany.

Znikają przy tym problemy między czarnymi i białymi, jednoczą się razem Niemcy i Anglicy, kończy się wrogość i powstaje zbliżenie ludzi różnych czarnych plemion. Tak krzyż Jezusa Chrystusa przynosi pokój i jedność. Upadają mury segregacji wśród ludzi różnych narodowości, ras i kolorów skóry. Lecz, co najważniejsze — zostaje zburzony apartheid między kościołami, który jest jeszcze gorszy niż wrogość narodowa i rasowa.

W misji mamy około 100 pracowników. Od momentu rozpoczęcia przebudzenia do dzisiejszego dnia ludzie przychodzą dniem i nocą; przychodzą setkami i tysiącami, niezależnie od czasu. Dlatego musimy być zawsze gotowi do naszej służby. Jedni pracownicy są w pracy w dzień, inni — nocą.

Każdy z trzech moich braci też jest aktywnym pracownikiem na niwie Pańskiej. Ich własna praca i osobiste zajęcia stały się czymś ubocznym i drugorzędnym, a ewangelia — najważniejszym, przy czym nie tylko dla nich samych, ale i dla ich dzieci. Czworko dzieci mojego starszego brata Friedela jest pracownikami na stacji misyjnej. Mój drugi starszy brat Heino co drugi tydzień obchodzi okoliczne wioski, odprawiając codziennie po dwa lub trzy nabożeństwa, pomimo tego, że jest farmerem. Obserwując, jak rosło jego siedmioro dzieci, cieszył się i mówił: „O, jak będzie dobrze, gdy dzieci dorosną i będą moimi pomocnikami na farmie! Wte-

dy będę mógł każdego dnia głosić ewangelię i mówić ludziom o Panu Jezusie!"

Kiedy dorosło jego pierwsze dziecko, to przyszło do ojca ze słowami: „Tato, Pan powołuje mnie do pracy na polu misyjnym”.

Później dorosło następne i powiedziało: „Tato, Pan powołuje mnie do pracy na stacji misyjnej”.

Trzecie, ukończywszy szkołę, też zwróciło się do ojca: „Tatusiu, Pan wzywa mnie do pracy dla Jego Królestwa”.

W końcu, ich ojciec przyszedł do mnie i żartem powiedział: — Erlo! Ty jesteś „winny”, że moje dzieci odchodzą na pole misyjne. Przecież miałem nadzieję, że pozostaną na farmie, żebym był wolny dla głoszenia ewangelii!

— Nie, bracie! — tak samo odpowiedziałem mu. — Ty sam jesteś „winny” z twoim własnym „złym” przykładem. Dzieci wdały się w ciebie, dlatego naśladują cię.

Tak oto wszystko wygląda... I jakże jest to cudowne! A jeśli jeszcze i wnuki robią to samo, wtedy jest to tylko skutkiem dobrego posiewu w ich sercach. Przy tym nikt nie jest za młody lub za stary. Każdy jest prawdziwym świadkiem Jezusa, pozyskując dla Niego nowe dusze. I nie robią tego tylko kaznodzieje. Mamy wielu farmerów, właścicieli i szefów, sekretarzy, lekarzy, nauczycieli i innych pracowników oraz robotników, którzy niekiedy przyprowadzają do Pana więcej ludzi niż wielu kaznodziejów i pastorów. Małe dzieci, dziewczynki i chłopcy, są narzędziem w ręku Bożym, przez które On się uwielbia.

Chcę jeszcze trochę opowiedzieć o innej stronie naszego życia. Dwadzieścia lat temu, około dwa lub trzy lata po rozpoczęciu przebudzenia, przeprowadziliśmy się z Mapumulo w to miejsce, gdzie teraz znajduje się nasza stacja misyjna. W tym czasie od razu powstał problem, gdzie umieścić ludzi chorych cieleśnie, którzy przychodzili do nas lub których przynosili inni. Dlatego pierwszym domem, postawionym wtedy w Kwasizabantu, był budynek szpitala. Ten szpital różni się od pozostałych szpitali tym, że w nim nie ma lekarzy i innego personelu medycznego. Proste zajmowanie się chorymi spoczywa na kilku chrześcijanach, mieszkających u nas na stacji misyjnej, a leczeniem duszy i ciała zajmuje się sam Pan — nasz niebieski Lekarz i Uzdrawiciel. Nie jesteśmy przeciwni pomocy medycznej i dziękujemy Bogu za lekarzy, którym daje On mądrość i wiedzę, żeby pomagać ludziom w niemocy i chorobach ich ciała. U mnie samego w domu mieszka lekarz ze swoją rodziną, jednak pracuje on w zwykłym szpitalu najbliższego miasta. Szpital, należący do naszej misji, ma trochę inne znaczenie. Chorzy ludzie, jak i wszyscy inni, którzy przychodzą do nas, potrzebują przede wszystkim uzdrowienia duchowego. Słuchają oni Słowa Bożego, które mówi do ich serc, pobudzając do oczyszczenia się z grzechu i doprowadzenia do porządku swojego życia i swoich stosunków z Bogiem i ludźmi. Potem Pan dotyka się ciała tych, których chce uzdrowić. U niektórych staje się to nagle, u innych przebiega jako proces, prowadzący do polepszenia lub całkowitego wyzdrowienia. Nie możemy w tym wskazywać Bogu, jak ma działać. Czyni On tak, jak chce.

Mamy u nas i swoją szkołę, w której uczy się około 400 uczniów. Są to dzieci pracowników misji i innych chrześcijan. Wszyscy nauczyciele w tej szkole

są szczerymi, gorliwymi chrześcijanami. Widzimy wielką łaskę Pana w tej pracy. Nauka zawiera w sobie nie tylko powszechny program szkolny, lecz i pogłębione wychowanie duchowe dzieci. Naszą szkołę regularnie okresowo i podczas egzaminów odwiedzają przedstawiciele wyższych władz szkolnych naszej republiki, którzy dają najwyższą ocenę dla pracy nauczycieli i uczniów.

Nasza stacja misyjna dysponuje też dużym gospodarstwem rolnym. Sadzimy kukurydzę, ziemniaki, różne warzywa i niektóre owoce. Mamy swoje bydło, które daje nam mięso i mleko na potrzeby misji. Hodujemy także kury, skąd mamy jajka i mięso drobiowe. Do misji należy nieduży sklep, gdzie można kupić wyprodukowaną przez nas żywność, przedmioty pierwszej potrzeby i inne drobne rzeczy. Z jego usług korzystają czarni mieszkańcy pobliskich wiosek i wszyscy chcący. Istnieje też nieduży warsztat tkacki i pralnia, duża wyposażona kuchnia z przylegającą do niej chłodnią; jest garaż dla samochodów i autobusów, należących do misji. To wszystko konieczne jest nam po to, żebyśmy mogli możliwie lepiej zaspokajać potrzeby nie tylko swoje, lecz i przychodzących do nas ludzi. Przecież apostoł Paweł w swoich listach uczy nas: „Nie dajemy w niczym żadnego zgorszenia, aby służba nasza nie była zniesławiona” (2Kor 6:3). Dlatego i my u siebie trudzimy się na stacji misyjnej, pracując swoimi rękami, żeby było z czego udzielać i potrzebującym. My nie chcemy być brzemieniem dla innych i nigdy od nikogo nie prosimy pomocy materialnej. Jeżeli czegoś potrzebujemy, wtedy po prostu, jak dzieci, idziemy ze swoją potrzebą do naszego niebieskiego Ojca, składając to do Jego nóg, a On w cudowny sposób rozwiązuje wszystkie nasze problemy. Nauczył On nas tego na początku przebudzenia i tak chcemy zawsze postępować.

Drodzy przyjaciele! Nie mogę wam wszystkiego opowiedzieć i wszystkiego opisać. Jeżeli Pan da wam możliwość, przyjdźcie do nas sami, żeby zobaczyć na swoje oczy wszystko, co czyni Pan. Wtedy sami będziecie mogli się przekonać o prawdziwości słów proroka Izajasza, że pustynia zmieni się w ogród; tam, gdzie mieszkali szakale i lisy, przyjdzie chwała Boża; a tam, gdzie było pusto i sucho, utworzą się źródła wód.

Ewangelia Pana Jezusa jest naprawdę największą mocą w świecie. Nie na darmo przecież, posyłając Swoich uczniów, Jezus mówił do nich: „Dana Mi jest wszelka moc na niebie i na ziemi. Idźcie na cały świat, głosząc ewangelię wszystkiemu stworzeniu”. W świecie nie istnieje nic podobnego do ewangelii Jezusa Chrystusa, jeżeli tylko Jezus jest naszym życiem.

Bardzo często pytają mnie, czy wierzę, że i w Europie może zacząć się przebudzenie. W odpowiedzi na podobne pytanie, zapytałem pewnego człowieka w Niemczech:

— Proszę mi powiedzieć, czy w pańskiej Biblii nie ma obietnic?

— Tak, są, oczywiście.

— To dlaczego zadaje pan mi to pytanie, czy u nas może być przebudzenie? Przecież pan, jak rozumiem, modli się o to? A jeżeli Pan nie słyszy pańskiej modlitwy, to widocznie w pańskim życiu coś nie jest w porządku.

Mówiąc o tym, przypominam sobie pewnego męża Bożego, który mieszkał

w Ameryce. To Charles Finney, który był adwokatem i śmiał się z Boga, nie chcąc mieć nic wspólnego z ewangelią. Stało się tak, że pewnego razu znalazł się w domu modlitwy, gdzie zebrani modlili się o przebudzenie i o wiele innego. W następnym tygodniu znowu było takie samo nabożeństwo modlitewne, a ten bezbożnik przyszedł tam ponownie. Podczas tego zgromadzenia wszystko powtórzyło się tak samo — ludzie dalej modlili się o przebudzenie. Po trzecim takim nabożeństwie pastor tej społeczności zwrócił się do Finneya z pytaniem, czy nie chce, żeby oni pomodlili się o niego.

— Nie! — ostro i zdecydowanie odrzucił tę propozycję Finney. — Nie chcę tego!

— O! — pomyśleli wtedy wszyscy o nim. — Tylko najgorszy bezbożnik może tak arogancko odrzucić podobną propozycję. Pomyśleć tylko, on nawet nie chce, żeby o niego chociaż pomodlić się!

Lecz w ślad za tym usłyszeli od niego jeszcze coś: — Ja nie chcę, żebyście właśnie wy modlili się o mnie. Trzy razy byłem już na waszych nabożeństwach modlitewnych, za każdym razem modliliście się o przebudzenie, którego do tej pory nie ma. Tak więc, jaki pożytek będę miał z tego, że pomodlicie się o mnie?

Po jakimś czasie ten niewierzący adwokat nawrócił się do Pana i w ciągu dziesięciu lat przez niego upamiętało się 200 tysięcy ludzi. Był to mąż, który Słowo Boże przyjmował dosłownie, jakim ono jest, podchodząc do niego z całą powagą. On nie godził się na zmienianie chrześcijaństwa w teatralne przedstawienie lub po prostu w pobożną grę i wykonywał Słowo tak, jak jest napisane.

Ten człowiek zaczął od tego, że oczyścił swoje życie i doprowadził je do porządku, przy czym Pan dał mu głębokie upamiętanie. W konsekwencji przechodził potem cały kraj, wzywając ludzi do pojednania się z Bogiem i usunięcia ze swego życia wszystkiego, co stało na przeszkodzie między nimi i Nim.

Drodzy przyjaciele! Pomyślcie, jak to będzie, jeżeli kiedyś staniemy przed wielkim Bogiem, który powie: „Spójrzcie, Moje dzieci! To i to chciałem uczynić przez was, lecz z powodu nieczystości i grzechów w waszym życiu Mój Duch nie mógł działać”.

Biblia mówi nam: „Nie zasmucajcie Świętego Ducha Bożego i nie gaście Go”. Istnieje takie niebezpieczeństwo. I jeśli chcemy przebudzenia, jeśli chcemy, żeby Duch Święty mógł działać przez nas, to nasze życie musi zostać oczyszczone.

A jak to wygląda z wami? Kiedy ostatni raz oczyszczaliście swoje życie? Wyobraźcie sobie, jak wyglądałoby wasze mieszkanie i wasz dom, gdybyście wcale nie myli, nie sprząтали i nie zamiatali w nim. A jak wygląda wasz dom duchowy? Ten sam, który powinien być świątynią Bożą?

U niektórych mija wiele lat, zanim oczyszczą go. Są tam obmowy, podejrzliwość, nieżyczliwość, zło, nienawiść, zawiść, kłótnie, wrogość. I to wszystko w naszym sercu, tam, gdzie powinno być miejsce tylko dla Pana. Kiedy w końcu zrozumiemy, że całą tą obrzydliwością zasmucamy Ducha Bożego i gasimy Go? Przecież nie grzechy mojego brata, nie grzechy świata i niewierzących ludzi, lecz moje własne grzechy zasmucają i wypychają Ducha Świętego, nie dając Mu moż-

liwości działania!

O tym też kiedyś przekonałem się. I ja kiedyś modliłem się o przebudzenie. Lecz czyż Pan mógł odpowiedzieć na tę modlitwę, jeżeli wtedy w moim życiu było tyle rzeczy szatańskich, które zasmucały Świętego Ducha Bożego? Dopiero wtedy, kiedy dowiedziałem się o tym i upamiętałem się, oczyściwszy swoje życie, Pan otworzył niebo i zszedł do nas. I to stało się początkiem przebudzenia.

Amerykański ewangelista Moody, powiedział: „Nie ma niczego, co mogłoby być dla Pana twardą i niedostępną glebą, jeżeli twoje własne życie jest w porządku”.

Przeżywszy to, teraz głęboko wierzę, że jeżeli Pan mógł dać przebudzenie u nas w Południowej Afryce, to może On uczynić to samo wszędzie, gdziekolwiek, w każdym miejscu kuli ziemskiej. Jeżeli Bóg dokonał tego wśród ludu, zagrożonego w czarach i spirytyzmie, wśród ludu z zatwardziałym i okrutnym sercem, to nie wątpię, że może On uczynić to i tutaj u was.

W pierwszym dniu po wylaniu u nas Ducha Świętego, powiedziałem: „Teraz wierzę, że i w Rosji może rozpocząć się wielkie przebudzenie duchowe. Dla Ducha Bożego nie ma nic niemożliwego. Dla Niego nie istnieją mury ani granice”.

Drodzy przyjaciele! Na tym zakończę. Nie wiem, czy kiedykolwiek spotkamy się. Wiadomo tylko jedno, że zobaczymy się kiedyś przed tronem Pana i kto wie, być może ten dzień będzie dla nas dniem sądu. Wtedy okaże się, jak minęła nasza młodość, jak żyli kawalerowie i żonaci, jak chodziły przed Bogiem wdowy, młodzi i starzy. Wtedy zostaną otwarte księgi. Wtedy my, być może, przeczytamy i o Tobie, mój drogi Przyjacielu! W tym dniu Pan objawi przed niebem i ziemią Twoje życie. Czy będzie Ci wstyd, czy też ten dzień stanie się dla Ciebie dniem wielkiej radości i chwały?

W 12 rozdziale Ewangelii według Łukasza, w 1 i 2 wersecie Jezus mówi, że „nie ma nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw ani tajnego, co by nie stało się wiadome. Dlatego, co mówiliście w ciemności, będzie słyszane w świetle dziennym, a co w komorach na ucho szeptaliście, będzie rozgłaszane na dachach”.

Niech Pan da nam, żebyśmy, spotkawszy Go kiedyś twarzą w twarz, ujrzeli wyciągniętą do nas rękę i usłyszeli Jego słowa: „Dobry i wierny sługo! W małym byłeś wierny i dlatego dam ci wielkie. Wejdz do radości Pana twego!”. O, dałby Pan to dla mnie i dla was!

Pomódlmy się: Panie Jezu! Ty masz słowa życia wiecznego. Do kogóż pójdziemy, jeśli odwrócimy się od Ciebie? Spraw w Swojej wielkiej łasce, aby każdy z nas wziął sobie to do serca i podszedł do tego z wszelką powagą! Dopomóż każdemu doprowadzić do porządku swój stosunek do Ciebie, Panie!

Działaj poprzez Swojego Ducha i oświecaj serca i myśli! Objaw wszystko, co ukryte! Sprawdź i wybadaj nas! Wskaż w naszym życiu na to wszystko, co nie jest jeszcze w porządku! Okaż miłosierdzie, aby to, co niewłaściwe i nieczyste, zostało uprzątnięte z naszego serca i aby wszystko to obmyła Twoja drogocenna

krw, tak aby Twój Duch Święty mógł w naszym czasie i na tym miejscu działać ponad wszelkie nasze zrozumienie! Niechaj krzyż Jezusa Chrystusa ponownie zatriumfuje nad ziemią i niechaj Ty, Panie, na nowo staniesz się Zwycięzcą!

Amen.